



STRAŻNICY ŚWIATŁA

Abby Geni



STRAŻNICY
ŚWIATŁA

A b b y G e n i

Dla Scotta

PROLOG

Ptaki wznoszą bitewne okrzyki. Miranda widzi, jak stado mew skręca w jej kierunku. Białe pióra. Lśniące dzioby. Szalone ślepia. Dość się napatrzyła na agresję, do której są zdolne, i wie, co zamierzają. Poruszają się w formacji bojowej, kołują nad nią niczym bombowce namierzające cel.

Miranda zmierza w stronę promu. Przyspiesza, wędrując w górę zbocza z plecakiem huśtającym się na ramionach. Łódź się spóźnia, ale nie ma w tym nic dziwnego. Prom zawsze się spóźnia. Na wyspach to jedna z niewielu rzeczy, które są niezmiennie.

Chlupot fal wypełnia powietrze. Archipelag spowija mgła. W czasie letnich miesięcy podobne opary są częstym zjawiskiem. Popołudnia tutaj rzadko bywają ciepłe i złociste, nikt się nie opala. Horyzont ginie we mgle, słońce przypomina wilgotny dziecięcy wiatraczek.

Miranda ślizga się na kruszejącym skrawku skały. Pomimo pragnienia, żeby opuścić to miejsce, musi kroczyć ostrożnie, z uwagą. Spowalniają ją gniazda i pisklęta. Mewy pokryły ziemię niczym śnieg, robią użytek z każdego kawałka trawy i granitu. Na ich tle Miranda wygląda osobliwie, jak samotna sosna pośród jednolitej bieli.

Ptaki bynajmniej nie są cicho. Ich skrzydła szeleszczą. Pisklaki wrzaskliwie domagają się pożywienia, a rodzice odpowiadają oburzonym skrzekiem. Raz na jakiś czas następuje nagły wybuch, kłótnia o terytorium – łopoczą skrzydła, tryska krew. Miranda również pada ofiarą ich fanatycznego, zaborczego niepokoju. Odkąd wyszła z domu, kilka mew śledzi każdy jej ruch. Lada moment zaatakują. Ich skrzydła są rozłożone, oczy błyskają. Są coraz bliżej.

Jednak Miranda jest przygotowana. Ma na sobie rękawice z grubej skóry, przez co mniejsza część ciała jest wystawiona na atak. Wokół każdej kostki nosi obrózkę przeciw pchłom, aby ptasie wszy nie wpełzły jej pod ubranie. Maską na twarzy pomaga znieść potworny smród amoniaku unoszący się ponad guanem. Kask leży krzywo na jej głowie, a założona pod spód wełniana czapka zapewnia dodatkową ochronę. Miranda otulona jest też w ponczo, już upstrzone szlamowatymi odchodami, którymi mewy posługują się niczym precyzyjną bronią. Kiedy przybędzie prom, dziewczyna pozbędzie się wszystkich tych ubrań. Porzuci cały strój, tak jak szpieg zdejmuje kostium, zrywa perukę i wypluwa sztuczne zęby, odpina broń, po czym ucieka z danego miejsca, momentalnie stając się kimś zupełnie przeciętnym, kolejną twarzą w tłumie.

Niesie zapięty plecak, jej dobytek jest skromny. To kolekcja muszelek. Przynoszące szczęście pióro maskonura. Rekini zęb, mały, o piłkowanej krawędzi. Dziwnie jest, po całym czasie spędzonym tutaj, opuszczać to miejsce, niosąc tylko plecak. Ale rzeczy osobiste nie są w stanie długo tu przetrwać. Dżinsy, które Miranda przywiozła ze sobą tak dawno temu, zamieniły się w szmaty. Książki spleśniały. Ergonomiczną poduszkę wypełniają mysie odchody. Jedyne, co zachowała – nie bez trudu, korzystając z wodoodpornych pojemników oraz sporej dozy sprytu i czujności – to trzy cyfrowe aparaty fotograficzne, jeden aparat wielkoformatowy i kilka kartonów niewywołanego filmu. To jej skarby. Odzwierciedliła na zdjęciach każdy z nastrojów tych wysp, od krystalicznej czystości zimowego słońca aż po dzikie jesienne burze. Wysp jest ponad tuzin. Miranda uwieczniła każdą z nich. Czekoladowy Okruch: ciemny kontur na tle lśniącego oceanu. Nabrzmiały kamienny kopiec zwany Głową Cukru. Wysepki Pijanego Wujka, wystawiające łyse łby ponad powierzchnię wody. A także tutejszych ludzi. Tych nielicznych, którzy przetrwali. Ich zdjęcia też ma.

Atak nadchodzi bez ostrzeżenia. Mewa uderza Mirandę w skroń i dziewczyna traci równowagę. Krzyczy, kask przekrzywia się jej na oczy. Skrzydła łopoczą wokół jej ramion. Mewa nie wychodzi z tego bez szwanku; skotłowana pada na ziemię, jest wyraźnie

zdezorientowana. Miranda się nie zatrzymuje. Rozczochrana i wstrząśnięta, podąża w stronę wody. Wie, że nie może tutaj przystanąć, nie na otwartej przestrzeni. Wspina się na klif, ciężko oddychając, i wreszcie dociera na grań.

Kilkanaście metrów od brzegu rozpościera się ściana gęstej mgły. Kłęby oparów pokrywają ocean niczym dymiące węgle. Miranda poprawia kask. Ptaki zachowują dystans, przegrupowują się, wahają. Wykrzykują groźby i ostrzeżenia. To niepokojące cienie, które nieustannie pikują i kręcą się na skraju pola widzenia.

Nagle po wodzie niesie się warkot silnika. Hałasujące mewy niemal go zagłuszają. Miranda widzi, jak dziób promu przedziera się przez mgłę. Jest w jego pojawieniu się coś widowiskowego, jakby było jedną ze sztuczek podczas pokazu iluzjonistycznego. Łódź zdaje się rodzić w bólach, pojawia się znikąd, wyrasta z mgły, ze snów. Niemal wbrew własnej woli Miranda unosi obie ręce nad głowę i macha energicznie. Z tej odległości nie widzi, czy Kapitan Joe odpowiada tym samym. Patrzy, jak statek sunie po wodzie. Mewy wirują wokół niej, skrzecząc. Nie poddały się. Ich wrogość będzie trwała aż do ostatniej chwili. Miranda wie, co by jej zrobiły, gdyby tylko mogły. Wie, jak niebezpieczne potrafią być te wyspy. Wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Pół godziny później jest już na promie. Nigdy nie radziła sobie dobrze z chorobą morską, więc opiera się o burtę i czuje, jak jej żołądek podskakuje w rytm każdego szarpnięcia pokładu. Jest gotowa do drogi; gotowa, żeby po raz pierwszy od roku opuścić te wyspy. Od brzegu dzieli ją siedem metrów i zarazem cały świat. Kapitan Joe przemieszcza się po łodzi, doglądając tajemniczych marynarskich spraw: rozwija sznury, przesuwają dźwignie, sprawdza siłę jakiegoś zatrzasku. W miarę jak prom odsuwa się od brzegu, ocean zaczyna się obracać, kręci się wokół własnej osi. Z tej perspektywy cały krajobraz wygląda zupełnie inaczej: wyspy są małe, mgła przypomina miękką firankę, ptaki zdają się delikatne i niegroźne, jakby były zrobione z papieru. Miranda wstrzymuje oddech, odzwycczajona od poczucia bezpieczeństwa.

Zdjęła obroże przeciw pchłom, ponczo, maskę i kask. Mimo wszystko jest nieprzyjemnie świadoma faktu, że jej ubrania – bucior z metalowymi noskami, wełniana czapka oraz męska kurtka, którą sobie przywłaszczyła na pamiątkę – nie wyglądają zupełnie normalnie. Jej ubiór nie pasowałby do żadnego innego miejsca poza Wyspami Farallońskimi. Kiedy dotrze do Kalifornii, wezmą ją pewnie za bezdomną. Może przechodnie będą się nad nią litować i zechcą dać jej jakieś drobne. Gdyby tylko wiedzieli...

Statek rozcina wodę. Jego kilwater rysuje na tafli ścieżkę sięgającą brzegu. Miranda zamierza patrzeć na wyspy, obserwować, jak giną w oddali, spoglądać na nie tak długo, aż pożre je mgła. Archipelag to kolekcja miniaturowych wysepek, maleńka formacja, drobina kurzu na mapie. Farallon Południowo-Wschodni jest jedyną wyspą z tej zgrai, która w ogóle nadaje się do zamieszkania. Ma łąkę zieleni, na której przycupnęła chata, a także latarnię, łodzie i dwa niewielkie drzewa, które stoją dumnie na wietrze; ich korony posplatały się ze sobą w poszukiwaniu towarzystwa. Wokół tej centralnej wyspy rozsiane są małe rzeźby z nagiego kamienia, nieistotne, niezdolne do podtrzymania roślinnego życia, chłostane falami i udekorowane pąklami. W miarę jak łódź oddala się od brzegu, Miranda przygryza wargę. Ma płochą nadzieję, że mignie jej jeszcze jakaś ludzka postać – stojąca na skraju klifu, czekająca, żeby pomachać jej na pożegnanie. Ale po wszystkim, co miało tam miejsce, powinna wiedzieć, że tak się nie stanie. Nikt jej nie żegna. Wyspy wydają się opuszczone. Latarnia stoi czarna i nieruchoma na tle kotłujących się chmur. Chatę ledwo widać, jej większą część zakrywa wzniesienie.

Fale rosną, wzbierają pod kadłubem. W polu widzenia pojawia się Siodło, gęsto obsadzone lwami morskimi, z których część drzemie jeden na drugim, a inne skaczą komicznie

po plaży. Wkrótce prom dociera do mgły. Z wnętrza pokładówki dobiega śpiew Kapitana Joego – wesola melodia niesiona przez wiatr. Wyspy stają się rozmyte, eteryczne. Mgiełka pozbawia je ostrych krawędzi, zmiękcza ich kontury. Dziewczyna mruży oczy, żeby ostatni raz dojrzeć linię brzegową. Przez moment czuje, jakby sama była łodzią ciągnącą za sobą łańcuch z kotwicą. Przez ostatnie dwanaście miesięcy sznur żelaznych ogni włączył ją z tym archipelagiem. Upływ czasu zmienił ją niczym statek zakotwiczony w porcie – pokrył korozją, atakował falami, wybił dziury w kadłubie, wreszcie ubrudził i obtłukł ją nie do poznania. Teraz dziewczyna czuje, jak ten łańcuch zaczyna trzeszczeć. Napina się do granic możliwości, przeszywa bólem. Wreszcie, z nagłym szarpnięciem, pęka w połowie. Kiedy Miranda w końcu zrywa się z uwięzi, niemal traci przytomność.

Przez ostatni rok każdego ranka słuchała, jak Galen głośno spluwa do zlewu. Stała przy kuchence wraz z Charlene, chichocząc, gdy wspólnie sypały wszystkie dostępne w spiżarni przyprawy na patelnię pełną jajecznicy z nurzykowych jaj, nieudolnie starając się, by ich śniadanie choć raz nie trąciło rybą. Chodziła na spacer z Mickiem, raz za razem okrążając wybrzeże. Czekwała przy drzwiach, patrząc, jak Forest starannie wiąże buty, co zajmowało mu dziesięć minut więcej niż wszystkim innym, tak jakby losy świata mogły zależeć od precyzji każdego supełka. Miranda poznała wszystkie ich dziwactwa. Zna śmiech Galena: to, jak marszczą się jego zamknięte oczy, a usta otwierają tak szeroko, że widać każdą plombę. Wie, że Lucy nuci przez sen, godzina po godzinie, doskonale słyszalna wśród ciszy panującej w chacie. Pamięta zapach potu Andrew – cierpką, ziemistą woń. Pamięta dokładnie wygląd białych dłoni Micka.

Żadnej z tych osób już nigdy nie zobaczy. W jakimś stopniu jest z tego zadowolona.

Podczas długiego rejsu promem zdejmuje czapkę i robi, co może, żeby uczesać zmierzwiłone włosy. Zmaga się z przerażającą morską toaletą. Sprawdza swój sprzęt fotograficzny. Niektórzy ludzie nadają imiona samochodom – ukochanym przedmiotom, którym przypisują osobowość. Miranda ma w zwyczaju nazywać swoje aparaty. Najlepszy w tej gromadce jest Klejnot. Ten wielkoformatowy aparat ma wystarczająco dużo pokręteł, żeby wprawić w osłupienie Galena oraz Foresta, którzy mieli w zwyczaju bawić się nim, ilekroć Miranda nie patrzyła. To potwór, który – niczym hiperaktywna królowa pszczoł – wydał na świat setki klisz, wciąż niewywołanych, czekających, by wykluc się w ciemni. Drugi aparat to Charles, prawdziwy antyk. Charles radzi sobie najlepiej rano i wieczorem, kiedy niebo jest złociste, a powietrze gęste od światła. Charles narzuca własne spojrzenie na świat. Pozostałe dwa (Gremlin oraz Rybi Pysk) to cyfrowe lustrzanki: proste, szpanerskie, nieprzyzwoicie drogie. Miranda troszczy się o każdy z nich jak dobrotliwa matka. Pamięta o ich urodzinach – o tych ważnych datach, kiedy je zakupiła.

Dwoje swych dzieci straciła w ciągu minionego roku. To ofiary wysp. Nazywała je Kocurem i Złoczyńcą, a teraz przepadły na zawsze.

Miranda przenosi się do schronienia, jakie daje pokładówka. Siada na ławce. Za oknami rozciąga się mgła, otacza łódź niby wałek bawełny. Świat poza kadłubem został ograniczony do wrażeń słuchowych: syreny mgłowej, plusku fal, pokrzykiwania mew. Ten ostatni dźwięk jest już odległy, dźwięczny, niemal muzykalny.

Dziewczyna sięga do torby i wyciąga szarą kopertę. Koperta jest gruba, jakby spuchnięta, i szeleszcząca. Wysypuje jej zawartość na kolana, uwalnia papierową śnieżycę. Są tam wyrwane z notesów kartki pokryte liniami. Jest papier do drukowania, zapełniony z obu stron odręcznym pismem Mirandy. Jest papier milimetrowy, są chusteczki i jest podkradzony z kuchni papier woskowany. Na każdej z tych powierzchni pismo Mirandy jest nadzwyczaj ściśnięte, jak mrówki maszerujące w linii. Papier w każdej formie był na wyspach towarem luksusowym, musiała więc

wykorzystać do maksimum każdy jego strzęp. W czasie zimowych miesięcy wrywała kartki z czasopism i ściubiła na marginesach. Robiła użytek ze starych paragonów, wyblakły druk został zastąpiony przez jej pismo. Pisała nawet na papierze toaletowym. Zawartość tej szarej koperty to cały rok pracy.

Miranda ostrożnie rozkłada zapiski na kolanach. Panuje w nich pewien porządek, choć dla kogoś innego trudny do dostrzeżenia. Niektórzy dopatryliby się w tej pisaninie dzieła szaleńca. Inni może dostrzeżeliby poetycką zbieżność z charakterem tego miejsca. Miranda znajduje notatkę z pewnego słonecznego wrześniowego popołudnia. Trafia na ten długi, gorączkowy list napisany jesienią, w którym pismo jest niemal zbyt rozchwiane, by dało się je odczytać. Wymięte stronicę z tego deszczowego tygodnia, kiedy wypadało Święto Dziękczynienia, wciąż noszą pamiątkę po wilgoci. Są tam zapiski z grudnia, marca, z wiosny i z lata.

Może nie znajdzie tu żadnej odpowiedzi. Może nigdy nie zrozumie wszystkiego, co się jej przydarzyło. Ale to ostatnia szansa, żeby zrozumieć. Silnik promu warczy. Mewa zawodzi w oddali niczym przestraszone niemowlę. Miranda siedzi przez moment ze zwieszoną głową. Potem zaczyna czytać.

SEZON REKINÓW

Nigdy nie zapomnę pierwszych chwil po przyjeździe. Wyspy Farallońskie nie były tym, czego się spodziewałam. Okazały się mniejsze i dziwniejsze, niż je sobie wyobrażałam. To maleńki, zatopiony w wodzie łańcuch górski. Wydawało się, że jedna potężniejsza fala mogłaby zmyć je z powierzchni ziemi. Stałam na pokładzie promu. Fale były w kadłub, podczas gdy Kapitan Joe spuszczał kotwicę. Łódź się kołysała, rozmyty horyzont tańczył. Osłoniłam oczy dłonią, wpatrując się w mój nowy dom.

Dawno temu miejsce to nazywano Wyspami Umarłych. Teraz mogłam zrozumieć dlaczego. Farallon Południowo-Wschodni mierzył niecałe trzy kilometry kwadratowe. Pozostałe wysepki były nagie, łyse, potraskane. Nie było tu piaszczystych plaż. Smugi wodorostów pokrywały brzegi, a wierzchołki zdawały się spękane i pokruszone. Wyspy ułożono według wysokości, tak jak ustawia się do zdjęcia weselnych gości. Ich rysy miały w sobie coś topornego. Bóg może i stworzył świat, ale do formowania Wysp Farallońskich oddelegował chyba jakiegoś nieletniego pasierba, w dodatku wyposażonego w podlejszy rodzaj gliny.

U mojego boku Kapitan Joe krzychał do krótkofalówki. Odpowiadał mu jakiś trzeszczący głos. Na pokładzie promu spędziłam poprzednie pięć godzin. Byłam zdezorientowana i marzyłam o tym, żeby wziąć prysznic. Łódź wznosiła się na jednej krzywiznie fali i opadała wzdłuż kolejnej. Mrużyłam oczy, patrzyłam pod słońce. Zakotwiczyliśmy wzdłuż stromego klifu. Widać było tylko skały, a ponad nimi chmury. Coś pojawiło się na krawędzi i zaczęło opadać.

Przedmiot wyglądał jak wgnieciona klatka dla ptaków. Na jej spodzie znajdował się ciężki żelazny dysk. Liny i siatka chygotały się na tle nieba. To, jak się dowiedziałam, był Billy Pugh. (Pochodzenie tej nazwy pozostaje tajemnicą. Pytałam, ale nie uzyskałam odpowiedzi). Kapitan Joe wydawał instrukcje. Ktoś po drugiej stronie krótkofalówki odpowiadał, zakłócenia zniekształcały głos. Ocean był atramentowy, pokryty szlamowatymi pęcherzami.

Na brzeg miałam zostać przetransportowana dźwigiem. Na Wyspach Farallońskich nie było doków ani mariny. Żadnej namiastki normalności. Prom zatrzymał się kilka metrów od klifu i nie mógł podплыnąć bliżej, bo kryjące się pod wodą rafy rozprułyby kadłub. Billy Pugh wylądował na pokładzie z głuchym łomotem. Kapitan Joe bez ceregieli pokazał mi, jak wejść do środka sznurowej siatki. Pomógł mi ustawić stopy na podstawie – metalowym krążku, pełnym rys i żłobień. Sieć nad moją głową została zebrana i zaczepiona o hak, ponad nim ku górze wiała się stalowa lina. Gdzieś u szczytu całej tej konstrukcji znajdował się dźwig. Cień na tle chmur.

Obróciłam się do Kapitana Joego.

– To bezpieczne, prawda?

– Poślę twoje bagaże następnym kursem – odparł.

Grunt usunął się przede mną. Zdusiłam okrzyk przerażenia, dłonie splotłam na linach. Billy Pugh wcale nie wyglądał, jakby miał mnie bezpiecznie utrzymać. Poruszałam się szybko, pędziłam do góry. Trzy metry. Pięć. Słyszałam jęk stalowej liny. Dysk przesuwiał się pod moimi stopami. Próbowalam utrzymać równowagę, gdy Billy Pugh huśtał się jak wahadło. Ocean opadł, prom się rozmył, Kapitan Joe zmienił się w zniekształconą postać z kreskówki. Miałam wrażenie, że w oddali dostrzegam płetwę grzbietową. Właściwie chyba widziałam trzy poruszające się równocześnie. Byłam pewna, że zaraz zwymiotuję.

Rozległ się huk. Billy Pugh wylądował. Wydostałam się przez lukę między linami i opadłam na głębę Wysp Farallońskich.

Niezupełnie wiem, co nastąpiło potem. Leżałam na plecach, dumna, że zdałam pierwszy test. Czekałam, aż miną mdłości. Granit był zimny w dotyku, nierówna powierzchnia ugniatała

mnie w kręgosłup. Widziałam teraz lepiej dźwig – zardzewiały wysięgnik zawieszony nad wodą. Billy Pugh raz jeszcze jechał w dół. Ktoś w pobliżu musiał sterować tym urządzeniem. Nie miałam pojęcia, kto przetransportował mnie na wyspę, kto znajdował się po drugiej stronie krótkofalówki Kapitana Joego. Wyspę zamieszkiwało sześcioro stałych rezydentów. Sześcioro biologów żyjących w odosobnieniu i dziczy Wypś Umarłych.

Mechanizm dźwigu umieszczono na szczycie pobliskiego wzgórza. Ktoś był w środku, ale z tej odległości nie mogłam rozpoznać żadnych szczegółów. Widziałam tylko ludzką sylwetkę. Wciągarka obracała się, lina rozwijała. Billy Pugh zniknął mi z oczu. Patrzyłam na przelatującego nieopodal morskiego ptaka. Wdychałam smród pleśni i guana. Zapach na wyspach był tak drażniący, że zdawał się palić w płucach.

Moje bagaże odbyły tę samą niebezpieczną podróż. Zanim się podniosłam, Billy Pugh spoczywał już obok mnie, wypakowany walizkami. Prom już odpływał. Jego dziób celował w Kalifornię, kilwater przypominał brudną pełną szarego szlamu. Nie widziałam Kapitana Joego. Bez pożegnania wszedł do pokładówki. Na tych wodach lepiej było nie pozostawać dłużej niż to konieczne.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu mojego nieznanego pomocnika. Jednak sylwetka z okna dźwigu już zniknęła. Ktokolwiek tam był i sterował maszyną, nie uznał za konieczne przedstawić się, pomóc mi z bagażami, powitać mnie na wyspach. Coś zaległo mi w gardle. Na razie byłam zdana na samą siebie.

Dotarcie do chaty zajęło mi dłuższą chwilę. Ciągnęłam walizki, dyszałam i pociłam się. Było wczesne popołudnie, chłodne i słoneczne. Morski ptak przefrunął w oddali, wydając z siebie ochryply okrzyk. Ocean huczał. Biała piana wznosiła się ponad klifami. Na tle przymglonego nieba latarnia morska pełniła samotną wartę.

Kiedy dotarłam na ganek, poczułam się jak morski rozbitek. Chata wydawała się opuszczona. W szybach widać było pęknięcia. Deski uginały się pod moimi butami. Nie było dzwonka do drzwi. Wciąż dyszałam po podejściu, bagaże leżały rozrzucone u moich stóp. Pamiętam, że zbierałam się do tego, żeby zapukać. Pamiętam, że przybrałam uprzejmy uśmiech mówiący: „och, jak miło was poznać”.

Ale zanim zdołałam się poruszyć – zanim zdołałam choćby mrugnąć – drzwi otworzyły się od środka. Cofnęłam się, przestraszona. Dwóch mężczyzn wypadło na zewnątrz.

Pierwszy był stary, drugi – młody. Może winne były moje wnętrzości wzburzone niedawnym rejsiem, ale w tej chwili obaj wydawali mi się nie z tego świata. Starszy mógłby zagrać w filmie Posejdon – grzywa srebrnych włosów, ogorzała twarz, aura powagi. Młodszy tymczasem był chudy jak patyk, miał umięśnione, pokryte odciskami dłonie. Mógł stanowić drobniejsze bóstwo: chochlika obdarzonego ograniczonymi, ale niezwykle mocami.

Teraz, oczywiście, znam już ich imiona: Galen (ten starszy) oraz Forest (ten młodszy). Jednak wtedy nie miałam pojęcia, kim są. Wzięłam głęboki oddech i uśmiechnęłam się.

– Cześć – powiedziałam.

– Zbieraj się albo przepadnie nam całe widowisko – polecił Forest. Zajęło mi chwilę, nim zrozumiałam, że choć zwrócony w moją stronę, mówił do mężczyzny za swoimi plecami. Po prostu przypadkiem znalazłam się pomiędzy jego spojrzeniem a morzem.

– Dobrze, już dobrze – burknął Galen, naciągając czapkę na swoją białą grzywkę.

– Cześć – powiedziałam głośniejsz. – Dopiero co zesłam z promu. Nazywam się...

Forest zakręcił się na pięcie, bijąc się w czoło.

– Zapomniałem cholernego aparatu. Dasz wiarę? Zapomniałem cholernego...

– Za późno – odparł Galen. – Musimy sobie poradzić bez niego.

Wyskoczyli na ganek i, gdybym się nie odsunęła, Forest wpadłby na mnie. Zapinał

płaszcz. Galen obserwował wybrzeże przez lornetkę. Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. Opuściła mnie pewność siebie. Nie mogłam się zmusić, żeby po raz trzeci zakomunikować im swoją obecność. Patrzyłam w ciszy, jak przechodzą nad moimi walizkami i pędzą po stopniach w dół.

Przez chwilę autentycznie zastanawiałam się, czy to nie sen. Przypominał nieco typowy koszmar będący wyrazem niepokoju: okropny rejs, potężne fale, przerażająca klatka z lin, kipiel oceanu, odległe płetwy grzbietowe, tajemnicze postaci na horyzoncie, żadnego powitania, żadnej pomocy, żadnej gwarancji czy bezpieczeństwa.

Obaj mężczyźni przeszli w trucht. Patrzyłam, jak ich postaci maleją. Niemal dotarli do szczytu wzniesienia, kiedy Forest wreszcie się odwrócił.

– Och, no oczywiście. Ty jesteś Melissa – krzyknął. – Witaj! Zostalibyśmy i pogadali, ale...

Galen przejął urwane zdanie, dokończył myśl towarzysza.

– ...ale w Zatoce Zachodniej zaczął się szal jedzenia – wykrzyczał. – Wejdz do domu. Nie wychodź na zewnątrz. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Nie mogłam się zdobyć na to, żeby odwrzeszczeć, że pomylili moje imię. Znikali już z pola widzenia, pędząc przed siebie jak dzieciaki goniące furgonetkę sprzedającą lody.

Ten list, podobnie jak inne, nigdy nie zostanie wysłany. W pisanych do Ciebie listach w przeszłości wykazywałam się sporą kreatywnością. Paliłam je. Grzebałam w ziemi. Rwałam je na strzępy niczym konfetti. Chodząc po górach, składałam moje wiadomości w kwiatki origami i wieszałam na drzewach. Kiedy pewnego długiego lata popłynęłam na spływ pontonem w dół Missisipi, robiłam z papieru łódeczki, które później kładłam na wodzie i patrzyłam, jak unoszą się z prądem niczym lilie wodne, jak ciemniejszą powolutku, by zatonać, kiedy już odwróciłam się do nich plecami.

Piszę do Ciebie od blisko dwudziestu lat. Ale żadna z tych wiadomości do Ciebie nie dotarła. Żadna z nich nie została odczytana. Bądź co bądź napisałam pierwszy list w tydzień po tym, jak umarłaś.

Oto, co pamiętam:

Twoje odejście z tego świata było nagłe. Pocałowałaś tatę w policzek, poszłaś do pracy, nigdy nie wróciłaś do domu. Byłam w szkole, kiedy wydarzył się wypadek. Słyszałam syreny. Karetka przejechała w szaleńczym pędzie za oknami, zagłuszając lekcję historii, podczas której ja i inni ósmoklasiści poznawaliśmy europejskie szlaki handlowe. Jakiś czas później rozbrzęczał się głośnik, trzeszczący syk wypełnił wszystkie sale dźwiękowym odpowiednikiem piasku. Rozległo się kilka puknięć, gdy dyrektor zmagił się z mikrofonem. Pamiętam wyraz poirytowania na twarzy nauczyciela. Padło moje nazwisko. Potem wypowiedziano je raz jeszcze. Podniosłam się, czując na sobie wzrok innych uczniów, i zaczęłam wpychać książki do torby. Nie byłam zaniepokojona. Wtedy nie skojarzyłam jeszcze tych dwóch rzeczy – karetki oraz mojego nazwiska.

Okazało się potem, że Twój samochód nawalił. Poranek był zimny, tak jak zimne potrafią być tylko zimy w Waszyngtonie – powietrze jest wtedy tak wilgotne i ciężkie, że opada na świat niczym chusta serowarska. Nie znałaś się na mechanice – tym zajmował się tata – ale i tak wykonałaś wszystkie zwyczajowe kroki: zaczęłaś kłąć, podniosłaś maskę, jakiś czas wpatrywałaś się z konsternacją w labirynt trybów. W końcu porzuciłaś auto tam, gdzie stało, na rogu 13. i G, po czym ruszyłaś w górę zbocza, w stronę najbliższego warsztatu. Chodniki były mokre i śliskie. Garście niebieskiej soli, rozsypane przez właścicieli domów i sklepów, kiepsko radziły sobie z łatami lodu. Wyobrażam sobie Ciebie, smukłą postać w brązach, z twarzą aż po oczy okutaną w jeden z samodzielnie zrobionych szalików. Zatrzymałaś się na przejściu dla pieszych. Zaczekałaś na zielone światło. Dopiero na środku ulicy spostrzegłaś, że wywrotka wpadła właśnie w poślizg na płacie czarnego lodu.

Policjanci mówili o tym później jako o wypadku bez winnych. Miałaś prawo być wtedy na przejściu dla pieszych. Kierowca dostrzegł zmieniające się światło i próbował zahamować, ale śliska nawierzchnia w połączeniu z bezwładnością jego ładunku – trzynastoma tonami żwiru – nie pozwoliła mu na to. Nikt nie przekroczył prawa. Dręczyło mnie to. Wolałabym wypadek, w którym ktoś jednak zawinił. Trudno było zaakceptować fakt, że nikogo nie mogę obwinać o utratę matki – nawet Ciebie.

Najwyraźniej z tamtego dnia pamiętam siedzenie przed gabinetem dyrektora, deptanie stopami wykładziny i zastanawianie się, czy umyłam wcześniej zęby. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dla którego mogłam zostać wywołana z lekcji: a mianowicie, że Ty, jak zwykle pełna dobrych chęci, ale zarobiona po uszy, kolejny raz zapomniałaś zawieźć mnie na kontrolę u dentysty. Personel doktora Greenberga znał Cię przecież od tej strony. Wyobrażałam sobie, że ktoś od nich zadzwonił z uprzejmym przypomnieniem, a Ty momentalnie wypadłaś

z pracy, z plamą kawy na rękawie, wyciągając wilgotne chusteczki z kieszonki rozpiętej torebki. Tak to już zazwyczaj wyglądało. Byłam pewna, że lada moment pojawisz się na korytarzu, zdyszana i oszołomiona.

Jednak kiedy drzwi się otworzyły, to wcale nie byłaś Ty. Stała tam ciocia Kim z twarzą upiora. Jej zachowanie wystarczyło, żeby postawić mnie na nogi. Ciocia Kim była zazwyczaj niewzruszona jak granitowa płyta. Nawet wtedy właściwie nie płakała. Była po prostu blada, miała na sobie krzywo zapięty płaszcz. Drgnęła na mój widok. Potem podeszła do recepcjonistki. Rozmawiały szeptem, zerkając w moją stronę. Zaniepokoiła mnie zmiana na twarzy recepcjonistki; to, jak jej typowe, znużone spojrzenie ustąpiło miejsca współczuciu.

W Twojej rodzinie były trzy siostry. Ty byłaś najstarsza i najlepsza. Kim i Janine, bliźniaczki, przypominały dwie krople wody. Podkreślały to jeszcze, ubierając się na szaro, nosząc krótko przycięte włosy, wybierając cienkie szaliki i brązowe szminki. Każda z nich w pojedynkę wydawała się konwencjonalna i nieciekawa. Ale kiedy widziałam je razem, robiły zupełnie niesamowite wrażenie, jak chodzące lustrzane odbicia, jak złudzenie optyczne. Te same gesty, te same ukradkowe spojrzenia, ten sam ton głosu. Kiedy we trzy znajdowałyście się w jednym miejscu, to wrażenie stawało się jeszcze silniejsze. Wszystkie miałyście podobną budowę ciała – szczupłe, drobne, lekkie jak ptak. Ale ty byłaś odrobinę wyższa, odrobinę odważniejsza. Twój śmiech rozbrzmiewał ciut głośniejsz niż ich. Tyle rzeczy was jednak łączyło: sposób, w jaki kołysałyście biodrami, jak przekrzywiałaście głowy, i ten szorstki gardłowy pomruk. Echa, podobieństwa, tajemnice.

Jednak gdy chodziło o temperament, byłaś niepowtarzalna. Wiecznie napięta, wydychałaś emocje wraz z powietrzem. Piękny zachód słońca potrafił sprawić, że nagle przystawałaś w miejscu. Przyjacielska dyskusja podczas uroczystego obiadu mogła doprowadzić cię do szału, w którym waliłaś pięściami w stół. Kim i Janine brakowało tej iskry. One były spokojne, stoickie – kobiety, które postrzegały wyrażanie emocji jako oznakę słabości.

Teraz ciocia Kim wzięła mnie za ramię i wyprowadziła na zewnątrz. Jej usta przypominały cienką linię.

W samochodzie czekała ciocia Janine. Na jej widok w mojej głowie odezwały się dzwonki alarmowe. Obie bliźniaczki poważnie podchodziły do wykonywanych przez siebie zawodów. Nigdy nie brały urlopów zdrowotnych. Nie jeździły na długie wakacje. Ich widok o tak wczesnej porze, z dała od biurek, choć wciąż w ubraniach, które wkładały do pracy, z zaciśniętymi ustami i drżącymi dłońmi... Nie rozumiałam tego. Wcale mi się to nie podobało.

Ciocia Janine niczego mi nie wyjaśniła. Poleciała, żebym usiadła z tyłu.

Prowadziła ciocia Kim. Jej dłonie zaciskały się na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie. Wciąż miałam nadzieję, że to wszystko w jakiś sposób wiąże się z moimi zębami. Przednią szybę zdobiły sploty szronu. Pomiedzy budynkami dojrzałam senny blask rzeki Potomac. Zadzwoiła komórka cioci Kim. Nie odebrała jej w trakcie jazdy; to nie było w jej stylu. Zjechała najpierw na pobocze. Rozpoznałam głos wujka, choć słów nie dało się zrozumieć.

– O tak – oznajmiła ciocia Kim wesołym tonem. – Jest tutaj. Mhm.

Przewróciłam oczami. Nie miałam wątpliwości, że rozmawiają o mnie.

– Który? – zapytała. – Ten w Bethesda? Tak, rozumiem.

Utkwiłam spojrzenie w rzece.

– Zaraz będziemy – stwierdziła ciocia Kim, ciągle tym kruchym, pogodnym tonem.

Nie mówiąc mi ani słowa, zawróciła samochód. Wymieniły z ciocią Janine krótkie spojrzenia, porozumiewając się za pomocą właściwej bliźniętom telepatii. Jedna z nich zmrużyła oczy, druga kiwnęła głową, a potem oderwały od siebie wzrok.

Znowu przejechałyśmy obok mojej szkoły. W ciągu kilku ostatnich minut ten kamienny

budynek jakoś dziwnie się skurczył. Przez samochodowe okno wydawał się zaskakująco odległy, jakby oglądany przez odwrotnie trzymany teleskop. Ruch był duży tego ranka. W D.C. ruch zawsze jest spory. Jechałyśmy w ciszy, która w chłodnym powietrzu wydawała się jeszcze bardziej natarczywa. Kilka razy widziałam, jak ciocia Kim odruchowo sięga do radia. Niepisaną zasadą było, że z głośników w jej aucie musi zawsze ryczeć radio NPR. Teraz jednak jej palce za każdym razem cofały się niczym poparzone.

Jej komórka znowu się odezwała. Ciocia raz jeszcze zjechała na bok, jadąca za nami taksówka zrewanżowała się jazgotem klaksonu. Na linii pojawił się głos mojego wujka, choć tak samo jak wcześniej nie byłam w stanie zrozumieć ani słowa.

– Prawie jesteśmy – powiedziała ciocia Kim.

A potem jej twarz zrobiła się pusta. Wymazał się cały jej wyraz, jakby ktoś przesunął mokrą ścierką po szkolnej tablicy. Pozostała para oczu, nos, rozchylone usta. W tej chwili była do Ciebie bardzo podobna.

Mój wujek mówił, stłumione słowa płynęły strumieniem.

– Rozumiem – powiedziała.

Raz jeszcze zawróciła. Widziałam, jak moja szkoła się zbliża. Najwyraźniej miałyśmy spędzić cały dzień, przejeżdżając przed nią w tę i we w tę. Odchrząknęłam, ale ciocia Kim nawet na mnie nie spojrzała. Obok niej ciocia Janine zacisnęła dłoń i przyłożyła ją do ust. Dalej nie zamieniły ani słowa. Nie musiały.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

To ciocia Janine mi odpowiedziała.

– Zabieramy cię do domu – stwierdziła.

Nie mam żadnych wspomnień z kilku następnych dni. Ktoś inny włożył czarne ubranie i poszedł na pogrzeb. Ktoś inny przyjmował afektowane uściski. Wszystko, co mam, to krótkie, wodniste przebłyski. Lodowate powietrze wypełniające dom. Czerwone, spuchnięte oczy ojca. Ceremonia czuwania przypomina rozmyty obraz z udziałem miękkich dywanów i przygaszonych świateł. Wydawało się, że każdy dorosły człowiek w znanym wszechświecie odczuwa potrzebę, żeby podejść do mnie i powiedzieć coś o tym, że Bóg ma plan dla każdego z nas. *Przykro mi z powodu twojej straty*, mówili, tak jakby wszyscy otrzymali ten sam scenariusz.

Pewna scena szczególnie zapadła mi w pamięć: jedna z moich małych kuzynek ciągnęła za rękaw ciocię Kim. Stałam niedaleko, czując się niezręcznie w mojej żalobnej sukience. Ta moja kuzyneczka zapytała o Ciebie czyściutkim głosikiem. Chciała wiedzieć, czy wkrótce przyjdiesz, czy usiądziesz obok niej.

Miałam czternaście lat. Z przodu pomieszczenia, na wpół ukryta za masą kwiatów, spoczywała Twoja lśniąca trumna. Wiedziałam, co się w niej znajduje. Znałam odpowiedź na pytanie mojej małej kuzynki. Ale nie mogłam nic poradzić na to, że zamarłam i z sercem w gardle czekałam na odpowiedź cioci Kim.

– Nie bądź dziecinna – odparła ciocia. – Weź sobie ciasteczko i siedź cicho.

Mrugnęłam. Minął jakiś czas. Stałam na zewnątrz, na chodniku, wystawiona na podmuchy wiatru. Przez pewien czas coś takiego przydarzało mi się dość często. Mrugnij, a minie godzina. Mrugnij raz jeszcze, a upłynie całe popołudnie. Wydawało się, że ktoś kroi nożycami mój wewnętrzny kalendarz, usuwa czas.

Kilka nocy później doszłam do siebie. Siedziałam w sypialni. Ojciec był na dole; on też zapadł w coś w rodzaju chodzącej śpiączki, przy życiu utrzymywały go mecze futbolu w telewizji oraz liczne kubki czarnej kawy. Na pewno ucieszyłoby go moje towarzystwo, ale unikałam go. Unikałam wszystkich. Ciocia Kim zachęcała, żebym dzwoniła o każdej porze. Ciocia Janine zupełnie niezależnie powiedziała dokładnie to samo, dokładnie tym samym tonem.

Jedna z moich koleżanek z klasy podrzuciła mi prace szkolne z całego tygodnia, które ułożyły się w stertę na moim biurku i czekały na moją uwagę. Istniały tysiące rzeczy, które mogłam robić. Ale świat został wywrócony do góry nogami i nikt inny nie wydawał się tego dostrzegać. Zadziwiające było, że moja szkoła dalej działała, że miałam się tam pojawić już w poniedziałek. Nie chciało się wierzyć, że samochody wciąż toczą się ulicą. Zwinięta w kłębek na materacu ćwiczyłam wypowiedzianie słowa „martwy”. Martwy sezon. Martwy przepis. Martwa natura. Teraz, kiedy o tym myślałam, to słowo było wszędzie. Padało w codziennych rozmowach, w miejscach, gdzie wcale nie miało prawa się znaleźć, niczym ostrzeżenie, jak coś, czemu przez własną głupotę do tej pory nie poświęcałam należytej uwagi.

Później przypomniałam sobie Biuro Martwych Listów. Kilka tygodni wcześniej – albo, jak mogło się zdawać, całe dziesięciolecie wcześniej – moja klasa wybrała się na wycieczkę do lokalnego urzędu pocztowego. Wyjście było nudne w ten specyficzny sposób, w jaki zwykle nudne są przymusowe wizyty w instytucjach rządowych. Pokoje pełne szafek z aktami. Spocony przewodnik w niebieskim mundurze, uzbrojony w zestaw notatek na małych karteczkach oraz całą litanię żalonych dowcipów. Długie korytarze. Żadnej przerwy na przekąskę.

Biuro Martwych Listów okazało się miejscem, gdzie trafia poczta, której nie da się doręczyć. Nasz przewodnik oprowadził nas po nim z dumą. Powiedział, że jest ono niezwykle. Olbrzymie, eleganckie Biuro Martwych Listów z Nowego Jorku pojawiło się nawet raz w bożonarodzeniowym filmie, jako że wszystkie listy prezentów zaadresowane do *Świętego Mikołaja na biegunie północnym* zbierały się tam podczas świąt, tworząc stertę podobną do śnieżnej wydmy.

Byłam sama w sypialni, pospieszyłam do biurka. Chwyciłam długopis – z pękiem piór w miejscu gumki, o ile dobrze pamiętam – oraz plik papierów. Potem zapisałam pięć kartek, z przodu i z tyłu, nie przerywając. *Naszyjnik, który ciocia Kim założyła na pogrzeb, rozbawiłby Cię – nie ma za grosz gustu – ciocia Janine miała buty na płaskiej podeszwie, z powodu haluksów – tak dziwnie było widzieć je tam bez Ciebie – dwie zamiast trzech – wszyscy rozmawiali i pili kawę, cała rodzina spacerowała i wymieniała się uściskami – ale bliźniaczki co chwila zatrzymywały się i rozglądały dookoła – zupełnie jakby czekały na Ciebie...* Byłam tylko na wpół przytomna. Moja dłoń poruszała się nad kartką, a słowa płynęły. *Na pogrzeb ubrali Cię w fatalną sukienkę – sądziłam, że powinnaś być w swoich dżinsach, ale ciocia Kim powiedziała: Nie Ma Mowy – włożyłam do trumny paczkę gum – nie wierzę w niebo, ale Ty na pewno tak – może gumy pomogą Ci odetkać uszy po drodze do góry...*

Wreszcie skończyłam. List był gotowy, wsadzony do koperty. Przekradłam się na dół. Poruszałam się cicho, żeby nie zbudzić ojca; znalazłam znaczek. Na kopercie napisałam tylko jedno słowo: *MAMA*. Później włożyłam płaszcz i pobiegłam ulicą do najbliższej skrzynki pocztowej.

Koperty czekają na Ciebie w każdym stanie, który kiedykolwiek odwiedziłam. Piszę do Ciebie już od blisko dwudziestu lat. Może to dziwne, że wciąż mam tyle do powiedzenia. Często łapię się na tym, że odwracam się w Twoją stronę, odruchowo, z pytaniem na ustach; wciąż wdaję się z Tobą w wymaginowane sprzeczki. Magazynuję wspomnienia, które mi pozostały – te, które nie zginęły w międzyczasie – i przesiewam je między palcami, oceniam je. To jak się śmiałaś, rechocząc głośno. Miodowo-lawendowy zapach Twoich włosów. Twój zwyczaj nucenia podczas długich przejażdżek. Twoje zamięłowanie do lnianych spódnic. Wciąż doświadczam tych ataków bezdennej pustki. Nawet teraz radzę sobie z nimi tylko w jeden sposób: siadając do biurka na kilka minut i pisząc kolejne słowa, z głową zwieszoną nisko nad kartką papieru.

Moje ciągłe podróże oczywiście wszystko utrudniają. Ze względu na pracę zjeżdżałam całą kulę ziemską. Fotograf przyrody z zasady nigdzie nie zatrzymuje się na długo. Zaraz po

studiach przyjęłam pracę polegającą na uwiecznianiu obrazów pustynnych zwierząt i całymi tygodniami włóczyłam się po Półwyspie Somalijskim. Cytując ojca: „złapałam podróźniczego bakcyła”. Od tamtej pory wędrowałam po górach i penetrowałam jaskinie. Przypiekałam się na czerwono w tropikach i spałam w prowizorycznych igloo. Postawiłam stopę na każdym z kontynentów. Pływałam w niemal każdym oceanie.

Kiedyś spędziłam wyczerpujący miesiąc w Kenii – wiecznie zdyszana z powodu wysokości, zawsze zgrzana aż do szpiku kości. Raz przez tydzień fotografowałam ślepe delfiny w rzece Indus (wieki życia w mętnej wodzie uczyniły ich oczy zbędnymi). Któregoś dnia poleciałam do Australii na trzytygodniowe fotograficzne szaleństwo, gdzie z każdego możliwego kąta robiłam zdjęcia baobabów, ich niewyobrażalnych sylwetek, grubych i woskowatych niby świece.

W wielu spośród tych miejsc nie istniało żadne Biuro Martwych Listów. Czasami nie było tam w ogóle funkcjonującego systemu pocztowego. Nie mogłam zwrócić się do przewodnika, który zabrał mnie w rozmigotany nurt Indusu, podać mu koperty – zaadresowanej po prostu *MAMA* – i powiedzieć: „Niech się pan tym dla mnie zajmie, dobrze?”. Nie mogłam też wrzucić tych listów do śmietnika czy rynsztoka. Nigdy bym im tego nie zrobiła.

Zamiast tego chowałam je pod głazami i korzeniami drzew. Wciskałam je w szczeliny ceglanych ścian. Przypinałam do słupów telefonicznych obok plakatów z zaginionymi psami i ofertami lekcji muzyki. Wieszałam je na żyłkach do suszenia bielizny u ludzi kompletnie mi nieznanych. Robiłam z nich latawce, pozwalając, by wznosiły się wysoko podczas wietrznych dni, a potem puszczałam linkę i patrzyłam, jak podmuchy porywają je gdzieś daleko.

Znienawidziłabyś Wyspy Farallońskie. Mogę to stwierdzić z całym przekonaniem. Ze wszystkich miejsc, które odwiedziłam, to jest najdziksze, najbardziej odizolowane. Nie sposób uciec przed wyciem wiatru i łomotem fal. Mick – ten sympatyczny – zapewnił mnie, że przyzwyczaję się do hałasu, ale wydaje mi się, że prędeziej oszaleję. Bez przerwy jest mi chłodno. Chodzę ubrana w tyle warstw odzieży, że muszę wyglądać jak śnieżny bałwan. Przyjechałam przed tygodniem, ale czas dziwacznie tutaj płynie. Łatwo jest się zapomnieć, stracić rachubę dni. Już teraz mam wrażenie, że jestem na tych wyspach od zawsze.

W innych miejscach, do których podróżowałam, byłam w stanie zrobić wszystkie potrzebne zdjęcia w przeciągu miesiąca albo coś koło tego. Ale ten archipelag jest inny. Wysepki to centralne gwiazdy w galaktyce morskiego życia. Ptaki i foki stanowią wewnętrzne konstelacje – permanentnych mieszkańców, którzy jedzą, spółkują i wychowują młode na tym grubo ciosanym granicie. Są też żarłaczki ludojady, czasowi goście wyrwani ze swych tajemniczych orbit, by pokręcić się nieopodal brzegu. Wieloryby, niczym ciśnięte z daleka komety, zaglądają w te okolice w poszukiwaniu kryła. Są tu maskonury złotoczube. Wydry morskie. Żebroplawy. Zgodnie z planem mam spędzić na wyspach pełny rok. Będę potrzebować całego tego czasu, żeby faktycznie uchwycić ten leżący na krańcu świata zakątek.

O każdej porze dnia mogę obserwować foki wylegające się na brzegu. Mogę patrzeć na ptaki przemykające po niebie. Mogę spoglądać na zwał chmur, który majaczy na zachodzie niczym formujący się na moich oczach nowy kontynent. Okazjonalny przelot samolotu – połyskującego srebrzyście w oddali emisariusza z cywilizowanego świata – wzbudza osobliwy dysonans.

Jest wreszcie i chata. Kuchenny zlew zepsuł się pierwszej nocy mojego pobytu i, ku mojemu zdumieniu, nagle znalazłam się na kolanach, pod blatem, z kluczem francuskim w dłoni, wypełniając kolejne polecenia, podczas gdy Mick świecił mi po oczach latarką. Toalety nie można za często splukiwać. Ekran telewizora śnieży do tego stopnia, że w zasadzie pełni rolę wielkiego, nieporęcznego radia, oferuje bowiem tylko dźwięk. Sama chata należy do tego rodzaju budowli, w których każda deska trzeszczy głośno, ilekroć ktoś wędruje po schodach. Jedzenie, sprzęt fotograficzny oraz ubrania musimy trzymać w plastikowych pojemnikach, żeby uchronić je przed gryzoniami, wszami i wilgocią.

Miniony tydzień przypominał trochę podróż do przeszłości. Na wyspach nie ma stacji przekąźnikowej; nie ma Internetu ani telefonii naziemnej. Jest tylko radiotelefon oznaczony wyraźnym: *Do użycia tylko w nagłych przypadkach. Mick, to dotyczy ciebie!!!* Żeby porozumieć się z kimś na stałym lądzie, muszę napisać list. Muszę napisać go odręcznie, ponieważ komputer lubi płać figle, a drukarka, stara i poobijana, wiecznie cierpi na brak tuszu, zacięcia papieru oraz jakiś skomplikowany, spowodowany wilgocią problem z obwodami elektrycznymi. Kiedy już mój list zostanie zaadresowany i przykleję na nim znaczek, będę musiała zaczekać na prom. Wiele dni minie, zanim ten przyplynie, a przez ten czas wszystko, co napisałam, stanie się nieaktualne. Kiedy Kapitan Joe wreszcie się zjawi, zabierze moją kopertę na kontynent i wsadzi ją do skrzynki pocztowej. Dobrze ponad miesiąc może zająć wysłanie wiadomości i uzyskanie odpowiedzi.

Podczas pobytu na Wyspach Farallońskich będę musiała poprzestać na listach do Ciebie. Nie mogę ich z czystym sumieniem przekazać Kapitanowi Joemu i prosić go, by zawiózł je przez ocean, a potem nadał, poświęcając na to niemałe zasoby czasu i energii, tylko po to, by do nikogo nie dotarły. Nie mogę ich nawet zakopać ani spalić; tutaj nie niszczymy środowiska poprzez

grzebanie rzeczy w ziemi, a ogniska byłyby stratą cennego drewna i papieru. Będę musiała chować listy do Ciebie pod materacem, jak pornografię.

Większość odwiedzających decyduje się natychmiast opuścić to miejsce. Prom przypląwa co dwa tygodnie – zależnie od pogody – i nowo przybyli zazwyczaj zwiewają stąd jak szczury z tonącego okrętu, gdy tylko łódź znowu się pokaże. W tej chwili jest tutaj sześcioro stałych rezydentów, nie licząc mnie. Wszyscy – z kobietą o imieniu Lucy na czele – założyli się, jak długo tutaj wytrzymam. Podśluchałam, jak chichotali, rozmawiając na ten temat. Nikt nie wierzy, że przetrwam tutaj miesiąc, o roku nie wspominając.

Mamy sierpień, czas wiatru, chmur i żarłaczy ludojadów. Fragment oceanu wokół Wysp Farallońskich nazywany jest Czerwonym Trójkątem. Każdego roku dochodzi tu do większej liczby ataków ze strony rekinów niż we wszystkich innych miejscach na ziemi razem wziętych. Wczoraj po raz pierwszy wysłałam na zewnątrz z aparatem. Zabrałam Złoczyńcę, moją najlżejszą i najbardziej poręczną zabawkę. Miałam nadzieję, że uda mi się schwytać jakiegoś rekina w kadr.

Kiedy spacerowałam, krawędź klifu nagle przemieściła się i odłamała, uciekając mi spod stóp. Mówiono mi, żebym wędrując po wyspach, zachowywała ostrożność. Powtarzano mi to raz za razem. Tutejszy granit miał osiemdziesiąt dziewięć milionów lat i był przegniły – o ile skała może w ogóle gnić. Te wyspy są zdradziecko kruche, zbudowane z nietrwałych kamieni. Miejscami skały są puste w środku, fragmenty rozpadają się na kawałki. Wcześniej minęłam strumyk: brudną, żółtawą strużkę. Wyglądała na trującą i taka była. Istniał cały system betonowych bloków, lejków i węzłów filtracyjnych, których zadaniem było zbierać i oczyszczać deszczówkę spadającą na archipelag. Z tego strumyka napiłby się tylko szalenciec.

Poza tym wszędzie były myszy. Farallon Południowo-Wschodni to najgęściej zamieszkane przez gryzonie miejsce na świecie. Te myszy to gatunek inwazyjny, przywieziony tu na statkach dziesiątki lat temu. Od tamtej pory radzą sobie świetnie. Nie ma tu naturalnych drapieżników, które by na nie polowały. Morskie ptaki je ignorują. Foki się nimi nie interesują. Rekiny nie mogą się dostatecznie zbliżyć. Zanim przybyłam na wyspy, poznałam ich szacunkową liczbę, ale jej prawdziwe znaczenie dotarło do mnie, dopiero kiedy stanęłam na szarym stoku i wszędzie widziałam ruch. Kątem oka dostrzegałam przemykające, małe kształty. Myszy barwy skał, zbyt małe i szybkie, żeby je zobaczyć. Ogólne wrażenie przywodziło na myśl żywy, poruszający się kamień.

Przystanęłam, żeby zrobić zdjęcie. Korzystałam w ujęciach z perspektywy holenderskiej – przekrzywiałam horyzont, dodawałam pochyłości tam, gdzie w rzeczywistości ich brakowało. Wyspy same w sobie były wystarczająco złowieszcze, ale podkreślenie tego wrażenia nie mogło im zaszkodzić. Chciałam, żeby moje zdjęcia oddały pełny efekt: pobrużdżone skały, czarną wodę, zapach soli, sugestię obecności rekinów. Pamiętałam, jak pewien profesor na uniwersytecie po raz pierwszy tłumaczył mi zastosowanie perspektywy holenderskiej. Używana do osiągnięcia dramatyzmu. Przekrzywienie, które wyprowadza odbiorcę z równowagi. Może przekazywać uczucie dezorientacji, niepokoju, odurzenia, a nawet szaleństwa.

Przyklękłam, próbując właściwie uchwycić Siodło. To był wąski skrawek wyspy spory kawałek od brzegu, wycelowany w niebo niczym broń. Nagle poczułam ruch pod stopą. Straciłam równowagę, wyrzuciłam ręce, starając się czegoś chwycić, i przewróciłam kamień. To był spory głaz. Zaczęłam spadać, a on spadał wraz ze mną.

Ludzie mówią, że w chwilach skrajnego stresu czas zwalnia. Poczytałam nieco na ten temat i tym, co tak naprawdę ma wówczas miejsce, jest niewiarygodny wzrost chłonności naszej pamięci. Zazwyczaj umysł zachowuje obrazy i zdarzenia, które są istotne. Pamiętamy duże rzeczy, zapominamy o drobiazgach. Jednak w szczególnie stresujących chwilach umysł chwytą się wszystkiego. Czas płynie swoim zwyczajnym biegiem, ale później, kiedy spoglądamy wstecz,

mamy wrażenie fotograficznej pamięci. We wspomnieniach, wydaje nam się, że sekundowa wskazówka zwolniła i dzięki temu byliśmy w stanie widzieć otaczający nas świat z nierzeczywistą drobiazgowością.

Kamień przewrócił się. Ujrzałam za nim brązowy wodospad. Błoto, pomyślałam. Ale nie – to były myszy. Całe dziesiątki, przewalające się jedna nad drugą, piszczące. Ich maleńkie łapki szukały oparcia, wąsiki się trzęsły. Po prostu plaga gryzoni.

Poczułam uderzenie w łokieć. To rozpoczął się proces mojego lądowania. Impet uderzenia wydusił mi powietrze z płuc. Pojawiło się uczucie rozrywania. Ciało na moim tułowiu było rozdzierane. Zobaczyłam ostry kamień, zbryzgany krwią. Miałam rozcięty bok. Nie byłam w stanie stwierdzić, jak głęboka jest ta rana. Oddychanie sprawiało mi ból. Głaz wciąż toczył się w moim kierunku. Uderzył mnie w udo.

Potem nadeszły myszy, spadły na mnie niczym deszcz. Ich zimne łapki dotykały mojego brzucha. Pazurki trafiły mnie w usta, jakiś nos dźgnął mnie w oko. Ogony wiły się na mojej skórze. Było ich coraz więcej. Dziesiątki, może setki. Wyobrażałam sobie, że otworzyłam wrota prowadzące do sieci ich tuneli i uwolniłam lawinę. Nie mogłam zrobić nic, tylko poddać się atakowi – myszy drapały moją skórę, pokrywały swoim brudem, zostawiały odchody w moich włosach.

W końcu zniknęły. Nie ruszałam się jeszcze przez chwilę, ciasno zwinięta, z głową osłanianą rękami. Potem otworzyłam oczy.

Przedemną malował się potworny widok. Mój aparat leżał na ziemi. Powgniatany i rozbity. Wszędzie wałało się potłuczone szkło. Krzyknęłam – ten widok bolał bardziej niż rana na boku. Wiedziałam, że Złoczyńcy nie da się już naprawić.

Mick założył mi szwy w kuchni. Był wieczór, niebo ciemniało, wyl wiatr. Pozostali siedzieli wokół nas. Przygotowywali obiad, gawędzili na temat minionego dnia. Sześć osób, jakby odrobinę jeszcze nieostrych. Wydawali się nie zwracać uwagi na moje nieszczęście. Straciłam jeden z ukochanych aparatów. W miejscu, gdzie uderzył mnie głaz, udo zrobiło się purpurowe. Wszędzie miałam skaleczenia i siniaki. Mick zszywał mi skórę na tułowiu. Ale biolodzy wydawali się akceptować to jako coś zupełnie zwyczajnego. Nie wyrażali współczucia. Po prostu podali Mickowi apteczkę i zajęli się swoimi sprawami, tak jakby krew i ataki myszy były elementami szarej codzienności.

Dostałam zastrzyk ze znieczuleniem. Mimo wszystko nie patrzyłam, jak Mick wbija mi igłę w ciało. Widać było, że nie robi tego po raz pierwszy. Apteczka na wyspach była wyposażona równie dobrze, co oddział SOR-u. Ze skaleczeniami, skręceniami i zwichnięciami można było poradzić sobie tutaj, na miejscu. Z łatwością, bez wprowadzania zbędnego zamętu. Gdyby trafiła się poważniejsza kontuzja – złamana kość, uraz głowy – potrzebna byłaby pomoc z zewnątrz. Kapitan Joe. Helikopter. Nikt nie chciał takich rzeczy. Były kosztowne, czasochłonne. Moja rana nie okazała się warta takiego zachodu.

Mick wziął do ręki maleńkie nożyczki. Sprawnie przeciął nić.

– Powinno szybko się zagoić – powiedział.

– A co jeśli wdrze się zakażenie i umrę?

Uśmiechnął się. Na nosie miał okulary do czytania; nie pasowały do jego twardych rysów i burzy rozczochranych włosów.

– Zostanie blizna – odparł. – Ale tutaj wszyscy je mamy.

– Naprawdę? – zapytałam.

– Kilka lat temu rozciąłem sobie udo. Na całej długości, od kolana aż po biodro. A Lucy niemal straciła ucho, kiedy zleciała z Latarnianego Wzgórza. Galen i Forest mają więcej szram, niż da się zliczyć. Powinnaś zobaczyć ich nago. – Gwizdnął przez zęby. – Wszędzie blizny.

Wyglądają jak mapy drogowe.

Spojrzałam w dół i uzmysłowiłam sobie, że drżą mi dłonie.

– Dlaczego wszyscy tu mieszkacie? – zapytałam. – Po cholere przyjechaliście w takie miejsce?

Zapadło milczenie, pojawiło się napięcie. Lucy przystanęła w drodze do kuchni. Siedzący przy stole Galen zamarł. Ale nie odpuściłam.

– Pytam na serio – powiedziałam. – Dlaczego tu przyjechaliście? Naprawdę chcę wiedzieć.

Milczenie jakby jeszcze się wzmogło. Galen podniósł się, nienaturalnie wysoki, jego głowa niemal dotykała sufitu. Nikt na niego nie patrzył. Ani na mnie.

Wyszedł z pokoju. Mick sięgnął do apteczki i wyciągnął z niej gazowy opatrunek. Umocował go na moim boku, a potem puścił do mnie oko.

Następnego dnia wyszłam na zewnątrz i wykopałam grób dla mojego aparatu. W starej szopie znalazłam łopatę. Wbiłam się w granit, kamień pękał pod kolejnymi uderzeniami. Wsadziłam Złoczyńcę do dołka. Okropnie było na niego patrzeć: na pęknięty wyświetlacz, zniszczony obiektyw, złamaną tarczę zmiany trybu, strzaskaną obudowę. Przykryłam biedactwo ziemią. Wiedziałam, że stawianie nagrobka nie ma sensu. Nie przetrwałby, nie tutaj.

Mysz przemknęła obok mnie, kierując się w dół zbocza. Natychmiast uniosłam łopatę i wzięłam zamach. Chciałam zgnieść tego zwierzaka na miazgę. Celowałam w pokryty futerkiem grzbiet, ale mysz była dla mnie zbyt szybka. Uderzyłam tylko w granit, a moje ramiona przeszły bolesny wstrząs.

Wyspy Farallońskie mają swoją własną historię o duchach. Po raz pierwszy usłyszałam ją dzisiaj, kiedy Mick wyciągnął mnie na spacer. Nie chciałam iść; w nodze miałam skurcze, głęboki ból, który pozostał po moim upadku. Rana na boku jeszcze się nie zagoiła i od czasu do czasu odzywała się nieprzyjemnym rwaniem. Przesadziłam wtedy, wędrując po śliskim, kamienistym terenie, którego topografii jeszcze nie znałam. Ale Mickowi nie mogłam odmówić. W czasie spędzonych tutaj tygodni stał się moim ulubieńcem.

Wyobrażam już sobie ten Twój kpiący, matczy ny uśmiezek... i nie powiem, żebyś się myliła. Mick nie jest zbyt przystojny. Ma toporną, grubo ciosaną sylwetkę oraz kwadratową szczękę i wydaje się, jakby stworzono go w zbyt dużej skali. W czasie mówienia gestykuje, jego krzepkie ramiona zamiatają powietrze. Jest życzliwy. Obecna jest w nim również pewna naturalna, pełna szczodrości słodycz – cecha, której nie odnalazłam w nikim innym tutaj... i którą sama chciałabym posiadać.

Dzisiaj zaprowadził mnie do stróżówki. Ta budowla intrygowała mnie od momentu przyjazdu. Stoi może ze trzydzieści metrów od chaty i z zewnątrz oba budynki są do siebie podobne jak para bliźniąt. Charakteryzuje je ta sama geometryczna symetria; ponadto oba postawiono z myślą o tym, żeby służyły przez lata: miały być wytrzymałe, a nie piękne. Mają szare, ponure ściany, mętne okna i czarne dachy – wszystkie kolory dawno zginęły pod naporem wiatru i deszczu. Mick i ja kilkakrotnie okrążyliśmy budynek. Aż do dzisiaj nie rozumiałam, dlaczego jest niezamieszka ny. Pozbawione sensu wydawało się upychanie naszej siódemki w jednej małej chacie, kiedy kolejna stała nieopodal, zupełnie pusta.

Zaczęłam rozumieć, kiedy przyjrzałam się stróżówce z bliska. Jej ściany się poprzeczyły, jak żołnierze, którzy nie widzą już powodu, żeby dalej stać na baczność. Wszystkie okna były popękane. Drzwi wisiały krzywo na zawiasach. Ganek był przegniły. Wyglądało na to, że tylko nietoperze tam mieszkają. Ich odchody pokrywały ściany i parapety, wypełniając powietrze smrodem amoniaku. Przyłapałam się na tym, że zachowuję bezpieczny dystans, jakby cała konstrukcja mogła się lada moment zawalić. Mick osłonił oczy dłonią, spoglądając na obskurne ściany z czymś na kształt czułości. Wytłumaczył mi, że stróżówka była reliktem z innej epoki; zbudowano ją ponad sto lat temu. Naszą chatę wyposażono we współczesne wygody jak ogrzewanie czy elektryczność, ale stróżówka nigdy nie doczekała się podobnych luksusów. Trwała nietknięta i ignorowana przez dzisiejszą ludność jak ruiny rozproszone po Rzymie. Umierające miejsce na Wyspach Umarłych.

Popołudnie mijało, a ja i Mick wciąż wędrowaliśmy. Trudno uwierzyć, że można tak długo włóczyć się po tak małej wyspie, ale spacerowaliśmy godzinami. Mick przeprowadził mnie przez Półwysep Wielorybiego Nozdra oraz przez Wzgórze Kormoranów. Minęliśmy lądowisko dla helikopterów: betonową płytę, która na płaskowyżu wydawała się nie na miejscu. (Jego obecność zawsze mnie irytowała. Tylko wyjątkowo pilna potrzeba mogłaby sprowadzić tutaj śmigłowiec. Kryzysowa sytuacja medyczna. Sprawa życia lub śmierci. Lądowisko helikopterów nieustannie przypominało o czyhających na nas niebezpieczeństwach). Minęliśmy z Mickiem Wąwóz Mew, gdzie ptaki unosiły się wesoło na falach. Zdołał je dla mnie zidentyfikować: nurniczka, ostrygojada, maskonura. Popołudnie było jasne i bezchmurne, niebo miało niemal boleśnie jaskrawy odcień błękitu. Ocean był tak płaski, że przy pewnych kątach traciłam wyczucie głębi. Wydawało się, że woda została upięta jak koc zwisający ze sznura na bieliznę, jak pionowo opadająca płachta.

Wciąż jeszcze nie do końca rozumiem układ wysp. Na ścianie salonu wisi mapa i wiele

razy ją analizowałam – patrząc na nią, odnoszę wrażenie, że kawał granitu został spuszczonej z wielkiej wysokości, rozbił się przy upadku i rozsiał wszędzie dookoła drobne wysepki. Na mapie wypisane są najdziwniejsze nazwy: Wysypisko, Cuchnący Łuk, Cesarska Wanna. Niektóre z tych miejsc noszą bardziej prozaiczne miana, odnoszące się do kształtu: Wieżowy Cypel, Niski Łuk, Cyc. Inne nazwane są od zwierząt, które można tam napotkać. Zatoka Lwów Morskich. Niecka Małż. Jaskinia Nurzyków. Patrzyłam na mapę wystarczająco wiele razy, żeby zapamiętać je wszystkie, ale kiedy już jestem na zewnątrz, nigdy nie mogę się zorientować, co gdzie leży. Prawdę powiedziawszy, jestem prawie pewna, że te wyspy wcale nie są przytwierdzone do dna, ale przemieszczają się, ilekroć nie patrzę, zajmując co rusz zupełnie nowe pozycje.

W końcu wdrapaliśmy się z Mickiem na Latarniane Wzgórze. Byłam nieufna. To najwyższy punkt na wyspie. Wspinaczka zajęła dłużej, niż się spodziewałam. Mick na wszelki wypadek szedł tuż za mną. Wkrótce zaczęłam się pocić pod tymi wszystkimi warstwami ubrania; zdjęłam kurtkę i zawiązałam wokół pasa. Ziemia pod moimi stopami gwałtownie opadała. Zobaczyłam Lucy i Foresta zmierzających wspólnie do chaty, maleńkie figurki, papierowe laleczki. W końcu, zasapana, dotarłam do schodów wydrążonych w skale.

Wchodząc do latarni, zmarszczyłam nos. Ściany były tak usmarowane guanem, że przypominały obraz Jacksona Pollocka. Porosty i mech gromadziły się w kątach. Jednak widok, jaki się przede mną rysował, był niesamowity. Rozciągał się na wiele kilometrów w każdym kierunku – nie byłam w stanie dostrzec Kalifornii, ale widziałam cały archipelag. Po raz pierwszy mogłam się porządnie przyjrzeć temu, co leżało na północy. Olbrzymia dłoń wydawała się wystrzeliwać z dna oceanu – sierp granitowych iglic. Ochocho przygotowałam aparat. Mick coś mówił, ale nie słuchałam go. Wśród północnych wysepek prawa grawitacji wydawały się zaburzone. Światło sprawiało dziwaczne wrażenie, rzucało na fale kolaż cieni. Jedno skaliste wzniesienie obrysowane było złocistym światłem, podczas gdy inne pozostało czarne i puste jak nocne niebo. Był tam łuk z grzbietem stegozaura. Przez teleobiektyw ujrzałam kształty w wodzie. Tam, gdzie żaden statek nie odważyłby się wplłynąć, harcowały lwy morskie.

– ...najbardziej lubi twój pokój – mówił Mick. – Chyba naprawdę dobrze się tam czuje. Forest twierdzi, że za nic w świecie by się tam nie przespał.

– Aha – odparłam, regulując ostrość.

– Nie chcę cię straszyć. Po prostu wolę cię ostrzec. Oczywiście Forest nie widział jej osobiście. W przeciwieństwie do mnie.

– Mhm.

– Słuchasz mnie w ogóle, specjalistko od myszy?

Uśmiechnęłam się. Ten przydomek został mi przydzielony przez Lucy ze sporą dozą pogardy, tak jakby nieszczęśliwe spotkanie z charakterystycznymi gryzoniami odcisnęło na mnie dożywotnie piętno. Jednak kiedy Mick z niego korzystał, słowa nabierały innego brzmienia. Przypominały nasz prywatny dowcip.

Imiona mają swoją moc. Zawsze w to wierzyłam. Nigdy nie poznałam Anny, która nie byłaby uległa i łagodna. Karen to zazwyczaj ktoś rozsądny, godny zaufania... podczas gdy Shane oznacza kłopoty. A kobieta o imieniu Melissa jest zawsze odrobinę stuknięta.

Najwyraźniej zostałam tutaj skazana na los wariatki. Pozostali wciąż mówią na mnie Melissa. Nadal nie znalazłam odpowiedniego momentu, żeby ich wyprowadzić z błędu. Z początku wydawało się to nieuprzejme, a gdy minęło kilka dni, zaczęło mi się zdawać, że za długo zwlekałam. Teraz trudno by było przyznać, że od dwóch tygodni reaguję na imię, które do mnie nie należy. Mick zazwyczaj mówi na mnie „Mel”, co całkiem mi się podoba. Lucy tytułuje mnie „specjalistką od myszy”. Galen zwraca się do mnie „ty”. Forest nie mówi nic, a Andrew nazywa mnie Melissą, z wyraźnym sykiem, tak jak mógłby to słowo wypowiadać wąż.

Ciekawą zaletą wszystkich moich podróży jest możliwość przyjmowania w kontaktach z nowymi ludźmi nowych tożsamości. Coś podobnego miało miejsce za każdym razem, w każdym miejscu. Podczas pobytu w lesie deszczowym – zawsze mokra, zawsze zgrzana, chowając się w kryjówce całymi dniami, usiłując zrobić przyzwoite zdjęcie nieuchwytnym rajskim ptakom – udawałam osobę twardą i mało wymagającą. W czasie zdjęć na Arktyce – notorycznie przemarznięta, samotna, fotografując zorzę północną w czymś na kształt fantasmagorycznego odurzenia, traktując księżyc jak starego druha – udawałam pogodnego samotnika. Wyglądało na to, że na wyspach poszłam o krok dalej.

– Mówię o duchu – powiedział Mick. – Skup się. To ważne.

Potulnie zrobiłam, co kazał. Oparliśmy się o barierkę; wiatr szarpał mnie za rozpięty kołnierz i bawił się moimi włosami.

– Dawniej ludzie umierali na tych wyspach – oznajmił Mick. – Mnóstwo ludzi.

Głośno przełknęłam ślinę.

– Wiem. Wyspy Umarłych.

– Dawno temu to miejsce nie było takie jak teraz. To nie był rezerwat. Nie było tu biologów.

– To też wiem – odparłam. Bądź co bądź przed przyjazdem tutaj odrobiłam pracę domową.

– Wtedy wszyscy chcieli się przekonać, ile mogą tutaj zarobić – kontynuował Mick. – Handlarze futrami polowali na zwierzęta. Żeglarze tworzyli tu bazy wypadowe. Poszukiwacze złota kopali w ziemi. – Jego twarz się zachmurzyła. – Trwało to całe dziesięciolecie. Bywali tu piraci. Złodzieje jaj. Rosjanie. Nikt nie troszczył się o rekiny albo fok. Chcieli się tylko dorobić.

Próbowałam wyobrazić sobie tę scenę. Spoglądając z góry na trawiasty płaskowyż, wizualizowałam go sobie jako pełen ludzi. Trudno było zaakceptować ideę wysp opanowanych przez obcych. Nawet mnie, fotograf przyrody, której najbardziej niebezpieczną bronią jest aparat fotograficzny, niemal odmówiono tu wstępu. Obecnie wyspy znajdują się pod ścisłą ochroną. Rząd roztoczył nad tym miejscem opiekę. Łąd, morze, a przede wszystkim zwierzęta traktuje się jako cenne, liczebnie ograniczone surowce. Nie słyszy się tu o polowaniach. Śmiecenie jest nie do pomyślenia. Intruzi zostaliby wtrąceni do więzienia. Nawet statki wycieczkowe z Kalifornii, z których ogląda się wieloryby, muszą zachować znaczny dystans. Wyspy stanowią ekosystem, który pozostawiono samemu sobie – chroniony, niezmieniony, prymitywny.

Wiatr zerwał się i omiótł moją skórę. Zadrzałam, ale na Micku nie zrobiło to wrażenia.

– Nikt długo nie zagrzał tu miejsca – powiedział. – Wyspy były zbyt niebezpieczne.

Ludzie łamali tu kości, dostawali hipotermii, tonęli. Niektórych zjadły rekiny. Nikt tu nie mógł wytrzymać. – Pokręcił głową. – Jakaś grupa uciekała stąd, próbując ratować życie, a ktoś inny zaraz zjawiał się w ich miejsce. Rozbijano obóz. Polowano na zwierzęta. Ludzie zachowywali się jak idioci. Ciągle to samo. Wkrótce nadchodziły burze i ludzie zaczęli umierać. Po kilku miesiącach oni też stąd zwiewali.

W skrócie, pomyślałam pod wpływem naglej fali niezasłużonej dumy, wyspy pokonały ich wszystkich, jednego po drugim. Grabieżcze hordy zostały przepędzone na swoje rodzinne ziemie, zmykały gdzie pieprz rośnie. Podniosłam spojrzenie i popatrzyłam na horyzont. Stanowił wyraźną linię pomiędzy błękitem i głębokim odcieniem niebieskiego, jak zagięcie w kartce papieru.

Mick westchnął.

– Prędko doprowadzili do tego, że istnienie całej populacji nurzyków wisiało na włosku. Kotiki wybito niemal co do sztuki.

Poruszyłam się niespokojnie i szturchnął mnie lekko.

– Nie wierć się – powiedział. – Już kończę. To wszystko to tło. – Zamilkł na moment. –
Widzisz, ci ludzie zostawili coś po sobie.

Spojrzałam mu w oczy.

– Ciało – odparł Mick głosem o oktawę niższym niż wcześniej. – Szkielet kobiety.

Znaleziono ją w jaskini.

– W jaskini – powtórzyłam.

– Mogła być żoną jakiegoś pirata. Albo córką. A może aleuckim niewolnikiem. Nikt nigdy nie odkrył jej nazwiska. Nawet jej pochodzenie jest kwestią sporną. Mogła przeleżeć w tej jaskini rok, dekadę, nawet stulecie. – Mick dał mi kuksańca w zębra, niemal mnie przewrócił. – Zwłoki zabrano. Wyprawiono jej gdzieś porządny pogrzeb. Ale – uniósł do góry palec – jej duch wciąż jest tutaj, na Farallonie Południowo-Wschodnim.

– To zaczyna brzmieć jak historyjka, którą opowiada się przy ognisku – oznajmiłam powątpiewającym tonem.

Mick mnie zignorował.

– Wiele razy widziano ducha tej kobiety. Nocami spaceruje po chacie, ubrana w białą suknię. Słyszano jej kroki. Sprawia, że powietrze wydaje się chłodne w ciepłe wieczory. – Jego gesty stały się żywsze i natychmiast się cofnęłam. – Duch przesuwa sprzęty w pustych pokojach. Potrafi strącić talerz ze stołu albo przekrzywić obraz na ścianie. Szepcze ludziom do uszu, kiedy śpią. – Wziął głęboki oddech i dodał z tryumfem: – Sam ją widziałem.

– Żartujesz – odparłam.

Mick znieruchomiał, a ja patrzyłam na niego spod zmarszczonych brwi.

– Jednej nocy – powiedział – szedłem w stronę chaty. To chyba zdarzyło się zeszłej wiosny. – Znowu się zawałał. – To był długi dzień. Jedno focze szczenię zmarło, a matka potwornie lamentowała. Nie mogłem odpuścić. Miałem przeciążony mózg. Nie czułem się sobą. Wtedy spojrzałem w górę i zobaczyłem kogoś w twoim pokoju.

– W moim pokoju?

– Duch lubi twój pokój – odparł, posyłając mi psotny uśmiech. – Nie wspominałem o tym? To była chuda postać, bardzo blada. Stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Wtedy nie zwróciło to mojej uwagi. Ale kiedy wszedłem do chaty, okazało się, że nikogo tam nie ma. Nikogo tam nie było przez całe popołudnie.

Mimo woli poczułam dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

Jestem świadoma tego, że od początku swego istnienia fotografia była mocno powiązana z umarłymi. A może raczej z nieumarłymi. Często mówi się, że duchy ujawniają się na kliszy – niewidoczne dla ludzkiego oka, objawiają się dopiero później, w ciemni. Sama widziałam niektóre z tych ujęć. Ulotne, blade kształty. Sylwetki, których nie można wyjaśnić otwarciem przesłony czy ekspozycją. Rozmyte postaci w kącie pustego pokoju.

– Wierzę ci – powiedziałam. – Wierzę w duchy.

Mick posłał mi spojrzenie, którego nie byłam w stanie zinterpretować. Podniosłam aparat i wycelowałam go w dół zbocza, w kierunku chaty. Potem zrobiłam zdjęcie.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że to już się stało. Prawdę mówiąc, nastąpiło dziś rano: obudziłam się o świcie i poczułam, że wyspy są czymś mi znanym.

Doświadczałam tego wiele razy w trakcie moich podróży, ale to uczucie nigdy się nie nudzi. Na pustyni zajęło mi trochę czasu przywyknienie do powietrza wysuszonego na kość. W tropikach musiałam przyzwyczać się do przytłaczającego zapachu drzew i oślepiających ulew gorącego deszczu. Mieszkałam kiedyś w jaskini, przez tydzień robiąc zdjęcia nietoperzom. Nawet wtedy w końcu nawykłam do smrodu guana, kapania wody czy sposobu, w jaki ciemność wydaje się pełzać po ścianach w moją stronę. Proces osvajania przebiega zawsze tak samo. To, co było obce, staje się znajome – to, co było dziwaczne, staje się zwykłe. Migoczące trzewia świata zostają wywrócone na lewą stronę.

Rzadko jednak następowało to tak nagle, jak tutaj. Rano otworzyłam oczy i stwierdziłam, że cieszę się, że tu jestem.

Potem jednak usłyszałam pochrząkiwania i jęki z dołu. Natychmiast włożyłam dzinsy i wybiegłam na korytarz. Lucy i Andrew mieszkają bezpośrednio pode mną. To jedyna para rezydująca w naszej chacie.

Wiem, że to Cię zacieka. Zawsze rozpoczynałaś swoją lekturę „New York Timesa” od działu zawiadomień ślubnych. Dobrze to pamiętam. Wierzyłaś, że jesteś w stanie przewidzieć ze sporą dokładnością, czy daną parę nowożeńców czeka świetlana przyszłość. W swojej analizie brałaś pod uwagę niesłychaną liczbę czynników. Czy któreś z nich brało wcześniej ślub. Czy któreś z nich było zauważalnie starsze, atrakcyjniejsze albo bogatsze niż to drugie. Czy ich język ciała na zdjęciu sugerował spokój czy może niezręczność. Jako dziecko kierowałam się logiką i powtarzałam, że nie masz żadnego sposobu, żeby zweryfikować swoje prognozy. Mogłaś spekulować do woli, ale nigdy nie miałaś poznać prawdy. A mimo to Twoja wiara we własne osądy pozostała niezachwiana.

Podzielę się w takim razie tym, co udało mi się ustalić na temat tej pary papużek nierozłączek Wysp Farallońskich, a ty sama zdecydujesz, czy sobie poradzą na dłuższą metę. Lucy i Andrew są w tym samym wieku – po dwudziestce, niemal dekadę młodszy ode mnie. To dziwna para. Ona jest typem kobiety, która czułaby się komfortowo w stroju amerykańskiego pioniera, ubijając masło. Jest zażywna, dobrze zbudowana, krągła, twarz ma różowitką i zdrową niczym jabłko. Jest prawie piękna. W odpowiednim świetle, uchwycona pod odpowiednim kątem, zyskuje pewien ulotny powab. Przez większość czasu jest jednak krzepka, ciepła i przyjacielska.

Tymczasem Andrew to człowiek lodowiec. Jest cały blady, praktycznie jak albinos, od włosów barwy lnu po biało-niebieskie oczy. Usposobienie też ma lodowate. Przez ostatni miesiąc nie udało mi się dojrzeć w nim żadnych emocji poza pewnym rodzajem ironicznej pogardy godnej nastolatka. Bez przerwy nosi szkarłatną wełnianą czapkę ze złotym symbolem feniksa. Naciąga ją nisko, na uszy, co jeszcze bardziej upodabnia go do zblazowanego wyrostka. Jego wpisy w dzienniku są dowcipne, ale też złowieszcze. *Ważne badania dowodzą, że ocean jest niegodziwy*, napisał któregoś ranka. A innego dnia: *Mój sygnał wciąż nie dotarł do statku ratunkowego. Nie wolno mi porzucać nadziei. Którego ze współlokatorów mam zjeść jako pierwszego?* I później, ledwie wczoraj: *Już wiem, kogo zjem jako pierwszego.*

Lucy i Andrew przybyli na wyspy razem. Zaczęli ze sobą chodzić w koledżu. A jednak ich osobowości, podobnie jak wygląd zewnętrzny, nie mogłyby się bardziej różnić. Lucy to ludzkie dynamo, źródło nieskończonej energii. Każdego ranka jeszcze przed świtem jest już na

zewnątrz z lornetką w dłoni. Nie zniechęcają jej deszcz ani wiatr. To specjalistka od ptaków, a jej wiedza jest godna encyklopedii. Ilekroć jakiś pierzasty kształt mignie na niebie, Lucy potrafi, bez posyłania mu drugiego spojrzenia, zidentyfikować go jako nurniczka, kormorana, mewę czy maskonura. Siada rzadko. Posiłki zjada, stojąc przy biblioteczkę, wertując jakąś monografię albo wyglądając przez okno z tęsknym wyrazem twarzy, jak kot, który chce, by go wypuścić do ogrodu. Jeszcze żując, wkłada już kurtkę i spieszy w stronę Wąwozu Mew.

Wieczorami mamy w zwyczaju kłaść się wcześniej. (Niezwykle, jak nasz wewnętrzny zegar biologiczny równa do rytmu dobowego – szczególnie kiedy po zmroku nie ma kompletnie nic do roboty). Ale Lucy nie drzemie na kanapie. Ona sprząta. Już słyszę Twój zjadliwy głos mówiący, że oczywiście to kobieta odpowiada za zmiatanie i zmywanie podłóg. A jednak w przypadku Lucy chodzi o coś więcej. Nocą jest zbyt niebezpiecznie, żeby dało się wyjść, brzegi są śliskie, zbocza wzniesień wyboiste. Ścieżki bywają zdradzieckie nawet za dnia, wędrówki po zmroku są niemożliwe. Przekonałam się o tym na własnej skórze podczas mojego pierwszego tygodnia tutaj. Uwięziona wewnątrz chaty Lucy musi robić coś innego, żeby zużyć nadmiar sił witalnych. Kiedy ściera blaty i szoruje garnki, w jej oczach lśni determinacja.

Andrew z drugiej strony jest potwornie leniwy. Nie da się go zmusić, żeby wstał przed dziesiątą. Tutaj to oznacza całą wieczność zmarnowanego czasu, kompletnie roztrwoniony poranek. Też jest specjalistą od ptaków – on i Lucy poznali się na seminarium z biologii – ale nie chadza z nią po wyspie. Pozostaje tu, gdzie jest ciepło, i sporządza notatki do artykułu naukowego, który chyba nigdy nie zostanie ukończony.

Kilka dalszych szczegółów może Cię zainteresować:

1. Andrew i Lucy uprawiają seks każdego dnia. Każdego dnia, niezależnie od okoliczności. Śpię tuż nad nimi i każde westchnienie i jęk sączą się do mnie przez deski podłogi.
2. Chyba nigdy nie widziałam, żeby kobieta bardziej uwielbiała swojego mężczyznę. On jest jej słońcem i księżycem. Podobny rodzaj oddania wydaje mi się niepokojący.
3. Nie lubię Andrew. Wcale. Jest w nim coś, czego nie rozumiem i co budzi moją nieufność. Jakaś martwota w głębi oczu.

Przez cały ranek spacerowałam po wyspie. Nie potrafię wyrazić radości, jaką odczuwałam. Wszystko w okolicy wydawało mi się niezwykle. Przesycone solą powietrze. Hałas załamujących się fal. Myszy przemykające na skraju pola widzenia. Granit, który chrząścił i kruszył się pod moimi butami.

Chciałam zrobić zdjęcie światła na wodzie upstrzonej wysepkami. Po upadku i kontuzji miałam nauczkę. Teraz mój aparat spoczywał bezpiecznie na pasku zawieszonym na szyi. Wiedziałam, że muszę się zatrzymać, dobrze oprzeć stopy i sprawdzić otoczenie, zanim poddam się urodzie zaobserwowanego widoku. Byłam w trakcie kadrowania – wykorzystując samą siebie w roli statywu – kiedy spojrzałam w dół i westchnęłam zaskoczona.

Wyspy ofiarowały mi prezent. Pod moimi nogami leżał foczy kamień. To były rzadkie i cenne znaleziska, pozostawione na brzegu przez nieuchwytnie kotiki. Gastrolity, tak je nazywano. Mick mi o nich opowiadał, ale nie spodziewałam się, że znajdę jeden z nich. Nie sądziłam, że zasługuję na taki cud.

Przykucnęłam i podniosłam go z ziemi. Wspaniale leżał mi w dłoni. Doskonale okrągły. Gładki i ciężki. Wyglądał, jakby dopiero co opuścił szlifierkę. Zrobiony był z czegoś ciemniejszego i bardziej zbitego niż łupkowaty granit wysp. Kotiki je zjadały, może jako balast, może żeby wspomóc trawienie. Uśmiechając się, obróciłam kamień w dłoni.

Wsadziłam go do kieszeni płaszcza. Coś w nim dodawało otuchy. Jego ciężar. Jego doskonała kulistość. Jego dzikość. Podróżował w żołądku foki tak długo, że z powierzchni zniknęły wszystkie skazy.

Za moimi plecami rozległ się jakiś hałas. Obróciłam się i ujrzałam Andrew. Szkarłatna czapka. Ręce w kieszeniach. Uśmiezek na twarzy. Był odrobinę za blisko. Nie usłyszałam go, póki nie znalazł się tuż obok. Wstałam pospiesznie, otrzepując dłonie.

– Powinnaś uważać – powiedział.

– Co masz na myśli?

Jego oczy były niebieskie. Wyglądały jak okna, tak jakbym mogła spojrzeć przez niego i dostrzec niebo.

– Nie chcesz chyba znowu się zranić – powiedział. – Takie maleństwo jak ty.

Aparat trzymałam przed sobą niczym tarczę. Andrew uśmiechnął się i odszedł przygarbiony. Zmierzał w stronę chaty. Z ulgą patrzyłam, jak się oddala.

Potem jakiś ruch zwrócił moją uwagę. Ktoś jeszcze był na zewnątrz – jakaś sylwetka na Latarnianym Wzgórzu. Pomyślałam, że to Lucy. Ale postać zniknęła tak nagle, że mogłam się pomylić. Może to było tylko złudzenie.

Sezon rekinów trwa w najlepsze. Przybyłam na wyspy późnym latem i mój przyjazd zbiegł się w czasie z napływem olbrzymich rzesz żarłaczy białych. (Określenie „żarłacz ludojad”, jak się dowiedziałam, używane jest tylko przez niedouczonego niebiologów). Podczas moich podróży napotkałam sporo okropnych stworzeń – pijawki lubiące przysysać się pod pachami, krokodyle udające pnie, rozzłoszczone lwy. Przeżyłam kiedyś blisko pięć miesięcy w lesie deszczowym; spałam w szałasie i myłam się, używając wiaderka. Zasady, którym podlegały moje wizyty, zawsze były surowe: żadnego śmiecenia, żadnego schodzenia z wytyczonych szlaków i, niezależnie od prowokacji, żadnego uśmiercania istot żywych. Wliczając w to jadowite tarantule i długie na ćwierć metra pareczniki. Pokochałam tamto miejsce jako obiekt zdjęć, ale pod koniec mogłabym zabić za filiżankę prawdziwej kawy, komplet ubrań na zmianę oraz podmuch wiatru na skórce. Jednak ze wszystkich rzeczy, jak się okazało, najbardziej brakowało mi linii prostych. Pośród tego morza zieleni nie było ich wcale.

Żarłacz białe cechuje jednak zupełnie niepowtarzalny, zabójczy urok.

Galen i Forest to nasi specjaliści od rekinów. W ciągu ostatniego miesiąca nieco lepiej poznałam tę dwójkę, ale moje pierwsze wrażenie nie uległo większej zmianie. Galen ma siwe włosy, wzbudza szacunek i nigdy nie jest w szczególnie dobrym humorze. Wciąż widzę w nim sędziwego boga morza – prawdopodobnie wszechmocnego, prawdopodobnie też wszechwiedzącego. Wie o wszystkim, co się tutaj dzieje. Obserwuje pływy. Dogląda napraw w chacie i łodziach. Potrafi wyrecytować historię Wysp Farallońskich, a otacza go aura erudycji uniwersyteckiego profesora. W jednym palcu ma tysiące faktów dotyczących zwierząt. Choć jego *raison d'être* stanowią rekiny, widziałam go na ganku razem z Lucy, kiedy z wprawą weterana pomagał jej spreparować skrzydło martwego kormorana. W mig rozpoznaje nadciągające zmiany pogody.

Tymczasem Forest to zagadka. To ciemnowłosa, zimnokrwista najada. Prawa ręka Galena. Forest żyje dla pracy. Nie odbyłam jeszcze z nim konwersacji, która nie miałaby jakiegoś związku z biologią: z anatomią fok pospolitych, lokalną odmianą żebroplawów albo z wpływem pogody na migracje ptaków. Jedyny raz, gdy odważyłam się zapytać go, gdzie dorastał, posłał mi wyniosłe spojrzenie, niczym wiktoriański kamerdyner upominający impertynenkę pokojówkę. Tak samo jak pozostali tutaj, Forest wydaje się nie mieć przeszłości, a w każdym razie przejawia niechęć do mówienia o niej. Kiedyś, dawno temu, czytałam, że wszystkie zakonnice wstępujące do klasztoru otrzymywały zakaz rozmów o swoim przeszłym życiu. Wyspy Farallońskie też wydają się rodzajem zakonu z podobnymi ślubami milczenia.

Galen i Forest katalogują i śledzą populację żarłaczy białych. Przez całą jesień obaj wstają o czwartej trzydzieści rano, żeby rozpocząć obserwację. Od świtu do nocy któryś z nich siedzi w latarni morskiej, wyglądając plam krwi na wodzie. Wbrew podstawowym ludzkim instynktom pędzą w stronę rekinów wpadających w szal jedzenia. Wskakują do jednej z łodzi i wyruszają na morze, uzbrojeni w kamery wideo, sprzęt do znakowania oraz „manekin” – deskę do surfowania pomalowaną tak, żeby przypominała fokę i wabiła rekiny. Ci dwaj żyją dla kontaktu z tymi stworzeniami. Mówiąc szczerze, Galen i Forest to szaleńcy. Galen wspominał, że codziennie śni o żarłaczach białych. Forest szkicuje sylwetki rekinów – smukłe, o ostrych rysach, naszpikowane płetwami – na każdej powierzchni w zasięgu ręki. Robi to nieświadomie, grzymoląc na stole czy w pozostawionej na kanapie otwartej książce.

O tej porze roku może dojść do dwóch, trzech ataków dziennie. Rekiny pożerają foki i lwy morskie. Jest tutaj dość pożywienia, żeby utrzymać przy życiu gigantyczną rzeszę

drapieżników. Ptaki wskazują miejsce polowania równie sprawnie, co krzyżyk na mapie. Wyglądając z latarni morskiej, Forest albo Galen widzi stado mew kołujące nad fragmentem morza. Rozlega się krzyk. Wkłada się buty, zarzuca się płaszcze, na schodach łomoczą pospieszne kroki. Forest korzysta z dziecięcej hulajnogi ze wstążkami przypiętymi do kierownicy, żeby prędzej zjechać z Latarnianego Wzgórza. Któregoś dnia skręci kark.

Na Wyspach Farallońskich nie ma pomostu, zadbała o to siła pływów. Wszystkie próby zbudowania doku niezmiennie spełzały na niczym. Jest tu potężny prąd podpowierzchniowy. Zdarzają się prądy odpływowe, które pojawiają się i znikają bez żadnej reguły czy zapowiedzi. Są rafy i mielizny. Na wyspach znajdują się dwie nieduże łodzie, obie trzeba opuszczać do wody dźwigiem. Oczywiście są za duże, żeby przeniósł je Billy Pugh. Muszą być podpięte bezpośrednio do stalowej liny.

Pierwsza z nich to łódź wiosłowa (nazywana, co donoszę z przykrością, Śniadaniówką, ponieważ jej załoga w towarzystwie żarłacza białego czuje się zwykle jak smakowita przekąska). Oprócz niej jest jeszcze Janus, długa na sześć metrów łódź firmy Boston Whaler. Ta jest już mocniejszej budowy, z ławeczkami i pokładówką, a także barierką, która dla mojego niewprawnego oka zdaje się pełnić wyłącznie rolę dekoracji. Janus wyposażony jest w motor, przez co ta właśnie łódź jest preferowana. Obie spędzają swój czas wolny na materacu z gumowych opon na wysokim na dziesięć metrów klifie Przystani Wschodniej. Widziałam, jak opuszcza się je do wody, jak chyboczą się wesoło na końcu łańcucha i opadają na czarne fale większe od nich samych.

Nie odważyłam się jeszcze wyruszyć na Rekinią Wachtę. Wybierałam bezpieczny, stały ląd. Działa mi na nerwy świadomość, że te potwory cały czas tam są i patrolują mroczną toń. Że czekają. Przez większość czasu żarłacze białe pozostają niewidoczne, ukryte pod falami, pogrzebane w głębinie pełnej prądów. Jednak raz czy dwa dojrzałam płetwę grzbietową rozcinającą wodę, równie złowieszczą jak peryskop nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej.

Mój romans z wyspami trwa w najlepsze. Chwilami czuję się jak naćpana, spacerując po brzegu z głupawym uśmiechem na twarzy i podniesionym aparatem. Każde zdjęcie wydaje się błogosławieństwem. Możemy nigdy się nie dowiedzieć, co myśli inna osoba – nigdy tak naprawdę nie przenikniemy do cudzej głowy – ale fotografia zabiera nas tak blisko, jak to możliwe. Kiedy publika w galerii sztuki ogląda zdjęcie, na moment mogą zajrzeć do umysłu artysty. To jak telepatia. Jak podróż w czasie. Kiedyś w przyszłości, gdy ludzie będą patrzeć na moje fotografie z wysp, zobaczą to, co ja widziałam. Staną tam, gdzie ja stałam – na tym granicie, otoczona oceanem. Może nawet poczują namiastkę euforii, którą ja tutaj odczuwam.

Znalazłam się dzisiaj na Przystani Północnej, gdzie tuzin uchatk kalifornijskich wylegiwał się w promieniach słońca. Poruszały się jak psowate syreny. Ich ciała wydawały się przedzielone na pół; górna połowa była czujna i podniesiona – zadarte uszka, bacne ślepia i pysk najeżony wąsami – podczas gdy dolna ślizgała się po płaskich kamieniach, obciążona przez tłuszcz oraz płetwy. Smażyły się na słońcu jak pianki nad ogniskiem i skakały w spienioną płyciznę, żeby się ochłodzić.

Wkrótce zdałam sobie sprawę z tego, że jedno ze stworzeń było ranne. Nie hasało i nie bawiło się z resztą, nurkując i łapiąc ryby. Leżało tylko na brzegu z jedną płetwą przyciśniętą do torsu. Przez teleobiektyw ujrzałam świeżą, głęboką ranę. Płetwa została niemal oderwana od ciała. Rozcięcie było na tyle świeże, że nie pojawił się jeszcze strup. Instynktownie położyłam dłoń na swoich żebrach, tam gdzie moje własne ciało zostało otwarte kilka tygodni wcześniej. Zwierzę pewnie przeżyło bliskie spotkanie z żarłaczem białym. To zdarzało się zaskakująco często. Czego lwom morskim brakowało w masie, nadrabiały gimnastyczną zwinnością. Mogłam sobie wyobrazić, jak rekin rzuca się do przodu, a uchatka wykonuje piruet i wywija się z opresji.

Ale widać było, że jest z nią kiepsko. Była słaba i wyglądała na oszołomioną.

Wiedziałam jednak, że nic nie mogę zrobić. Nie było sensu ściągać tu Micka albo Galena. Biologowie byli na wyspach, żeby obserwować i prowadzić dokumentację. Nic ponadto. Nieingerencja była podstawą ich systemu wiary. Nigdy nie wtrąciliby się w sprawy życia – lub śmierci – jednego ze swoich podopiecznych. Kilka dni wcześniej wysłuchałam stanowczego wykładu Galena na ten temat. Ranne zwierzę było osobnikiem przeznaczonym do badania. Jego zgon był zdarzeniem, które należało odnotować dla przyszłych pokoleń. Nadrzędnym prawem było prawo łańcucha pokarmowego, a współczucie i sympatia nie miały sensu.

Odwrociłam się. Schyliłam się, żeby zrobić kilka zbliżeń rekinich zębów. Cały teren był nimi usiany, pokrywały krajobraz tak jak kwiaty pokrywają prerię. Drobne przypomnienia o niebezpieczeństwie. Ludzie dawniej wierzyli, że zęby rekinów spadają z nieba podczas zaćmienia księżyca. Szczerze powiedziawszy, sama nie miałam pojęcia, jakim cudem trafiały tak daleko w głąb lądu.

Po chwili przeszłam dalej, żeby z ukrycia zrobić kilka zdjęć moich ludzkich towarzyszy. Okazali się równie niechętni do pozowania, co zwierzęta. Nauczyłam się już jednak przebiegłości. Kucając za głazem, z założonym teleobiektywem, dojrzałam Lucy siedzącą po turecku na brzegu, oddającą się rozmowie z maskonurem. Potrafiła naśladować większość ptasich głosów wystarczająco dobrze, żeby wprowadzić zamęt w ich maleńkich umysłach. Ten konkretny osobnik wydawał się przekonany, że ma do czynienia z innym maskonurem wdzierającym się na jego terytorium. Nagle w kadrze pojawił się kolejny kształt. Wyregulowałam ostrość i ujrzałam czerwone włosy oraz przydużą wiatrówkę – to była Charlene.

Do tej pory nie wspominałam o Charlene, bo nie wiedziałam, co o niej powiedzieć. Po pierwsze, jest młoda, młodsza nawet od Andrew i Lucy. Charlene wciąż studiuje w koledżu. Na głowie ma burzę niesfornych, czerwonych loków. Jej jasną skórę znaczą całe konstelacje piegów. Jest stażystką, nie biologiem. (Nawiasem mówiąc, Charlene jest jedyną stażystką, która wytrwała na wyspach dłużej niż dwa tygodnie. Spędziła tu już trzy miesiące). Jej osobowość pozostaje w cieniu jej podrzędnej pozycji oraz gotowości do pomagania przy najprostszych zajęciach, od mycia Janusa przez inwentaryzację zawartości szafek kuchennych, na robieniu kawy kończąc. Muszę dopiero poznać jej prawdziwy charakter.

Teraz, spoglądając przez obiektyw, obserwowałam, jak obie kobiety zabierają się do pracy. Były zbyt daleko, żeby dotarła do mnie ich rozmowa. Wyglądało na to, że Lucy uczy Charlene obrączkować ptaki. Lucy jest mistrzynią tej niełatwej procedury: chwyta pierzaste ciało, trzyma je w obu dłoniach zdecydowanie, ale delikatnie, w taki sposób, żeby ptak nie mógł jej podziobać ani zrobić sobie krzywdy, po czym zakłada mu pomarańczową opaskę. Charlene oczywiście się denerwowała, w skupieniu marszczyła brwi. Lucy przemawiała kojąco, cierpliwie, podczas gdy Charlene niezdarnie wypuszczała z rąk ptaka za ptakiem. Nagle obie kobiety wybuchły śmiechem. Mam to na filmie: Charlene z głową odrzuconą do tyłu oraz włosami niczym szkarłatna aureola i Lucy zgięta w pół, trzymająca się za brzuch. Ich wesołość wystraszyła pozostałe ptaki, które zerwały się do lotu. Stado pofrunęło do góry, tworząc istny wodospad skrzydeł.

Nie mogłam się skupić. Problem z Lucy ostatnimi czasy zajmował moje myśli. Nie mogłam tego rozgryźć. Na Wyspach Farallońskich była królową balu, ulubieńcem całej grupy. Widziałam, jak masuje kark Charlene albo oferuje, że pozmywa, kiedy wypadała kolej Foresta, a on wydawał się zmęczony. Widziałam ją siedzącą na kanapie obok Galena i ekscytującą się jakimś niedorzecznym błędem, na który natknęli się w encyklopedii – czymś, co dostrzec mogła tylko para biologów. Lucy śmieje się głośno i często. Jest otwarta, serdeczna, życzliwa.

Ale nie wobec mnie. Trochę mi zajęło, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Z początku,

prawdę mówiąc, zmylił mnie jej wygląd. Puszysta i różowa, Lucy wydaje się typem kobiety, która powinna nosić fartuch albo klęczeć w ogrodzie z rękoma brudnymi od ziemi. Jednak w swoich interakcjach ze mną od pierwszej chwili zachowuje się dziwnie. Od czasu do czasu rzuca dwuznaczny komentarz. („No, no! Ta koszula wygląda ciekawie”; „Musisz mieć zdrowe zęby, specjalistko od myszy. W całej chacie słyhać, jak żujesz”). Lucy parska śmiechem, kiedy potknę się na luźnej desce w podłodze albo kiedy siedząc przy stole, upuszczę łyżkę. Posyła mi wyniosłe spojrzenia. Ukradkiem przewraca oczyma. Nie mogę rozwiązać tej zagadki.

Moimi współlokatorami i mną rządzi wewnętrzna dynamika rodziny, ale nie ma tu namiastki rodzinnego ciepła. Dzielimy dom. Widujemy się od rana do wieczora, dzień w dzień. Muszę się starać, niezależnie, czy się dogadujemy czy nie. Prywatność tutaj nie istnieje. Jeśli Mick ma zatwardzenie, jeśli Charlene dostaje okres, jeśli Andrew robi się napalony, wszyscy o tym wiedzą. Każde z nas ma swoją rolę. Galen – stoickiego rodzica, rządzącego poprzez dobroduszny brak zainteresowania. Forest – syna mózgowca, zawsze z nosem w książkach. Ja – cichej pasierbicy, wciąż próbującej odnaleźć swoje miejsce w porządku dziobania. Wewnątrz tej grupy Lucy mogłaby być złośliwą siostrą, której zachowanie nie jest oczywiste dla starszych od niej – siostrą, która karze uszczyplnięciami i klapsami, a potem przybiera twarz niewiniątka i mówi: „Kto, ja?”. Pokazuje jedno oblicze, chowa zaś drugie, a ja dopiero zaczynam dostrzegać tę jej podwójną tożsamość.

Wczoraj Kapitan Joe zjawiał się po raz pierwszy od mojego przybycia. Zazwyczaj przypląwa dwa razy w miesiącu, ale opóźniły go naprawy silnika. Minęło prawie siedem tygodni. Byłam w pokoju, kiedy łódź pojawiła się na horyzoncie. Mogła tam zostać równie dobrze sprowadzona za pomocą magii. Moje serce drgnęło. Zrozumiałam, czemu ludzie w dawnych czasach wyobrażali sobie, że świat kończy się za linią horyzontu. Trudno czasem uwierzyć, że poza tą zimną krawędzią istnieje coś jeszcze.

Zobaczyłam przez okno, że Galen i Forest byli czujni. Ubrani w swoje typowe groteskowe stroje – wodoodporne spodnie, jasnopomarańczowe kurtki, czapki z nausznikami – zmierzali w stronę Przystani Wschodniej. Wiedziałam, co teraz nastąpi. Kapitan Joe podplynie tak blisko, jak to możliwe. Jeden zły skręt i prom roztrzaska się na wyszczerbionym klifie. Galen i Forest opuszczą Billy’ego Puga. Kapitan Joe załaduje do środka zakupy spożywcze, papier toaletowy, zapas pasty do zębów. Galen i Forest w odpowiedzi prześlą mu naszą pocztę. Prawdę mówiąc, cała ta procedura przypominała mi podróż kosmiczną. Kapitan Joe wyruszał ze swojej ojczystej ziemi z ładownią pełną zapasów przeznaczonych dla załogi stacji kosmicznej. Podróż z Kalifornii mogła zająć nawet sześć godzin w jedną stronę. Galen i Forest spotykali go na linii granicznej, gdzie dźwig tworzył pomost przez pustkę. W każdej chwili coś mogło pójść źle. Ktoś mógł zostać ranny albo jeszcze gorzej.

Kapitan Joe to nie pierwszy przewoźnik obsługujący wyspy. Niedawno dowiedziałam się, że byli przed nim inni – wielu innych. Większość z nich odeszła, gdy tylko znaleźli łatwiejszą pracę. Kilku zrezygnowało po tym, jak w pracy zostali ranni: złamane kości i wstrząśnienia mózgu były rzeczą powszechną. Jeden z nich utonął. Pięć lat temu.

Z wysp mamy widok na najniebezpieczniejszy wycinek Oceanu Spokojnego. Miejscami morze ma tu zaledwie piętnaście metrów głębokości. Pływy nadchodzą i odchodzą z szybkością, zapierającą dech prędkością ośmiu węzłów. Potężne prądy przemierzają ocean, kierując się własną logiką, niczym rzeki złojące koryto w wodzie, a nie w ziemi. Fale bywają olbrzymie. Łodzie są rzucane i zalewane, jak pianki mieszane łyżeczką w kubku kakao.

Niedługo później Kapitan Joe popłynął w drogę powrotną. Galen i Forest ruszyli w stronę chaty objuczeni pudłami z jedzeniem, tamponami, bateriami i całą korespondencją, jaka zebrała się dla nas na poczcie w San Francisco. Prom z warkotem oddalał się od brzegu. Z poczuciem opuszczenia patrzyłam, jak odpływa. Wrażenie szybko minęło, ale przez moment czułam się jak porzucone dziecko. Obserwujące, jak rodzic rozpląwa się w oddali. Osamotnione we wrogim i nieznanym miejscu.

Na pokładzie promu znalazła się pocztówka dla mojego ojca. Byłam na wyspach od blisko dwóch miesięcy i przez ten czas przygotowałam tylko jedną wiadomość, którą chciałam przesłać na stały ląd. Napisałam na niej: *Dowód życia*.

Takie tajemnicze pocztówki to rodzaj stałego dowcipu pomiędzy mną i tatą. (Oczywiście on nie wie o moich listach do Ciebie). Pocztówki, które mu wysyłam, są zazwyczaj równie zwięzłe, co telegramy. Dla zabawy staram się przekazać wszystko w tak małej liczbie słów, jak to możliwe. *43 stopnie w cieniu*, napisałam podczas mojego miesięcznego wypadu na Saharę. Z Paryża, gdzie zostałam wysłana, żeby fotografować sterty czaszek w podziemnych katakumbach, napisałam: *Całe mnóstwo trupów*. Kiedy natomiast żyłam na kole podbiegunowym – przez upiorne, letnie miesiące, kiedy słońce w ogóle nie zachodziło i nie wschodziło, biegło tylko dziwnymi zakosami po horyzoncie, dryfując to wyżej, to niżej niczym balon targany wiatrem – napisałam po prostu: *Jasno*.

Tata wczuł się w klimat tej zabawy i sam zaczął opuszczać zbędne czasowniki oraz przedimki. To rodzaj gry, w którą gramy, próbując się nawzajem przebić. *Biuro – wariatkowo*, potrafi napisać. *Przepracowany. Tusz w drukarce na wyczerpaniu*.

Zdaję sobie sprawę z tego, że moja relacja z ojcem jest nietypowa. Od czasów dzieciństwa dom zawsze był jednym z punktów odniesienia na moim prywatnym kompasie. Ze względu na pracę włóczyłam się po świecie, nigdzie nie zapuściłam korzeni, nie zarzuciłam kotwicy. Miesiąc w Kostaryce. Trzy tygodnie na Tajwanie. Pół roku w Australii. Sypiałam na kanapach i podłogach. Żołądek wiązał mi się w supeł na widok lokalnej kuchni. Robiłam zdjęcia ptaków i gekonów, szałasów i drzew, ludzi i nagrobków. Robiłam zdjęcia wszystkiego.

A potem, niczym jaskółka wracająca do Capistrano*, wracałam do obszernego, dwupiętrowego domu mojego ojca. Nigdy nie było mu dane przerobić mojej sypialni na gabinet albo składzik. Wciąż zdarzało mi się z niej korzystać, dalej sypiałam na tym wąskim materacu pod ruchomym modelem Układu Słonecznego, który zbudowałam w szkole średniej. Na półkach stały moje książki, w szufladach kryły się moje ubrania. Mój ojciec i ja przeistoczyliśmy się w życzliwych współlokatorów.

Cała ta sytuacja jest równocześnie logiczna i dziwaczna. Większość moich szkolnych koleżanek ma teraz kredyty hipoteczne, nie wspominając o mężach i dzieciach. Ja jednak nigdy nie mieszkalam nigdzie wystarczająco długo, żeby było sens płacić czynsz, a co dopiero kupować meble. Poza tym lubię dom mojego ojca. Pomagam mu w ogrodzie. Gotuję większość potraw. Sąsiedztwo znam jak własną kieszeń. Tata i ja mamy swoje indywidualne nawyki i przyzwyczajenia – nagromadzone latami, doprowadzone do perfekcji. On ma swój klub książki. Ja – uzależnienie od oper mydlanych. On rano chodzi pobiegać. Ja spaceruję wieczorami. On ma w piwnicy swój warsztat zagracony narzędziami i zasłany trocinami. Ja mam na strychu ciemnię, cuchnącą i tajemniczą, z chemikaliami lśniącymi w mroku. Na ścianach wiszą nasze zdjęcia.

To w tym domu najlepiej Cię pamiętam. Twój drobny kształt zwinięty na kanapie i książkę w Twojej dłoni. Twój głos, niosący się korytarzem z łazienki, kiedy śpiewałaś pod prysznicem. Każdy pokój to skarbiec pełen niespodziewanych reminiscencji. Każdy drobiazg – przedmiot, zapach, odgłos – potrafi uruchomić wspomnienia, zabrać mnie w przeszłość. Kosz na brudy może przypomnieć mi Twoje dłonie zręcznie składające ubrania. Pisk otwieranej szafki przywoła przypadkową konwersację, którą odbyliśmy, siedząc w kuchni. Niebo w burzowe popołudnie z piętrzącymi się chmurami przywróci obraz Ciebie biegnącej po domu, pospiesznie zamykającej okna na moment przed nadejściem ulewy.

Nawiasem mówiąc, na pokładzie promu znalazła się i pocztówka dla mnie. *Tęsknię*, napisał mój ojciec. Tylko jedno słowo.

Następnego dnia znalazłam się na dachu. Był tego dobry powód: pojawił się przeciek. Koło południa bez zapowiedzi nadeszła burza. Ulewa była szaleńcza, tak jakby niebo chciało nam coś udowodnić. Rynny się przepelniały. Było tyle wilgoci, że kiedy wiał wiatr, powietrze marszczyło się niczym morze. Lancz został przerwany przez miniaturowy wodospad. Choć ani ja, ani Charlene nie miałyśmy pojęcia o stolarce, tylko my mogłyśmy zająć się problemem. Lucy udała się na Ptasia Wachtę, gdy tylko burza przeszła. Mick chciał sprawdzić, co u rannego lwa morskiego i udokumentować rozwój wydarzeń – zapisać, czy zwierzę zdechnie czy przeżyje. Forest w końcu uporał się z usterką w kamerze wideo i liczył na to, że uda mu się sfilmować kilka rekinów. Andrew najprawdopodobniej spał. Galen wręczył mi wszystko, co potrzebne: smołowany papier, dachówki, młotek i żalostną kolekcję powyginanych, niedopasowanych gwoździ. Wyjaśnił, gdzie znajdziemy drabinę. Po namyśle przypomniał mi jeszcze, żebym stamtąd nie spadła.

Mówiąc szczerze, nie przeszkadzało mi siedzenie na dachu. Tak naprawdę żałowałam

tylko, że nie wzięłam ze sobą jednego z aparatów. Każda nowa perspektywa spojrzenia na znany krajobraz potrafi dostarczyć inspiracji. Morze, foki, stróżówka – wszystko to teraz wydawało się mniejsze, nierealne. Zdjęcia mogłyby wyjść fantastyczne. Ale nie zaryzykowałabym upuszczenia aparatu z takiej wysokości. Nie przetrwałby upadku, a ja raczej nie zniosłabym zgonu jeszcze jednego z moich cennych przyrządów.

Wraz z Charlene pęzałyśmy po dachu niczym kraby, przybijając wszystko, co sprawiało wrażenie poluzowanego. Charlene przyniosła ze sobą pistolet do uszczelniania, z którego strzelała przy najdrobniejszej prowokacji. Gont był w dotyku szorstki. Znalazłyśmy kilka szpar, którymi trzeba było się zająć. Wdałyśmy się w dyskusję, które pokoje w danym momencie się pod nami znajdują. Odkryłyśmy komin. Potem pozwoliłyśmy sobie na chwilę odpoczynku i siedziałyśmy, spoglądając w morze.

Jak zwykle byłam odrobinę zaskoczona faktem, że nie widzę stąd Kalifornii. Nie dostrzegałam nic poza krawędzią oceanu. Nigdzie indziej człowiek nie czuje się tak osamotniony jak na Wyspach Farallońskich. Cały świat mógłby wyparować – rasa ludzka mogłaby zostać wybita przez pandemię, uderzenie meteorytu albo atak zombie – i dowiedzielibyśmy się o tym jako ostatni. Bylibyśmy jedynymi ocalałymi.

Dzień, pomimo chłodnych powiewów, był przyjemny. Październik nadszedł ukradkiem, sama nie wiem kiedy. Trawa żółciła się na brzegach, przypominało to pleśń zbierającą się na tkaninie. Myszy więcej czasu spędzały teraz pod ziemią, ich przepychanki i przemykanie z miejsca w miejsce stały się mniej zauważalne. Dwa drzewa rosnące nieopodal wędły, nie tuliły się już do siebie. Rdzawoczerwone liście spadały na kamienie.

To wtedy Charlene otworzyła się przede mną po raz pierwszy. W sposób właściwy osobom bardzo młodym gawędziła na swój temat, nie zauważając, że sama nie zadała mi żadnych pytań. Tu nie chodziło o narcyzm. Była po prostu w tym wieku, kiedy własna osobowość fascynowała ją tak bardzo, że przesłaniała wszystko inne. Zaskakiwała ją jej własna zdolność do kreatywnego myślenia, jej unikalny rodzaj inteligencji. Wydawała się nie przestrzegać niepisanej reguły, że rozmowy o przeszłości są tu zabronione. Nasłuchiwałam się o jej rodzinnej farmie w Minnesocie. Bez wahania wspomniała o ciotce, która zniknęła na jakiś czas, by potem pojawić się z nowym nazwiskiem, twierdząc, że straciła pamięć. Zanim zdążyłam przyswoić sobie dziwaczność tej historii – szczególnie że Charlene opowiedziała ją tak wesołym tonem, jakby nie było w niej nic niezwykłego – przeszła już do kolejnych tematów. Poruszała się po ciągu wolnych skojarzeń, skakała od myśli do myśli. Opowiedziała mi o swojej współlokatorce z koledżu w Berkeley. I o miłym chłopcu, którego zostawiła na stałym lądzie, może na zawsze, a może nie.

Wydawało się, że chwila jest właściwa. Kiedy zrobiła przerwę, żeby zaczerpnąć tchu, to ja się odezwałam. Starając się zabrzmieć w każdym calu nonszalancko, zapytałam, czy Mick przypadkiem jest sam.

– Nie wydaje mi się – odparła.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Charlene posłała mi zmartwione spojrzenie. – Prawdę mówiąc, jestem pewna, że kogoś ma.

– Ach tak.

– Czemu pytasz?

– Och, bez powodu – powiedziałam. – Wciąż dowiaduję się o was nowych rzeczy.

Zapadła cisza. Charlene bawiła się włosami. Miały kolor ognistej czerwieni, która sprawiała, że zawsze musiałam się jej starannie przyjrzeć. Dzień po dniu odczuwałam potrzebę obserwowania bladości jej skóry, obfitości piegów; próbowałam dociec, czy podobny odcień

włosów mógł być prawdziwy. Często mi się to tutaj zdarzało. Wyspy były miejscem, które wydawało się istnieć w sferze marzeń – surowym i wiecznie zmiennym.

Nagle Charlene zeszywniała. Grymas przerażenia przemknął jej po twarzy. Spoglądając ponad moim barkiem, wymruczała:

– O nie.

– Co się stało?

Wskazała coś za moimi plecami. Obróciłam się ostrożnie, starając się nie uszkodzić dachówek. Moje stopy zaszurały na pochyłym dachu w poszukiwaniu oparcia.

W oddali dojrzałam łódź na wodzie. Śniadaniówka podskakiwała na spokojnej toni Zatoki Słoni Morskich. Znajdował się na niej tylko jeden pasażer. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że to Lucy. Najwyraźniej wypłynęła samotnie.

– Nie cierpię, kiedy to robi – powiedziała Charlene. – Po prostu tego nie cierpię.

Przyjrzałam się odległym konturom łodzi. Praca Lucy – obserwacja, obrączkowanie i katalogowanie ptaków – nie wymagała wypływania w morze. Galena i Foresta, chłopców od rekinów, często można było znaleźć na słonych, niebieskich falach, ale w przypadku Lucy wystarczyłaby lornetka. Mimo wszystko jej dociekliwość mogła przeważać nad zdrowym rozsądkiem. Może zdecydowała się powiosłować na Wysepki Pijanego Wujka. Może chciała odwiedzić Łuk, który wyglądał jak olbrzymi zamek ze staromodną dziurką od klucza? Stamtąd miałyby sówki ziemne i kormorany na wyciągnięcie ręki.

A jednak, gdy uważniej się przyjrzałam, przekonałam się, że Lucy ma na sobie kombinezon z neoprenu. Jej ciało wydawało się inne, owinięte w gumę. Zazwyczaj kryła swoje krągłe kształty pod licznymi warstwami ubrania, ale teraz wyraźnie widziałam szerokie łuki bioder oraz faktyczny rozmiar obfitego biustu. Trzymała przed oczyma maskę do nurkowania, regulowała pasek. Na pokładzie obok niej znajdował się nieporęczny aparat do oddychania, podpięty do niego długi wąż wił się pomiędzy ławeczkami. Lucy podniosła jego koniec i wetknęła między zęby. Potem usiadła i założyła parę jasnoniebieskich płetw.

– Czy ona robi to, co wydaje mi się, że robi? – zapytałam.

– Nie uwierzysz, ale to jej hobby – westchnęła Charlene. – Jest nurkiem. Schodzi pod wodę i szuka anemonów. Zbiera jeżowce i muszle. Lubi patrzeć na nie z bliska.

Lucy wskoczyła do wody z głośnym pluskiem. Przez moment widać ją było na powierzchni, poprawiała sobie maskę. Potem przykryła ją fala i dziewczyna zniknęła.

– Ale przecież rekiny... – powiedziałam.

Łódź, opuszczona, ślizgała się na falach w tę i z powrotem. Słyszałam chłopot wody na jej kadłubie. Przewód do oddychania rozwijał się powoli, przesuwając się po burcie łodzi i ginąc w morzu.

– Wszyscy próbowaliśmy ją przekonać, żeby tego nie robiła – wyjaśniła Charlene. – Przede wszystkim Galen. Uparł się, w kuchni ciągle wybuchały kłótnie. Lucy była uprzejma, ale nieustępliwa. Kazała pokazać sobie, gdzie jest napisane, że nie wolno jej tego robić. Nie mogliśmy, nie ma takich przepisów. Nikt nie pomyślał, żeby stworzyć w tym miejscu przepisy dotyczące nurkowania dla przyjemności.

– To szaleństwo – powiedziałam.

Charlene przygryzła wargę.

– Nie zdarza się to często. Ledwie kilka razy odkąd przyjechałam. Zapytałam ją o to kiedyś. Powiedziała, że to coś, co po prostu musi robić.

Morze było mętne: zdradzieckie fale, przemierzające się cienie, jaskrawe światło odbijające się od powierzchni. Nie byłam w stanie dostrzec w tej wodzie żadnej ludzkiej sylwetki.

Tego wieczora w powietrzu czuło się napięcie. Lucy jeszcze nie wróciła. Nie mogłam się za nic zabrać, byłam jak kotka na gorącym blaszanym dachu. Zaskoczyło mnie, że Galen i Forest potrafili siedzieć ze wzrokiem wlepionym w tabelę pływów, że Charlene była w stanie skupić się na książce, z ołówkiem na podorędziu; od czasu do czasu podkreślała jakieś ważne słowo dwoma precyzyjnymi liniami.

W trakcie moich podróży przekonałam się, że biolodzy to dziwna zgraja. Ta praca wydaje się przyciągać tylko ludzi określonego typu. Przyzwyczyłam się już do nich. W Teksasie poznałam herpetologa, który dla zabawy łapał dzikie grzechotniki gołymi rękami. W północnej Kalifornii był botanik, który wspinał się bez zabezpieczeń na olbrzymie sekwoje, zmagając się z ich potężnymi pniami bez pomocy lin i uprzęży. Na Grenlandii spotkałam ichtiologa, który udawał Jezusa i chodził po wodzie. Urodzony i wychowany w tym klimacie, potrafił na oko ocenić grubość lodu. Często z sercem podchodzącym do gardła patrzyłam, jak wędruje po powierzchni oceanu, wzbudzając maleńkie fale na wodzie stojącej na głębszej pokrywie ciemnego, porowatego lodu.

Mówiąc w skrócie, zachowanie Lucy nie było takie znowu nietypowe. A jednak w miarę jak mijał wieczór, jak tykanie zegara odmierzało upływający czas, a wiatr głąskał okna, coraz bardziej się martwiłam. Morze było mętne i wzburzone, widoczność ograniczona. Zaczynało robić się ciemno. Lucy była tam sama, uzbrojona tylko w druciany koszyk, do którego zbierała interesujące muszle. W moim wyobrażeniu woda była pełna żarłaczy białych, rozpychających się między sobą w pośpiechu, bo każdy pragnął jako pierwszy dopaść tej bezbronnej postaci.

W ostatnich tygodniach sporo się dowiedziałam o tych przebiegłych drapieżcach. Żarłacz białe zazwyczaj nie polują na ludzi – ale powszechnie wiadomo, że pod odpowiednim kątem nurek bardzo przypomina fokę. Ten sam kolor, ten sam rozmiar. Poza tym rekiny są z natury ciekawskie. Któryś mógł rąbnąć Lucy ogonem, stuknąć ją nosem, a nawet ofiarować jej to, co Galen nazywał „malinką”, żeby zbadać, z czym ma do czynienia. Mogła zostać zabita nie z głodu albo złośliwości, ale przez zwykłą ciekawość.

Byłam szczerze zdziwiona, że na wyspach w ogóle jest sprzęt do nurkowania. Wystarczająco niebezpieczne wydawało się podróżowanie łodzią, bez schodzenia pod powierzchnię. Prawdopodobnie, tak samo jak lądowisko dla helikopterów, sprzęt do nurkowania był przewidziany jako zabezpieczenie w razie niespodziewanych wypadków – człowieka za burtą, odkrycia zatopionego skarbu. Z pewnością nikt się nie spodziewał, że zostanie wykorzystany dla zabawy.

Za każdym razem, gdy wiatr wstrząsał drzwiami, spoglądałam w ich stronę z nadzieją. Wiedziałam, że Mick tam jest, że operuje dźwigiem, aby sprowadzić Lucy do domu. O wcześniej ustalonej godzinie wyszedł z chaty, żeby się z nią spotkać. Wydawało się, że już bardzo długo go nie ma. Zbyt długo. Charlene odłożyła książkę i zaczęła gryzmolić jakieś notatki. Galen i Forest kontynuowali swoją dyskusję cichymi, pełnymi uporu głosami. Forest wydawał się jeszcze chudszy niż zazwyczaj, z zapadniętymi policzkami, wiotki jak baletnica.

Spierali się z Galenem na temat żarłaczy białych. Coraz lepiej sobie radziłam z rozumieniem ich żargonu. Szczurze Stado to była grupa samców odpowiedzialnych za większość ataków na foki i lwy morskie. Pas oceanu przy Indiańskim Łbie stanowił ich tereny łowieckie. Szczurze Stado trzymało się południowego skraju archipelagu, jak paczka nastolatków przesiadująca w centrum handlowym. Galen i Forest dobrze je poznali. Niektóre z nich były ciekawskie, łatwo dało się wywabić je na powierzchnię. Inne były agresywne i z łomotem obijały się o burtę Janusa albo próbowały ugryźć silnik. Ich imiona pochodziły zazwyczaj od odniesionych ran: Kęsogłów, Bezpletw, Jednooki Jack.

Natomiast Siostrzyczki to co innego. Mizerne samce wypadały blado w porównaniu

z samicami rekinów, długimi jak limuzyny, mierzącymi od ogona po pysk dobrych sześć metrów. Te damy stanowiły arystokrację. Nie zniżały się do tego, żeby polować wraz ze Szczurzym Stadem, ale miały własne terytorium, na wschodzie, patrolowały fragment oceanu od Głowy Cukru aż po Jaskinię Klejnotów. Nie udało mi się jeszcze ujrzeć żadnej z Siostrzyczek (wierzyłam, że lada dzień znajdę w sobie dość odwagi, żeby wybrać się na Rekinią Wachtę). Penetrowały wody archipelagu z leniwą gracją, a Szczurze Stado, ci pośledniejsi wyrobownicy, traktowali je z bezgranicznym szacunkiem. Siostrzyczki cechowała taka aura godności, że Galen i Forest twierdzili, że są w stanie wyczuć ich obecność pod wodą, zanim te jeszcze się wynurzą.

Trzy samice w szczególności rządziły wyspami. Galen nazwał je od wieźm z *Makbeta*. Pływały i polowały razem. Ich płetwy grzbietowe cięły fale niczym flota statków. Przywódczyni tego trio – Hekate – była największym rekinem, jakiego widziano na wyspach. Miała przynajmniej siedem metrów długości. Zdaniem Foresta, gdyby udało się ją schwytać i zmierzyć, pobijałaby każdy istniejący rekord. Ale złapać się jej nie dało, nie tutaj. Jej dwie towarzyszki były mniejsze, choć wciąż wystarczająco duże, żeby wzbudzać podziw. Miały może z sześć metrów. Nazywano je Bliźniaczkami, ponieważ nosiły podobne znamiona.

Galen i Forest zaczęli debatować nad zwyczajami żywieniowymi rekinów. Żywa zwierzyna. Styropianowe kukły. Rozważali sposoby zwabienia Siostrzyczek bliżej Janusa. Podrzucali sobie nawzajem pomysły niczym żonglerzy ciskający w powietrze jedwabne chusty. To, że Lucy, ich przyjaciółka i koleżanka po fachu, mogła się w tej właśnie chwili znajdować na łasce jednego z tych stworzeń, wcale nie studziło ich zapału.

Jednak to Andrew był najgorszy. Wczesny wieczór spędził w zaciszu pokoju, który dzielił z Lucy, i robił tam to, co zazwyczaj: drzemał, przeglądał jakąś monografię, może się masturbował. Potem skrzypienie podłogi zdradziło, że skończył pracę. Zszedł do kuchni właściwym sobie ospałym krokiem, trochę ziewając. Miał na sobie swój tradycyjny strój: luźne dżinsy i szkarłatną wełnianą czapkę z symbolem feniksa. Nie odezwał się do żadnego z nas. Zacisnęłam zęby. Byłoby czymś naturalnym – czy raczej ludzkim – żeby zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na zewnątrz w poszukiwaniu Lucy albo żeby spacerował po pokoju w oczekiwaniu na jej powrót. Zamiast tego Andrew wydał z siebie okrzyk radości. W głębi szafki odnalazł zapas swoich ulubionych brzoskwiń w puszcze. Przez kilka następnych minut musiałam patrzeć, jak pochłania całe trzy konserwy pełne syropu i owoców.

Zanim nadeszła pora obiadu, nerwy miałam napięte jak postronki. Gotowała Charlene – makaron z serem, z dodatkiem tuńczyka w celu zapewnienia nam odpowiedniej ilości protein. (To, niestety, była podstawa naszej diety). Raz na jakiś czas z kuchni dobiegały odgłosy w stylu „Ups” albo „O nie”, które sugerowały, że Charlene jak zwykle zmagą się z nieprzychylną użytkownikowi żeliwną kuchenką. Galen przysypiał w fotelu, z głową komicznie przechylającą się na bok. Andrew usiadł na kanapie obok mnie z zamiarem czytania, ale czułam, jak jego spojrzenie przenosi się na mnie, ciężkie i natarczywe. Poświęcana mi uwaga przypominała olej, stłumiłam chęć starcia jej z siebie. Kiedy drzwi znowu trzasnęły, nawet nie spojrzałam w ich stronę.

– Przepraszam – oznajmiła Lucy tym swoim wyrazistym głosem. – Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy na obiad.

Przyniosła ze sobą zapach morza. W jednej dłoni trzymała wiadro, w drugiej – druciany koszyk, w którym połyskiwały muszle. Wciąż miała na sobie kombinezon piankowy oraz narzuconą na wierzch męską kurtkę. Kurtkę Micka. Mężczyzna wszedł za nią do środka, zdejmując buty i brudząc podłogę błotem.

Przez moment widziałam, że innym też ulżyło. Kiedy Lucy odwieszała płaszcz Micka, Galen omiół ją spojrzeniem od stóp do głów, sprawdzając, czy kobieta wciąż posiada wszystkie

kończyny. Forest promieniał i szczyrzył zęby – do tej pory widziałam coś podobnego tylko raz czy dwa. Zazwyczaj każdy przebłysk humoru z jego strony był tylko tym – przebłyskiem. Delikatnym uniesieniem kącika ust, odrobiną wesołości manifestującą się w okolicach brwi. Ten szeroki uśmiech dziwnie wyglądał na jego kościstej twarzy. Mick opadł na kanapę do wtóru jęczących sprężyn. Wiatr zamienił jego włosy w niechlujne ptasie gniazdo.

Wciąż w szeleszczącym kombinezonie Lucy podeszła do Andrew i go pocałowała. Poklepał ją delikatnie po ramieniu, ale spostrzegłam, że jednym palcem zaznaczył sobie w książce miejsce, gdzie przerwał czytanie.

– Jak było? – spytał od stołu Forest.

– W porządku. – Lucy się wyprostowała. – Żadnych problemów. Widziałam absolutnie niesamowite jeżowce. Maszerowały w potwornie wolnym tempie, centymetr po centymetrze. Wszędzie falowały kolce. Znalazłam też olbrzymiego małża. Jednego z największych, jakie w życiu widziałam. Pewnie mogłabym się w nim zmieścić. – Kiedy mówiła, jej dłonie rysowały w powietrzu kształty anemonów. – Było pięknie. Zimno, ale pięknie. Na każdym kroku ogończe albo skorpeny.

– Jakież rekiny? – spytał Forest.

Lucy zastanowiła się.

– Nie bardzo. Zbliżyło się tylko kilka fok pospolitych i spory lew morski. Dotykał mnie nosem, chciał ugryźć mój wąż do oddychania. Musiałam zdzielić go koszykiem. – Umilkła na moment. – Cóż, właściwie widziałam kilka sztuk ze Szczurzego Stada w oddali. Kręciły się wokół Niecki Małż, zachowywały się dość dziwnie. Nie zaczepiały mnie.

– Żadnych Siostrzyczek? – zapytał Galen.

– Żadnych.

Później, ku mojemu zaskoczeniu, Lucy zwróciła się do mnie.

– Chodź tu, specjalistko od myszy – poleciła.

Niecierpliwie pstryknęła palcami, tak jakby przywoływała guzdrzące się zwierzątko. Zgrzytając zębami, podniosłam się z kanapy. Lucy wskazała na swoje wiadro, żółte i plastikowe, wypełnione po sam brzeg.

Zbliżyłam się ostrożnie. Na dnie naczynia leżała bryłka gliny. Pochyliłam się, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Wtedy bryłka drgnęła. Zdusiłam okrzyk zdumienia, kiedy zmieniła kształt, jak kwiat otwierający płatki albo rozwierająca się pięść. Kilka brązowych wąsów przesunęło się po dnie wiaderka. Zwiewny worek podniósł się do góry i zobaczyłam szereg macek.

Odruchowo zrobiłam krok do tyłu. Lucy się roześmiała. Sięgnęła do wody i wyciągnęła małą ośmiornicę. Na moich oczach zwierzę zmieniło kolor, jego skóra zrobiła się chropowata, oblała się intensywną czerwienią. Chude ramiona oplotły się wokół nadgarstka w morderczym uścisku. Workowate ciało zwisało z niego niczym dziwaczna dekoracja na bransoletce z zawieszkami. Żółte ślepia obracały się na szypułkach. Krople wody spadały na podłogę.

– Czyż nie jest piękny? – zapytała Lucy.

* Migrujące jaskółki rdzawoszyje co roku przylatują do leżącej w Kalifornii misji San Juan Capistrano, żeby spędzić tam wiosnę i lato. Tradycyjnie uznaje się, że jaskółki pojawiają się 19 marca, czyli w święto św. Józefa, natomiast opuszczają teren misji i przenoszą się na południe 23 października, to jest w dzień św. Jana (przyp. tłum.).

Jest październik i większość żarłaczy białych zniknęła. Unikają chłodniejszych miesięcy niczym turyści w Wenecji. Galen i Forest znakują je od lat, przyczepiając elektryczne urządzenia do wszystkich stworzeń. Te maszynki, umocowane poniżej pletwy grzbietowej, przekazują dokładną lokalizację miejsc, gdzie zimą rekiny rozmnażają się i polują. Zwierzęta podróżują na południe, na cieplejsze morza; płyną też na zachód, dręcząc surferów na Hawajach. Sądziłam już, że moja szansa na spotkanie z rekinem przepadła.

Potem, tydzień temu, Forest wpadł do mojego pokoju o szóstej rano. Nadchodził świt, niebo na wschodzie pojaśniało.

– Wstawaj – krzyknął. – Koło Głowy Cukru jest prawdziwa masakra! – Kopnął brzeg łóżka. – I nie zapomnij aparatu.

Wstałam ocieźzale. Nie spałam dobrze. W chacie była teraz ośmiornica i nie mogłam przestać o niej myśleć. Lucy zatrzymała to małe, wyciągnięte z morza stworzenie. Ośmiornica Oliver, tak je nazwała, używając asonansu rodem z kreskówki. Bóg jeden wie skąd – chyba z jakiejś szafy – wydobyla stare akwarium i wypełniła je za pomocą wody morskiej, bryłowego kamienia oraz wodorostów sterczących ponad zalegającymi na dnie otoczkami niczym komin dymu. Zrobiła dla niego miejsce na swoim biurku. Ośmiornica mieszkała teraz w jej sypialni, bezpośrednio pode mną.

Z jakiegoś powodu źle mi się przez to spało. Poprzedniej nocy leżałam całymi godzinami, świadoma tego, że ten potwór czai się w ciemności. Rozmyślałam o jego obcym intelekcie. O tych dziwnych, podłużnych oczach. Miałam koszmary. Wyobrażałam sobie szelest ośmiornicy pełzającej przez korytarz, podrygiwanie jej macek, pocałunek jej przysawek.

W dwadzieścia minut po obudzeniu po raz pierwszy znalazłam się na pokładzie Janusa. Słońce jeszcze nie wzeszło, a my już sunęliśmy po wodzie. Przypominająca dym warstwa mgły zasłaniała od wschodu horyzont, rozpraszała światło. Morze wydawało się czarne jak smoła. Zmierzaliśmy na północ. Tamtejsze wysepki przypominały prehistoryczne relikty – to były tego rodzaju poszarpane, pierwotne skały, które mogłyby pojawić się za plecami dinozaurów w filmie dokumentalnym. Nawet mgła wydawała się niesamowita, niezwykła. Każdą wyspę opasała zwiewna biel.

Przysięgam, że wywęszyłam krew, zanim ją zobaczyłam. Była cierpka, oleista. Stado mew krążyło nieopodal Głowy Cukru – trafnie nazwanego, niezgrabnego, cebulowatego wzniesienia. Ptaki wrzeszczały. Widziałam, jak trzy z nich wdały się w walkę na błyskające dzioby. Potem fragment mgły się rozsunał niczym kurtyna w teatrze i pojawiła się krew. Była fosforyzująca, rozlana po powierzchni morza. Jaśniała na tle jednolitej szarości. (Dowiedziałam się później, że krew fok zawiera tak dużo tlenu, że wystawiona na świeże powietrze wydaje się odblaskowa). Rozszarpana padlina wciąż była widoczna, podrygiwała na falach. Foka rozmiaru człowieka. Fioletowe paski mięsa. Ogon szeroki jak rękawica łapacza. Nie miała głowy. Cokolwiek ją zabiło, czysto oddzieliło łeb od reszty ciała. Krew wciąż wypływała z poszarpanej rany w miejscu, gdzie zwierzę miało kiedyś szyję. Przechyliłam się przez burtę łodzi, zastanawiając się, czy zaraz zwymiotuję.

Za dużo się ostatnio dowiedziałam na temat żarłaczy białych. Wiem, że jako gatunek są starsze od drzew. Wiem, że przetrwały cztery globalne fale masowych wyginięć. Wiem, że rodzą się żywe, a nie wykluwają z jaj jak większość ryb. Małe rekinki przychodzą na świat w pełni ukształtowane, długości nieco ponad metra, od razu z rozbudzonym instynktem drapieżcy. Żarłacze białe mają swój własny szósty zmysł używany do wykrywania zwierzyny: wychwytyują

impulsy elektryczne generowane przez mięśnie znajdujące się w ruchu. Wyczuwają też krew w wodzie z odległości kilometra. Ich dziwaczna metoda pływania, z pyskiem kiwającym się z boku na bok niczym w wahadle, pomaga im dokładnie śledzić dany zapach. Mnie kojarzą się z ludźmi, którzy przekrzywiają głowy, próbując zlokalizować źródło odległego dźwięku.

Wiem, że żarłacze białe są ciepłokrwiste. W przeciwieństwie do innych rekinów nie rozpoczynają dnia wychłodzone i niemrawe, czekając, aż zaskoczy ich system nerwowy, powoli kumulując siły potrzebne do polowania. Żarłacze białe są zawsze gotowe do polowania. Są niezwykle także pod innymi względami, zupełnie niepowtarzalne. Wyskakują czasem z wody jak wieloryby. Nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego to robią – żeby zerknąć na otoczenie albo strącić przyczepione do siebie remory. Może robią to dla zabawy. Zdarzało im się w ten sposób lądować na łodziach. W rzeczy samej, kilka osób zabitych przez rekiny wcale nie zginęło w wodzie; to były przypadkowe ofiary dwutonowej ryby, która w swoim beztróskim entuzjazmie nie spostrzegła, że jej olbrzymie cielsko zmierza nie w kierunku otwartego morza, ale prosto na pokład nieszczęsnego stateczku.

Tego ranka Forest stał u steru Janusa. Galen miał w dłoni lornetkę. Mewy były zajęte, masa skrzydeł ponad opalizującą plamą. Pstrykałam zdjęcie za zdjęciem: wysepki otulone mgłą, ptaki żądne krwi i kałuża szkarłatu płonąca niczym ognisko.

Potem Forest wyłączył silnik i wskazał na ocean.

– Patrzcie tam – powiedział.

– Co takiego? – zapytałam, ostrożnie podchodząc bliżej.

Powierzchnia wody faktycznie wydawała się dziwna. Pojawiło się wybrzuszenie inne niż poszatkowane fale. Chwilę później płetwa rozcięła morską toń. Rekin poruszał się szybko. Ledwo zdążyłam ogarnąć wzrokiem masywny korpus i śliską skórę, a już znowu zanurkował, znikając z pola widzenia. Zaparło mi dech, gdy ujrzałam kolejnego przepływającego obok. Z początku trudno było dojrzeć ich sylwetki na tle ciemnego morza. Dwa rekiny. Trzy. Żaden z nich już się nie wychylił nad powierzchnię. Śledziłam je moim wzrokiem laika, zastanawiając się, czy wszystkie z nich to Siostrzyczki.

Jednak Forest pokręcił głową.

– To tylko Szurcze Stado – powiedział. – Te, które nie popłynęły na cieplejsze wody.

– Samce, samce, samce – zgodził się Galen. – Nic szczególnego, obawiam się.

Przytaknęłam, ściskając aparat. Żarłacze białe były czarne. Nie spodziewałam się tego. Nie tylko były czarne, ale Galen zaczął wyjaśniać, że opalały się na słońcu, aż lśniły niczym węgiel. Tylko ich brzuchy pasowały do nazwy. Od spodu wydawały się równie blade, co góry lodowe. Ten rodzaj ubarwienia był powszechny w wodnym świecie, gdzie światło było wszystkim. Widziane z góry, ryby mogły wtopić się w skaliste dno. Widziane od spodu, chciały być przez pomyłkę wzięte za niebo.

– Tam – krzyknął Forest. – Tam!

Galen niemal wypchnął mnie za burtę, kiedy pomknął na drugą stronę łodzi. Janus zakotłosał się od jego kroków. Wydałam z siebie krzyk oburzenia i strachu, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Siostrzyczka wyrosła z wody niby łódź podwodna. Przystanęła wzdłuż naszego stateczku. Jej płetwa grzbietowa wyglądała jak czarna flaga. Poczulałam grozę, którą uosabiała, to uczucie przeszło mnie aż do szpiku kości. W jakiejś dotychczas nieużywanej części mojego mózgu zapaliła się lampka. W codziennym życiu zazwyczaj nie musiałam przejmować się drapieżnikami. Teraz jednak byłam przeraźliwie świadoma swojego miejsca w łańcuchu pokarmowym. Siostrzyczka stanowiła ponad sześć metrów grozy odzianej w ciasną, łuskowatą skórę.

Forest mnie szturchnął.

– Rób zdjęcia, głupolu.

Pstryknęłam ten chciwy pysk i połyskliwe okrycie. Nie mogłam uwierzyć, jaka jest wielka. Jej długość była mniej przerażająca niż obwód. Szeroka na blisko trzy metry, była obszerniejsza niż nasza łódź. Mogłabym się położyć w poprzek na jej grzbiecie. Nagle zrozumiałam, o co całe to zamieszanie. Szczurze Stado było interesujące, na pewno. Ale Siostrzyczka należała do rodziny królewskiej. Niektóre kultury wielbiły rekiny jako bóstwa. Kiedy na nią patrzyłam, łatwo było zrozumieć, dlaczego tak się działo.

Machnęła ogonem. Janus się zachybotał; Siostrzyczka poruszyła całą łodzią. W ręce zaciśniętej wokół aparatu poczułam skurcz. Ujrzałam oko, czarne i nieprzeniknione. Pojawił się szereg zębów. Siostrzyczka dotknęła pyskiem ofiary tak jak pies, który ma zdecydować, czy przyjąć przysmak od swojego pana. Później połknęła martwą fokę. Pożarła ją całą. Mewy, jak zauważyłam, zniknęły. Obecność Siostrzyczki rozgoniła je jak liście na silnym wietrze. Zapanowała upiorna cisza.

– Choć raz jest sama – powiedział Forest. – Ciekawe, gdzie Bliźniaczki.

– Rychłóż się zejdzem znów*? – mruknął Galen.

Obserwowaliśmy ją przez pół godziny. Galen wyciągnął spod jednej z ławek manekin, styropianową deskę do surfowania. Wyrzucił ją za burtę. Jednak Siostrzyczka się nią nie zainteresowała. Sunęła nozdrzami przez krwawą plamę, upewniając się, że pożarła każdą drobinę mięsa. Jej płetwa grzbietowa była podziurawiona; wyglądała, jakby oberwała ze śrutówki. Galen potrząsnął zachęcająco deską, tak że ta poruszyła się jak foka. Ale Siostrzyczka nie dała się oszukać. Skończyła posiłek i teraz leniuchowała na powierzchni wody. Nie była nieruchoma – w bezruchu jej skrzela przestałyby działać i udusiłaby się – ale posuwała się do przodu w możliwie nieznacznych drgnięciach, centymetr po centymetrze. Wylegiwała się w słońcu i sprawiała wrażenie, jakby zapadała w rekinią wersję popołudniowej drzemki.

Forest uruchomił silnik. Janus podpłynął do odsuwającej się Siostrzyczki. Ciarki mnie przeszły, gdy znowu znaleźliśmy się obok niej. Była wystarczająco wielka, żeby zostać jeszcze jedną z wysepek archipelagu.

– Pogłaskaj ją – powiedział do mnie Forest.

Galen wyciągnął dłoń i położył ją na grzbiecie rekina. Skulona ze strachu czekałam na jej reakcję. Jedno uderzenie ogona mogło strzaskać kadłub. Gdyby była nie w humorze, mogłaby zatopić naszą łódź i pożreć nas w ciągu kilku minut. Galen trzymał palce oparte na patchworku łusek. Nie było widać żadnej wyraźnej odpowiedzi na jego dotyk. Poklepał ją delikatnie, z obłędem w oczach. Po chwili też wyciągnęłam dłoń. Ciało rekina było zimne, szorstkie w dotyku. Pogładziłam jej klatkę żebrową delikatnym, czułym ruchem, po czym cofnęłam dłoń z bolesnym jękiem.

Moje palce krwawiły. Wyglądało to tak, jakbym przesunęła nimi po tarce do sera. Za plecami usłyszałam chichot Foresta. Wszystko w tym miejscu, nawet skóra rekina, było niebezpieczne.

* William Szekspir, *Makbet*, tłum. Józef Paszkowski, Bydgoszcz 1991, s. 80.

SEZON WIELORYBÓW

Przybywają późną jesienią, stadami przepływając obok wysp. Widziałam je, prześlizgujące się przez morze niczym złe sny. Pomimo swojego rozmiaru wieloryby są w jakiś sposób nieuchwytnie. Udają fale, chmury, wysepki, refleksy światła. Płetwale błękitne. Pływacze szare. Niejeden raz wpatrywałam się w to, co omyłkowo brałam za pustkę oceanu, by nagle ujrzeć kolumnę mgły strzelającą w kierunku nieba – gwałtowny wydech – i zdawałam sobie sprawę, że woda pełna jest masywnych kształtów.

Mick to nasz ekspert od wielorybów. Ma za zadanie liczyć i katalogować zwierzęta, prowadzić rachunek samców, samic i młodych. Podróżują na północ w poszukiwaniu kryla. Fiszbinoce, największe stworzenia na ziemi, aby przetrwać, jedzą jedne z najmniejszych. Zmierzają w stronę bieguna, gdzie kryl występuje w takim zagęszczeniu, że czyni wodę matową i nieprzejrzystą. Mick tam był. Widział pływacze szare rzucające się na oślep w kąpielii pełnej pożywienia i wyrażające radość, śpiewając do siebie nawzajem.

Najbardziej lubi humbaki. Przemieszczają się w rodzinnych grupkach, tworzą między sobą silne więzi. Z natury koczownicze, nie posiadają wyobrażeń stałości albo domu. To śpiewacy operowi wodnego świata, jednak większość ich muzyki trafia w poddźwiękowe albo naddźwiękowe częstotliwości, niesłyszalne dla ludzi. Nasze uszy są za małe; moje całe ciało mogłoby zmieścić się wewnątrz płuca humbaka.

Zanim ludzie wypełnili ocean hałasem – burzącymi wodę łodziami, dudnieniem platform wiertniczych, wibracjami podwodnych kabli – śpiew wielorybów był w stanie obieć cały świat. Mick mi o tym opowiadał. Poraziła mnie ta myśl – nie o zwierzętach, ale o samej muzyce. Pojedyncza pulsująca nuta. Wyobraziłam sobie wibracje przechodzące przez lasy listownic, poruszające meduzami, wprowadzające skorupiaki w błąd przez swoje podobieństwo do grzmotu, każące im kryć się w jaskiniach. Jeden silny dźwięk biegnący ponad zamiatanymi przez fale łatami piasku – oceanicznymi odpowiednikami pustyń – gdzie nie ma roślin ani ryb. Jeden silny dźwięk wędrujący przez rafy koralowe i podwodne wąwozy, budzący w odpowiedzi popiskiwanie delfinów, irytujący morskie ptaki odpoczywające w przestrzeni pomiędzy morzem a niebem. Wreszcie ta muzyka dotarłaby do swojej publiczności: do innego wieloryba, na drugim krańcu świata.

Obecność tych zwierząt wytrąciła mnie z równowagi. Nie są ani drapieżnikami, ani zwierzyną. Istnieją niejako poza łańcuchem pokarmowym. W jakiś sposób istnieją nawet poza zwykłą czasoprzestrzenią. Żyją w świecie zjawisk wielkich i powolnych – pływów, sztormów, prądów magnetycznych. Często nurkują ku atramentowym głębinom oceanu, gdzie nie dociera światło słoneczne. Zamieszkują niebieski świat, z dala od lądu, wyskakują z wody w powietrze i wpadają z powrotem w odmęty, ślizgają się na granicy ciemności i światła. Rzadko pojawiają się na tyle blisko brzegu, żeby pokazać się ludziom. Wyspy Farallońskie są pod tym względem – jak i pod wieloma innymi – wyjątkowe. Jesień tutaj to Sezon Wielorybów.

Jest listopad. Początek miesiąca, jak sądzę, ale nie mam pewności. Od jakiegoś czasu nie zaglądałam do kalendarza.

Jak dotąd nie udało mi się sfotografować wielorybów. Próbowalam, ale nieustannie mnie pokonują. Zawsze są zbyt daleko, żeby poddać się mocy teleobiektywu. Zbyt duże, żeby zmieścić się w kadrze. Poza tym jest w ich ciałach coś pozbawionego walorów artystycznych. Jakby jakaś ich cecha gubiła się między wierszami. Ich uszy i oczy giną pośród pąkli i blizn. Ich usta są dziwnie ukształtowane. Ich nozdrza to groteskowe otwory, wyglądem plasujące się gdzieś pomiędzy wulkanem a odbytem. Nawet młode nie są specjalnie fotogeniczne. Pływacze szare

rodzą się długie na pięć metrów i ważą tonę.

Niezrażona, kontynuuję pracę. Wspięłam się na Latarniane Wzgórze i godzinami przesiaduję na zboczu, spoglądając na zachód, gdzie wieloryby przepływają w nieregularnych, niemożliwych do przewidzenia odstępach. Są tajemnicze. Pojawiają się w moich snach, pławią się w bezkسیężycowym oceanie mojego umysłu, zamiatając ogonami, wyrzucając w powietrze wiele litrów wody, śpiewając wystarczająco głośno, żebym się obudziła.

Jednego dnia ujrzałam płetwala błękitnego. Byłam wysoko na wzgórzu i próbowałam ustawić mój statyw na kruszącym się granicie. Stworzenie nagle wyrosło ponad fale. Moją uwagę przyciągnął hałas – gwiżdżące tchnienie jego oddechu. Był kilkanaście metrów od brzegu. Rzadko się to zdarzało. Prawdziwy cud. Był większy niż budynek, większy niż dinozaur. Znałam statystyki: ile szkolnych autobusów zrównoważyłoby jego wagę, ile boisk piłkarskich odpowiadałoby długości jego kręgosłupa.

Nie byłam w stanie objąć tych jego gigantycznych gabarytów. Pstryknęłam jego nos. Paszczę, cętkowaną od glonów. Olbrzymią płetwę, która rozrzucała krople wody niczym gwiazdy. Przekrzywiony ogon. Przypomniła mi się przypowieść o słoniu w ciemnym pokoju. Jedna osoba dotyka jego trąby i opisuje zwierzę jako drzewo; następna dotyka torsu i opisuje je jako ścianę, trzecia zaś dotyka ogona i opisuje je jako linę. Moje zdjęcia były podobnie fragmentaryczne. Same kawałki, nie pokazywały całości. Nie oddawały jego dostojności. Nie oddawały siły, potęgi i wielkości.

Przeglądałam zrobione zdjęcia – wszystkie nieudane, nieładne – kiedy poczułam poklepywanie na ramieniu. Obróciłam się tak gwałtownie, że straciłam oparcie pod stopami. Andrew stał obok i szczyrzył do mnie zęby. Swoją czerwoną czapkę miał na bakier, złoty emblemat puszczał do mnie oko. Ześlizgnęłam się po zboczu, wyrzucając dłoń w poszukiwaniu ratunku. Andrew złapał mnie za ramię. Przyciągnął mnie bliżej, przycisnął do siebie. Otulił swoim uściskiem.

– Biedna Melissa – powiedział. – Ciągłe się przewracasz.

– Puść mnie.

Wzmocnił swój chwyt. Mój aparat utknął między nami, wbijał mi się w klatkę piersiową.

– To boli – powiedziałam.

Puścił mnie, dał krok w tył. Zadrżałam.

Usłyszeliśmy jakiś hałas i Lucy pojawiła się na wzgórzu. Chyba po raz pierwszy ucieszyłam się na jej widok. Dyszała, twarz miała purpurową z wysiłku. Pukiel włosów spływał jej przez policzek. Miała zacięty wyraz twarzy.

– Chodzisz za szybko – powiedziała do Andrew. – Nigdy na mnie nie czekasz.

– Zobacz, kogo znalazłem – odparł.

Lucy spojrzała w moją stronę, ocierając czoło rękawem.

– O, nasza specjalistka od myszy – oznajmiła. – Widziałaś jakieś sówki ziemne?

Nie byłam pewna, co odpowiedzieć.

– To inwazyjny gatunek – wyjaśnił Andrew. – Żywią się myszami.

– Nie przynależą tutaj – dodała Lucy. – Staramy się je przepędzić, ale zawsze wracają. To niekończąca się walka.

– Aha – odparłam.

Odwróciła się.

– Sprawdźmy Wysypisko, kotku. Wczoraj widziałam tam parę.

Nie pożegnała się ze mną. Ruszyła w dół zbocza z warkoczem huśtającym się za plecami.

Andrew posłał mi całusa.

Tego wieczora Lucy przyniosła ośmiornicę do pokoju dziennego. Wszyscy byliśmy na

dole, tak jak każdego dnia, siedem ciał upchniętych na niewielkiej przestrzeni. Galen i Forest czytali na przeciwległych końcach kanapy, Mick bazgrolił jakieś notatki dotyczące wielorybów w dzienniku, Andrew zajął miejsce przy stole, a Charlene zmywała naczynia. Siedziałam na podłodze, jeszcze raz przeglądając ujęcia na moim cyfrowym aparacie i kasując niewypały. To mój nocny rytuał. Miną miesiące, zanim będę w stanie wywołać swoje zdjęcia. Na razie pozostają w stanie na wpół realnym, błyskają na ekranie – zmagazynowane elektronicznie impulsy na karcie pamięci – stanowiąc raczej ideę niż dzieło sztuki.

Byłam świadoma spojrzenia Andrew utkwionego w moich plecach. Głośnego oddechu Galena. Zapachu potu Micka. Ciągłego podrygiwania nóg Foresta. Tutaj nie ma spokoju, samotności. Wciąż jeszcze nie nauczyłam się ignorować nieustannej obecności pozostałych. Z troski o moją poczytalność muszę szybko nabyć tę umiejętność.

Potem Lucy wybuchła śmiechem. Zaskoczył mnie ten dźwięk. Stała w drzwiach do swojej sypialni z czymś w złaczonych dłoniach. Położyła ośmiornicę na podłodze. Najwyraźniej wyciągnęła ją z akwarium. Strząsnęła wilgoć z dłoni. Przez moment Oliver nie ruszał się, bezpiecznie zwinięty w kulkę. Jego przyssawki wywinięte były na zewnątrz, zmięte niczym koronki. Połyskiwało jedno żółte ślepie.

Rozwinął się niespodziewanie, w niepowtarzalnym geście; każda z ośmiu nóg wyciągnęła się w inną stronę. Worek jego ciała zapadł się jak balon, z którego spuszczone powietrze. Żadnych kości. Nie miał żadnych kości. Zaczął wlec swoje ciało w moim kierunku.

Poderwałam się na nogi, cofnęłam. Wpadłam na kanapę. Oliver zmienił kolor, ciemniejąc z piaskowej ochry ku wścieklej czerwieni. Miał tę samą barwę, co czapka Andrew. Jego ruchom towarzyszył zaskakująco głośny hałas. Ssał i ślizgał się. Wił się i skręcał. Nagle zmienił kierunek. Jedno długie ramię powędrowało w bok i szarpnęło. Jego ciało przeturlało się, skórę pokrył kurz.

– Nie może oddychać – powiedziałam. – Nie umrze?

Lucy nie odpowiedziała. Spoglądała na swojego pupila z czymś na kształt dumy. Zdałam sobie sprawę z tego, że stoję przy Micku i wpijam palce w jego sweter.

– Nic mu nie będzie – odrzekł Mick. – Mogą wstrzymywać oddech przez trzydzieści minut albo coś koło tego. Patrz, jak biegnie! Próbuje zwiać.

Było w tej scenie coś jednocześnie beznadziejnego i pełnego nadziei. Ośmiornica nie wiedziała, że znajduje się kilometr od brzegu. Nie miała pojęcia o czekających po drodze przeszkodach, które musiałaby pokonać, żeby wrócić do oceanu. Szmata ostrego, nierównego granitu. Mnóstwo bezlitosnego, suchego powietrza. Nad głową drapieżne ptaki morskie. Obojętne, może nawet rozbawione spojrzenia biologów. Ośmiornica nie miała pojęcia, jak skutecznie została uwięziona.

– Stąd nie ma ucieczki – powiedziała Lucy.

Chciałabym, żebyś tu była. Chciałabym, żebyś była gdziekolwiek.

Przez te wszystkie lata próbowałam pogodzić się z faktem, że piszę do Ciebie, a Ty nie odpowiadasz. Udawałam, że jest w tym wszystkim – w akcie przelewania myśli na papier – jakiś element terapeutyczny. Wyobrażałam sobie, że jeśli przez cały dzień będę kolekcjonować dla Ciebie anegdoty, będę w stanie zatrzymać Cię przy sobie. Relacja z drugą osobą to obustronne zobowiązanie, w ramach którego obie strony sięgają do siebie nawzajem przez pustkę. Ty może odeszłaś, ale sądziłam, że jeśli nie przestanę sięgać w Twoim kierunku, jakaś część naszej więzi ocaleje.

Bywa nawet, że łapię się na opowiadaniu sobie samej własnego życia, godzina po godzinie – to notatki do mojego następnego listu do Ciebie. Czasami wydaje mi się, że jestem dwiema różnymi osobami – tą, która wykonuje jakąś czynność, oraz tą, która ją później opisuje.

Nalewając sobie filiżankę herbaty, myślę na przykład: *Para buchnęła ponad brzeg naczynia i wypełniła powietrze zapachem cynamonu*. Spacerując po wyspach, myślę: *Widziałam pięć ptaków krążących wokół latarni, wspinających się coraz wyżej i wyżej na powietrznych prądach; skrzydła miały rozpostarte, ale nieruchome i sztywne niczym płaty latawca*. Większość dorosłych nie przeżywa w ten sposób swojego życia, nie relacjonują każdej chwili w czasie przeszłym, jak obiektywny obserwator. Jednak dla mnie stało się to odruchem. Pisuję do Ciebie od tak dawna, że mam wrażenie, że nic się nie wydarzyło, póki Ci o tym nie opowiem. Cykl życia każdego wydarzenia rozpoczyna się od samego zajścia, osiąga *crescendo* w postaci poczynionej obserwacji, by dokonać żywota w postaci rzeczowników i czasowników. Żadne zdarzenie nie dobiega końca, póki nie zostanie przelane na papier. Dla Ciebie.

Ale ostatnio do Ciebie nie pisałam. Nie byłam w stanie. Wydarzyło się coś strasznego – tak strasznego, że odebrało mi moje słowa.

W międzyczasie próbowałam pisać. Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Ale nie mogłam się do tego zabrać. Mój umysł był pusty. Wyciągnęłam papier i ołówek, przez jakiś czas siedziałam, gapiąc się na nie, a potem odchodziłam, pozostawiając kartkę czystą, niezapisaną. Któregoś dnia wysłałam pocztówkę do ojca, na której napisałam po prostu: *Status quo*. To było wielkie, paskudne kłamstwo. Nie mogłam napisać prawdy. Kiedy Charlene przysiadła obok mnie przy kuchennym stole i poważnym głosem zapytała, jak się mam, wydałam z siebie jakieś wymijające pomruki i pokręciłam głową. Nie powiedziałam nic, co miałoby jakieś znaczenie. Nawet ta moja zwyczajowa narracja, moja wewnętrzna, niekończąca się narracja, mnie opuściła. Razem z Mickiem chodziliśmy na typowe dla nas długie spacerunki w chłodnym powietrzu, przedzieraliśmy się przez mgłę. Trzymałam się jego ramienia, żeby nie stracić równowagi, i milczałam jak grób.

Wszystko zaczęło się pewnego listopadowego wieczora. Tamto popołudnie dla wszystkich było długie i wycieńczające. Rozbite okno. Ranny nurniczek. Pofałdowany, zdradziecki ocean, który wbrew ich woli zmusił Galena i Foresta do pozostania na lądzie, gdzie nie mieli do roboty nic poza marudzeniem. Ja spędziłam całe godziny na zewnątrz, próbując złapać kilka dobrych ujęć humbaków. Razem z Charlesem, moim aparatem i starym dobrym przyjacielem, spędziłam na brzegu zdecydowanie za dużo czasu; zapomniałam o jedzeniu, nadwerżyłam sobie kostkę na śliskich kamieniach i przemarzłam na kość. Humbaki pozostały nieprzejednane. Mimo moich wysiłków były wstydliwe i pokazywały się spory kawał od brzegu, błyskając oczami i płetwami. Wracając do domu, mogłam pochwalić się tylko obolałą nogą oraz lekkim katarem.

Zanim nadszedł czas obiadu, wszyscy mieliśmy już dość. Mick ugotował makaron, podczas gdy Andrew przygotował sałatkę owocową z zawartości nielicznych ocalałych konserw. Wciąż pamiętam każdy szczegół tego posiłku. Warkocz Lucy, owinięty wokół ramion niczym wąż. Kciuk Galena opatrzony bandażem. Wełniana czapka Andrew, ze złotym rozbłyskiem na boku, w miejscu, gdzie na materiał naszyto maleńkiego feniksa. Ależ mam dość oglądania tej czapki! Rozmowa była gwałtowna i żarliwa, choć wiele słów wpadało mi jednym uchem, a wypadało drugim. Galen i Forest dogryzali sobie nawzajem, posługując się niezrozumiałym, biologicznym szyfrem. Lucy trajkotała na temat nurzyków zwyczajnych. Andrew nie mówił wiele. Siedział tylko i wydawał się znudzony. Jego nieliczne komentarze, jak zauważyłam, były raczej z gatunku pikantnych: dotyczyły relatywnie gigantycznego rozmiaru penisa pąkli albo agresywnych zwyczajów godowych mew. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy patrzył na mnie, czy po prostu przypadkiem znalazłam się na linii jego spojrzenia. Charlene była naszym dobrym duchem. Zadawała najwięcej pytań i czułam się lepiej, wiedząc, że ktoś jeszcze jest równie zagubiony jak ja. Nigdy nie zadawałam żadnych pytań. Byłam za bardzo w tyle, wdeptana w pył. Mogłabym zapytać: „Co to takiego ten nurzyk zwyczajny?” albo „Kogo obchodzi, czy rekiny łączą się w pary na całe życie?”. Odpowiedziałyby mi tylko puste spojrzenia.

Piliśmy wino. Pamiętaj o tym, bo później okaże się to ważne. Nigdy nie miałam w zwyczaju dużo pić; nie podoba mi się ostry smak alkoholu, a jeszcze mniej pojawiający się później mentalny mętlik. Nie należę do ludzi, którzy lubią zamęt w głowie. Ale Mick od tygodni trzymał kilka butelek pod gankiem, chowając je przed wszystkimi. Tej nocy potrzebowaliśmy czegoś, żeby trochę się rozweselić. Tej nocy pomyślałam, że przy podobnie świątecznej atmosferze wypada wypić lampkę – albo trzy czy cztery – do towarzystwa.

Położyłam się spać późno. Pamiętam, że zderzyłam się z futryną, przekonana, że drzwi przesunęły się o kilka cali w lewo. Słyszałam cichy głos Lucy dobiegający z jej sypialni pode mną. Galen, jak wiedziałam, leżał nieprzytomny na kanapie, a jego bezwładne palce wciąż zaciskały się na szyjce butelki. Charlene była w swoim pokoju i miała na uszach słuchawki. Często słuchała muzyki przed pójściem spać, twierdząc, że to pomaga jej zasnąć. Byłam tak pijana, że bawiło mnie patrzeć, jak Charlene próbuje nie zaplątać urządzenia w tę swoją burzę rudych włosów.

Usłyszałam jakiś dźwięk na korytarzu. Mick i Forest rozmawiali szeptem. Potem skrzypnęły frontowe drzwi. Znaleźli się na zewnątrz, na ganku. Najwyraźniej wybierali się poobserwować wieloryby przy świetle gwiazd. Ryzyko było duże, ale byłam zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad konsekwencjami. Wino zmieniło nas wszystkich w pijanych głupców. Leżałam w łóżku, mając wrażenie, że moje ciało jest potwornie ciężkie, że zdecydowanie za długo zmuszona byłam dźwigać to brzemię.

Kiedy zaczęłam zapadać w sen, dojrzałam w kącie pokoju jakiś kształt. To było światło księżycyca – byłam niemal pewna, że to tylko pasmo księżycowego światła. Blade i mizerne. Światło drgnęło, a ja zaczęłam osuwać się w mrok.

Moje sny okazały się niespokojne. Stałam w sali sądowej, twarzą w twarz ze wściekłym sędzią. Oskarżano mnie o odebranie życia – zbrodnię, której popełnienia kompletnie nie pamiętałam. Ława przysięgłych składała się z rezydujących na wyspach biologów. Lucy wyglądała szczególnie złowrogo.

Z początku w mojej sypialni było chłodno, ale stopniowo robiło się coraz cieplej, aż w końcu poczułam gorący zaduch, zaczęłam się nawet pocić. Nie budząc się do końca, zrzuciłam z siebie okrycie. Moje sny się zmieniły. Pojawiła się w nich ośmiornica, pełznąca po materacu, chwytająca moje ciało przysawkami. Nie mogłam się jej pozbyć. Oliver był śliski i mokry, pachniał solą, a jego macki były zaskakująco szorstkie.

Sen znowu uległ zmianie. Teraz torturowano mnie za pomocą jakiegoś średniowiecznego urządzenia – dwie kamienne płyty miażdżyły mnie niczym zgniatany kwiat, przygotowany do ususzenia. Kluczowe wydawało się, żebym przypomniała sobie nazwę tego narzędzia tortur, zanim ono odbierze mi życie. Jednak nie mogłam sobie przypomnieć. Nie mogłam nawet poruszyć ramionami.

Powoli dotarło do mnie, że jest tam ktoś jeszcze. Poczułam oddech na policzku, ciężar na klatce piersiowej. Czyjaś obecność. Coś się trzęsło – cała wyspa albo przynajmniej moje łóżko.

Zajęło mi chwilę, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Zawiniło wino, a także moje sny. Trudno było wyłowić spośród wszystkich wrażeń te rzeczywiście mające miejsce. Wciąż byłam na wpół świadoma obecności ośmiornicy Olivera, jego przysawek obmacujących moją skórę. Czułam nacisk na biodrach, ból w brzuchu. Wciąż słyszałam szorstkie głosy moich oprawców, poskrzypywanie sznurów. Potem zrozumiałam, że ten hałas to sprężyny w łóżku.

Sylwetka mężczyzny. Jego ciało na moim. Starożytne imadło było w rzeczywistości jego klatką piersiową, ciężarem wyciskającym ze mnie dech. Jego twarz pozostawała w mroku.

Wciąż byłam spokojna. Czekałam, aż sen znowu ulegnie zmianie albo aż się obudzę. Myślałam, że może ten człowiek zaraz przeistoczy się na powrót w ośmiornicę, drobną i mokrą. Może to jeden z moich średniowiecznych oprawców, a może obcy... obcy, który wdarł się do mojej dziecięcej sypialni... ale przecież nie byłam w domu ojca... a na wyspach nie mógł zjawić się nikt nieznamy. To musiał być ktoś, kogo znałam. Moje nogi utknęły pod jego nogami. Moje ramiona były uwięzione pod jego ramionami. Nie śniłam już. Zniknęła ośmiornica i zniknęły krępujące mnie sznury, ale mężczyzna pozostał. Potworny ciężar jego rąk i nóg nie pozwalał mi się wyrwać na wolność.

Powinno się w tym miejscu zatrzymać. Możesz sobie wyobrazić, co było potem. Powiem tylko, że nie bolało – niezupełnie. Fizycznie było tylko nieprzyjemnie. Kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się to dziwne. Spodziewałabym się natychmiastowej reakcji obronnej: napiętych mięśni, rozdieranej tkanki, bólu. Ale moje ciało, oglupione przez wino i sen, pozwoliło mu wejść. W takim stanie nie było zdolne odróżnić tego, co robił on, od aktu miłości.

Wtedy prześcieradło zsunęło mu się z ramienia. W blasku księżyca dojrzałam jasne włosy, blade czoło. To był Andrew.

W tym momencie wszystko roztrzaskało się na kawałki. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć po pomoc. Jego dłoń natychmiast spadła mi na twarz. Dostałam jakiegoś ataku. Wiłam się jak węgorz, prychałam prosto w jego palce. Kopałam to żyłaste, kościste brzemie, jakie stanowiły jego łydki. Jego oczy utkwione były ponad moją głową, odrobinę nieprzytomne; przypominał naćpanego. Jego biodra pompowały jak tłoki, ale reszta ciała stanowiła nieruchomy ciężar. Nie spieszył się. Pocałował mnie niezdarnie w policzek, jak niedoświadczony nastolatek wykonujący pierwszy ruch na randce.

Wygięłam kręgosłup w łuk, próbując uwolnić ręce. Nie mogłam nawet oswobodzić palców. Jego dłonie były zbyt szerokie i płaskie, żeby je ugryźć. Nagle atak minął, równie niespodziewanie, jak wcześniej się pojawił; pozostawił mnie bezwładną.

Z tego, co nastąpiło potem, pamiętam niewiele. Zanim Andrew mnie zostawił, mogły minąć minuty albo godziny. Nie jestem w stanie spisać tu wszystkich osobliwych myśli, które przychodziły mi wtedy do głowy. Myślałam o Lucy, która spała w sypialni pode mną. O Charlene kryjącej się za swoją muzyką. O Galenie, który miał niby wiedzieć o wszystkim, co się tu dzieje. O Micku i Foreście, gapiących się na wieloryby. O odkrywcach na księżycu. O Tobie... Tobie... Tobie. Twojej trumnie. Twoim grobie. Twoich kościach, mięśniach, wszystkim, co spadło w głąb ziemi. O wszystkich pierwiastkach, które kiedyś czyniły Cię żywą kobietą. O maleńkich cząsteczkach, które kiedyś były Tobą, rozrzuconych po świecie, niesionych

wraz z deszczem. O tym, jak rozpadamy się na części składowe.

Andrew wciąż się poruszał. Dyszał i charczał. Pozwoliłam, żeby moje spojrzenie wędrowało po pokoju. Czułam gorąco jego oddechu. Przestałam o nim myśleć, gdy nagle ujrzałam na ścianie plamę księżycowego światła. Wysoki, smukły kształt. Jeden promień światła celował na zewnątrz, niczym wyciągnięte ramię. Zasłony poruszyły się i sylwetka zadrżała.

Duch stawał się coraz ostrzejszy. Czułam niemal obracającą się tarczę mojego mentalnego aparatu fotograficznego, sprawiającą, że zjawę widać było coraz wyraźniej. Dojrzałam rozkołysaną koszulę nocną. Kościste nadgarstki. Płaszczyznę policzków.

Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam. Była równocześnie bardziej i mniej rzeczywista – surowa, eteryczna, lodowata. Jej ciało miało nieokreśloną gęstość, przelewało się przez mrok i światło księżyca. Jej tułów był perlismą smugą, palce widać było równie wyraźnie, co klawisze fortepianu, nogi rozplywały się w mgiełkę. W miejscu jej oczu ziały dwie ciemne dziury. W wyrazie jej twarzy uwidaczniało się znużenie, jakby przybieranie cielesnej postaci kosztowało ją wiele wysiłku.

Po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego między duchami a ideą fotografii trwa konflikt. Byłam pewna, że ta zjawy nigdy by się nie pojawiła na kliszy. Przypominała słupek soli wrzucony do wody – rozpuszczalny i przepuszczalny, mieszający się z otaczającą go cieczą. Aparat nie zdołałby dostrzec jej tak, jak ja ją widziałam. Jego mechanizmy zaprojektowano z myślą o naśladowaniu działania ludzkiego oka – precyzyjnego i obiektywnego – a nie subiektywnego, podatnego na sugestie umysłu.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy zjawy jest piękna. Jej twarz była zbyt ulotna, żeby zarejestrować tak nieistotne cechy jak jej kształtność bądź symetria rysów. Widziałam płonące oczy. Owalną czaszkę. Pośród cieni nie mogłam dostrzec ust. Jej włosy poruszały się na wietrze, którego nie czułam. Potem jej ramię wykonało błagalny gest. Nie miałam wątpliwości co do jej zamiarów. To było powitanie, skierowane przez jednego ducha w stronę innego.

Pewnej zimy Ty i ja wpadliśmy w szal oglądania seriali kryminalnych. Właśnie skończyłam trzynaście lat. Waszyngton był tego roku nieprzyjemnym miejscem, ziemią jałową pełną oblodzonych chodników i szaleńczego wiatru. Deszcz spadał w bezlitosnych ulewach. Śnieg kładł się na zaparkowanych samochodach. Ty i ja szukałyśmy schronienia na kanapie, z miską popcornu pod ręką, oglądając odcinki seriali o policjantach i technikach badających miejsce zbrodni. Klóciłyśmy się, czy prokurator okręgowy bierze łapówki, który podejrzany dopuścił się aktu przemocy, czy niesympatyczny szwagier ofiary może coś ukrywać. Te seriale zazwyczaj dotyczyły morderstw, ale czasami pojawiały się w nich także gwałty.

Sam atak nigdy nie był traktowany szczególnie delikatnie. Zasłaniałaś mi oczy podczas najgorszych fragmentów, ale miałam jako takie wyobrażenie. Zawsze było tam za dużo obnażonego ciała, ujęcie kamery zatrzymywało się na zdzieranym podkoszulku, koronkowa bielizna łądowała na podłodze. Twierdziłaś wtedy, że te obrazy są niepokojące i wynaturzone.

Za każdym razem, kiedy było po wszystkim, ofiara pędziła pod prysznic. Mimo że byłam jeszcze dzieckiem, bardzo mnie to irytowało. Wszyscy przecież wiedzieli o DNA. Wszyscy wiedzieli, że trzeba jechać do szpitala, gdzie pielęgniarki przyniosą zestaw do zbierania dowodów w sprawie gwałtu i znajdą cały potrzebny materiał dowodowy wciąż wypisany na ciele ofiary. Ale nie – to by było zbyt proste. Gdyby ofiara zachowała się logicznie, odcinek skończyłby się po dziesięciu minutach. Zamiast tego ofiara kulila się rozdygotana pod prysznicem i szorowała paznokcie tak długo, aż pozbyła się całego naskórka, który zdrapała z napastnika. Prześcieradła wpychała do pralki. Paliła ubrania, które miała wtedy na sobie. Koniec końców to policjanci, nasi bohaterowie, zmuszeni byli potwierdzić jej wersję wydarzeń, przesłuchując świadków i dwukrotnie sprawdzając każde alibi.

Wtedy wydawało mi się to głupotą. Teraz wiem lepiej.

Moje pierwsze wyraziste wspomnienie po całym zajściu to jak siedzę w wannie, ściskając w dłoniach gąbkę morską. Zimne krople spadały mi na ramiona. W chacie mieliśmy tylko jedną łazienkę i prysznic najwyraźniej dodano po namyśle, przytwierdzając go do ściany za pomocą przyssawki. Tej nocy nie było ciepłej wody. Zużyliśmy całą wcześniej, żeby pomyć naczynia. W lodowatym strumieniu pływały rdzawe płatki. Zęby mi szczękały. Palce miałam tak zdętwiałe, że z trudem trzymałam gąbkę. Gdyby ktoś mnie zapytał, co robię, nie wiem, co bym odpowiedziała. Jakiś potężny wewnętrzny instynkt przejął nade mną kontrolę, mogłam go tylko posłuchać. Pragnęłam czystości. Bezpieczeństwa. Rytuału oczyszczenia. Jeszcze trochę mydła.

Kiedy wyszłam z wanny, ujrzałam w lustrze własne trupio sine wargi. Wyglądałam, jakbym się postarzała o sto lat. Dokuśtykałam do toalety i zwymiotowałam. Zwróciłam obiad, potem lancz, potem śniadanie. Osunęłam się na podłogę i wymiotowałam, póki nie zeszyły mi się ścianki żołądka. Dobrze było splukać cały ten syf, patrzeć, jak spływa w dół kanalizacji.

Prawie nie pamiętam kolejnych dni. Zanim nadszedł ranek, dopadła mnie potworna gorączka. Powiem tyle: czułam się, jakbym postradała zmysły.

Wysp Farallońskich nie stworzono z myślą o chorobach. Ze skaleczeniami i siniakami można było sobie jakoś poradzić. Z przeziębieniami już niekoniecznie. W naszych szafkach brakowało leków. Zapas aspiryny dawno się wyczerpał. I tak byłam zbyt chora, żeby iść na poszukiwania. Leżałam pod przykryciem, bezwładna i oszłamiona. Światło przedzierające się przez rolety przypominało nóż wbijany w skroń. Tymczasem pozostali nie mieli za grosz poczucia solidarności. Galen i Forest powiedzieli, że się do mnie nie zbliżą. Nawet Charlene wsadziła tylko głowę w szparę w drzwiach i posłała mi radosny uśmiech, zachowując bezpieczny

dystans.

To Mick utrzymał mnie na chodzie. Bez niego pewnie zdechłabym z niedożywienia, odwodnienia i samotności. On jeden okazał się niestrudzony w swoim współczuciu. Cały czas mi pomagał, podsuwając mi krakersy i zupę. Kładł swoją pełną odcisków dłoń na moim czole i zapewniał mnie, że lada moment poczuję się lepiej.

Przez trzy dni nie opuszczałam pokoju. Częściowo z powodu choroby – byłam zbyt słaba, żeby stać o własnych siłach – ale przede wszystkim ze względu na Andrew. Jego rozkład dnia nie uległ najmniejszej zmianie. Mężczyzna był wszędzie. Cały czas siedział w chacie. Słyszałam, jak pisze na maszynie. Słyszałam go w sypialni pode mną, jak nuci pod nosem, wertując jakąś książkę. Słyszałam go w kuchni, jak śmieje się z pozostałymi. Jego nastrój, jeśli w ogóle uległ zmianie, to na lepsze.

Nie jestem w stanie opisać, jak się czułam, pozostając tak blisko niego. Mogłabym równie dobrze być królikiem uwięzionym w norze, której wszystkie wyjścia prowadzą prosto do lisiej paszczy. Strach był przytłaczający. Nawet Mick spostrzegł, że coś jest nie w porządku. Wystarczyło, żeby okno zamknęło się z trzaskiem w innym pokoju, a ja podskakiwałam przerażona. Jedynym rozwiązaniem, jakie przychodziło mi do głowy, było ukrywanie się. Przez te trzy dni nie kąpałam się. Nie odwiedzałam nawet łazienki. Zamiast tego korzystałam ze starych zakurzonych butelek i słoików, które od lat leżały rozrzucone po mojej sypialni. Napelniałam szklany pojemnik bursztynowym płynem, a Mick, wierz mi lub nie, posłusznie się go pozbywał.

Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że Mick został wychowany raczej przez kobiety niż przez mężczyzn. Może przez gromadkę trzech siostr? Albo samotną matkę? Ktoś wpoił mu ten rodzaj dobrotliwej bezinteresowności, którą większość kobiet już w dzieciństwie uczy się oferować bez wahania, a która staje się udziałem tak niewielu mężczyzn. Przez cały okres mojej choroby Micka cechowała niezachwiana rycerskość. Siadał na skraju łóżka i patrzył na mnie, upewniając się, że zjem całą zupę. Opowiadał mi głupawe dowcipy, żeby poprawić mi humor.

Na trzeci dzień moja gorączka wystrzeliła w górę. Mick trzymał się blisko, ocierał mi czoło zimną szmatką i naciągał na mnie pościel, ilekroć ją z siebie zrzuciłam. Po jakimś czasie zaczęłam majaczyć. Trzęsłam się i płakałam. Powiedziałam mu, że się boję. Powtarzałam to raz po raz: „Boję się, boję się”. Wydawało mi się niezbędne, żeby pojął ten prosty fakt, a jednak nie byłam pewna, czy wyrażam się dość jasno. Mick wybiegł, żeby znowu namoczyć szmatkę zimną wodą. Potem pogładził mnie po włosach. Powiedział, że każdy, kto chciałby mnie skrzywdzić, musiałby najpierw poradzić sobie z nim.

– Załatwię to – powiedział. – Nie martw się, Mel. Poradzę sobie z tym.

Trzeciej nocy uciekłam. Mick zostawił mnie samą, opatulił pościelą i poszedł pouzupełniać notatki w dzienniku. Leżałam pod narzutą, gapiąc się oszołomionym wzrokiem przez okno. W ciągu mojej choroby nieustannie gubiłam rachubę czasu. Przypominało mi to okres, który nastąpił po Twoim pogrzebie – dni wydarte z kalendarza. Mrugałam i okazywało się, że w międzyczasie upłynęła godzina. Brałam wdech i wydech, a niebo zdążyło pociemnieć. Patrzyłam, jak chmury kłębią się na horyzoncie, poruszając się z prędkością animacji poklatkowej. Wiatr ocierał się o szyby.

Wtedy to usłyszałam. Jęk. Pisk sprężyn w łóżku. Głębokie westchnienie. Piętro niżej Andrew i Lucy uprawiali seks.

Do łazienki dotarłam na nogach jak z waty. Pochyliłam się nad toaletą, starając się znowu zwymiotować, ale nie udało mi się. Powłócząc nogami, wróciłam do pokoju. Byłam tak słaba, że nawet ta mała eskapada mnie wycieńczyła. A jednak bez zastanowienia naciągnęłam na siebie pół tuzina swetrów. Nuciłam pod nosem, żeby odgrodzić się od wszelkiego rodzaju nastrojowych

dźwięków, które mogły przydryfować między deskami podłogi. Z chaty wyszłam przez frontowe drzwi.

Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę z tego, że to fatalny pomysł. Wszystkich nas tyle razy ostrzegano. Łatwo było zgubić się nocą na Farallonie Południowo-Wschodnim. Chata i stróżówka nie stanowiły użytecznych punktów odniesienia – to były tylko ciemne kształty na tle równie ciemnego nieba. Zataczający koła promień latarni morskiej był niestały, wprowadzał zamęt. Ryk morza dochodził taki sam ze wszystkich stron. Nie istniały tutaj wybrukowane ścieżki. Wielu biologów zostało rannych: skręcali nogę w kolanie albo łamali rękę w nadgarstku. Ja sama niemal zostałam wypatroszona przez ostry kamień, i to w biały dzień. Wciąż miałam bliznę po tamtej ranie. Kiedyś jeden stażysta był tak skołowany, że spędził całą noc skulony za głazem, niezdolny do odnalezienia chatki, ale też niechętny, by narażać się jeszcze bardziej, opuszczając mizerne schronienie. Mało brakowało, a padłby ofiarą hipotermii, zanim Galen odnalazł go następnego ranka.

Byli też, oczywiście, ludzie, którzy zniknęli. W dawnych czasach, kiedy złodzieje jaj i piraci opanowali wyspy, jedna lub dwie osoby ginęły każdego roku. Wychodzili na spacer i nikt ich więcej nie widział.

Po kilku minutach zaczęłam się trząść. W powietrzu była mgiełka, wilgoć zbierała się na mojej skórze jak na kawałku gazy. Księżyc tej nocy był jasny, płaskie powierzchnie kąpały się w niebieskim blasku. Wydawało mi się, że widzę przed sobą jakąś postać. Chyba przemieszczała się w stronę stróżówki. Zmrużyłam oczy, serce zaczęło mi łomotać. Ale kształt rozmył się, zniknął. Wokół nie było nikogo innego. Mgła często płatała umysłowi podobne figle, splatając światło księżyca w jasne ogniska, okrywając masy powietrza taflami opalizującego blasku.

Podczas mojego pobytu na wyspach przez większość czasu ignorowałam stróżówkę, tak jak wszyscy inni. Choć stała tylko trzydzieści metrów od chaty, podobna do niej niczym siostra bliźniaczka, nie zbliżaliśmy się do niej, traktowaliśmy ją niczym złudzenie optyczne – pustynny miraż, widziany, ale niedotykany. Mick mówił mi, że niebezpiecznie było chociażby stawać na stopniach prowadzących na ganek tej antycznej konstrukcji, a co dopiero wchodzić do środka. Po tylu latach deski podłogi musiały być przegniłe. Nawet zwierzęta omijały to miejsce szerokim łukiem. Podczas letnich miesięcy mewy panoszyły się po całym terenie wysp, rozkładając się na każdym wolnym skrawku trawiastego podłoża. A jednak do stróżówki wejść nie próbowały. Tylko nietoperze miały chelność przywłaszczyć sobie te pokoje wyścielone pustką i upiornym milczeniem.

Teraz otworzyłam drzwi, skrzypnęły zawiasy. Podłoga pod moimi stopami okazała się gąbczasta. Moje przybycie zaniepokoiło nietoperze, które poderwały się do lotu, wypełniając powietrze szaleńczym łopotem skrzydeł. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Zmięty kawałek jakiejś tkaniny leżał na podłodze, wyglądał trochę jak jedna ze złachmanionych koszulek Foresta. Pachniało stęchlizną, jak wewnątrz jaskini. Zatrzasnęłam za sobą drzwi. Od razu poczułam się lepiej. Jest coś pierwotnego w pragnieniu posiadania drzwi, które można zamknąć i tym samym odseparować się od reszty świata.

Wysiłek związany z tym krótkim spacerem przypawił mnie o zawroty głowy. Miałam mroczyki przed oczyma. Przysiadłam po turecku na podłodze. Nietoperz śmignął obok mojego policzka. Były ich tu setki, może tysiące. Nie zdołałam ich wyraźnie dostrzec – tej ich szarości na tle wszechobecnej czerni – ale wyczuwałam ich poruszenie, krzątanie. Wirowały niczym zamknięta w czterech ścianach trąba powietrzna. Spuchnięty księżyc wisiał nad horyzontem. Snop światła z latarni omiatał morze. Słuchałam huku fal. Czułam zapach pleśni i zgnilizny. Natura na powrót czyniła ze stróżówki swoją własność, a myszy i owady starały się obrócić budynek w ruinę.

Naraz rozległ się jakiś dźwięk. Nie mogłam go zidentyfikować – przypominał coś pomiędzy skrzypcami a syreną alarmową. Przez jakiś czas rozbrzmiewał w pomieszczeniu, potem rozproszył się. Z czymś mi się kojarzył, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Nietoperze coraz bardziej szalały. Poruszały się szybko, przemykały obok mojego ciała, uderzały o mnie skrzydłami, ocierały się o moje policzki. Dotykały mnie bez końca.

Potem zaczęły się wznosić. Stało się to nagle, jakby otrzymały jakiś rozkaz. Widziałam, jak wzbijają się ku górze spiralą, jak tworzą słup szarego dymu. Ich skrzydła wstrząsały powietrzem. Wszystko zdawało się wibrować. Miałam otwarte usta. Wnętrza moich dłoni płonęły. Patrzyłam, jak całe stado ulatuje przez wybite okno. Starczyło ich, żeby przesłonić gwiazdy i wymazać księżyc.

Potem usłyszałam ten dźwięk raz jeszcze. Zew. Lament.

To były wieloryby. Teraz rozpoznałam ich muzykę. Wiatr wpadł przez okno, zepchnął mi włosy z twarzy. Nietoperze wirowały, niesione podmuchem. Byłam zdezorientowana, nie mogłam złapać tchu. Harmonia głosów stawała się wciąż głośniejsza i głośniejsza, aż huczała mi w uszach. Stróżówka wydawała się wirować wokół mnie... albo to ja kręciłam się w jej wnętrzu. Przez chwilę sądziłam, że jestem pod wodą. Krzyknęłam. Mój głos zginął gdzieś pośród ciągnącej się pieśni. Niemal czułam uderzające we mnie fale... albo wiatr... albo nietoperze. Myślałam, że wieloryby też tam są. Coś przewalało się w mroku, wysyłając na wszystkie strony pulsujące fale hałasu i ruchu. Olbrzymie ciała przetaczały się wraz z pływami. Ich płetwy rozpruwały fale, utrudniały złapanie równowagi. Ich ogony wybijały dziury w materii wszechświata. Nadchodziły, by mnie dopaść. Ich muzyka wprawiała moje ciało w drżenie, uderzenia zamieniały mnie w żywy kamerton. Dźwięk był żałobny i jakby nie z tego świata, prawie ludzki, niemal jak jęki przyjemności lub bólu.

Musiałam przysnąć. Może zemdlalam. Kiedy odzyskałam przytomność, stróżówka była pusta i ciemna. Znalazłam się sama w cichym bezruchu.

Może w końcu podjęłabym bardziej zdecydowaną próbę ucieczki. Może w pojedynkę zepchnęłabym łódkę z brzegu i powiosłowała w stronę stałego lądu. (Janus byłby mądrzejszym wyborem, ale w życiu nie zdołałabym uruchomić silnika bez czyjejś pomocy). A może po prostu powiedziałabym komuś o tym, co się stało. Może, jakkolwiek niechętnie, wyjawiałabym tę tajemnicę Mickowi – stanęłabym w jasnym świetle reflektorów, eksponując wszystkie moje rany. Może rozwaliałabym Andrew łeb kamieniem. A może skoczyłabym z okna sypialni, niczym mokre od rosy pisklę rzucające się z klifu, wciąż jeszcze niepotrafiące latać.

Jednak rankiem czwartego dnia wszystko się zmieniło.

Kiedy się obudziłam, słońce było już wysoko. Gdzieś niedaleko panowało jakieś zamieszanie. Przez moment sądziłam, że wciąż jestem w stróżówce – ale nie, w nocy musiałam jakoś wrócić do chaty. Gorączka jak dotąd nie spadła. Pocąc się pod przykryciami, wślizgiwałam się i wyślizgiwałam z gorącego snu, w którym wszystko miało barwę miodu. Obudziło mnie dopiero nachalne stukanie. Ktoś łomotał do moich drzwi.

– Wstawaj! – krzyknął Mick. – Galen wzywa wszystkich na pokład.

– Jestem zbyt chora – odpowiedziałam.

Drzwi się otworzyły i Mick wkroczył do pokoju. Wydawał się jeszcze większy niż zazwyczaj, wizualnie poszerzony przez ciężką kamizelkę.

– Wstawaj – powtórzył. – Potrzebujemy cię.

Przez moment tylko mi się przyglądał. Potem zerwał ze mnie całą pościel. Wrzasnęłam, gdy dźwignął mnie z łóżka. Włożył mi buty. Naciągnął na mnie sweter. Zanim się pozbierałam, wyprowadził mnie siłą z pokoju i zaciągnął w dół schodów. Moje serce waliło tak mocno, że sądziłam, że zaraz zemdleję. Obok przemknął jakiś kształt – prawie krzyknęłam z zaskoczenia – ale to była tylko Charlene owijająca w biegu szyję szalikiem. Wyraz twarzy miała śmiertelnie poważny.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Coś w Wąwozie Mew – odparł Mick. – Nie wiem co. Słyszałem tylko wołanie Galena. Musiało stać się coś złego.

Schodząc w dół zbocza, czułam się jak niemowlę narażone na nadmiar bodźców, bojące się najzwyczajniejszych rzeczy. Słońce było za duże, zbyt jasne. Wiatr przypominał wiadro lodowatej wody wywrócone do góry dnem nad moją głową. Mick trzymał mnie pod ramię, żebym nie rzuciła się do ucieczki. Widziałam stróżówkę podskakującą w rytm każdego mojego chwiejnego kroku. Może mogłabym się tam teraz schować, zatrzasnąć za sobą drzwi i nigdy więcej nikomu się nie pokazać.

Zebraли się na krawędzi wody. Wąwóz Mew był maleńką zatoczką, szczeliną o wysokich granitowych ścianach. Słońce nigdy nie zaglądało do tej zimnej rozpadliny. Serce tłukło mi się w piersi tak mocno, że nawet wzrok działał inaczej. Przy każdym kolejnym uderzeniu cały świat wydawał się podrygiwać.

Mick przyspieszył, marszcząc brwi. Forest odwrócił się i skrzywił na nasz widok. Uniósł dłoń. To był dziwny, niejasny gest... tak jakby chciał nas równocześnie odegnać i przyzwać do siebie.

– Nie wiem, czy powinniście... – krzyknął, a potem urwał. – Może byłoby lepiej, gdybyście... Albo może...

Byłam zaskoczona; nigdy wcześniej nie widziałam, żeby brakowało mu słów. Po chwili odwrócił się bezradnie w stronę Galena.

– Niech podejda – powiedział Galen.

Mick rzucił się do biegu. Puścił moją rękę. Kiedy go zabrakło, straciłam równowagę i potknęłam się. Lucy klęczała, kołysała się w tył i w przód. Na moich oczach wydała z siebie wysoki, nieludzki odgłos, jakby zawroźnienie karetki pogotowia. Charlene przykucnęła obok niej, ale Lucy odpędziła dziewczynę, nie pozwoliła się objąć. Charlene również ocierała łzy.

– O nie – powiedział Mick, spoglądając na dno zatoczki.

Powoli podeszłam bliżej. Uczucie było dziwaczne. Wydawało mi się, że wcale nie idę, ale raczej płynę z prądem nieubłagania niosącym mnie coraz bliżej brzegu. Galen odsunął się na bok, żeby zrobić mi miejsce. Skąła rozdzielała się w poszarpaną literę „V”. W zatoczce morze było ciemne i spienione, przysysało się do wysokich ścian.

Ktoś był w wodzie. Twarzą w dół. Fale targały nim w tę i w tam, potrząsały bezwładnymi ramionami i palcami. Przez jakiś czas gapiłam się w dół, chciałam mieć pewność. Aż za dobrze znałam tę smukłą sylwetkę, marmurową skórę, szerokie barki. Mężczyzna spędził w wodzie tak dużo czasu, że niezupełnie przypominał już człowieka. Mógł stanowić sprytną imitację – dmuchaną lalkę albo manekin do testów wypadkowych. Jego blond włosy zostały zeszepeczone przez brud i krew. Ten jeden raz nie miał na sobie czerwonej wełnianej czapki. Jego spodnie były rozdarte. Kostka zdawała się opuchnięta. Andrew miał na sobie tylko jeden but.

Czasami się zastanawiam, jak dużo z Ciebie naprawdę pamiętam. Przez te lata pielęgnowałam oczywiście każde dostępne mi wspomnienie. Był na przykład ten dzień, kiedy zrobiliśmy sobie piknik w National Mall*. Pamiętam skwar tego złocistego popołudnia, oślepiające światło padające na wysuszoną trawę, bzyczenie pszczół. Był ten wieczór, gdy Ty i tata wdaliście się w tak straszną kłótnię, że aż mnie obudziliście. Pamiętam, jak skradałam się korytarzem ubrana w koszulę nocną, drżąc z zimna i strachu, nasłuchując Waszych głosów w kuchni. Zezłościłaś się do tego stopnia, że rzuciłaś pomidorem, na ścianie została plama (wtedy wydawało się to straszne, z perspektywy czasu – po prostu śmieszne). Był ten poranek, gdy na podwórku znalazłam królika z poszarpanym, zakrwawionym gardłem. Przez kilka następnych godzin Ty i ja na próżno starałyśmy się go uratować, pochylone nad jego drobnym ciałkiem niczym lekarze na oddziale ratunkowym. Pamiętam dzień, kiedy wylałaś kawę na nowiutką spódnicę i się rozplakałaś. Pamiętam ten wieczór, gdy razem zrobiliśmy ruchomy model z kolorowych wyciorów do fajki. Pamiętam zdarzenia. Pamiętam opowieści, ponieważ mogą być powtarzane raz za razem, wyuczone niczym wiersze przygotowane na recital.

A jednak wiele przepadło. Obecnie nie mogę przywołać dokładnego brzmienia Twojego głosu. Nie jestem pewna, czy Twoje oczy były orzechowe czy może barwy nieskazitelnej zieleni. Czy to Ty lubiałaś robić sobie pełny pedikur, oddzielając palce u stóp bawełnianymi wałeczkami i skrupulatnie nakładając kilka warstw lakieru? A może to była jakaś postać z telewizji? Czy to Ty ze świdrującym spojrzeniem oglądałaś debaty przed każdymi wyborami prezydenckimi i zgarbiona przed telewizorem wykrzykiwałaś własne pytania i riposty? Czy może akurat to wspomnienie dotyczy matki jakiegoś znajomego? Utraciłam już tyle szczegółów. Czy miałaś w zwyczaju nosić kolczyki. Czy bałaś się pajaków. Czy Ty i Twoje siostry miałyście jakieś prywatne dowcipy jeszcze z czasów dzieciństwa. Wiele zostało zatracone. Jeśli czas jest rzeką, te wspomnienia opadły na dno, zbyt ciężkie, żeby choćby moment dłużej płynąć z prądem – wpadły w piach, ugrzęzły w rzeczonym mule.

Zastanawiam się nawet, jakie elementy Twojej osobowości mogłam sobie wymyślić. Minęło przecież tyle czasu. Z pewnością część tego, co pamiętam, musi być moim wymysłem. Może wcale nie wylałaś kawy na nową kosztowną spódnicę i nie wybuchłaś płaczem na środku ulicy. To konkretne wspomnienie może pochodzić z jakiegoś koszmaru – ma w sobie coś nierealnego, onirycznego. Może nigdy nie znalazłyśmy na podwórku rannego królika. Gdy o tym teraz myślę, faktycznie przypomina to fabułę opowiadania, które kiedyś czytałam.

Za każdym razem, gdy coś pamiętamy, zmieniamy to. Taka już natura naszego mózgu. Wyobrażam sobie wspomnienia jako pomieszczenia w domu. Kiedy wchodzę do środka, nie mogę się powstrzymać przed zmienianiem pewnych rzeczy – roznoszę po wnętrzu błoto, przesuwam meble, kopnięciem wzbijam w powietrze kłęбки kurzu. Z czasem te drobne zmiany się kumulują.

Fotografie jeszcze przyspieszają ten proces. Moja praca jest wrogiem pamięci. Ludziom często wydaje się, że robienie zdjęć pomoże im dokładnie zapamiętać pewne wydarzenia. W rzeczywistości dzieje się coś odwrotnego. Nauczyłam się zostawiać aparat w szufladzie podczas ważnych okazji, ponieważ zdjęcia mają pierwszeństwo przed wspomnieniami. Mogę mieć wrażenia zapisane w umyśle albo obrazy ściskane w dłoni – ale nie jedno i drugie.

Pamiętać oznacza spisywać na nowo. Fotografować oznacza zastępować. Jedyne pewne wspomnienia, jak sądzę, to te, które zostały utracone. To te mroczne zakamarki umysłu. Nieotwarte, niedotykane, nienaruszone.

Jedno, co wiem – jedno, co bez wątpienia pamiętam – to że wierzyłaś w Boga. Jestem tego bardziej pewna niż czegokolwiek innego. Ty i tata często dyskutowaliście na ten temat, zapamiętywaliście się w gorączkowej wymianie filozoficznych poglądów i pełnych erudycji odwołań. Mój ojciec był (i wciąż jest) zdeklarowanym agnostykiem. Mocno obstaje przy przekonaniu, że nie wie wszystkiego i nigdy nie będzie wiedział. Ty natomiast co niedzielę chodziłaś do kościoła. Pamiętam długie, senne poranki, które spędzałam u Twojego boku, obserwując zmieniające się światło za szklanym witrażem. Pamiętam te niewygodne skórzane lakierki, wznoszący się i opadający głos pastora, ostry zapach wosku do podłóg. Pamiętam wyraz Twojej twarzy podczas nabożeństw – euforyczny, ufny, rozpromieniony jak u panny młodej. Śledziłaś każde słowo kazania, potakując niczym pilny uczeń. Z entuzjazmem śpiewałaś hymny, a Twój głos był piękny, nawet gdy fałszowałaś.

Kościół stanowił paliwo zasilające piec Twojego umysłu. Resztę każdej niedzieli spędzałaś, rozważając sprawy wyższe. Cała nasza trójka wracała do domu i zasiadała w salonie. Tata czytał gazetę. Ja studiowałam dział z komiksami. Ty natomiast żułaś ołówki i rozmyślałaś, rozmyślałaś, jeszcze raz rozmyślałaś.

Wtedy przeszkadzało mi, że nie podzielałam Twoich przekonań. Nie mogłam razem z Tobą upajać się religią. Modliłaś się często, z twarzą zwróconą w stronę słońca i zamkniętymi oczyma. Kiedy ciocia Janine miała problemy w pracy, podarowałaś jej złoty krzyżyk na łańcuszku, żeby wspierał ją i dodawał jej sił. Pamiętam, jak rozmawiałaś przez telefon z ciocią Kim i zachęcałaś ją, by pokładała zaufanie w Bogu. Tę samą radę dałaś i mnie, kiedy sprawy w szkole nie szły po mojej myśli. Dziwnie się z tym czułam.

Nawet wtedy całą sobą stałam po stronie ojca. Biblijne historie były głupawe. W szkółce niedzielnej przynudzali. Kazania głosiły sprzeczne prawdy. Siedząc w cichym kościele, skąpanym w słonecznym świetle, nie czułam nic, żadnej mocy, żadnej ulgi. Hymny nie potrafiły poruszyć mojej duszy. Krótko mówiąc, nigdy nie wierzyłam w Boga.

To znaczy, aż do śmierci Andrew.

Teraz, patrząc wstecz, mogę Ci powiedzieć, co czułam tego dnia. Gdy stałam na krawędzi Wąwozu Mew, zalał mnie natłok emocji, jakby ciepło ogniska w mroźną, zimową noc; całe morze ulgi. Posłałam ostatnie spojrzenie w stronę bladej, spuchniętej postaci Andrew i zawróciłam. Każdy krok po twardym gruncie wydawał się objawieniem. Każdy podmuch wiatru jawił się słodką pieszczotą. Galen i Mick byli ze mną. Czyjeś ramię przytrzymało moje, pomagali mi utrzymać równowagę. Pamiętam Foresta, jego sylwetkę odcinającą się na tle krajobrazu, gdy biegł w stronę chaty. Słońce omiatało swoimi promieniami wysoko zawieszony chmury. Morski ptak przefrunął niedaleko, głośno skrzecząc. Gdzieś w tle Lucy pociągała nosem. Charlene mruzczała do niej jakieś słowa pociechy.

Możliwe, że w tamtej chwili się nawróciłam. Co jeszcze musiałyby się stać, żebym wreszcie uwierzyła? Wydawało się, że nie istnieje inne wytłumaczenie. Andrew był nikczemną osobą, odrażającym stworzeniem, więc Bóg usunął go, tak samo jak ja mogłabym pozbyć się plamy atramentu z kartki niezapisanego, białego papieru.

* National Mall – obszerne tereny zielone w Waszyngtonie, rozciągają się od pomnika Waszyngtona do wzgórza kapitolijnskiego (przyp. tłum.).

Zjawiła się policja. Chyba nie powinnam się temu dziwić, a jednak się dziwiłam. Po czterech miesiącach odosobnienia przywykłam postrzegać wyspy jako niedostępną fortecę. Tylko Kapitan Joe wydawał się wystarczająco nieustraszony, żeby spróbować odszukać nas na mapie, nie wspominając o odbyciu żmudnej podróży na nasze wybrzeże. Zdażyłam zapomnieć o prostej prawdzie, że od Kalifornii dzieli nas zaledwie pięćdziesiąt kilometrów. Wszystkim, czego było trzeba, żeby zwrócić na nas uwagę cywilizowanego świata, okazała się jedna rozmowa przez radiotelefon. Natychmiast wysłano helikopter.

Znajdowałam się w swojej sypialni – Mick mnie tam odstawił – kiedy dojrzałam smugę ruchu, cień na połyskującym morzu. Śmigłowiec pojawił się na horyzoncie. Z dołu słychać było chodzących biologów, podniesione głosy, trzaskające drzwi. Było mi to obojętne. Pograżyłam się w przyjemnym półśnie.

Ciało Andrew wciąż znajdowało się w wodzie. Żadne z nas nie mogło go osiągnąć, nawet gdybyśmy chcieli. Nadchodził przyływ. Z punktu widzenia policji był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Ciało Andrew miało zostać zepchnięte bliżej brzegu; może fale nawet zdołałyby wyrzucić je na skały. W każdym razie wyglądało na to, że ktoś zdoła do niego dotrzeć, zanim prąd zabierze je na otwarte morze. Prawdę powiedziawszy, Andrew wybrał doskonały czas i miejsce, żeby utonąć. Kilka godzin później – albo inna rozpadlina – i morskie zwierzęta błyskawicznie by się z nim rozprawiły. Jego szczątki mogłyby nigdy nie zostać odnalezione.

Moja grypa minęła. Zniknęła równie nagle i bez odwrotu, co cuchnący zapach na silnym wietrze. Gorączka spadła. Zniknął ból głowy. Pozostało typowe pochorobowe osłabienie, drżenie kończyn. Nagle zrobiłam się wygłodniała. Przez trzy dni nie przyjmowałam nic poza płynami. Jednak niezbyt taktownym wydawało się napadanie na kuchnię i napychanie się krakersami oraz owocami w puszcze, gdy ciało Andrew wciąż unosiło się na wodzie, a Lucy rozpacziała w swojej sypialni. Słyszałam, jak płacze. Czasami to były pociągnięcia nosem, przypominające miauczenie kociaka, a czasem głębokie, udręczone westchnienia, jak u kobiety w trakcie porodu. Mick i Charlene byli chyba razem z nią, podejmując skazane na porażkę próby ukojenia jej bólu za pomocą czerstwych ciastek i gorącej herbaty.

Za oknem pojawili się Galen i Forest, razem wędrując w górę wzniesienia. Patrzyłam, jak przystanęli niedaleko lądowiska dla helikopterów i czekali. Śmigłowiec był już bliżej. Przemieszczał się z zaskakującą prędkością, wirujące łopaty wirnika wzburzały morską toń. Miał w kształcie coś z ważki. Znalazł się wreszcie na naszym terenie i jakiś czas leciał, bucząc, wzdłuż linii brzegowej, rzucał na trawę swój cień. Dojrzałam jakiś ruch pośród zieleni: to uciekały przerażone myszy. Lśniący pęcherz kabiny zaczął opadać. W końcu przysiadł pośrodku prostokątnej płyty lądowiska.

Wysiedli z niego jacyś ludzie. Metalicznie lśniąca łupina wypływała ich na zewnątrz, jedną osobę za drugą; każda kuliła się w sobie, najwyraźniej po to, by uniknąć wirujących łopat, choć te akurat dzieliły od ziemi dobre trzy metry. Wirnik zwolnił, kręcił się leniwie, buchając pulsującym oddechem, od którego trzęsła się trawa. Spodziewałam się niebieskich mundurów, ale policjanci przybyli w zwyczajnych ubraniach. Galen i Forest pospieszyli w ich stronę. Wymieniono uściski dłoni. Obserwowałam, jak grupka zbiera się nad Wąwozem Mew.

Zjawiło się dwóch policjantów oraz lekarz, rozpoznałam go po srebrnej torbie. Galen i Forest trzymali się z boku tej gromadki oficjeli. Widać było, że policjanci nie mają pojęcia, jak wydostać Andrew na brzeg. Nie dało się dotrzeć do niego łodzią; żadna z dwóch obecnych na wyspach nie zdołałaby wpłynąć do równie wąskiej zatoczki. Niebezpieczna byłaby również

próba wydostania ciała przez nurka; fale były zbyt silne. Policjanci przyjęli pełne namysłu pozy, tarli podbródki i czochrali włosy. Przypominali mi mężczyzn, którzy zwykle zbierali się wokół samochodu, który nagle popsuł się na trasie.

W końcu wpadli na jakiś skomplikowany plan – coś z wykorzystaniem lin i deski do surfowania. Z początku chętnie obserwowałam ich postępy. Forest i Galen przejęli dowodzenie, wydając polecenia zamaszystymi gestami. Policjanci posłusznie robili, co im kazano. Lekarz stał z boku, wyraźnie niespokojny, co kilka minut sprawdzał zegarek. Deskę opuszczono za pomocą systemu lin. Wszyscy pracowali wspólnie, dodawali sobie otuchy okrzykami. Szło im jednak ciężko. Na ile mogłam ocenić, próbowali wepchnąć deskę pod bezwładne ciało Andrew i wyciągnąć je do góry. To wymagało zgrania w czasie ich wysiłków z piętrzącymi się, pozostającymi w bezustannym ruchu falami. Kiedy po raz piąty ponieśli klęskę, dałam spokój oknu. Położyłam się na łóżku.

Kilka godzin później obudziła mnie Charlene.

– Czas na obiad – powiedziała cicho, zaglądając do środka przez uchylone drzwi.

Podniosłam się, ziewając. Niebo za oknem pokryło się przygaszonym złotem, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Helikopter pozostał na miejscu, jego obłe brzuszysko odbijało światło. Ziemia skąpana była w cieniu, stróżówka wyglądała jak ciemna prostokątna plama. Wydawało się czymś zupełnie niezwykłym, że kiedyś czułam potrzebę ucieczki do tego odrażającego reliktu dawnych czasów. Teraz, gdy zniknął już strach, gdy zniknęła groźba, mogłam zrugać samą siebie za nieostrożność. Miałam szczęście, że nie spotkały mnie poważniejsze konsekwencje niż zwyczajne przeziębienie.

– Jak się czujesz? – zapytała Charlene, gdy schodziłyśmy po schodach.

– Świetnie – powiedziałam i zaraz poprawiłam się, widząc jej zdumione spojrzenie: –

W porządku.

Posiłek był dziwaczny. Policjanci zjedli z nami, podobnie jak lekarz, który najwyraźniej nazywał się doktor Alfred. Żaden z nich nie okazywał entuzjazmu wobec dania złożonego z makaronu z serem i konserwy z tuńczyka. Skubali jedzenie bez przekonania, rozglądając się po kuchni, patrząc na niedopasowane krzesła, wyszczerbione kubki i powyginane przybory kuchenne, które – dla mnie – budziły przyjemne skojarzenia związane z życiem w akademiku. Mick jadł z apetytem, pakując makaron do ust. Ja pożałam przynajmniej podwójną porcję. Forest i Galen wdali się w uprzejmą rozmowę z naszymi gośćmi. Charlene wydawała się niespokojna – jej ciemne oczy były większe niż zwykle, przypominała sarnę złapaną w światła samochodowych reflektorów. Lucy nie było z nami.

Stopniowo zdałam sobie sprawę z tego, że ci dwaj policjanci to wcale nie policjanci, ale agenci federalni. Wyspy miały nadany przez Kongres status rezerwatu przyrody. W efekcie miejsce to znajdowało się pod jurysdykcją facetów w czerni. To mnie zaciekało. Nigdy wcześniej nie miałam styczności z agentami rządowymi i spodziewałabym się po nich czegoś bardziej wytwornego, mniej codziennego. Niedobrana była z nich para, z wyraźnym podziałem na alfę i betę. Ten drugi był młody, z myszowatą, nieudolnie zapuszczaną brodą. Pierwszy natomiast okazał się opalonym, żylastym mężczyzną z czołem poszatkiwanym siateczką zmarszczek.

Przy powszechnej aprobacie w trakcie posiłku nie rozmawialiśmy o powodzie, dla którego się tu znaleźli. Andrew został wydobyty ze swojego wodnego grobu i aktualnie spoczywał w przenośnej chłodni na pokładzie helikoptera – tyle dowiedziałam się od Charlene, gdy schodziłyśmy po schodach. Jednak podczas posiłku rozmawialiśmy tylko o policyjnej robocie w San Francisco. Galen wydawał się sporo wiedzieć o sprawach związanych z prawem (oczywiście on akurat wiedział sporo na dowolny temat). Mick się dołączył i razem wspomnieli

kilka spraw, o których na przestrzeni paru ostatnich lat było głośno w gazetach.

Siedziałam cicho. Dokładając sobie makaronu, zaczęłam się zastanawiać, co właściwie przydarzyło się Andrew. Dziwnym trafem wcześniej nie zadawałam sobie tego pytania. Byłam tak przytłoczona szokiem związanym z niespodziewanym ocaleniem, że kryjące się za nim szczegóły wydawały się nieistotne.

Jego ciało znaleziono o jedenastej rano, co sugerowało, że wybrał się na poranny spacer. To nie było do niego podobne... ale zdarzały się przecież dziwniejsze rzeczy. Może choć raz wyszedł zająć się pracą polową. Mógł zaafferować się czymś, co zobaczył w lornetce, i nie patrzył, gdzie idzie. Świadców wypadku nie było, co nikogo nie dziwiło. Galen i Forest znajdowali się wtedy na morzu, Mick w latarni morskiej, a Lucy i Charlene nieopodal Zatoczki Grzywaczy. Ja leżałam w łóżku, spałam. Wystarczyło kilka sekund, żeby Andrew się potknął, stracił przytomność po uderzeniu głową o skały, a potem wpadł do wody.

Po obiedzie agenci poprosili nas, żebyśmy przeszli do pokoju dziennego. Zajęliśmy swoje zwyczajowe miejsca: na kanapie i fotelu, na paru wytartych poduszkach, które rzucono na dywan. Jednak obaj agenci zachowali pozycje stojące. Zastanawiałam się, czy to celowe działanie; w ten sposób wszyscy musieliśmy zadzierać głowy, żeby na nich patrzeć. Z rękoma na biodrach agent alfa rozpoczął mowę, która brzmiała, jakby wygłaszał ją nie po raz pierwszy.

– Wszyscy państwo mają za sobą ciężki dzień – powiedział. – Przykro mi z powodu śmierci państwa przyjaciela. Jak łatwo się domyślić, musimy zdobyć tak dużo informacji, jak to możliwe, zanim wyruszymy z powrotem do Kalifornii. Nasza procedura...

Urwał, słysząc uchylane drzwi. Obróciłam się i ujrzałam Lucy wychodzącą z sypialni. Pod oczyma miała fioletowe półksiężycy. Na ramiona narzuciła koc, który ciągnął się za nią po podłodze.

– Przepraszam – wyszeptała. Jej spojrzenie na moment zatrzymało się na wolnym miejscu na kanapie obok mnie, ale potem opadła na podłogę koło Foresta. W jej przybyciu było coś z teatralnego wkroczenia na deski sceny. Wszyscy gapili się na nią. Nawet agent alfa na moment wypadł z utartych torów swojej biurokratycznej gadki. Stał i drapał się po policzku, zanim zdecydował się kontynuować:

– Galen... czy raczej, jak powinienem powiedzieć, pan McNab... zaoferował, byśmy wykorzystali jego sypialnię na potrzeby przesłuchań. Tam będziemy mogli liczyć na odrobinę prywatności. Poproszę każdego z państwa...

– Znacie przyczynę zgonu? – przerwał Galen.

– Słucham?

– Przyczynę zgonu.

Odpowiedzi udzielił doktor Alfred. Siedział na krześle w kącie pokoju i podniósł wzrok znad swoich dokumentów.

– Utonięcie. Miał pianę w płucach. I krwotoki punkcikowate. Nie ma wątpliwości.

Lucy wstrząsnął ledwo widoczny dreszcz. Widziałam, jak Forest sięga w jej stronę.

Potem zastanowił się i jednak cofnął dłoń.

– A rana na głowie? – zapytał Galen. – Złamana kostka? Była złamana, prawda?

– Efekty upadku – odrzekł lekarz. – Tak to teraz dla mnie wygląda. Dowiem się więcej z sekcji zwłok.

– Czyli przeprowadzicie autopsję?

– O tak.

Lucy raz jeszcze zadrżała. Było w tym ruchu coś spazmatycznego, jak u psa strząsającego z siebie wodę.

– A czas zgonu? – spytał Galen.

Doktor Alfred spojrział na agenta alfa, który odpowiedział ledwo widocznym skinieniem. Lekarz ścisnął wargi w cienką linię, potem odpowiedział:

– Pomiędzy północą a drugą nad ranem zeszej nocy, sądząc po temperaturze wątroby. Precyzyjniej tego teraz nie ocenię.

W tym momencie coś się ze mną stało. Zanim jeszcze zdołałam przetworzyć jego słowa, miałam wrażenie, że pokój zaczyna wirować. Deski podłogi rozhuśtały się pod moimi stopami. Stłumiłam okrzyk zdumienia, nie mogłam nic na to poradzić.

Ktoś coś mówił – Forest zadał jakieś techniczne pytanie. Coś dotyczące kostki Andrew. Mick trzymał rękę w górze jak dziecko w szkole. Byli w końcu biologami, obojętnymi na rany i krew, zainteresowanymi tylko mechanizmami i specyfiką śmierci. Od lat kształtowali tego typu zachowania. Kliniczna obojętność. Emocjonalne zdystansowanie. Liczyły się fakty, nie uczucia.

Mój umysł się kotłował. Andrew był poza chatą koło północy. Ja znalazłam się tam o jedenastej wieczorem. W stróżówce spędziłam przynajmniej pół godziny. Nawet w najśmielszych fantazjach nie wyobrażałam sobie wcześniej, że moja nocna wycieczka może mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Andrew. Oba wydarzenia wydawały się ze sobą kompletnie niepowiązane. Ja poszłam do stróżówki. On na spacer. Oczywiście wyobrażałam sobie poranny spacer mający miejsce długo po świcie.

Trudno mi się oddychało, coś dławiącego utknęło w mojej piersi. Kiedy poprzedniej nocy w godzinie duchów opuszczałam chatkę, wiedziałam, że wystawiam się na pewnego rodzaju niebezpieczeństwo. Nie przejmowałam się możliwością, że się zgubię, spowoduję zaognienie choroby, a nawet, że skrucę sobie kostkę. Najwyraźniej jednak stawka była wyższa, niż mi się zdawało. Nigdy w życiu nie zaryzykowałabym spotkania sam na sam z Andrew. Okazaliśmy się statkami pośród nocy, rozmijającymi się ledwie o kilka minut. Gdy o tym pomyślałam, powróciły mdłości i przez chwilę sądziłam, że zwymiotuję na buty agenta beta. Ale opanowałam się. Wzięłam głęboki oddech i usiadłam prosto.

– ...złamana, z pewnością – mówił doktor Alfred. – Prawa kość piszczelowa. Nastąpiło to jeszcze przed zgonem, ale tylko odrobinę. Powiedziałbym, że kość pękła kilka minut przed śmiercią. Mógł to być skutek upadku.

– Miał też zadrapania – odezwał się Forest. – Co to oznacza?

– Och, ofiary utonąć zazwyczaj je mają – powiedział lekarz. – Ciało unosi się twarzą w dół i ramiona szorują po dnie. Często w takich sytuacjach widuje się wiele rodzajów ran. Te pojawiły się po śmierci.

W tym momencie agent alfa odchrząknął głośno.

– Tak jak mówiłem – oznajmił – musimy wkrótce wracać na stały ląd. Nie mamy czasu do stracenia. Rozumieją państwo, że to nie jest standardowa sytuacja. Normalnie przeprowadzilibyśmy to inaczej. Ale tutaj, na wyspach... – westchnął, rozejrzał się dookoła ze zbolałym wyrazem twarzy. – Będziemy prosić państwa po kolei. – Wskazał na Lucy, która siedziała z kocem owiniętym wokół ramion. – Panno Crayle, sądzę, że zaczniemy od pani.

Na zewnątrz niebo stopniowo ciemniało. W kącie tykał zegar. Podmuchy wiatru wstrząsały szybami w oknach i wprawiały frontowe drzwi w arytmiczne grzechotanie. W normalnej sytuacji przygotowywalibyśmy się teraz, żeby iść spać. Rozgorzałyby zwyczajowa sprzeczka o to, kto skorzysta z prysznica, zanim skończy się ciepła woda. Forest mógłby oskarżyć Micka o podbieranie mu pasty do zębów. Galen zająłby pewnie miejsce przy kuchennym stole, z dłonią podpierającą podbródek, przeglądając tabele pływów.

Dzisiaj jednak pozostaliśmy zgromadzeni w pokoju dziennym. Nastrój był równocześnie ospały i pełen napięcia. Dobiegał do nas szmer głosów przesianych przez sufit. W zwyczajnych okolicznościach agenci federalni mogliby poświęcić wiele godzin albo nawet dni na zbieranie

informacji. W zwyczajnych okolicznościach nie jedliby obiadu w towarzystwie świadków i nie spisywaliby zeznań w czyjejs sypialni. Ale wyspy jak zwykle wszystko utrudniały. Czas był cenny, a przestrzeń ograniczona. Ci agenci nie mogli poprosić, żebyśmy wpadli do ich biura, gdy wszyscy będziemy już nieco spokojniejsi. Nie mogli zakładać, że wrócą na jeszcze jedną pogawędkę. O ile nie zamierzali znowu wzywać helikoptera – albo nie mieli ochoty spędzić dwunastu godzin na pokładzie promu, płynąc w tę i z powrotem – wszystko musiało się odbyć tu i teraz.

Napięcie na każdego wpływało w inny sposób. Rozmowy, które mogłyby się między nami narodzić, ginęły w zarodku przez obecność lekarza, ten bowiem pozostał w swoim kącie i notował coś w papierach. Mick stał przy oknie, oglądając zachód słońca. Charlene siedziała na podłodze, oparta o ścianę, blada jak nigdy wcześniej. Jej piegi przypominały okruchy piasku uwiecznione w lodzie. Od obiadu nie odezwała się słowem. Tymczasem Forest był jak w amoku. Krążył po pokoju niczym ojciec czekający na koniec porodu. Poruszał się gwałtownie i co rusz spodziewałam się, że zaraz wejdzie prosto w ścianę. Zamiast tego raz po raz obracał się na pięcie. Nigdy nie byłam w stanie rozgryźć Foresta. Wyraźnie trzymały go w ryzach jakieś silne emocje, ale nie mogłam stwierdzić, czy to niepokój, złość czy upiorna frajda.

Dawniej uważałam, że istnieją tylko dwa stany umysłu: jawa oraz sen. Ten pierwszy był świadomy, logiczny, rządził nim rozsądek. W drugim panowały dziwactwa i chaos. Nigdy wcześniej nie myliłam ich ze sobą. Ale wydawało się, że w ciągu ostatnich dni przypadkiem natknęłam się na stan trzeci: na mglisty okres zmierzchu rozciągający się gdzieś pomiędzy. W tej tylko na wpół oświetlonej krainie wszystko wokół mnie przypominało rzeczywistość, którą znałam od zawsze. Ocean i niebo wciąż spotykały się w wyrazistej linii. Funkcjonowała grawitacja. Obowiązywały prawa regulujące codzienne życie. A jednak po okolicy spacerowały potwory. Gwałt, utonięcie, sam Andrew – te rzeczy należały do krainy koszmarów. Jawa i sen już się tak wyraźnie nie różniły. Teraz księżyc, chata i stojący przy oknie Mick stanowili radosne wspomnienia po świecie jawy, świecie człowieka mocno rozbudzonego. Ale agenci federalni, helikopter i martwe ciało Andrew – wszystko to wyskoczyło prosto z okropnego snu.

W pewnym momencie Galen podniósł się z miejsca. Posłał mi badawcze spojrzenie, którego udałam, że nie dostrzegam. Podeszedł do doktora Alfreda.

– Cóż – powiedział. – Na pewno zamierza pan przeprowadzić sekcję zwłok?

– Och tak – odparł lekarz.

– Muszę przyznać, że nie widzę powodu. Dla mnie to wygląda na najzwyczajniejszy w świecie nieszczęśliwy wypadek.

Doktor Alfred niecierpliwym gestem odłożył na bok ołówek.

– Te rzeczy można zinterpretować na wiele sposobów. Wolimy nie spieszyć się z opinią.

– Ale z pewnością istnieje tylko jedna możliwa interpretacja – zauważył Galen.

– Mówiąc językiem laika... – zaczął doktor Alfred.

W tym momencie na schodach rozległy się kroki. To była Lucy. Zdjęła już z siebie koc i bez tej powłóczystej peleryny wydawała się mniejsza niż normalnie. Zazwyczaj w ruchach jej bioder obecna była jakaś twardość, ale teraz cała jej sylwetka zdawała się skurczona, jak szmaciana lalka przez przypadek wrzucona do prania. Głowę trzymała nisko, włosy opadały jej na twarz. Poszła do swojej sypialni, nie odzywając się do żadnego z nas.

– Panie Audino. – Z góry rozległ się głos.

– To ja – powiedział Mick. – Jezu, to jakiś koszmar.

Reszta wieczoru upłynęła właśnie w ten sposób. Jedno po drugim byliśmy wzywani na górę. Fakt, że używano naszych nazwisk, przydawał całej procedurze oficjalnej aury. Mick zszedł po kilku minutach. Mrugnął do mnie w ramach pocieszenia, a potem wybrał książkę

i zaczął czytać. Jako następny wezwany został Forest... a może powinnam powiedzieć: pan Cohen. Jeszcze trochę później posłano po Charlene – albo raczej po pannę Westerman.

Podniosłam się i podeszłam do okna. Latarniane Wzgórze wyrastało na tle akwarelowego nieba. Widać było sylwetki kilku głazów, atramentowe kleksy. Dwa morskie ptaki nawoływały się chropawymi głosami, raz jeden, raz drugi, niczym małżeństwo biorące udział w wielokrotnie ćwiczonej sprzeczce. Morze huczało. Tyknięcia zegara przypominały grzmoty. Lekarz drzemał z brodą opartą o klatkę piersiową. Okulary zsuwały mu się z nosa, milimetr po milimetrze. Zastanawiałam się, czy warto go budzić, czy może raczej powinnam pozwolić nastąpić nieuniknionemu i mieć nadzieję, że upadek nie uszkodzi delikatnej oprawki.

Galen wkrótce poddał się mocy nawyku. Siedząc przy stole, wyciągnął mały zielony notes. Mrucał do siebie, zaczął coś zapisywać. Mick poszedł się położyć, a Forest ruszył jego śladem. Słyszałam odgłos stóp na korytarzu, potem świst w rurach – myto zęby, spuszczano wodę w toalecie. Mick i Forest dzielili pokój na końcu korytarza i przez jakiś czas dochodziło stamtąd szuranie oraz stukanie. Potem oba łóżka wyraźnie zaskrzypiały.

Byłam mocno rozbudzona. Podniosłam dłoń i dotknęłam okna, zimnego i śliskiego niczym tafła lodu. W oddali jakiś morski ptak wydał z siebie jeszcze jeden skrzek, ostatnie słowo w długiej klótni. Niemal przegapiłam moment, gdy Charlene zeszła na dół, cicho siąkając nosem, i zniknęła w swojej sypialni, obok frontowych drzwi.

Rozmyślałam o wielorybach. Mick ostatnio podzielił się ze mną pewną ciekawostką. Humbaki znane są z tego, że wiodą życie rodzinne. Bawią się z młodymi, łączą się na stałe w pary, podążają za jednym silnym przywódcą i bez przerwy śpiewają. Trzymają się razem. Ale na przestrzeni lat wielorybnicy zaobserwowali coś dziwnego. (Mick nie jest w stanie wymówić słowa „wielorybnicy” bez krzywienia się. Sporo o nich wie. Za dużo). Jeśli humbak zostaje trafiony harpunem, jego stado odpływa, opuszcza go. Przez jakiś czas żeglarze byli przekonani, że humbaki są niezdolne do odczuwania przywiązania. Zwierzęta wyczuwały krew w wodzie, słyszały bolesne wrzaski i mimo tego nie pozostawały blisko, by móc służyć ofierze pomocą albo dodawać otuchy.

Prawda jednak była bardziej skomplikowana. Ludzie to stworzenia kierujące się przede wszystkim wzrokiem. Wielorybnicy sądzili, że skoro nie widzą już stada, to znaczy, że ranione zwierzę zostało porzucone na dobre. Ale Mick mówi, że to nieprawda. Wieloryby mają wyczulony dotyk i słuch, są świadome istnienia fal dźwiękowych i magnetycznych. Przebite harpunem zwierzę jest ciągnięte za statkiem, rozsiewa po morzu swoją krew. W miarę jak wyciągają je na płytkie wody, gdzie czeka je najgorszy możliwy los, stado pozostaje w pobliżu – głęboko, poza zasięgiem wzroku marynarzy – i śpiewa do niego. Śpiewa aż do samego końca.

– Przepraszam – powiedział ktoś.

Obróciłam się. Agent beta stał za mną z wyciągniętą ręką, jakby zamierzał poklepać mnie po ramieniu. Widać od dłuższej chwili próbował zwrócić moją uwagę.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił. – Panno... przepraszam...

Spojrzał do trzymanyh w dłoni dokumentów, przesunął palcem po liście nazwisk. Westchnęłam. Wyglądało na to, że na tych wyspach nikt nie jest w stanie zapamiętać, jak się nazywam.

– Ma na imię Miranda – wtrącił się Galen.

Jego głos, cichy, ale stanowczy, przywędrował od stołu, przy którym mężczyzna siedział. Popatrzyłam na niego zaskoczona. Minęło niemało czasu od chwili, kiedy ostatni raz słyszałam moje prawdziwe imię. Prawie go nie poznałam. Galen uśmiechnął się, widząc wyraz mojej twarzy.

– Cudowna – powiedział. – Godna uwielbienia.

- Co takiego? - zapytałam.
- Miranda - powtórzył. - To właśnie oznacza twoje imię.

Może wyda Ci się dziwnym, że pobyt na wyspach wciąż sprawia mi przyjemność. Prawdę mówiąc, kocham to miejsce, jak nigdy nie kochałam niczego innego (poza Tobą, oczywiście). Każdego ranka wstaję z łóżka i mimo woli uśmiecham się na ten widok. Krajobraz to rysunek wykonany węglem, od rozmazanej czerni po popielatą szarość. Skotłowana linia brzegowa. Granit okolicznych wysepek. Migotliwy ruch przemykających myszy. Zwiewne chmury. Lwy morskie mają barwę łupków. Wieloryby suną w oddali jak połyskliwe łodzie podwodne. To świat bez kolorów, a jednak w moich oczach jest równie piękny, co tęcza. Moja miłość do wysp w ciągu ostatnich tygodni tylko się pogłębiła. Nauczyłam się dostrzegać w archipelagu coś więcej niż tylko jego upiorny, dziki charakter. To miejsce opiekuńcze, gotowe cię chronić i pielęgnować.

Czuję to od nocy, kiedy Andrew na mnie napadł. Moi rzekomi przyjaciele i towarzysze nie okazali się wtedy pomocni. Nikt mnie nie obronił. Galen spił się do tego stopnia, że urwał mu się film. Charlene nałożyła słuchawki i przestała słuchać. Mick i Forest wyszli na zewnątrz, kompletnie mnie opuścili. A Lucy spała. Andrew zwykł żartować na temat tego, jak gwałtownie potrafiła zasnąć – padała niczym ścięte drzewo. Zdarzało się to niespodziewanie, czasem w połowie zdania. Jej energetyczny wulkan zużywał tak dużo sił, że gdy nagle wygasał, aż do rana pozostawała w stanie bliskim śpiączce. (Okazuje się, że podobnie zachowują się kolibry. W ciągu dnia ich skrzydła rozmazują się w spiesznym ruchu, a serca wykonują po kilka uderzeń na sekundę. Jednak nocą kolibry wpadają w czasową hibernację. Ich serca zwalniają do jednego uderzenia na minutę). Koliber o imieniu Lucy przespał twardo całą moją mękę.

Ale wyspy czuwały. Nasłuchiwały.

Często wyobrażam sobie chwilę śmierci Andrew. Prawdę powiedziawszy, lubię ją sobie wyobrażać. Wyspy poświęciły mi swoją uwagę, gdy nie uczynił tego nikt inny. Obroniły mnie, gdy nikt inny nie zamierzał tego zrobić. Andrew zranił mnie, więc wyspy zajęły się nim. Zabrały go.

Ostatnio spędzam sporo czasu, studiując pozostałych. Choć raz to ja jestem biologiem, a oni okazami. Każdy zareagował inaczej na śmierć Andrew. Mick zrobił się głośniejszy, bardziej jowialny. Jego życzliwość jest niemal bolesna w swojej intensywności. Charlene natomiast zamknęła się w sobie. Zawsze była cicha, zahukana przez pozostałych, ale teraz zlewa się z tapetą. Więcej niż raz zdarzyło się, że weszłam do pustego pokoju, usiadłam gdzieś z książką i niewiele brakowało, żebym godzinę później dostała ataku serca, kiedy kaszlnięcie albo westchnienie za moimi plecami zdradziło, że Charlene przez cały czas była tam razem ze mną. Przyglądała mi się albo po prostu trwała pogrążona we własnych myślach, sama nie wiem.

Forest tymczasem działa jak automat. Jego poziom skupienia wzrósł o rząd wielkości. Jest grudzień, deszczowy i zimny. Za kilka tygodni ostatnie rekiny przeniosą się na cieplejsze wody. Zaczęłam słyszeć budzik Foresta dzwoniący o trzeciej nad ranem. Mick, jego współlokator, przewraca się wtedy na drugi bok, jęk sprężyn niesie się echem po korytarzu. Na długo przed wschodem słońca Forest chce już być w latarni morskiej, gotowy do pracy.

A Galen – biedny Galen – wydaje się odrobinę zagubiony. Po raz pierwszy dostrzegam, że jest sześćdziesięciolatkiem, dwa razy starszym niż ktokolwiek inny tutaj. Błądzi gdzieś myślami. Czasem wydaje się, że zaraz zada mi jakieś pytanie, ale potem rezygnuje z tego pomysłu, odwraca spojrzenie. Widziałam go, jak snuje się po kuchni, szukając wszędzie okularów, które po prostu przesunął na czoło. W połowie opowiadanej historii potrafi zgubić wątek i wpatrywać się we mnie.

Gdybym należała do osób obdarzonych bujną wyobraźnią, powiedziałabym, że w tych chwilach Galen słyszy, jak śmierć przemawia do niego. Jeszcze bardziej niż wcześniej śmierć jest obecna wśród nas, obecna na Wyspach Farallońskich. Wcześniej kojarzyła się z dźwiękiem morza zagnieżdżonym w poskręcanej muszli – odległym, słabym, na wpół wyobrażonym. Teraz jednak śmierć znajduje się w centrum uwagi. Siada wraz z nami do stołu podczas śniadania. Objawia się w chwilach ciszy wkradających się w codzienne rozmowy. Wieczorami czuwa zaraz za oknem. Może Galena rozprasza ta zamaskowana postać, widoczna tylko kącikiem oka. Jeszcze jeden duch w zatłoczonej chacie.

Dni robią się krótsze. Konstelacje gwiazd poprzemieszczały się na wieczornym niebie: jesienne zanurkowały poniżej linii horyzontu, zimowe świecą z większą mocą. Morze też wydaje się inne. Wyspy przycupnęły na krawędzi szelfu kontynentalnego. Na zachodzie dno oceanu gwałtownie opada, ginie w czarnych głębinach. Obecnie burze przychodzą właśnie z tamtej strony. Nie trwają długo; to krótkie, zjadłe nawałnice, które odarły nasze dwa drzewka z liści. Przywykliśmy już wkładać poncza, nawet jeśli niebo jest bezchmurne – na wszelki wypadek.

Wciąż spodziewam się, że Lucy nas opuści. W rzeczy samej, dziwię się, że jeszcze nie wyjechała – że nie wsiadła do helikoptera razem z agentami federalnymi i nie związała stąd. Zamiast tego pograżyła się w pracy. Najwyraźniej podjęła się misji zaobrączkowania większej liczby ptaków niż ktokolwiek inny na planecie. Nie jada, prawie nie śpi. Jej energia godna kolibra wydaje się teraz niebezpieczna. Jej wewnętrzny mechanizm wyraźnie przekroczył już maksymalną wydajność; niemal czuję dym ulatujący z przegrzanych trybów. Każdego wieczora Lucy szoruje i zmywa cały dom; zdarzało się, że budziłam się w nocy przez hałas chodzącego odkurzacza. Poleruje noże i ściera blaty, tak jakby tłusty brud i kurz stanowiły namacalną manifestację jej cierpienia. Tak jakby usuwając pleśń, jakby czyszcząc na połysk każdą powierzchnię, była w stanie obmyć duszę z własnego bólu, jakby ją także była w stanie uczynić czymś jasnym i lśniącym.

Kilka dni temu po obudzeniu wciąż leżałam w łóżku. Moment wcześniej znowu śniłam o wielorybach – o ich śliskim ogromie, o ich niezziemskiej pieśni. Słońce akurat wschodziło. Mój pokój jaśniał niczym wnętrze kominka. Przyzwyczaiałam się do siedzenia w pokoju jak pająk na pajęczynie, do określania, gdzie są pozostali, po skrzypieniu desek i brzęczeniu głosów. Ktoś był w kuchni. Usłyszałam zgrzyt przesuwanego krzesła. Ktoś parzył kawę; ziemisty zapach wędrował w górę schodów. Forest i Galen znajdowali się na zewnątrz, słyszałam, jak do siebie wołają.

Kiedy wstałam, zauważyłam, że ktoś wsunął kawałek papieru przez szparę pod drzwiami. Na jednej stronie drukowanymi literami wypisano moje imię. *MELISSA* – moje tutejsze imię. Z drugiej strony znajdowała się wiadomość: *Lucy Crayle zawiadamia, że nabożeństwo żałobne Andrew Metzgera odbędzie się w piątek o zachodzie słońca.*

Przeczytałam ją dwukrotnie. Wyobrażałam sobie Lucy, która tnie papier na kawałki; w miejscu, gdzie zaznaczyła linię cięcia, wciąż znajdował się ledwo widoczny ślad ołówka. Wyglądało na to, że dla każdego z nas przygotowała oficjalne zawiadomienie. Wiedziałam, że nie będzie miała okazji uczestniczyć w prawdziwym pogrzebie Andrew. Jego rodzina mieszkała w Maine i podróż byłaby zbyt długa, zbyt kosztowna. Najwyraźniej to było jedyne rozwiązanie, jakie przyszło jej do głowy. Stałam tak przez dłuższą chwilę, z kwadratową karteczką w dłoni i ściśniętym gardłem.

Tego popołudnia zapanowało pewnego rodzaju poruszenie. Wraz z Mickiem i Forestem poszłam na Cyc – okrągły cypel na północnym brzegu wyspy – żeby przyjrzeć się stadu pływaczy szarych, które tam urzędowały. Dzień był chłodny. Ustawiłam się ze statywem na płaskowyżu. Granit wydawał się wyjątkowo zdradliwy, obsuwał się i kruszył pod stopami

niczym topniejący lód. Nachyliłam się do przodu, przyłożyłam oko do wizjera i doświadczyłam umysłowego przeskoku, który zawsze odczuwałam przy tej okazji – to było fizyczne oderwanie, moje organy czuciowe przygasły, obojętne na wszystko poza barwą, światłem, ujęciem.

Pływacze szare były w życzliwym nastroju. Na całą grupę składało się ich dziesięć albo dwanaście i wydawały się bawić. Uchwyciłam sztachety fiszbinów lśniące w szerokiej paszczy. Złapałam w kadr kilka wynurzających się równocześnie ogonów, wyrzucających w górę tsunami kropel. Zwierzęta zasłużyły na swoje miano, intensywnie szare, nakrapiane bielą niczym niebo usiane chmurami. Po raz pierwszy zdołałam uchwycić wieloryby na filmie dokładnie tak, jak chciałam. Ich ogrom. Oddech buchający do góry w postaci słupa pary. Gigantyczne płetwy. Elegancję. Tajemnicę.

Mick i Forest stali nad brzegiem morza. Wydawało mi się, że się kłóć. Mick trzymał w dłoniach dziennik. Forest został wyznaczony jako jego zastępca i osoba odpowiedzialna za robienie notatek. Tak to już funkcjonowało na wyspach. Nikt nie miał czasu wolnego. Dla każdego z biologów istniała pora roku, kiedy mógł skoncentrować się na swojej działce (czyli kiedy to jego zwierzęta rządziły na wyspach), a także okresy, kiedy był zmuszony pomagać innym (wtedy gdy danych zwierząt nie było). W lecie Forest, specjalista od rekinów, przejmował dowodzenie. On i Galen wydawali polecenia, a pozostali je wykonywali. Ale wraz z jesienią nadeszły wieloryby, zima zaś miała ustąpić miejsca Sezonowi Fok, po którym z kolei następował Sezon Ptaków. Każdy z biologów miał swoje pięć minut. Teraz przyszedł czas, żeby to Mick błyszczał.

Akurat wtedy jeden z pływaczy szarych zdecydował się zrobić „stójkę”. Mick opowiadał mi o tym, ale nigdy nie spodziewałam się, że zobaczę to na własne oczy. Wieloryb wystawił swój monstrualny łeb ponad wodę. Wynurzył się pionowo, pewnie na jakieś trzy metry w powietrze. Potem zaczął się obracać, okręcał się w miejscu niczym dziecięcy bączek. Uradowana pstrykałam zdjęcie za zdjęciem. Wiedziałam, co robi – badał okolicę – ale w jego ruchach krył się taki ładunek piękna i obcości, że przez moment zdawało mi się, jakby tańczył specjalnie dla mnie. Jakby pozował do fotografii.

Usłyszałam krzyk. Mick machał w moją stronę. Wyglądało na to, że Forest był ranny; zgięty wpół krzywił się i trzymał za łydkę.

– Co się stało? – krzyknęłam.

– Stracił równowagę – odparł Mick. – Nie słuchał mnie.

– Nawet nie zaczynaj – powiedział Forest.

Pospieszyłam w ich stronę z aparatem podskakującym na klatce piersiowej. Nogawka Foresta nasiąknęła szkarłatem. Zostawiał smugi na kamieniach, znaczył pokonaną drogę własną krwią.

Mick i ja przyjęliśmy role prowizorycznych kul po obu stronach rannego. Kiedy obejmowałam ramieniem jego talię, poczułam, jaki jest chudy. Przypominał bardziej deskę do surfowania niż człowieka. Jego żylaste mięśnie ugiwały się pod moimi palcami. Jego żebra były żelaznymi prętami. Kulał i krzywił się z bólu, a my pomagaliśmy mu przez całą drogę do chaty.

W domu Mick założył mu szwy. Zaczęło się od zastrzyku przeciwbólowego, potem przyszła kolej na igłę i nici. Wiedziałam już, co będzie się działo. Ze mną było tak samo. Forest siedział na stole i z wyciągniętą nogą czytał książkę, podczas gdy Mick pracował z okularami nasadzonymi na nos. Forest przewracał kartki, Mick szył w milczeniu. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy Forest faktycznie nie interesuje się swoją raną – może tak dalece przyzwyczaił się już do urazów, do szwów i blizn, że nie obchodziło go to – czy raczej próbuje zająć czymś umysł ze względu na niechęć do strzykawek i do widoku krwi.

Ja sama czułam się dziwnie oderwana. Widok mięsistego rozcięcia i czerwona strużka

zdawały mi się zajmujące, a nie niepokojące. Cieszyłam się, że Forest został ranny. Ranny – a nie martwy. Proces gojenia już się rozpoczynał. Forest zrobił sobie bubę, jak powiedziałby Mick. Wyspy były niebezpieczne, ale nie musiały być zabójcze.

W końcu Mick pochylił się i przerwał nić zębami.

– Gotowe.

– Dzięki – powiedział Forest.

Zerknął na swoją ranę. Poruszył stopą, obnażył z bólu zęby.

Po tym, jak sędzę, poznajemy, że jeszcze żyjemy: wciąż potrafimy odczuwać ból.

To Twoja śmierć zrobiła ze mnie fotografa przyrody.

Zawsze wiedziałam, że będę artystką. Co do tego nie miałam wątpliwości. Odczuwałam potrzebę zachowywania obrazów otaczającego mnie świata tak samo, jak wieloryb musi wynurzyć się, żeby zaczerpnąć powietrza. Odkąd pamiętam, podążałam za pięknem. Mam talent; nie boję się tego powiedzieć. Fotografia była pewniakiem. To przyroda stanowiła niewiadomą.

Gdybym była inną osobą, mogłabym zapracować na swoją reputację, robiąc zdjęcia niemowląt i imprez okolicznościowych. Mogłabym fotografować śluby albo zajmować się portretami. Byłabym szczęśliwa. Bądź co bądź nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Aparat fotograficzny nie jest niczym innym niż okiem, które rejestruje to, co widzi. Mogłabym odnaleźć piękno w zwyczajnym życiu. Mogłabym osiąść gdzieś, ustatkować się. Mogłabym mieć spokój, stałość. Mogłabym wydobyć sztukę z surowej rudy świata widzialnego.

Ale umarłaś. To zmieniło wszystko. Twoja śmierć cisnęła mnie przez naszą planetę niczym kamień, którym ktoś puszcza kaczki. Uczyniła mnie nomadą, zbłąkaną duszą.

Przez większość życia bardziej interesowała mnie sama podróż niż jakikolwiek konkretny punkt docelowy. Nie obchodziło mnie, gdzie wyląduję, tak długo jak było to nowe miejsce. Lubię czuć się nieskrępowana. Lubię samoloty i autobusy. Lubię budzić się i nie wiedzieć, gdzie jestem. Lubię nic nie mieć. Cały mój dobytek to sześć aparatów (teraz pięć). Światłomierz. Statyw. Torba z licznymi kieszeniami. Kilka par dżinsów. Nic więcej.

Podoba mi się także to, co podróże robią z moim umysłem. Mój mentalny bagaż jest równie skromny i zgrabnie poukładany, co zawartość mojej walizki. Nie zakochuję się, miesiam tylko przygody, krótkie i namiętne. Nie mam przyjaciół, tylko współpracowników. Każda nowa znajomość ma od razu wdrukowaną datę wygaśnięcia. Pasuje mi to.

Mam przecież Ciebie. Znasz mnie lepiej, niż ktokolwiek inny mógłby mnie poznać. Kiedy żyłaś, kochałam Cię tak mocno, jak tylko córka może kochać swoją matkę. Od czasu Twojej śmierci nieustannie do Ciebie piszę. Mówię Ci o wszystkim. Niczego nie opuszczam. Nie odczuwam potrzeby zbliżania się do otaczających mnie ludzi. Nie chcę stawiać czoła tym krępującym sesjom służącym poznawaniu się, nie chcę ustalać równowagi w naszej relacji. Nie chcę dostosowywać poziomów inteligencji i współczucia po obu stronach, szukać wspólnych doświadczeń, wymieniać szeptem tajemnic, przywiązywać się. Nigdy nie musiałam się tym wszystkim przejmować. Nie, kiedy mogłam zamiast tego napisać do Ciebie.

Twoja śmierć nauczyła mnie, co następuje po miłości. Nie miałam najmniejszej ochoty ponownie doświadczać głębi i intensywności straty.

Dlatego przenosiłam się, raz po raz. I w końcu przeniosłam się tutaj.

To dzisiaj, podczas rozmowy z Mickiem, przyłapałam się na tym, że rozważam tę właśnie kwestię.

Wcześniej zamierzałam spędzić ten dzień w chacie, na zmianę czytać i drzemać. Sen i ja z zapalem odświeżamy naszą znajomość. Każda pozioma powierzchnia wydaje się do mnie szeptać, zachęcać, bym położyła się i odpoczęła przez minutę... a może przez godzinę. Czas wciąż jest dla mnie płynny, trudno go kontrolować, ale jest coraz lepiej, jego upływ staje się coraz wyraźniejszy.

Jednak Mick miał własne plany. Leżałam wyciągnięta na kanapie, z książką na brzuchu, kiedy podszedł do mnie. Było mi odrobinę niedobrze, pewnie z powodu jedzenia. Jak zwykle pałaszowaliśmy przekąski wątpliwego pochodzenia i niekoniecznie wciąż przydatne do spożycia. Ostatnia obiadokolacja składała się z ciecierzycy i mielonki konserwowej, z domieszką grzybów

z puszki. Grzejniki pobrzękiwały, grzały mnie w stopy. Drobiny kurzu wirowały w powietrzu. Gdzieś niedaleko w ścianie mysz drapała i coś podgryzała. Mick poprosił mnie, żebym mu towarzyszyła z oglądą godną kochanka błagającego swoją lubą o wspólny taniec. Usiadłam, odgarnełam włosy z oczu.

– Z przyjemnością – powiedziałam.

Tupnął nogą w dywan.

– Jeśli nie wyciągnę cię z tej chaty, chyba oszaleję. Wszyscy pracują. W Śniadaniówce jest dziura. To jakaś masakra. Galen i Forest próbują to naprawić. Mają ze sobą Charlene. A Lucy... jest zajęta. Musisz pójść ze mną. To musisz być ty.

Uniosłam dłoń.

– Przestań mnie przekonywać – powiedziałam. – Cokolwiek sprzedajesz, już to kupiłam.

Godzinę później trzęsłam się pod osłoną płaszcza. Janus pokonywał fale wielkością i kształtem przypominające pustynne wydmy. Wznoszenie się i opadanie, szarpnięcia morskiego prądu – wszystko to zdawało się szkodzić mojemu poczuciu równowagi. Kurczowo chwyciłam się nadburcia, żeby nie wypaść z łodzi. Mick na nic nie zwracał uwagi. Gdy tylko znaleźliśmy się z dala od chaty, jego humor poprawił się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Płynęliśmy w stronę Azji, zostawiając archipelag za plecami. Ustawione w linii wysepki znowu zamieniły się w maleńkie okruchy. Było w tym coś niepokojącego. Przez kilka ostatnich miesięcy ta linia brzegowa wydawała się opasać cały świat, stanowiła granice poznawalnego kosmosu. Stąd jednak wyspy wyglądały mizernie, jak szereg gumowych kaczek w wannie.

– Siądź koło mnie – krzyknął Mick. Zajmował miejsce przy sterze, kierując pewną dłonią. Zbliżyłam się chwiejnie i opadłam na ławeczkę. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą czegoś na głowę. Ciepła wełniana czapka pomogłaby w walce z chłodem.

– Nie widzę żadnych wielorybów – zauważyłam.

– Zjawia się – odparł radośnie. Potem przyjrzał mi się starannie, zmrużył oczy. Obejrzał mnie od stóp do głów.

– Co jest? – zapytałam.

– Mel – powiedział cicho. – Nie wzięłaś aparatu.

Sięgnęłam do paska, który zazwyczaj nosiłam na szyi niczym ulubiony wisiorek. Na Wyspy Farallońskie przywiozłam sześć aparatów fotograficznych. Jeden oczywiście zdechł. Padł martwy i został pochowany. Tydzień w tydzień korzystałam z pozostałych pięciu, dobierając sobie narzędzia zależnie od nastroju i okoliczności. Klejnot, przykładowo, był aparatem wielkoformatowym. By go użyć, musiałam najpierw przenieść po kamienistym podłożu mnóstwo nieporęcznego, ciężkiego sprzętu: statyw, światłoszczelne pudełko, torbę, światłomierz. Każde ujęcie wymagało przygotowań. Trzeba było schować się pod płachtą ciemnego materiału. Reszta świata wtedy odpływała, dźwięki zostawały stłumione, niemal wymazane przez tkaninę. Wciągałam głęboko nieświeże powietrze. Przez chwilę istniałam tylko ja sama oraz obraz – migoczący prostokąt, wywrócony do góry nogami horyzont, moment zadumy nad ujęciem i światłem. Nigdy nie wniosłabym Klejnotu na łódź. Zazwyczaj brałam ze sobą jedną z cyfrowych lustrzanek: Gremlina albo Rybi Pysk. Ale żadne z tych cennych urządzeń nie znalazło się tutaj razem z nami.

– Jakbyś była bez ręki – stwierdził Mick.

– Czuję się naga – przyznałam z przejęciem.

Parsknął śmiechem.

– No i możesz mieć kłopoty. Podejrzewam, że ktoś ci płaci za to, że tu jesteś. Wściekną się, że przegapiłaś wieloryby.

Zakręcił kołem i zwróciliśmy się w lewo, żołądek podszedł mi do gardła. Potem Mick

zmarszczył brwi. Obserwowałam oznaki czegoś, co wyglądało na powolną, męczącą debatę, która rozgrywała się wewnątrz jego głowy.

– Co ty właściwie tutaj robisz? – odezwał się wreszcie.

– Nigdy mnie o to nie pytałeś – odparłam. – W gruncie rzeczy żadne z was mnie nie pytało. Poza Galenem.

– Teraz pytam – powiedział Mick.

Jego ton był napastliwy, niemal podejrzliwy. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– W porządku – stwierdziłam. – Zazwyczaj wygląda to tak, że dostaję zlecenie. Wysyłają mnie w konkretne miejsce, żebym zrobiła konkretne zdjęcia. Byłam wszędzie – w górach, na Arktyce, na pustyniach. Ale tym razem to mój wybór. Ja sama chciałam tu przyjechać. Nikt mnie o to nie prosił. Sama do tego doprowadziłam.

– Brzmi sensownie – powiedział.

– Złożyłam wniosek o grant na prywatny projekt – wyjaśniłam. – Pobyt na wyspach nie jest szczególnie kosztowny. Właściwie to jedno z najtańszych miejsc, w jakich byłam. Będę musiała trochę dorzucić ze swoich oszczędności. W D.C. jest galeria, gdzie będę mogła pokazać swoje zdjęcia, kiedy już skończę. Do tego zrobię objazdówkę po typowych targach sztuki użytkowej. Może uda mi się złożyć książkę. Miałam szczęście, rzadko mam okazję zatrzymać się gdzieś na tak długo.

– Ptasię wszy. Brak ciepłej wody. Mielonka konserwowa. Ależ z ciebie fartowna specjalistka od myszy!

– Tego właśnie chciałam – odparłam, spoglądając na fale.

Mick pokiwał głową, a ja zamilkłam. Były jeszcze inne rzeczy, o których chciałam mu powiedzieć, ale zrozumiałam, że nie wiem, jak je wytłumaczyć.

Na wizerunek archipelagu trafiłam po raz pierwszy trochę ponad rok temu. Pewnego leniwego popołudnia przypadkiem zobaczyłam jedno zdjęcie – i to wystarczyło. Odcinające się konturem na tle morza Siodło. Białe, spienione fale bijące o klify. Wysepki z nagiego kamienia niczym szkielet jakiegoś olbrzymiego morskiego stworzenia, dawno już wymarłego. Wpatrywałam się w to zdjęcie, oszołomiona i oczarowana. To mogłaby być fotografia przedstawiająca samotność. Wyspy Umarłych... zaparły mi dech w piersiach.

Po raz pierwszy jakieś miejsce mnie przyciągało. W przeszłości pragnęłam ruchu dla samego przemieszczania się. Aby od czegoś uciec. Żeby znaleźć się gdzieś indziej, gdziekolwiek, byle dalej. Ale zew tych wysp był nie do pomylenia z niczym innym. Przyciągały mnie jak magnes. Jak grawitacja.

Nie mogłam powiedzieć o tym Mickowi. Prawdę powiedziawszy, sama tego nie rozumiałam. Musiałam tu przyjechać. To naprawdę było aż takie proste. To uczucie nigdy nie przypominało pragnienia albo życzenia – to zawsze była potrzeba, przymus. Rozpoczęłam przygotowania i wszystko, czego się dowiedziałam, sprawiało, że tylko jeszcze bardziej chciałam tu dotrzeć. Pozbawiona końca mgła. Krew na wodzie. Zgryźliwi biolodzy. Sto tysięcy myszy. Lwy morskie rodzące młode na granitowych skałach. Burze niczym dzień sądu w wykonaniu mściwego bóstwa. Sezon Rekinów. Łodzie opuszczane do wody dźwigiem. Tajemnicze zgony. Światło latarni sunące przez pusty ocean. Chciałam tego wszystkiego. Zostałam opętana. Zakochałam się.

Archipelag okazał się odpowiedzią na pytanie, o którym nawet nie wiedziałam, że je zadaję. Był domem, którego nie wiedziałam, że szukam.

Westchnęłam teraz, przypominając sobie, jak zawzięcie walczyłam, żeby tu trafić. Napisałam dziesiątki listów obrazujących ze szczegółami moją miłość do natury, moje dokonania, moją świadomość, jak zachowywać się w morskim rezerwacie przyrody. Biolodzy

mieszkający na Wyspach Farallońskich mieli zapewnione zakwaterowanie oraz jedzenie, podobnie jak potrzebny sprzęt. Nic więcej. Wynagrodzenie odbierali w postaci życiowych doświadczeń i nie otrzymywali pensji. Ale nawet skromne rządowe dotacje, które pokrywały rachunki za elektryczność w chacie i honorarium dla Kapitana Joego, mnie już nie obejmowały. Jako fotografowi nie wolno mi było brać w tym udziału. Ci, którzy posiadali decydujący głos – teraz już wiedziałam, że rolę tę pełnił Galen – patrzyli nieufnie na moje pragnienie, by żyć pośród naukowców; najwyraźniej żywili przekonanie, że będę przeszkadzać w ich szczytnym dziele.

Prosiłam więc. Przypochlebiałam się. Do każdej koperty wpychałam dziesiątki moich zdjęć – drzew z lasów deszczowych, rzadkich zwierząt, czap lodowych na biegunach, czegokolwiek, co mogło zadziałać na moją korzyść. Tłumaczyłam, że mam nadzieję dokumentować i obserwować – nie dotykać i nie przeszkadzać. Fotografia, podobnie jak biologia, była zasadniczo czymś biernym. Wypełniłam tak wiele formularzy, że mogłabym wytapetować nimi ściany w domu mojego ojca. Zrobiłam wszystko poza padnięciem na kolana i błaganiami.

W końcu, po blisko sześciu miesiącach, przyszedł do mnie list słodki niczym powietrze w środku lata. Nosił podpis Galena. *Pani wniosek o rezydenturę został rozpatrzony pozytywnie. Oczekuję na Pani przybycie.*

– Jest teraz popyt na tego typu prace – wyjaśniłam Mickowi. – Zagrożone gatunki. Znikające miejsca.

– Paf! – powiedział, ruchem dłoni zmiatając wyspy z pola widzenia.

– Globalne ocieplenie – kontynuowałam. – Zmiany klimatu. Jeśli ocean podniesie się o centymetr, znikną na zawsze.

Przytaknął mi.

– Skoro za późno, żeby je uratować, możemy przynajmniej zrobić kilka fotek. Jesteś świadkiem dni końca.

Oparłam się o barierkę.

– Ja odkryłam karty – powiedziałam. – Teraz ty odkryj swoje. Dlaczego ty tutaj przyjechałeś?

– Nie zadawaj pytań, to nie będę musiał kłamać.

Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. Wyraz jego twarzy kojarzył się z zamkniętymi drzwiami.

Przez chwilę milczeliśmy, łódź wznosiła się i opadała w rytm fal. Mick z namysłem drapał się po nosie. Przyłapałam się na tym, że na nowo podziwiam tę jego grzywę najeżonych włosów, łuk brwi, masywne kości jego szczęki. Bez dwóch zdań ładny był z niego osobnik. Mogłam to teraz ocenić, kompletnie, w najmniejszym stopniu go nie pragnąc. Moje życie dzieliło się na dwa wyraźnie rozdzielone okresy: Przed Andrew i Po Andrew. Przed Andrew byłam w Micku odrobinę zadržona. Po Andrew wszystko się zmieniło.

Niespodziewanie Mick uderzył mnie w ramię.

– Hej! – krzyknął.

Odwróciłam się, rozcierając bolące miejsce.

Najpierw sądziłam, że to wcale nie wieloryb. To coś było szare i szlamowate, wielkości małej łodzi. Unosiło się na powierzchni. Byliśmy na tyle daleko, że wydawało się nam bezpośrednio nie zagrażać. Jego skórę szpeciły blizny i wybrzuszenia, brodawkowate bryły pąkli. Przez minutę lub dwie sądziłam, że to coś martwego – może zdechły słoń, który przydryfował z Azji niesiony jakimś dziwnym prądem morskim – ale wtedy to coś podniosło się do pionu. Z wody wyrósł ogon, rozszczępiona na pół packa na muchy. Krople spadały jak deszcz. Potwór

zrobił wydech. Otwór na jego plecach się otworzył, chlusnęła para. Wiatr poniósł jej chmurę w naszą stronę. Mogę uczciwie powiedzieć, że nigdy nie wahałam niczego równie wstrętnego. Szereg mobilnych toalet stojących w pełnym słońcu wypadłby przy tym blado. Zaciśnęłam dłoń na nosie.

– Co to powiedziała królowa Wiktorija? – zachichotał Mick. – „Nie jesteśmy rozbawieni”?

A potem morze było ich pełne. Z każdej strony pojawiały się szare cielska i jedno za drugim strzelały do góry strumieniami piany. Wydawało się, że całe stado w tym samym czasie wynurzyło się, żeby zaczerpnąć powietrza. Wychylały się na powierzchnię na mnóstwo sposobów, w tym do góry brzuchem i bokiem. Masywne płetwy kręciły się. Ogony celowały w górę i zaraz znowu tonęły w oceanie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy śnię. Byłam tu już wcześniej, zagubiona na morzu, otoczona zwierzętami wielkości domów. Brzuchy wielorybów pokrywały głębokie żłobienia, były pofałdowane niczym podniebienie. W przeciwieństwie do rekinów nie miały płetw grzbietowych, przez co trudno było określić, którą stroną się wynurzyły. Ich oblicza zdawały się dziwnie pozbawione wyrazu. Żadnych nozdrzy. Żadnych uszu. Małeńkie ślepie. Niektóre z wielorybów okazały się znośnych rozmiarów – prawdopodobnie były to młode – ale inne wydawały się zbyt wielkie, żeby mogły istnieć naprawdę.

Wyrastały ponad morską toń i zapadały się w nią z powrotem, wprowadzając zamęt w poukładany wzór fal. Humbaki przetaczały się przez wodę, wstrząsały łodzią w przód i w tył. Gdzie nie spójrzałam, widziałam czyjś pysk, otwór nosowy, krawędź ogona. Miały iście topograficzną skórę – pełną blizn, szwów, z łataniami pąkli udających kamienie. Przypominało to wszystko nowy archipelag, formujący się na naszych oczach.

Mick zaczął wykład. Nie było w tym nic zaskakującego. Przez ostatnie miesiące nasłuchiwałam się takich wykładów ze strony wszystkich mieszkańców wysp; nie mogli się powstrzymać. Dieta. Zwyczaje godowe. Anatomia. Mick robił to w miły sposób niż Lucy. Nie sprawiał, że czułam się ignorantką. Byłam nią, to oczywiste. Ale Mick potrafił tłumaczyć różne rzeczy w taki sposób, jakby po prostu głośno myślał.

Powiedział, że humbaki śpiewają najbardziej skomplikowane i najpiękniejsze pieśni ze wszystkich waleni. Dodał też, że nazywają swoje dzieci, zwracając się do każdego z nich unikalną sekwencją dźwięków. Działo się tyle, że ledwo byłam w stanie go słuchać. Wieloryb ziewnął – cała nasza łódź zmieściłaby się w tej paszczy – i ujrzałam kościste fiszbinowe pręty. Wykaszał z siebie kłęb mokrej piany, który wystrzelił w niebo. Trzy metry w górę. Cztery. Mick tłumaczył mi, że stado potrafi pokonać setki kilometrów otwartego oceanu. A jednak wieloryby nie używają sonaru, nie korzystają też z położenia słońca – a przynajmniej nie tylko z niego. Ich zdolności mogą być jakoś związane z polem elektromagnetycznym ziemi. Nikt nie wiedział, jak odnajdywały drogę bez żadnych drogowskazów, bez widocznego dna oceanu, płynąc przez bezkresny, pusty błękit.

W tym momencie jedna z bestii postanowiła w całości wyskoczyć ponad wodę. Najpierw pysk, potem tułów, a wreszcie i ogon znalazły się w powietrzu. Przesłoniły słońce. Wrzasnęłam. Nie mogłam się powstrzymać. W tej chwili bardzo chciałam mieć przy sobie swój aparat – po części po to, żeby uwiecznić to na filmie, ale przede wszystkim, żeby za jego pomocą zdystansować się od tej pierwotnej dzikości. Bez tego pośrednika, bez tej szklanej tarczy nie czułam się bezpiecznie w otoczeniu podobnych stworzeń. Już wcześniej stawałam twarzą w twarz z nieujarzmionymi zwierzętami – od razu przyszła mi do głowy Siostrzyczka z tymi jej rzędami lśniących zębów – ale wbrew tej fizycznej bliskości zawsze zachowywałam odrobinę umyślowego dystansu, bystre oko obserwatora kazało lekceważyć inne troski. Nie mogłam się bać, kiedy wszystkie moje myśli skupiały się na znalezieniu najlepszego ujęcia. Teraz jednak nie było niczego, co odgradzałoby mnie od otoczenia.

Wieloryb okręcił się w powietrzu, dziesięć metrów od nas, z płetwami wyciągniętymi na baletową modłę. To zwierzę mogło równie dobrze żyć od zarania dziejów. Jego cień przykrył naszą łódź. Patrzyłam, a wieloryb zdawał się opadać w zwolnionym tempie. Zderzenie z wodą przypominało grzmot. Chwyciłam się barierki, zbyt oszołomiona, żeby krzyżeć. Ściana piany wspięła się ponad fale. Łodzią niebezpiecznie zakotyła się. Pchnięta do tyłu, wpadłam na Micka.

– Spokojnie – powiedział mi do ucha. – To po prostu ich sposób, żeby podrapać swędzące miejsce.

Tego wieczora znaleźliśmy się nieopodal Wąwozu Mew. Spacerowaliśmy w stronę chaty, każde z nas dźwigało karton pełen sprzętu. Nie zwracałam uwagi, gdzie idziemy. Mój umysł wciąż pełen był wielorybów. Wesoło sprzeczałam się z Mickiem co do tego, czy walenie mogą być rozumne. Istniały dowody, które potwierdzały tę teorię, jak i takie, które jej zaprzeczały. Wtedy Mick nagle się zatrzymał. Trafiliśmy nad brzeg. Przed nami znajdował się Wąwóz Mew w swojej typowej, złowieszczej odsłonie. Cienista rozpadlina wypełniona niespokojnymi wodami oceanu. Nie zbliżałam się do tego miejsca od chwili, gdy znaleźliśmy ciało Andrew.

Zamarłam. Mick zrobił się purpurowy na twarzy. Ujął mnie za ramię i odciągnął stamtąd.

– Nie wierzę, że będą robić sekcję zwłok – powiedział, maszerując w takim pośpiechu, jakby zależało od tego jego życie.

– Co?

– Nic. Nic.

– No dalej, mów – poprosiłam. – Galen powiedział dokładnie to samo, kiedy rozmawiał z tym lekarzem.

– Mhm.

Wróciłam wspomnieniami do tej rozmowy, próbując przywołać słowa, których użył Galen.

– Czy sekcja zwłok nie jest przeprowadzana za każdym razem, gdy ktoś umiera?

– Tylko w telewizji – odparł Mick. – Nie w prawdziwym życiu. Jeśli widać, że przyczyna śmierci była naturalna, jak starość albo atak serca, nikt nie bawi się w autopsję. Ale w tym przypadku... a niech tam.

Spieszył się tak bardzo, że zaczął mnie wyprzedzać. Podwoiłam wysiłki, żeby za nim nadążyć, i w efekcie truchtałam jego śladem jak pudel na smyczy.

– Zastanów się – powiedział. – Mogły się wydarzyć tylko dwie rzeczy. Andrew spaceruje nad brzegiem morza. Potyka się. Łamie sobie nogę w kostce. Upada i rozbija głowę. Wpada do wody. Tonie.

– Tak – zgodziłam się. – Właśnie.

– To jedna możliwość – odparł Mick. – Inna jest taka, że ktoś go najpierw wali w łeb. Dlatego upada. W chwili gdy ląduje w wodzie, jest już nieprzytomny.

Szok sprawił, że przystanąłam. Przez chwilę nie byłam w stanie nawet zaczerpnąć tchu. Mick szedł dalej, a ja próbowałam zapanować nad sobą, biegnąc za jego oddalającą się sylwetką. Na ganek dotarliśmy razem. Opadł na leżak, chwycił oba podłokietniki. Odłożyłam pudełko ze sprzętem i osunęłam się na ławeczkę obok niego.

– Dostajesz to, co ci się należy – powiedział. – Wierzę w to.

– Co takiego?

– Nigdy nie lubiłem Andrew. Moim zdaniem to niewielka strata.

Na moment zapanowała cisza. Potem Mick nagle się podniósł.

– Idę do środka – oznajmił. – A ty?

Pokręciłam głową. Nie patrzyłam na niego. Trzasnął drzwiami tak mocno, że cała chata się zatrzęsała. Nad wodą unosiła się złocista szarfa. Słońce przypominało szkarłatną kulę, jego

kontury były zniekształcone i rozmyte przez chmury. Kiedy płomienisty okrąg dotknął morza, jasna strzała pomknęła w moją stronę – wskazujący mnie palec, świetlny refleks połamany przez fale.

Jest środek grudnia. W Waszyngtonie zima trwa w najlepsze. Niebo nad Dupont Circle* robi się szare i gładkie niczym kawał płótna. Ulice wypełnia brud, szpecą je błocko i opadłe liście. Niekiedy zamyka się szkoły – nie z powodu śniegu, tylko deszczu.

Pamiętam, że gdy byłam dzieckiem, jednego zimowego popołudnia maszerowałyśmy środkiem ulicy. Tylko tam pozostał splacheć twardego podłoża. Szłaś z przodu, a ja ścisnęłam rąbek Twojego poncza. Ulewa bębniła w parasol. Kanały nie radziły sobie z nawałnicą, nie były w stanie przyjąć takiej ilości wody. Ścieki były przepełnione, chodniki zalane. Samochody zamieniły się w wysepki, nie było widać ich kół. Woda sięgała sklepowych wystaw i drzwi, a deszcz zamienił sadzawki w świetlne mozaiki. Kolumna przechodniów szła wzdłuż podwójnej żółtej linii niczym uczestnicy parady, choćby nawet pośpiesznej i nieciekawej. Młodzież szkolna, matki z zakupami, mężczyźni w garniturach – wszyscy spieszyli się, żeby dotrzeć do domu, zanim burza jeszcze przybierze na sile. Doskonale pamiętam ten dzień. Pamiętam, że gdy nadszedł zmrok i temperatura spadła, woda stojąca na chodnikach zamarzała na kamień. Obudziłam się, by ujrzeć szkliste pustkowia. Tak dla mnie wygląda zima: przeciągająca się mżawka, lśniący lód i pozamykane szkoły.

W Kalifornii jednak – albo raczej niedaleko kalifornijskiego wybrzeża – nie ma prawdziwej zimy. Pory roku uległy zmianie, ale nie w sposób, który znam. Noce są trochę chłodniejsze, wiatr nieco silniejszy. Mgła towarzyszy nam niemal bezustannie. Zaczyna się rano, w postaci kilku kłębków na oceanie. Gęstnieje z nadejściem popołudnia, bleda i jasna. Wieczorem otula chatę grubym kocem, przesłania bielmem wszystkie okna.

Śniłam o rekinach. Teraz śnię o wielorybach.

Upłynął miesiąc. Cały miesiąc od chwili, gdy Andrew na mnie napadł, i wciąż tu jestem. Ostatnio wyszłam na zewnątrz na bosaka. Włożyłam rękawiczki, płaszcz, nawet czapkę – ale w połowie drogi do Zatoczki Grzywaczy popatrzyłam w dół i ujrzałam biedne, sine palce u stóp utyłane w błocie. Zaalarmował mnie dopiero szok wywołany chłodem. Innego dnia umyłam zęby mydłem w płynie zamiast pastą do zębów. Jeszcze innego walczyłam z wieszakiem na ubrania. Kiedy weszłam przez frontowe drzwi, wydawał się rzucać w moim kierunku – zwalisty, męski kształt. Uderzyłam go obiema dłońmi, przewróciłam z hukiem i posłałam wszystkie kurtki na podłogę. Zdarza mi się też tracić rachubę czasu. Wydaje się, że atak Andrew spowodował jakieś uszkodzenia w moim wewnętrznym czasomierzu. Często nie wiem, która jest godzina, i zaskakuje mnie zachód słońca albo posiłek lądujący na stole.

Potem nastąpił dzień, kiedy wdałam się z Forestem w zawody we wrzeszczeniu. Rozmowa zaczęła się całkiem uprzejmie, ot, pogawędka o samicach żarłaczy białych. Siostrzyczki już dawno odpłynęły na cieplejsze wody i Forest zasugerował, że może nastąpi zmiana w ich zwyczajach godowych. Globalne ocieplenie zaczęło zmieniać charakter całych oceanów, wypaczać pływy. Niespodziewanie ogarnął mnie szal. Stałam w kuchni i wrzeszczałam, że dość mam słuchania o Siostrzyczkach. W ogóle miałam dość biologów. Na świecie musiał istnieć jeszcze jakiś inny temat do rozmów poza rekinami, wielorybami, fokami i ptakami. W tym momencie zainterweniował Mick, zmuszając mnie do wypicia herbaty i zjedzenia kilku ciastek. Forest się wymknął i sprawa przycichła. Mimo wszystko byłam później wstrząśnięta. Złość pojawiła się znikąd, zaskakując nawet mnie samą, równie nieokiełznana, co erupcja wulkanu.

Postronny obserwator niekoniecznie dostrzegłby zmianę w moim zachowaniu, jakąś wyraźną różnicę pomiędzy Przed Andrew i Po Andrew. Zdarza się, że nerwy mam napięte jak

postronki, potrafię wybuchnąć z byle powodu. Czasem bywam aspołeczna i chowam się w pokoju. Odrobinę więcej sypiam. Czuję się dziwnie nieobecna, niemal niematerialna. Obzeram się jak kotik wypełniający brzuch kamieniami, jakbym próbowała w ten sposób zarzucić kotwicę, uczepić się ziemi.

Mimo wszystko udawanie normalności jest łatwiejsze, niżbym przypuszczała. Każdego dnia spaceruję po wyspach i robię zdjęcia. Jednego ranka uchwyciłam albatrosa kołującego na tle nieba. Kiedy indziej trafiłam na stado mew zataczających kręgi gwałtownie, wedle zmiennego wzoru, niektóre tak blisko, że mogłabym ich dotknąć, inne tak odległe, że przypominały płatki śniegu. Raz udało mi się zrobić zdjęcie stada delfinów; pływały może z dwanaście metrów od brzegu, widoczne tylko przez mój teleobiektyw. Grały w jakąś skomplikowaną grę – radośnie wyskakiwały z wody, nie spontanicznie, ale we wcześniej ustalonych grupach, po trzy albo cztery naraz. Poruszały się jednocześnie, z precyzją, o której pływacy synchroniczni mogli tylko pomarzyć.

Chociaż lubię wygodę związaną z używaniem aparatów cyfrowych, jak nigdy wcześniej czułam się przywiązana do Klejnotu, mojego wielkoformatowego potwora. Używaniu go towarzyszy cudowny rytuał: kadrowanie ujęcia, rozstawianie statywu, wkładanie kliszy do aparatu i zarzucanie płachty materiału na głowę. W ciemności panującej pod tkaniną czuję się jak dziecko, jakbym chowała się pod kocem. Znany, swojski świat zostaje wywrócony do góry nogami. Niebo jest na spodzie. Słońce świeci mi na stopy. Szara masywna ściana morza wznosi się ponad mną.

Przy okazji w końcu dotarły do nas wieści ze stałego lądu. Miało to miejsce kilka dni temu, w wietrzny poranek, kiedy chata wzdychała i trzeszczała niczym statek na morzu. Agenci federalni zakończyli dochodzenie. Ciało Andrew zostało poddane szczegółowej autopsji. Przekazano nam werdykt. Galen odebrał informację przez radiotelefon i powiedział nam o wszystkim w trakcie śniadania.

– Sekcja zwłok... – oznajmił, po czym odchrząknął i zaczął raz jeszcze. – Wyniki nie są jednoznaczne. Najwyraźniej tak się czasem dzieje. Ale zdecydowali, że to był wypadek. Sprawa jest zamknięta.

W piątek Lucy zorganizowała nabożeństwo żałobne. Zaczekała, aż wszyscy skończą pracę. Najpierw Forest i Galen wrócili do domu w kiepskich nastrojach. Ich kamera wideo znowu przestała działać. Ze względu na moje doświadczenie zostałam oddelegowana do naprawy i wkrótce cały stół był pokryty wizjerami, kartami pamięci, nieporęcznymi kawałkami plastiku, maleńkimi obwodami scalonymi i stronami z rozsypującej się instrukcji. Galen raz po raz odczytywał na głos fragmenty tych bezużytecznych fiszek. Forest i ja traktowaliśmy całość jak puzzle: zaczęliśmy od środka i stopniowo przesuwaliśmy się w stronę zewnętrznych krawędzi. Chwilę później pojawił się Mick, pogwizdując wesoło, bo zobaczył kilka słońi morskich baraszkujejących pośród fal. Próbował przyłączyć się do naszych zmagania z kamerą, ale niemal natychmiast połamał fragment obudowy. Oddalił się zawstydzony, kiedy sklejałam ją taśmą.

– Wy mężczyźni z waszymi wielkimi, niezdatnymi paluchami – burknął nagle Forest z silnym teksańskim akcentem. Mick nakrył uśmiech dłonią.

Przez resztę popołudnia nasza czwórka kryła się w kuchni. Forest i ja składaliśmy do kupy kamerę. Galen narzekał, że instrukcja obsługi przechodzi z angielskiego na francuski, a potem na coś, co przypominało portugalski. Siedząc w kącie, Mick gadał o słońiach morskich. Pomieszczenie było skąpane w pogodnym blasku. Dla mnie kuchnia zawsze stanowiła przytulne serce naszej chaty.

O zachodzie słońca wreszcie skończyliśmy składać kamerę – zostało kilka trybików, które, jak podejrzewał Forest, należały do tostera, który został rozmontowany dokładnie w tym

samym miejscu kilka tygodni wcześniej. W międzyczasie niebo nabrało koloru poobijanej śliwki. Skrawek księżycy wyrósł ponad horyzontem.

Wtedy Lucy opuściła swoją sypialnię. Charlene szła tuż za nią. Nie wiedziałam, że w ogóle były w domu. Lucy trzymała pęk długich, smukłych świec. Rozdała je, po jednej dla każdego z nas, podczas gdy Forest pospiesznie chował kamerę. Charlene niosła garść okrągłych konstrukcji origami – można je było nadmuchać jak balon. Lucy wytłumaczyła, że te papierowe kule miały za zadanie chronić płomień przed wiatrem, kiedy nasza procesja powędruje w stronę morza.

Zauważyłam, że obie kobiety mają na sobie stroje w ciemnych barwach. Zastanawiałam się, czy powinnam zmienić mój jaskraworóżowy podkoszulek, ale było już za późno, Lucy wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę. Wkrótce każde z nas trzymało w dłoni tańczący płomynek. Założenie papierowych osłon na świece w taki sposób, żeby pergamin się nie zajął, wymagało trochę wysiłku. Galenowi się nie udało. Nagle błysnął ogień, padło kilka przekleństw i zwęglony motyl sfrunął na podłogę.

– Zrobiliśmy kilka na zapas – uspokoiła go Charlene.

Wieczorne powietrze nasiąkło zimowym chłodem. Gęsiego maszerowaliśmy w stronę brzegu, zarówno Lucy, jak i Charlene niosły w wolnych rękach torby. Pomimo mojego sceptycyzmu nie mogłam pozostać obojętna na dostojność naszych ciemnych postaci niosących świecące kule. W całym tym przedsięwzięciu wyczuwało się swoisty majestat. Szerokim łukiem ominęliśmy Wąwóz Mew. Zamiast tego powędrowaliśmy w stronę Niecki Małż, gdzie linia brzegowa przybierała kształt łagodnego wzniesienia.

Gdy znaleźliśmy się nad wodą, Lucy obróciła się w naszą stronę. Stanęliśmy w półokręgu, twarzą do niej. Jej oblicze wyglądało inaczej, oświetlone od spodu złocistym światłem.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie – powiedziała.

Odpowiedział jej szmer głosów.

– To była ulubiona pora dnia Andrew – oznajmiła. – Lubił wieczory. Myślałam, że może... – Głos jej się załamał i na moment umilkła. – Charlene pomogła mi zebrać kilka rzeczy, które należały do niego. Gdybyśmy mogli... – Znowu się zawahała. Pospiesznie otarła oczy.

Od śmierci Andrew Lucy przypominała cieknącą gąbkę, wybuchała łzami przy byle okazji. Ja tymczasem nie płakałam ani razu, choć sądziłam, że mam lepszy powód niż ona. Wszystkie te egzaltowane emocje wydawały mi się wyrazem rozczulania się nad sobą. Nawet jako dziecko nie byłam beksą. Pochyliłam głowę, pozwoliłam, żeby wiatr zwał mi włosy na twarz. Lucy zaczerpnęła tchu i wzięła się w garść.

– Galen pozwolił mi wziąć jeden z jego modeli statków – wyjaśniła. – Załadujemy na niego rzeczy Andrew i wyślemy w morze. Myślę, że tak będzie dobrze. Pogrzeb godny wikinga dla jego najcenniejszego dobytku.

Dała znak, a wtedy Charlene pochyliła się nad torbami, wyciągnęła miniaturowy kliper, kompletny, nawet z olinowaniem. Dawniej stał na kominku, dodając pokojowi dziennemu odrobinę marynarskiej aury. Teraz Lucy przyjrzała mu się uważnie. Usunęła drobinę kurzu z kadłuba. Charlene wydobyła z torby żółty T-shirt. Zadrżałam, rozpoznając w nim własność Andrew; często widziałam ten ochrowy błysk za kołnierzem jego kurtki. Potem przyszedł czas na buteleczkę wody kolońskiej i zegarek na rękę. Wieczne pióro. Wysłużony egzemplarz *Buszującego w zbożu*. Paczkę gum. Wszystkie przedmioty po kolei zajmowały miejsce na pokładzie.

W końcu było po wszystkim. Lucy zwróciła się do nas.

– Żałuję, że nie mamy jego czerwonej czapki – powiedziała. – Jego szczęśliwej czapki.

Tej jednej rzeczy nie mogłam znaleźć. Fale musiały ją zabrać.

Wraz z Charlene zeszły nad wodę, wspólnie niosąc małą łódź. Położyły ją na płyciźnie. Lucy ją popchnęła i maleńki okręt odpłynął, podskakując, potem skręcił bakburta w naszą stronę i wycelował dziobem w Siodło. Ostatki dziennego światła padały na morze. Sylwetka statku przypominała dziurę w tym lśniącym, srebrzystym szklwie. Wszyscy utkwiliśmy w nim nasze spojrzenia. Zdawało mi się, że Mick wstrzymuje oddech, siłą woli popycha model do przodu. Ten dopłynął dalej, niż się spodziewałam. W końcu morze wzięło sprawy w swoje ręce. Okręt przechylił się na jedną stronę. Zatonął nagle, tak jakby miniaturowa łódź podwodna rozpruła mu kadłub torpedą. Jeszcze przez minutę lub dwie widać było koszulkę Andrew unoszącą się na wodzie. Potem ona również zniknęła.

– Pomódlmy się – oznajmiła Lucy chropawym głosem. – Nie wychowałam się wśród osób wierzących. Andrew też nie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle chciałby, żebyśmy się za niego modlili. Ale wydaje mi się to właściwe. Po prostu powtarzajcie za mną, dobrze?

Pochyliła głowę nad migoczącą świecą. Pozostali odezwali się atonalnym chórem, w którym sopran Charlene stał się z pomrukiem Galena. Nie zwracałam większej uwagi na padające słowa: *Boże pełny miłosierdzia... wieczny spoczynek... święty i czysty... dusza Andrew Metzgera*. Charlene uroniła kilka łez. Jeśli chodzi o mnie, moje usta nawet się nie poruszyły. Nie odezwałam się ani słowem.

* Jedna z najstarszych dzielnic Waszyngtonu, obejmuje między innymi słynne rondo (przyp. tłum.).

SEZON FOK

Na kamieniach była krew. Słonie morskie znowu ze sobą walczyły. Trzymałam się na bezpieczny dystans, z okiem przy wizjerze, wybierając optymalny kadr.

Teraz, w grudniowym chłodzie, pod niebem zasnutym gęstymi chmurami, to codzienny rytuał. Samce słoni morskich wychodzą dziesiątkami na ląd, by toczyć między sobą wojnę. Zaanektowały Morski Taras i Zatokę Mirung. Wypełniają powietrze gromkimi krzykami. To monstrialne stworzenia. Mick podał mi ich wymiary: cztery metry od nosa po ogon, dwie tony żywej wagi. Ale te liczby nie oddają prawdziwej fizjonomii tych zwierząt, ich unikalnej kombinacji zaciekłości i głupoty. Samce mają tłustawe, rozlane cielska. Ich głowy są niekształtne – zdeformowane przez bezwładny, majtający się nos, rodzaj prymitywnej trąby. Słonie morskie przetaczają się przez plaże, przybierają przed innymi rozmaite pozy, agresywnie wymachują łbami. Ustanawiają hierarchię. Przygotowują się na przybycie samic.

Ich walki to świetny materiał do zdjęć. Każda konfrontacja zaczyna się od popisów. Jeden samiec podnosi górną połowę ciała w powietrze i obraca się w miejscu, prezentując swoje rozmiary. Kawalek dalej drugi słoń morski odpowiada tym samym. Ich nosy nadymają się, a potem rozlega się ryk – ostry, tubalny wrzask, płetwonoga wersja dźwiękowej eksplozji. Często mniejszy samiec na tym etapie daje za wygraną.

Jeśli dzieje się inaczej, dochodzi do zwarcia. To krótkie, brutalne walki. Na całego. Foki rzucają się i atakują swoimi olbrzymimi tułowiami. Tną potwornymi zębiskami. Każdy słoń morski nosi napierśnik z tkanki bliznowatej. To szare zwierzęta, barwy oceanu, ale ich torsy są różowe, otarte i żylaste. Niedobrze mi się robi na sam widok. Po wymianie ciosów zwycięzca znowu pozuje i wydaje tryumfalne ryki. Przegrany oddala się chyłkiem, barwiąc kamienie na czerwono.

Do fotografowania ich używam mojego wielkoformatowego aparatu. Co rano rozstawiam statyw i narzucam czarny materiał na głowę. To zapewnia mi iluzję bezpieczeństwa, tak jakbym stawała się niewidzialna, jakby opadająca płachta wymazała moją cielesną powłokę. (W rzeczywistości, rzecz jasna, fotograf korzystający z podobnego narzędzia szczególnie rzuca się w oczy: zakapturzona postać na tle zbrocza, okryta czernią niczym widmo śmierci). Zwierzęce kształty wyostrzają się w wizjerze. Ten aparat wywraca świat do góry nogami: granitowe niebo, ziemia ulepiona z chmur, słonie morskie unoszące się ponad horyzontem. Kocham tę jego nierzeczywistość.

Klejnot to bez wątpienia mój ulubiony aparat. Wielkoformatowy mechanizm wymaga czasu i wysiłku, ale w chwilach, gdy chowam się pod czarną płachtą, cały wszechświat zostaje skondensowany do rozmiarów jasnego obrazka widocznego przede mną. Dla mojego mózgu istnieją tylko cień i ruch. Nie widzę wysp takimi, jakie są. Prawda zostaje zakryta przez ścianę czerni. Mogę zobaczyć tylko to, co chcę zobaczyć – to, co decyduję się obserwować przez soczewki aparatu i to, co postanawiam zachować dla przyszłych pokoleń.

Na wyspach nie ma ciemni. Nie mogę tu wywołać moich zdjęć. Muszę wyciągnąć kliszę z aparatu i umieścić ją w światłoszczelnym pudełku. Robię to po omacku, na wycucie, z dłonią w torbie, dzięki której mój sprzęt jest chroniony przed działaniem promieni słonecznych. Otwieram Klejnot i wydobywam jego cenny ładunek. Z zamkniętymi oczyma dotykam kliszy, przenoszę ją do pojemnika, w którym spędzi kilka następnych miesięcy. Potem otrzępuję ręce i odchodzę.

Kiedy korzystam z innych aparatów – z moich cyfrowek – mam szczególny zwyczaj. Co wieczór przeglądam wszystkie zdjęcia zrobione w ciągu dnia i systematycznie usuwam te, które

mnie nie zadowalają. W weekendy przeglądam całą zawartość kart pamięci, robiąc to samo na większą skalę; oceniam wszystkie fotografie, jakie zrobiłam podczas pobytu na wyspach. To pozwala mi na swoisty dialog z moim zbiorem zdjęć, dzięki temu mogę zobaczyć, co już działałam, a co jeszcze jest przede mną. Pomaga też w nabraniu dystansu. Czasem zdjęcie wydaje się cudowne w dniu, kiedy zostało zrobione, ale po tygodniu lub dwóch jego urok słabnie. Z początku może też być trudno oddzielić umysł od aparatu. Tak dobrze wiem, co miałam nadzieję uzyskać, robiąc każde z tych zdjęć – światło, energię, atmosferę – że patrząc na swoją pracę, czasem dostrzegam w niej coś, czego tam w rzeczywistości nie ma. Widzę to, co chciałam ująć, a nie to, co faktycznie ujęłam. Potrzebuję czasu i przestrzeni, żeby spojrzeć na moje fotografie obiektywnym okiem, tak jakby należały do kogoś innego.

Jednak jeśli chodzi o mój wielkoformatowy aparat, nie mam możliwości podejrzenia zdjęć. Jeszcze nie. Ten rodzaj kliszy wymaga ciemni i kąpieli w chemikaliach, by powołać obraz do życia. Nie mogę obrócić aparatu i zerknąć na jego tył. Będę musiała powrócić na stały ląd, do cywilizacji, zanim będę mogła wywołać te fotografie. Na razie błony filmowe są schowane pod moim łóżkiem w wodoszczelnych pojemnikach. Co tydzień dokładam tam nowe skarby, jak smok gromadzący złoto. Czasem nie mogę znieść tego wyczekiwania. Wydaje się niemożliwym, że miną długie miesiące, zanim będę w stanie zobaczyć swoje zdjęcia.

Czasami jednak czerpię przyjemność z rodzącej się we mnie nadziei, z oczekiwania. Niczym płód w łonie, moje fotografie dojrzewają w mroku. Ciekawi mnie, co się z nich narodzi.

W wilgotny grudniowy poranek po raz pierwszy ujrzałam szczenię słonia morskiego. Na razie na brzeg wyszło tylko kilka samic, więc nie było żadnych młodych – aż do teraz.

Mick wstaje wcześnie, cały podekscytowany. Jest ekspertem od tych zwierząt, podobnie jak od wielu innych spraw. Morskie ssaki każdego rodzaju to jego domena, a walenie i pletwonogie w szczególności. Sezon Fok to jego ulubiony czas w ciągu roku, więc jest w doskonałym nastroju.

Przez kilka kolejnych tygodni samice będą wychodzić na ląd. Samce szaleńczo walczą o ustalenie hierarchii. Alfy będą spółkować raz za razem. Bety będą im asystować i okazywać posłuszeństwo w nadziei, że też zostaną dopuszczone do godów. Natomiast gammy – kompletni przegrani – spędzą zimę w stanie jałowej frustracji. Ten okres na wyspach jest pełen napięcia. Samce pogrążają się w gorączkowym wyczekiwaniu. Wiatr niesie ich gardłowe ryki. Ich gigantyczne szare cielska pozostają w ciągłym ruchu, pokryte pianą toczą się po plaży w górę i w dół. Muszę uważać, gdzie idę. Muszę zachować dystans. Słoń morski mógłby przejechać po mnie jak walec drogowy. Mógłby rozerwać mnie na pół swoimi zębami.

Mick opowiedział mi o dziwnym życiu tych stworzeń. Samce nie jedzą tak długo, jak są na lądzie – a przebywają tam miesiącami, przez cały Sezon Fok. Nim zima dobiegnie końca, zgubią połowę swojej wagi. Przez resztę roku tuczą się w ramach przygotowań.

Kiedy przybywają samice, cały świat ulega zmianie. Pojawiają się na wyspach, żeby urodzić młode, a następnie zająć w ciążę. Mają jeden cel i są skuteczne. Noszą ciążę przez jedenaście miesięcy, a czas ten spędzają w wodzie. Niewiele wiadomo o ich doświadczeniach na morzu, ponieważ potrafią wstrzymać oddech na całe godziny i nurkować na głębokość blisko dwóch tysięcy metrów. Ludzie nie mogą ich tam śledzić. Może zjadają ośmiornice. Może zjadają małe rekiny. Może pozostają niedaleko wysp, a może wypływają na głębokie wody otwartego oceanu. Może trzymają się w rodzinnych grupkach. Może podróżują samotnie. Nikt nie wie na pewno. W końcu wychodzą na brzeg, obciążone trzydziestokilogramowym płodem. Rodzą błyskawicznie.

Spacerowałam razem z Mickiem, kiedy napotkaliśmy focze szczenię. Zmierzałyśmy na Plażę Martwego Lwa Morskiego, gdzie pierwsze samice wreszcie wyszły na ląd. Powietrze było

gęste od deszczu i mgły. Nie wzięłam ze sobą aparatu, nie chcąc narażać go na uszkodzenie spowodowane wilgocią. Oboje nosiliśmy poncza, które szeleściły przy każdym ruchu. Krople gromadziły mi się na powiekach. Mick trzymał mnie za ramię, pomagając mi zachować równowagę, gdy ślizgaliśmy się na kruchym granicie.

Usłyszałam je, zanim je zobaczyłam. Głos dziecka nie przypominał niczego, co wcześniej słyszałam – jednocześnie rozdygotany i chrapliwy, coś pomiędzy zawodzeniem kociaka a kasłaniem niedźwiedzia. Palce Micka zacisnęły się na moim ramieniu.

– O nie – wyszeptał.

Nie ruszaliśmy się. We mgle pojawił się kształt. Był smolście czarny. Poruszał się niepewnie, szurał po ziemi i co rusz się zatrzymywał. Jego futro było gładkie, oczy pełne łez, nos otaczały drżące wąsy. Choć duże, tylko o połowę mniejsze ode mnie, szczenię wciąż miało ten specyficzny urok małego ssaka. Podniosło paszczę, wydało z siebie kolejny skowyt.

Instynktownie zrobiłam krok do przodu, wyciągając dłonie w jego stronę.

– Nie – powiedział Mick.

– Zgubił się – odparłam. – Idzie w złą stronę.

– Tak bywa.

Szczenię znowu zapłakało. Ten dźwięk chwycił mnie za serce. Jego matka pewnie odpowiadała, ale jej głos musiał ginąć pośród wycia wiatru i szumu fal.

Młode ruszyło w naszą stronę. W jego ruchach dało się dostrzec ślady wycieńczenia. Z trudem wciągnęłam powietrze. Wystarczyłby moment, żeby podnieść szczenię i obrócić je, skierować z powrotem w stronę morza, w stronę rodziny i bezpieczeństwa. Wszystko, czego potrzebowało, to popchnięcie we właściwym kierunku.

– Czy nie możemy... – zaczęłam.

– Nie. – Dłoń Micka była jak imadło, osadziła mnie w miejscu. – Jeśli ma umrzeć, umrze.

Jęknęłam. Zaskoczyła mnie siła tego wewnętrznego impulsu. Chciałam zatrzymać to szczenię, ukołysać je w ramionach. Samotność tego małego stworzenia była nieznośna. Nie wiedziałam, czy płaczę, czy może to tylko zimne krople deszczu na moich policzkach. Mick trzymał mnie nieubłaganie. Patrzyliśmy, jak młoda foka zmierza w głąb lądu, przedziera się przez mgłę i wznosi swoje płaczliwe krzyki, aż zniknęła połknięta przez wilgotne opary.

Kiedy o Tobie myślę, kusi mnie czasem, by zagrać w „Co by było gdyby”. To niebezpieczna gra, bez dwóch zdań – ale w trudnych chwilach wydaje się atrakcyjna. Co by było, gdybyś przeżyła?

To jedno pytanie otwiera całe uniwersum możliwości. Gdybyś przeżyła, mogłabym wcale nie zostać fotografem przyrody. Mogłabym nigdy nie złapać podróźniczego bakcyła. Mogłabym teraz mieć własny dom. Mieć psa albo nawet dwa czy trzy. Jestem w stanie wyobrazić sobie, jak klęczę w ogrodzie, z rękoma aż po łokcie uwalanymi ziemią, z twarzą osłoniętą słomkowym kapeluszem i z czystym umysłem. Mogłabym organizować przyjęcia. Mogłabym budzić się każdego ranka, przez całe życie, zawsze wiedząc, gdzie jestem. Wszystko we mnie mogłoby być inne, niczym światło załamane przez soczewkę zwaną „Co by było gdyby”.

Gdybyś przeżyła, może miałabym przyjaciół – nie współpracowników, nie kolegów, nie współtowarzyszy. Może choć raz w życiu związałabym się z kimś na dłużej niż na kilka burzliwych miesięcy. Może zakochałabym się w kimś tak, jak zakochałam się w tych wyspach. Może obdarzyłabym uczuciem innych ludzi, a nie niebo, fale, słońce morskie, mgłę i chłód. Wyobrażam sobie siebie, piszącą listy do korespondencyjnego przyjaciela. Nie do ducha, ale do żywej osoby. Do kogoś, kto mógłby odpisać.

Gdybyś przeżyła, mogłabym nigdy nie pojechać na Wyspy Farallońskie. Ja i Andrew nigdy byśmy się nie spotkali. Mogę poprowadzić prostą linię od Twojej śmierci do jego napaści. Gdybyś przeżyła, byłabym chroniona, hołubiona, bezpieczna.

Mogłabym być szczęśliwa. Sens mojego istnienia mógłby kręcić się wokół przyjemności, a nie poczucia straty.

Gdybyś przeżyła, mogłabym czasem o Tobie zapomnieć. Tak chyba dzieje się w przypadku normalnych ludzi. Wyobrażam sobie – z wielkim trudem – rzeczywistość, w której mogę brać moją matkę za pewnik; rzeczywistość, w której stanowiłabyś tło, rozmyty drugi plan fotografii, istotny, ale niezauważany.

„Co by było gdyby” dotyczy też mojego ojca. Mogę wyobrazić sobie sytuację, w której byłby mniej skoncentrowany na pracy, mniej nieobecny myślami. Mógłby nie włączać telewizora każdej nocy ze zmęczonym, szklistym wzrokiem alkoholika sięgającego po butelkę. Od lat jesteśmy jak współlokatorzy, jak znajomi. Ilekroć pomiędzy zleceniami wracam do domu, wpadamy w stare schematy, poruszamy się w koleinach przyzwyczajień, które biegną równolegle do siebie, ale się nie stykają. On w piątkowe noce grywa w pokera. Ja w środy chodzę na targ. On co rano biega. Ja popołudniami biorę długie, gorące kąpiele. W szafkach mamy oddzielne półki, tak samo w lodówce. Każde z nas ma własne hobby – ja rozwiązuję krzyżówki, on sudoku. O innych porach kładziemy się spać i wstajemy, mijamy się w szlafrokach na korytarzu, nawet nie siląc się na nawiązanie kontaktu wzrokowego.

Gdybyś żyła, to wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Tata i ja nie traktowalibyśmy siebie nawzajem z tą uprzejmą obojętnością. Nie spędzalibyśmy razem godzin w pełnym skupieniu milczeniu, każde z nas zajęte swoimi myślami, tak samotne, jak to tylko możliwe w przypadku dwóch osób siedzących w tym samym pokoju.

Raz spróbowałam poruszyć ten temat. Dobrze to pamiętam. Siedzieliśmy w salonie, zachowując typowe milczenie. Na zewnątrz wiatr kołysał drzewami. Był wieczór i drozdy – ptaki, które pierwsze odzywały się rankiem i milkły jako ostatnie z nastaniem nocy – ćwierkały zawzięcie. Tata marszczył brwi, spoglądając na dokumenty trzymane na kolanach, a ja pobieżnie przeglądałam katalog ze sprzętem fotograficznym.

W końcu odchrząknęłam.

– Hej.

Zerknął na mnie, potem wrócił spojrzeniem do papierów.

– Chodzi o mamę – powiedziałam.

Skinął głową, ale nie podniósł wzroku znad dokumentów.

– Gdyby nie zginęła – zaczęłam – myślisz, że ty i ja bylibyśmy bliżej? Że może częściej byśmy rozmawiali?

Nastąpiła cisza. Długa chwila ciszy.

– Nigdy się nie dowiemy – odparł.

Zbliża się Boże Narodzenie. W związku z tym Charlene pokazała się z wcześniej nieznanej strony. Ogarnęło ją świąteczne szaleństwo. W jakiejś szafce znalazła dmuchaną choinkę, z rodzaju tych tanich, gumowych sprzętów, które w sytuacji krytycznej mogłyby posłużyć jako koło ratunkowe. Zielone igły mają kolor sztucznej murawy, bombki są namalowane na tworzywie. Pachnie jak dziecięcy basenik. Jest obrzydliwa. Charlene sama ją nadmuchała i postawiła na środku pokoju dziennego. Musimy ją okrążyć tuzin razy dziennie. Zaczęła też bez przerwy nosić czapkę Świętego Mikołaja, którą najwyraźniej specjalnie w tym celu zabrała ze sobą na wyspy, z wielomiesięcznym wyprzedzeniem umieszczając ją w swoich bagażach. Czerwień materiału okropnie kłóci się z jej kasztanowymi włosami. A Charlene bynajmniej na tym nie poprzestała. Kilka dni wcześniej przejrzała śmieci, wydobywając z nich wszystkie najdrobniejsze nawet kawałki metalu. Zrobiła lametę z pustych puszek.

Nasz przedpotopowy telewizor jest teraz na chodzie dzień i noc. Przebrzmiałe bożonarodzeniowe filmidła grają na okrągło. Wyświetlacz jest popsuty; jeśli zapatrzymy się w śnieżący chaos zakłóceń, możemy oślepnąć. A jednak Charlene wydaje się tym nie przejmować. Siedzi w fotelu, z podkurczonymi nogami i zamkniętymi oczyma, uśmiecha się i słucha. Wydaje się znać na pamięć każdy film, chichocze w reakcji na niewidoczne gagi i roni łzy podczas szczególnie romantycznych scen, niewidzialnych dla reszty z nas.

Ja oczywiście nie należę do osób, które lubią święta. Martwe matki kiepsko się komponują ze świątecznym nastrojem. Przez ostatnie dwadzieścia lat Boże Narodzenie znaczyło dla mnie tyle co nic.

Jednak Mick wczuł się w nastrój. Razem z Charlene zorganizowali ostatnio mikołajki. Kazali mi wyciągnąć z czapki kartkę z imieniem. Na próżno przypominałam im, że na Wyspach Farallońskich nie ma sklepów, nie ma gdzie kupić prezentów. Pozostali niewzruszeni. Spodziewam się, że wszyscy dostaniemy zęby rekina, paczkę krakersów, zszywacz albo schodzoną parę skarpet, każdy z tych darów opakowany w pleśniejącą gazetę i związany brudnym sznurkiem.

To dla nas wszystkich pracowity czas. W miarę jak słonie morskie coraz liczniej wychodzą na brzeg, Mick ma tyle roboty, że pada z nóg. Inni biolodzy też mają swoje zadania do wykonania. Chociaż żarłaczki białe zniknęły, Forest i Galen muszą przeanalizować dane zebrane latem. Liczba ataków. Liczba Siostrzyczek oraz członków Szczurzego Stada. Wszystko musi zostać odnotowane. Forest robi kopie wszystkich nagrań wideo, przygotowuje się, żeby wysłać je na stały ląd. Galen ciągle wypełnia formularze, a nie znosi tego. Siada przy stole, z frustracji szarpie włosy, aż wygląda, jakby nosił na głowie rozczochraną białą koronę. Ze swojego miejsca Forest uprzejmie koryguje jego pracę: „Nie, to był czwartek, a nie środa. Podaj mi gumkę, poprawię to”.

Lucy, specjalistka od ptaków, jest zaabsorbowana nawałnikami. Stanowi to dla niej powód do zmartwień: normalnie byłaby w stanie pomóc Mickowi w trakcie Sezonu Fok, tak to działało w przeszłości. Zimowe ptaki były dotychczas działką Andrew i normalnie to on by się

nimi zajmował. Jednak teraz Lucy musi go zastąpić. Jest bledsza niż zazwyczaj, pod oczami ma ciemne półokręgi.

W ogóle nie wiedziałam, że nawałniki występują na wyspach – ale w tym przypadku moja niewiedza jest usprawiedliwiona. Te ptaki nie budują widocznych gniazd. Mieszkają w norach ukrytych w ścianie klifu, od strony wody. Ponadto to zwierzęta nocne. Ich upiorne głosy odzywają się przez całą noc. Kiedy Lucy spróbowała naśladować wydawane przez nie dźwięki, uzmysłowiłam sobie, że słyszałam ich krzyki, nie do końca je rejestrując, jakby te odgłosy spletały się z materią moich snów. W ciemności nawałniki fruną nisko nad morzem, polując na to, co Lucy nazywa „zwierzętami planktonowymi”, i dopiero o świcie wracają do swoich nor. W okresie godowym zgrają rodzicielstwo z fazami księżycy, zachęcając pisklęta do pierwszych lotów w najjaśniejsze noce. Na razie jednak są bezdzielne. To niemal zjawy. Kilka dni temu Lucy zlokalizowała ich ukryte domy, podążając za wyraźnym, piżmowym zapachem towarzyszącym oleistej, pomarańczowej mazi, którą nawałniki wydzielają, gdy czują się zagrożone. Odkryła istne ptasie miasto.

Charlene została oczywiście oddelegowana do pomocy każdemu, kto aktualnie najbardziej jej potrzebuje. Posłusznie podąża śladem Lucy, niosąc naręcza różnorodnego sprzętu albo sprawdza pod kątem merytorycznym papiery Galena. W efekcie zostaliśmy ja i Mick. Wspinamy się więc na Latarniane Wzgórze, z lornetkami w dłoniach, by obserwować wzór, według którego słonie morskie rozprzestrzeniły się na brzegu. Odwiedzamy Plażę Martwego Lwa Morskiego. Wyglądamy nieuchwytnych kotików. Nie każdego dnia da się teraz wypłynąć w morze. Fale są dzikie, z hukiem biją o brzeg. Śniadaniówki nie można bezpiecznie opuścić na tę poszatowaną wodę, a sytuacja z Janusem wygląda niewiele lepiej. Biała piana eksploduje przy zderzeniu fal z brzegiem, wzbija się w powietrze w postaci popielatych kłaków. Czasami wydaje się, że ocean wysunął z wody dłoń i próbuje wciągnąć Farallon Południowo-Wschodni w głębinę.

Od czasu do czasu udaje się nam z Mickiem trafić na dogodny moment. Zdarza się, że wiatr zaprzestaje wysiłków, a morze przysypia na godzinę lub dwie, płaskie i lśniące niczym lodowisko. Wbrew moim protestom Mick wyciąga mnie w takich chwilach na Janusa. Nie mam za grosz zmysłu pogodowego, więc za każdym razem jestem przekonana, że aura lada moment się zmieni. Wierzę, że wystarczy, że odbijemy od brzegu, a potworna wichura pojawi się znikąd i spadnie na nas z okropnym wyciem. Mick tylko się ze mnie śmieje. Jednego ranka znaleźliśmy się nieopodal Idealnej Fali, turkusowego grzywacza, który nieustannie przesuwają się wzdłuż Alei Rekinów. Fala potrafiłaby skusić każdego surfera, gdyby oczywiście nie drapieńcy, którzy w ładną pogodę kryją się pod powierzchnią wody. Innego popołudnia podpłynęliśmy do Niskiego Łuku, gdzie zrobiłam trochę zdjęć fokom pospolitym: ich cętkowanym skórom i płaskim płetwom chwytającym się obłych brzuszysk.

Wiele razy śniłam o zagubionym szczenięciu słonia morskiego. Nie wiem, co się z nim stało. Mogę tylko zakładać, że zdechło z głodu i zaniedbania. Mick nie pozwolił mi go poszukać, choćby i tylko po to, żeby odnaleźć ciało.

Jednak w snach ciągle słyszę jego bolesny lament. Znowu stoję pośród mgły i deszczu. Tym razem jestem zdecydowana uratować to młode. Widzę w oddali jego umęczony, czarny kształt, potykający się, szorujący ciałem po ziemi. Szczenie wzywa matki. Nie istnieje nic bardziej pierwotnego niż ten dźwięk. We śnie niemal mogę zrozumieć jego język – rodzaj podwodnego kwilenia, jak ludzka mowa przefiltrowana przez ciecz. Gdybym miała dość czasu, wierzę, że pojęłabym, co mówi. Pragnie swojej mamy, ale to ja odpowiem na jego wołanie. Oszołomiona przez mgłę, spieszę granitowym zboczem, podążam w ślad za płaczem. Moje dłonie są wyciągnięte, serce podchodzi mi do gardła. Pomimo wysiłków nigdy mi się nie udaje.

Za każdym razem zostają z pustymi rękoma.

Ośmiornica Oliver znowu się pojawiła. Lucy niedawno postanowiła przeprowadzić znaczącą reorganizację swojej sypialni w zgodzie z zasadami feng shui. Trwało trochę, zanim poprzestawiała wszystkie meble. Rzecz jasna nie poszłam zobaczyć, jak postępuje jej praca. Smok może i został zgładzony, ale wcale nie miałam ochoty wchodzić do jego dawnego leża. Słuchałam skrzypienia, szurania drewna o drewno, okazjonalnych wiązanek przekleństw. Nie pytałam Lucy, co skłoniło ją do działania. I tak by mi się nie zwierzyła, nawet gdybym chciała, żeby to zrobiła.

Pomiędzy mną a Lucy doszło do pewnego rodzaju ocieplenia stosunków. Ona zaprzestała kąśliwych komentarzy, a ja w jej towarzystwie nie stroszę już koleców jak wystraszony jeż. Mijamy się z uśmiechem i kiwamy sobie głowami. Zachowujemy się cywilizowanie. Od śmierci Andrew pozostali okazują Lucy nieskończone pokłady współczucia. Przytulają ją. Masują jej plecy. Ociekającymi słodyczą głosami pytają, jak się ma. Ja nie. Zdaję sobie sprawę z tego, że Lucy mnie nie lubi, ale jej wrogość jest teraz mniej skoncentrowana. Odejście Andrew przyćmiło podobne drobiazgi. Mam wrażenie, że jestem dla niej umiarkowanym, ale nieustannym źródłem irytacji, jak brzydki obraz na ścianie.

Ostatnio podsłuchałam ją, jak gawędziła z Forestem. On i Lucy są blisko; zauważyłam to już wcześniej. Tego ranka wpadł do niej zobaczyć, jak idzie jej to całe przemeblowanie w stylu feng shui. Byłam wtedy w kuchni. Przypadała moja kolej, żeby przygotować lancz, i ponurym wzrokiem badałam zawartość szafek, szukając kreatywnego sposobu na zamienienie wyschniętego makaronu i kiełkujących ziemniaków w zjadliwe danie.

Dotarł do mnie czysty, piskliwy głos Foresta.

– Ładnie – powiedział. – Inne zasłony.

– Właściwie to pocięłam stare prześcieradło – wyjaśniła Lucy. – Przy odpowiednim świetle widać wzór na tkaninie. Wygląda w porządku, prawda?

– Mhm.

Narobiłam w kuchni nieco hałasu, próbując dać im do zrozumienia, że jestem w domu, ale nie przeszkadzało im to.

– Dziwię się, że tyle pozmieniałaś – kontynuował Forest z namysłem. – Ledwo poznaję to miejsce.

Usłyszałam jakiś odgłos, prawdopodobnie pociągnięcie nosem.

– Nie mogłam już tego znieść – odparła Lucy płaczliwym głosem.

– Och, skarbie.

Słysząc było szelest, a potem Lucy wydmuchała nos, brzmiało to jak krzyk gęsi. Potem znowu szelest. Pewnie ścisnęła w dłoniach chusteczkę.

– Wiesz, czemu zostałam, prawda? – zapytała. – Myślałam o tym, żeby wyjechać. Wsiąść na prom, wrócić do domu. Nawet o tym śniłam. Ale koniec końców nie mogłam tego zrobić. To dla Andrew, rozumiesz? To wszystko dla niego.

Nasłuchując, zamarłam z workiem ziemniaków w dłoni.

– Tu go pamiętam – powiedziała Lucy. – Tu jest jego dusza. Nie duch, nie chodzi mi o ducha. Tutaj jest jego esencja.

Z trudem przełknęłam ślinę. Słysząc było jakiś ruch i domyśliłam się, że to Forest objął Lucy ramieniem, przyciągnął ją do siebie.

– Ale ostatnio jest coraz trudniej – mówiła. – Budzę się co rano. Rozglądam się i wszystko wygląda tak samo. Tak samo jak było. Co rano myślę, że to tylko sen. Że cała ta chora sytuacja to tylko jakiś idiotyczny koszmar. Wciąż tak myślę. Wciąż obracam się w łóżku i spodziewam się ujrzeć go obok mnie. Któregoś dnia wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam zaparzyć

dla niego kawę. Dotarłam aż do kuchni, zanim sobie przypomniałam.

Nie zdołałam usłyszeć odpowiedzi Foresta. Tylko kojący pomruk.

– Tak czy owak – powiedziała Lucy – teraz, kiedy się obudzę, od razu zobaczę, że jest inaczej. Pokój nie będzie wyglądał tak samo. I będę wiedziała, że Andrew już nie ma.

Gdybym była przesądna, mogłabym skrzyżować palce albo odpukać w niemalowane drewno. Nie byłam, więc tylko mocno zacisnęłam powieki. Moje ręce same z siebie splotły się wokół tułowia. Przez moment wszystko wydawało mi się obce. Nawet moja talia, moje biodra sprawiały wrażenie innych. Jakbym obejmowała ciało kogoś nieznanego.

Później tego dnia Oliver pojawił się w pokoju dziennym. Lucy postawiła jego akwarium na stoliku kawowym, tuż obok miejsca, gdzie zazwyczaj czytałam. Zareagowałam na tę zmianę z odrobiną wstrętu i fascynacji. Ośmiornica przyciągała mnie jak wypadek samochodowy albo martwy ptak na chodniku: była obrzydliwa, przerażająca i intrygująca.

Od tamtego dnia moje zainteresowanie wzięło górę nad strachem. Moja początkowa odraza nie uległa zmianie – nie dotknęłabym ośmiornicy ani jej nie podniosła – ale często patrzyłam, jak się bawi. Oliver jest w ciągłym ruchu. Jego cel to uciec albo zdechnąć, próbując. Na moich oczach zbadał każdy cal swojego zbiornika, wyciągając macki w górę, by starannie obmacać wieko. Z wyrzutem spoglądał na mnie przez szybę. Fascynuje mnie jego skóra. Może udawać cętkowany brąz otoczków na dnie akwarium. Kiedy jest zdenerwowany – a zdenerwowany jest często – oblewa się głębokim szkarłatem. Może też zmienić więcej niż tylko samą barwę. Potrafi sprawić, że jego okrycie zrobi się chropowate, aż zacznie przypominać koralowca. Potrafi uczynić swoje ciało gładkim i lśniącym niczym jedwab.

Zajął mi chwilę, zanim przyswoiłam sobie jego wygląd. Jego oczy odstają na szypułkach, a każda źrenica to czarna poprzeczna kreska. Obły worek pod tymi organami to nie, jak wcześniej sądziłam, jego nos. To jego ciało, miękki balon, w którym kryją się płuca i żołądek. Usta ukryte są pośród kręgu macek. Gdzieś tam jest dziób, a w nim jad. Trochę poczytałam na ten temat, znalazłszy na jednej z półek starą, wymiętoszoną kopię manifestu Jacques'a Cousteau. Wertując stronicę, dowiedziałam się, że ośmiornice są sprytne. Inteligentniejsze niż psy. Posiadają niesłychane zdolności kamuflażu. Martwa ośmiornica, jeśli przeniesie się ją z ciemnego podłoża na jasne, stopniowo zblednie, próbując maskować się nawet po śmierci.

Przyglądając się Oliverowi, dowiedziałam się jeszcze więcej. Lucy umieściła w zbiorniku kamień, prymitywne schronienie, i Oliver wkopuje się za nim, przerzucając całe garście otoczków na jedną stronę. Potem wciska się do utworzonej dziury. Stopniowo zmienia swoją barwę i fakturę, aż staje się niemal niewidzialny. Jednak kiedy Lucy zapuka trzykrotnie w wieko – to sygnał oznaczający posiłek – Oliver wyskakuje w górę, jak królik z kapelusza.

Wydaje mi się, że ma poczucie humoru. Przez jakiś czas Lucy trzymała przy nim włączoną lampę, dodatkowe źródło ciepła. Ale któregoś popołudnia Olivera znudził ten nieustający blask. Siedziałam wtedy na kanapie i przyglądałam mu się znad czytanej książki. Oliver nabrał wody do ust. Wypluł ją do góry, prosto przez ażurowe wieko. Buchnął dym, wokół rozniósł się drażniący zapach i zwarcie spaliło lampę.

Mikołajki przeprowadziliśmy kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Jak się okazało, nie wszyscy mieli być obecni podczas samych świąt. Mick, Lucy i Forest planowali wrócić do domów na kilka dni tak potrzebnego urlopu.

Rano wszyscy zebraliśmy się w pokoju dziennym. Wcześniej wyciągnęłam z czapki karteczkę z imieniem Lucy i czułam się niezręcznie. Rozważałam, czy nie domagać się powtórnego losowania albo czy nie przydybać gdzieś Micka i nie uprosić go, żeby się ze mną zamienił. Koniec końców zdecydowałam jednak, że przygotuję kilka małych upominków dla Olivera. Chomikowałam wszystko, czym, jak sądziłam, ośmiornica mogłaby się bawić w zaciszu

swojego akwariium. Teraz, na oczach wszystkich, Lucy przeczytała moją notkę wyjaśniającą i odpakowała łańcuszek ze spinaczy do papieru, mały szklany słoiczek oraz krwistoczerwoną szklaną kulkę. Każdy z przedmiotów podnosiła do góry i starannie oglądała. Potem podniosła się i przytuliła mnie jedną ręką, jej ciało było sztywne jak deska. Nie byłam w stanie powiedzieć, czy się ucieszyła.

Pozostałe prezenty również miały improwizowany charakter. Wisiorek z muszli na kawałku grubej nici. Płaski jeżowiec. Jeden z naszkicowanych przez Foresta rekinów wsadzony w ramkę stojącą dotychczas nad kominkiem. Galen podarował foczy kamień: ciemną, gładką kulę ciężką niczym meteoryt (ma ich całą kolekcję w wiaderku w swoim pokoju, zebraną w trakcie lat spędzonych na wyspach). Najgorszy był Mick – podarował Charlene puszkę tuńczyka. Było dużo śmiechu. Podczas lanczu tego dnia Galen z dumą paradował w nowym naszyjniku, a Charlene uparła się, że zje do obiadu swojego tuńczyka. Rozmowy były błahe, przyjemne. Mick, Lucy i Forest mieli opuścić wyspy, gdy tylko zjawi się Kapitan Joe, i gawędzili ochoczo o tym, czego nie mogą się już doczekać. Po raz pierwszy byli ludźmi, którzy mieli gdzie jechać.

Zostaliśmy we troje. Charlene, Galen i ja snujący się samotnie po Farallonie Południowo-Wschodnim. Temperatura spadła i zerwał się wiatr – potworna kombinacja. Zaczęłam zazdrościć słoniom morskim, które brykają w lodowatym oceanie okryte grubymi warstwami tłuszczu.

Galen wydaje się równie odporny, co one. Często chodzi na długie spacery. Widuję go przez okno, ten dmuchawiec o ludzkich kształtach, smukły i długi, zwieńczony srebrnym pióropuszem. Przechadza się Morskim Tarasem i wędruje do Niecki Małż. W końcu znika na zboczach Latarnianego Wzgórza. Mam wrażenie, że czegoś tam szuka. Nie mam pojęcia czego.

Nawet na tle tutejszych biologów Galen wydaje się wyjątkowy. Spędził na archipelagu już całą dekadę. Nikt inny nawet się nie zbliżył do tego wyniku. Większość ludzi wytrzymuje tutaj maksymalnie kilka lat. Poza tym Galen przez cały ten czas ani razu nie wrócił na ląd – nawet na dzień, nawet na godzinę. To skrajnie nietypowa sytuacja. Pozostali zawijają do domu w regularnych odstępach czasu, by zachować własną poczytalność. Ale ten upór Galena przeszedł do legendy. Słyszałam o nim; Forest, Mick i Lucy snuli na jego temat opowieści niczym historie opowiadane przy ognisku.

Galen nie wraca na święta do rodzinnego miasta. Nie wpada na weekend do San Francisco. Nie chciał nawet wrócić na kontynent, kiedy potrzebował pomocy medycznej. Czasami zdarzało się oczywiście, że cierpiał na skręcenia, przeziębienia, raz nawet dostał zapalenia płuc. Mick zmierzył mu wtedy temperaturę i błagał, żeby ten wezwał helikopter i czym prędzej udał się do szpitala. Ale Galen odmówił. Zamiast tego zachrypniętym głosem, z przerwami na napady kaszlu, opisał swoje objawy przez radiotelefon. Kapitan Joe został wysłany z lekami na pokładzie promu (to miało miejsce kilka lat temu; Mick opowiedział nam o tym sporo po fakcie). Innym razem Galen złamał rękę w nadgarstku, kiedy pracował przy Janusie. Pomaszerował do chaty, sam nastawił sobie kość. Godzinę później, z założonym domowej roboty gipsem, powędrował z powrotem do roboty. Kiedy indziej podczas przygotowywania obiadu w kuchni Galen otrzymał przez radiotelefon informację, że zmarł jego brat. (Forest towarzyszył wtedy Galenowi, dawno, dawno temu, i to on szeptem relacjonował tę historię). Pogrzeb miał odbyć się gdzieś na kontynencie. Ale Galen nie pojechał. Zamiast tego, kiedy jego brat był grzebany w ziemi, on całymi godzinami siedział w latarni morskiej, chodząc w tę i w tę, spoglądając na wschód, jakby przy odrobinie wysiłku był w stanie sięgnąć wzrokiem aż na odległy cmentarz.

A jednak to, co powodowało Galenem, pozostawało tajemnicą. Ogłosił się Lordem Protektorem Wysp Farallońskich i w obliczu tak brzemiennego tytułu odciął się kompletnie od reszty świata. Nikt inny nie zaszedł w swojej izolacji równie daleko. Pozostali wciąż utrzymywali kontakt z rodzinami. Jeździli do domu na ważne okazje. Dbali o to, by czasem, choćby i na krótki moment, powrócić do normalnego życia.

Nawet ja nie zawędrowałam tak daleko. Od czasu do czasu wysyłam przecież pocztówki do ojca. Piszę listy do Ciebie.

W ciągu kilku ostatnich dni zżyliśmy się z Charlene. Uwięzione na pustkowiu pełnym deszczu i mgły, wiele kilometrów od najbliższej choinki, przywykłyśmy do wspólnego kulenia się na kanapie, okryte kocami podprowadzonymi z łóżek nieobecnych biologów. Grywamy w podwójnego pasjansa albo przeglądamy którąś z należących do Lucy książek o ptakach – z głowami blisko siebie próbujemy na próżno dostrzec różnice pomiędzy pokazanymi tam czternastoma identycznymi odmianami wróbla. Ostatnio, w nagłym przyplwywie entuzjazmu,

wyciągnęłyśmy nawet puzzle ukryte w jednej z szaf. Wzięłyśmy we władanie cały stół, choć wkrótce stało się jasne, że w każdej układance brakuje sporej liczby elementów. Niezrażone, Charlene i ja pracowałyśmy dalej, łącząc nieprzystające do siebie obrazy w coś na kształt patchworkowej narzuty – ogon delfina obok gęstwiny liściastego lasu ulokowanego tuż przy fragmencie jednego z arcydzieł van Gogha. Kiedy kilka godzin później Galen wrócił do chaty z nosem i uszami czerwonymi od mrozu, zaprezentowałyśmy mu obłąkańczy, niepokojący kolaż: obraz złożony przez szaleńca.

Charlene od tygodnia jest smutna. Wiele się nasłuchiwałam o jej rodzinie. Wiem, że na święta zawsze razem ścinają choinkę. Robią łańcuchy z popcornu nawleczonego na nić, popijają ajerkoniak i śpiewają sąsiadom kolędy. Chociaż Charlene i jej całe rodzeństwo są już po dwudziestce, wciąż oczekuje się od nich, że przygotują dla Świętego Mikołaja mleko i ciasteczka, które ich ojciec zje w nocy i zostawi na talerzu okruszki. Tak samo jak ja, Charlene jest splukana i w tym roku nie może pojechać do domu. Jako stażystka nie jest w stanie wysłać rodzinie prezentów, o kupnie biletu na samolot nie wspominając. Jeśli o mnie chodzi, odłożone finanse absolutnie nie przewidują podobnych luksusów. Jedzenie i dach nad głową jestem w stanie opłacić, ale wakacje kompletnie nie wchodzą w grę.

Nie przeszkadza mi to. Wyspy są właśnie tym miejscem, gdzie chcę teraz być.

W pewien mroźny poranek kilka dni temu postanowiłyśmy z Charlene posprzątać chatę. Galen zniknął zaraz o świcie: naciągnął czapkę na głowę i wyłowił z biurka lornetkę. Charlene zamiatała, ja myłam podłogę. Ona ścierała kurze, ja czyściłam okna. Jednak przez cały czas dziwnie się zachowywała. Kiedy wytrzeptywałyśmy kurz z dywaników, kiedy szorowałyśmy kuchenny zlew, co chwila zwracała się w moją stronę, zamierała na moment, po czym wracała do pracy. Coś nie dawało jej spokoju.

Zrobiła to po raz czwarty, gdy porządkowałyśmy zawartość szafki w łazience. Problem z posiadaniem tylu współlokatorów polega na tym, że nikt niczego nie wyrzuca. Wszyscy zakładają, że maszynka do golenia albo kawałek mydła należą do kogoś innego. Wraz z mijającymi porami roku szafka stała się muzeum pełnym staroci: spleśniałych wacików, skamieniałych tubek z pastą do zębów, pustych opakowań po nici dentystycznej. Wyrzuciłam do śmieci całą kolekcję plastikowych grzebieni. Charlene zerknęła na mnie; wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Potem zmarszczyła brwi i zrezygnowała.

– Zróbmy sobie przerwę – zasugerowałam.

Zeszłyśmy po schodach – lśniących, nawiasem mówiąc – i usiadłyśmy na kanapie, przykrywając się narzutami. Morze widoczne przez okno zostało zabełtane w masę grzywaczy, białych i puszystych niczym bita śmietana. Akwarium Olivera wydawało się puste, ale wiedziałam, że takie nie jest. Zwierzak czekał, udając otoczaki i szkło. Grzejnik w rogu postukiwał, próbując na darmo stawić czoła chłodnym wiatrom. Czoło Charlene przecięła bruzda.

– Wyduś to z siebie – powiedziałam. – Cokolwiek to jest. Poczujesz się lepiej.

– To nic takiego. Prawie na pewno nic takiego.

Czekałam. Charlene rozejrzała się dookoła, potem nachyliła się w moją stronę. Rozbawiło mnie to. Trudno by było znaleźć dwoje ludzi, którzy mieli mniejszą szansę zostać podsłuchanymi niż my.

– Jest taka jedna rzecz – powiedziała cicho.

– Tak?

– To trochę dziwne. – Urwała, przygryzła wargę. – Chodzi o Andrew.

Jego imię mnie zaskoczyło. Poczułam nagły atak nudności. Gwałtownie zamrugałam i utkwiałam spojrzenie w oknie, które dopiero co umyłam. Szyba lśniła jasnym, kryształowym

światłem.

– Tej nocy, kiedy umarł – powiedziała Charlene – coś usłyszałam.

Wciągnęłam powietrze, podniosłam wzrok. W rogu okna dojrzałam pajęczynę, którą musiałam z jakiegoś powodu przegapić.

– Mój pokój jest zaraz obok frontowych drzwi – wyjaśniła Charlene. – Słyszę najróżniejsze rzeczy. Jeśli ktoś gdzieś idzie, wiem o tym. Kiedy się tutaj zjawiłam – Boże! – wcale nie mogłam spać. Lucy potrafiła odkurzać do dziesiątej, a Galen siedział przy stole i zapisywał coś w tym swoim zielonym notesiku, co chwila pochrząkując. Kiedy wreszcie udawało mi się zasnąć, Forest budził mnie o czwartej nad ranem. Wiesz, jak głośno potrafi się zachowywać. – Westchnęła. – Czwarta nad ranem, a on biega po schodach. Krzyczy z całych sił. Trzaska drzwiami po całym domu.

Wciąż nic nie powiedziałam. Pajęczyna drżała w przeciągu. Grzejnik stuknął jeszcze raz, po czym ucichł i w pokoju zapanowała cisza.

Charlene to nie przeszkadzało, mówiła dalej.

– Teraz potrafię przespać większość hałasów, chyba że to coś nietypowego. Jeśli to coś, czego się spodziewam, jak Lucy nucąca przez sen albo ktoś szukający książki w pokoju dziennym, nie budzę się. Przyzwyczaiałam się do tego. Ale tamtej nocy... tej nocy, kiedy Andrew...

Urwała. Wbrew samej sobie spojrzałam jej w oczy. Jej twarz była pełna kolorów, policzki płonęły. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Powiedz – poprosiłam. – Co takiego słyszałaś?

– Słyszałam, że ktoś wychodzi – odparła. – Koło jedenastej. Sądziłam, że to Mick i Forest. Czasem to robią. To znaczy wychodzą razem.

Uciekła spojrzeniem w bok.

– W każdym razie – dodała w pośpiechu – potem zasnęłam. Trochę to wszystko niejasne... Ale coś jednak usłyszałam. Cichy odgłos, bardzo delikatny. Mogłam go sobie wyobrazić. A może to było zwierzę. Tak czy owak potem znowu zasnęłam.

To byłam ja, pomyślałam. Kiedy opuszczałam chatę. To ja byłam tym cichym odgłosem. Charlene bezmyślnie bawiła się pasmem włosów koloru rdzy. Jej głos był niski i melodyjny, niemal hipnotyzujący.

– Potem usłyszałam Andrew – powiedziała. – Słyszałam, że wychodzi na zewnątrz.

Pamiętam, że leżałam w łóżku i nasłuchiwałam. Ktoś był na ganku. Usłyszałam kroki. Nie od razu byłam pewna, że to on. Zakaszłał. Rozpoznałam go po tym kaszlu. A potem... – Charlene zawahała się, przyknęła oczy. – Potem usłyszałam głosy.

– Głosy?

– Tak. Andrew z kimś rozmawiał.

Pełny sens tego, co mówiła, zwałił się na mnie jak wysoka fala. Nikt nie powinien się wtedy znajdować na zewnątrz razem z Andrew. Przecież był sam, kiedy spacerował po okolicy. Był sam, kiedy ziemia uciekła mu spod stóp. Był sam, kiedy zginął.

– Jestem pewna – powiedziała. – Wiem, co słyszałam. Dwa głosy.

– Ale kim była ta druga osoba?

Charlene długo, powoli wypuszczała powietrze.

– Nie wiem. Wiem tylko, że to nie Andrew. Był tam z nim ktoś jeszcze.

Zawsze kochałaś baśnie. Cichymi wieczorami albo w leniwe sobotnie poranki miałam w zwyczaju tulić się do Ciebie z *Jasiem i Małgosią* albo *Małą syrenką* w dłoni. Nie skłaniałaś się jednak ku nowszym interpretacjom ze szczęśliwymi zakończeniami, gdzie wszystko było uładzone i miało podnosić na duchu. Nie interesowała Cię ta wersja *Czerwonego Kapturka*, w której nikt nie zostaje zjedzony, ani *Kopciuszek*, gdzie zła macocha i jej córki na końcu obiecują poprawę i uzyskują przebaczenie.

Zamiast tego słuchałam o Arielce – syrenie, która za możliwość życia na lądzie i oddychania powietrzem oraz parę ludzkich nóg zapłaciła potworną cenę. Gdziekolwiek nie poszła, aż po kres czasów, miała wrażenie, jakby stąpała po okruchach tłuczonego szkła. W Twojej ulubionej wersji *Flecity* z *Hameln* szczerobap nie zabiera dzieci z domów tylko po to, żeby później zwrócić je uszczęśliwionym rodzicom. Zamiast tego prowadzi je nad rzekę, gdzie następnie wszystkie toną. W *Kopciuszku*, którego mi czytałaś, niegodziwa macocha nigdy nie otrzymuje przebaczenia. Zamiast tego, gdy przybywa na wesele Kopciuszka, czeka tam na nią para żelaznych butów, rozpalonych do czerwoności od trzymania w ogniu. Każą jej tańczyć w tych butach, póki nie pada martwa.

Obecnie zastanawiam się, czy nie chciałaś mi w ten sposób czegoś powiedzieć. Nowoczesne baśnie z biegiem lat pozmieniano, by odmalować świat bezpieczny i poukładany. Oczywiście jest tam magia – są czarownice, ogry, olbrzymy. A jednak nawet to, co nadprzyrodzone, otrzymuje swoje miejsce w większej całości, staje się częścią moralnej wizji życia. Cnoty zostają nagrodzone, niegodziwość ukarana. Dobrym ludziom się wiedzie, a złym nie. W najnowszej wersji *Śpiącej królowny* dobre wróżki zostają nagrodzone za swoją prawość i uczciwość, wiodą urokliwe życie. Tajemnicza czarownica z *Królowej śniegu* musi swoje wycierpieć, ale nie ginie. A najokropniejsze stworzenia ze wszystkich, jak wiedźma z *Jasia i Małgosi* – potwory, które kłamią i oszukują, a także przejawiają ludożercze skłonności – są uśmiercane bez wahania. We współczesnych baśniach karma nie zna litości.

Ty jednak nie dbałaś o takie wygładzone baśnie. Woliałaś opowieści chaotyczne i pełne tajemnic. Świat Twoich historii – choć magiczny – zdradzał, jaki rzeczywiście jest świat. Istnieją sekrety, które mają na zawsze pozostać nieodkryte. Ukochane osoby umierają. Niebezpieczeństwa nie da się zawsze dostrzec z wyprzedzeniem. Zło czasem uchodzi na sucho. Nie ma ładu, nie ma bezpieczeństwa. Wierzę, że to właśnie próbowałaś mi powiedzieć.

Rozmowa z Charlene nie skłoniła mnie do głębszej zadumy. Nie chcę rozważać tego, co powiedziała. A jednak, wbrew mojej woli, te myśli wciąż trzymają się blisko. Przypominają jasne światło w kącie pokoju – zbyt rażące, by spojrzeć prosto w jego stronę. Chociaż zawzięcie odwracam spojrzenie, jestem cały czas świadoma tego nieznośnego blasku.

Wiem, co ona sugerowała. Nawet o tym śniłam. Widziałam Andrew na skałach, zwróconego twarzą ku morzu. Jego skóra lśniła. Z jego ust ulatywała para. Za jego plecami pojawiła się ciemna postać z wzniesioną ręką i kamieniem w dłoni. Usłyszałam bolesne stęknienie. Ujrzałam rozprysk krwi i to, jak ciało Andrew stacza się do wody.

Doszłam do wniosku, że Charlene nie ma racji. Pomyliła się. Chata jest stara. Dźwięki niosą się pomiędzy pokojami na dziwne sposoby, wędrują rurami i kratkami grzejników; zauważyłam to już wcześniej. Siedziałam kiedyś przy stole i zdałam sobie nagle sprawę z tego, że wyraźnie słyszę Lucy płuczącą gardło w łazience na piętrze, podczas gdy brzęk garnków i patelni dochodzący z kuchni wydaje się stłumiony. Tamtej nocy mogło mieć miejsce coś podobnego. Charlene mogła usłyszeć Andrew na ganku, a także Micka i Foresta szmerzących

w sypialni. Mogła zlać dwa zdarzenia w jedno: kroki na zewnątrz domu i głosy w środku.

A może to był duch. O tym również śniłam. Andrew przemykający chyłkiem wzdłuż brzegu skąpanego w świetle księżyca. Za jego plecami migoczący kształt. Sylwetka kobiety. Jej ciało materializujące się z mgły i deszczu, z niczego. Widziałam rozmyty kształt jej koszuli nocnej. Widziałam, jak jej blada ręka bierze zamach.

Mick wrócił dzisiaj, razem z Lucy i Forestem. Zaskoczyło mnie to. Na wyspach trudno jest nie stracić rachuby czasu. Kalendarze, zegary... wydają się niejednoznaczne. Jak sztuczne konstrukty. W tym miejscu jest coś bezczasowego. Pory roku odmierzane są nie zmianami pogody, ale zmianami w obecności zwierząt. Zima wypada wtedy, gdy swój okres godowy mają wieloryby i foki. Lato to Sezon Ptaków. Jesień należy do rekinów. Noc nie następuje po dniu – nie dokładnie, bo to by oznaczało, że jedno pojawia się przed drugim. Zamiast tego dzień i noc stanowią wielką falę, rozpoczynającą się u podstawy jasnym świtem, skręcającą się ku górze w postaci długiego, złocistego popołudnia, by u grzywy przejść w wieczór i wreszcie zwalić się z hukiem w mrok, gdzie cykl rozpoczyna się od nowa. Czas na wyspach stał się dla mnie samoistnym, niezmiennym bytem.

W efekcie dzisiaj rano przegapiłam całe mnóstwo wskazówek, że coś się dzieje. Po pierwsze, przespałam wczesne wezwanie radiotelefonu. (Przed Andrew zawsze budziłam się wraz z ptakami. Jednak teraz, Po Andrew, jestem wiecznie zmęczona i senna niczym nastolatek). Podczas śniadania nie wyjrzałam przez okno i nie zauważyłam zbliżającego się promu. Nie zwróciłam uwagi na Galena wychodzącego łodzi na spotkanie. Nie słyszałam nawet głosów niesionych przez wiatr od Przystani Wschodniej, gdzie Lucy, Forest i Mick wylądowali z pomocą Billy'ego Puga, oddychając słonym powietrzem i z uśmiechami na twarzach. Przez cały ten czas leżałam na kanapie, przeglądając książkę o płetwonogich. Kiedy usłyszałam hałas, posłałam spojrzenie Oliverowi, który unosił się w zbiorniku. Jego skóra była fioletowo-różowa.

Rozległ się trzask i drzwi wejściowe stanęły otworem.

– Hej ho! – krzyknął Mick. – Wreszcie w domu. Dzięki Bogu!

Zapomniałam już, jaki był wielki. W dwóch krokach przeszedł przez pokój. Zakręcił mną dookoła jak szmacianą lalką. Ściany zawirowały wokół mnie. Kiedy pozwolił mi stanąć, straciłam równowagę i prawie upadłam. Mick roześmiał się i pocałował mnie w czubek głowy.

– Brakowało mi mojej małej specjalistki od myszy – powiedział. Jego spojrzenie omiotło mnie, jakby badał każdy szczegół mojej sylwetki. Na moment zatrzymał wzrok na moim torsie i w zadumie zmarszczył brwi. Jednak wtedy z kuchni wybiegła Charlene w fartuchu, z rękoma w mydlinach.

– Cześć! – krzyknęła. – Właśnie sobie myślałam, że albo do chaty wpadło stado słońi, albo to Mick wrócił.

Tego wieczora Lucy wyciągnęła Olivera z akwarium. Bawiła się z nim, przenosząc go z ręki na rękę i moczając podłogę. Wydawała się pogrążona w czystym zachwycie, tak jakby w międzyczasie okropnie się za nim stęskniła. Ona, Forest, Mick – wszyscy znajdowali się w tym samym stanie: tak się cieszyli z powrotu na wyspy, że wydawali się unosić w powietrzu. Pobyt na stałym lądzie okazał się wytchnieniem, ale cała trójka opowiadała o szoku, jakiego doznali, wracając, nawet na krótko, do cywilizowanego życia. Forest spędził na wyspach pięć lat, Mick prawie tyle samo. Lucy, odrobinę młodsza, przybyła tu zaraz po studiach, jakiś rok temu, ciągnąc za sobą Andrew. Od swojego przyjazdu raz na jakiś czas wracali na kontynent. Za każdym razem było tak samo. Zadziwiał ich ogrom lądu, błękit zastąpiony przez trawę i beton. Niepokoiły ich najzwyklejsze rzeczy. Hydranty przeciwpożarowe. Centralne ogrzewanie. Klakson samochodu. Błysk biżuterii. Słodki zapach otaczający piekarnię. Pisk rowerowych hamulców. Czuli się niedopasowani, nie na miejscu: budzili się zbyt wcześnie, jadali o niewłaściwych porach,

okazywali się bezradni w obliczu czegoś równie banalnego, jak dzwoniący telefon. Wracali na wyspy, tak jak słonie morskie wracają do oceanu. Z powrotem do swojego naturalnego środowiska. Tam, gdzie ich miejsce.

Siedziałam na kanapie, pozostali rozpanoszyli się po pokoju dziennym i wszyscy patrzyliśmy, jak Lucy podnosi ośmiornicę wysoko w górę. Pozwalała, żeby Oliver turlał się po jej ramieniu, kwitowała chichotem jego zdziwienie. Zwierzak błyskał kolejno wszystkimi kolorami tęczy. Jego przyssawki wiły się i macały dookoła, próbowały uchwycić się rękawa.

Zwróciłam się do Micka, który siedział obok mnie.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Wydawało mi się, że mieliście nie ingerować w życie tutejszych zwierząt. Nigdy. Czy nie takie jest credo biologów?

To miała być cicha, prywatna uwaga między mną i Mickiem. Ale w pokoju panowała cisza i wszyscy spojrzeli w moją stronę. Lucy się zaczerwieniła.

– Zajmuję się ptakami – warknęła. – Czy Oliver twoim zdaniem wygląda jak ptak?

– Nie – odparłam.

– To zwierzątko domowe – powiedziała. – Zwierzęta domowe to co innego.

Jeszcze przez chwilę spoglądała na mnie ze złością, po czym podeszła do akwarium i cisnęła ośmiornicę do wody. Ta poszła na dno, zmieniając kształt, wydymając się w balon. Jej macki migotały od bąbelków powietrza.

W miejscu takim jak to trudno jest zachować coś w tajemnicy. Farallon Południowo-Wschodni jest mały, a chata jeszcze mniejsza. Żyjemy w kupie, jedno na drugim. Wszyscy wiemy o napadach płaczu Lucy. Wszyscy jesteśmy świadomi tego, że Galen nie może spać po nocach i pospiesznie przemierza pokój w tę i we w tę. Jeśli Mick ma ochotę na nocną przekąskę i tłucze się po kuchni o trzeciej nad ranem, wiemy o tym. Do niedawna wydawało mi się, że nic się tutaj przed nikim nie ukryje.

Ale jak się okazuje, jedną z tajemnic przez całe miesiące miałam tuż pod nosem.

Zeszłej nocy obudziły mnie głosy. Jest styczeń, środek Sezonu Fok i archipelag nigdy tak naprawdę nie cichnie, niezależnie od pory dnia. Samce ryczą, samice pochrząkują, szczenięta piszczą przez całą noc. Ten ciągły hałas niemal doprowadza mnie do szaleństwa. To przypomnienie nieustającego cyklu spółkowania, rodzenia, karmienia. Nie chcę myśleć o takich rzeczach. Próbuję odizolować ten hałas, przestać go zauważać.

Leżałam więc, rozbudzona, przekonana, że usłyszałam coś innego, że wzięłam zwierzęce głosy za ludzką mowę.

Wtedy ten odgłos się powtórzył. Męski głos. Dochodził zza okna.

Serce zaczęło mi łomotać. Podniosłam się do siadu, odsunęłam zasłony. Noc była jasna, pławiła się w świetle księżyca. Krajobraz jawił się poszatkowany, znajome kontury ustąpiły miejsca jaskrawej, czarno-białej fotografii. W końcu dojrzałam dwie sylwetki przemieszczające się po zboczu. Wcześniej rozmawiały, ale teraz były cicho.

Widziałam wszystko coraz wyraźniej, w miarę jak moje oczy przyzwyczajały się do mroku. Przypominało to trochę obserwowanie, jak podwodny kamień wyłania się spod zmałowanej wody. Sylwetki należały do Micka i Foresta. Rozpoznałam zwalisty kształt pierwszego z nich i delikatną, smukłą postać drugiego. Oddalali się od chaty. Szeptali do siebie. Forest zaśmiał się, wysoko i piskliwie – nigdy wcześniej nie słyszałam go takiego. Potem nachylił się do Micka. Na moich oczach mężczyźni pocałowali się.

To odkrycie przypominało porażenie prądem. To, co miało miejsce, nie budziło żadnych wątpliwości: to był namiętny, pełen uczucia pocałunek, w którym obaj się kompletnie zatracili. Najpierw ich postacie oddzielała linia rozpromienionego gwiazdami granatu, ale potem ich kształty złączyły się w jeden. Forest wspiął się na palce. Kołysali się delikatnie w przód i w tył.

Sięgnęłam po aparat. To był odruch. Kocur, jedna z moich cyfrowych lustrzanek, jak zwykle czekał na stoliku nocnym. Trzymałam go tam na wypadek nagłych zdarzeń – ataku rekinów, blisko przepływającego wieloryba, powrotu ducha. Nie namyślałam się. Po prostu działałam, podniosłam aparat do oczu.

Złożona ze śnieżnobiałych płaszczyzn twarz Micka pojawiła się w obiektywie. Foresta trudniej było złapać. Ciągłe robiłam zbliżenie na tył jego głowy. Ich dłonie odnalazły się, palce złączyły ze sobą. Wciąż jeszcze nie przyzwyczaiałam się do gwiazdnych fajerwerków nad Wyspami Farallońskimi. Kasjopeja i Orion płonęły nad linią horyzontu niczym skomplikowany układ pochodni. Mick i Forest z wprawą wędrowali po granicie. Kierowali się w stronę stróżówki. Mick niemal podskakiwał. Coś – głos ptaka, szczekanie foki – kazało im się zatrzymać i popatrzeć w lewo, w stronę oceanu. Przy drzwiach do stróżówki odegrali krótką, zabawną pantomimę, z przerysowaną uprzejmością ustępowali sobie nawzajem pierwszeństwa.

Gdy znaleźli się w środku, wyregulowałam ostrość i zaczęłam pospiesznie zaglądać w kolejne okna. Wyższe piętro pozostawało równie pozbawione światła, co czarna dziura, nie było tam nic poza wiecznie niespokojnymi nietoperzami. Czekałam, przygryzając wargi. Minęła

minuta. Potem dwie. W końcu jakiś blade kształt przemknął mi przed obiektywem.

Mick i Forest usadowili się w oświetlonym księżycowym blaskiem pokoju dziennym stróżówki. Siadłam prosto. Trudniej było teraz zachować ich na widoku. Widziałam ich przez okienny otwór, więc najdrobniejsze przesunięcie w bok mogło ich kompletnie usunąć z mojego pola widzenia. A poruszali się szybko. Widziałam, jak się całują, zachłannie, niemal ze złością. Mick rozpinął koszulę Foresta.

Zaczęłam robić zdjęcia. Niełatwo było ich uchwycić, więc chciałam zachować każdy kadr. Trzask migawki niósł się po pokoju echem niczym wystrzał z broni palnej. Sfotografowałam posągowo blade zębra Foresta, nagość sięgającą pępka. Sfotografowałam też kolejny dziki pocałunek oraz dłonie Micka strzelające do góry, rozmyte w nagłym przypląwie żądy. Zrobiłam zdjęcie Foresta zrywającego z siebie szalik i odrzucającego go na bok. Wkrótce obaj byli nadzy. Okno pokazywało ich tylko od pasa w górę. Mimo wszystko łatwo było domyślić się, co się dzieje. Forest obrócił się tak, że jego plecy dotykały brzucha Micka. Dwa blade torsy poruszały się zgodnie. Mick oplótł ręce wokół klatki piersiowej Foresta i kolejny raz zadziwiła mnie smukłość tej sylwetki, pozbawionej choćby grama tłuszczu. Z początku ich taniec był nieśmiały, pełen gracji. Mick przytulił policzek do barku Foresta. Głowa tego drugiego odgięła się do tyłu. Usłyszałam jego krzyk, jęk, który w innej sytuacji wzięłabym za wycie wiatru albo ryk słoni morskich. Mężczyzna wyrzucił przed siebie dłoń, oparł się o ścianę.

Na moment opuściłam aparat. Uczucie było dość dziwne. Po raz pierwszy od dawna przypomniałam sobie, czym jest pożądanie. Przypomniałam sobie iskrę głodu. Przyciąganie chuci. Ta część mnie powróciła. Ale wspomnienie było słabe, zniekształcone, jakby pochodziło ze snu. Kiedyś, dawno, dawno temu odczuwałam podobne rzeczy. Ale to było w innym życiu. Pamiętałam te emocje tak, jak mógłby pamiętać je duch. Sam umysł, żadnego ciała.

Po chwili nastąpiło nieuniknione: Mick i Forest osunęli się na podłogę i zniknęli. Czekałam z walącym sercem. Może ich miłosne zbliżenie nie potrwa długo. Może jeszcze się pokażą. Wiatr przybierał na sile. Morze szalało w oddali. Mick i Forest pozostali ukryci.

Usiadłam na materacu, odgarnęłam włosy z twarzy. Tak wiele rzeczy nagle nabierało sensu. Im dłużej o tym myślałam, tym oczywistsze wszystko się stawało.

Zacznijmy od kwestii wspólnego mieszkania. Chata mieściła obecnie sześć osób i tylko pięć sypialń. Charlene, jako stojąca najniżej w hierarchii, zajmowała pokój, który dosłownie był wcześniej schowkiem (jej łóżko zajmowało całą przestrzeń, a ściany udekorowano rzędami wieszaków na ubrania). W przeszłości Andrew i Lucy dzielili pokój. Aż do teraz nie rozumiałam jednak, dlaczego Mick i Forest też zdecydowali się mieszkać razem. Znacznie praktyczniejsze wydawałoby się upchnąć Foresta z Galenem – obaj mieli świra na punkcie rekinów i działali według tego samego harmonogramu.

Uzyskałam odpowiedzi także na inne pytania. Zdystansowanie Foresta, jego nieprzystępna postawa, milczenie i bezruch. W jego obecności zawsze miałam wrażenie, że uważa na każde słowo i gest. Teraz już wiedziałam dlaczego. Ukrywał kluczowy aspekt swojej osobowości, sedno swojej natury. Przestał mnie też boleć brak romantycznego zainteresowania ze strony Micka.

Przejrzałam zrobione zdjęcia. Forest chichocze po płomiennym pocałunku. Trąca nosem gardło Micka, a ten odpowiada uśmiechem. Splecione ramiona, splątane palce.

Po raz pierwszy poczułam ukłucie wyrzutów sumienia. Wyglądało na to, że obaj mężczyźni przykładali najwyższą wagę do zachowania tajemnicy. Bądź co bądź dzielili pokój; mogliby równie dobrze tam przeżywać swoje miłosne uniesienia. Ale chata była stara i trzeszcząca. Zadrżałam, przypominając sobie, ile razy pełniłam rolę mimowolnej publiki dla zbliżeń Lucy i Andrew. Mick i Forest regularnie narażali się na choroby i urazy, tylko po to, by

uniknąć świadków.

Zastanawiałam się nad tym, czy nie usunąć tych zdjęć. Ale tkwiący we mnie fotograf by na to nie pozwolił. Stanowiły kronikę, a kronika była rzeczą świętą. Poza tym część z nich okazała się zwyczajnie piękna – udało mi się uchwycić energię ognistych objęć, ruch rozkołysanych ciał. Postanowiłam schować aparat pod łóżkiem. Od tej pory na wszelki wypadek zamierzałam nie używać go publicznie.

W końcu zdałam sobie sprawę z tego, jaka jestem zmęczona. Była prawie pierwsza w nocy. Położyłam się. Zastanawiałam się, jak często Mick i Forest wybierali się na te późnonocne eskapady. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że w ciągu dnia zachowywali się tak normalnie. Wstawali o zwykłej porze. Pozdrawiali się jak przyjaciele albo koledzy. A pod prysznicem zmywali ze skóry pot kochanka.

O świcie obudziłam się z wierzgnięciem, przestraszona. Śniłam o Andrew. Zdarzało się to często; to był koszmar, od którego nie mogłam uciec. Czasem kolejny raz przeżywałam gwałt – oddech na mojej szyi, ucisk na brzuchu. Czasem widziałam ducha, migoczącego w kącie pokoju. Bywało, że w tych snach Andrew był zakrwawiony i poobijany. Na wpół martwy w wiszącej nade mną ciemności. Z rozbitą głową, z krwią i płynem mózgowym ściekającymi na moją poduszkę.

Tym razem jednak prędko otrząsnęłam się z koszmaru. Dokonywałam w głowie obliczeń. Tamtej nocy – najgorszej nocy; nocy, która wszystko zmieniła – dokładnie wiedziałam, gdzie był każdy z mieszkańców chaty. Wiele razy się nad tym zastanawiałam. Galen: spity do nieprzytomności. Charlene: zasłuchana w muzykę, ze słuchawkami na uszach. Lucy: pogrążona we śnie. Mick i Forest: poza domem.

Aż do dzisiaj sądziłam, że ci dwaj poszli oglądać wieloryby w świetle księżyca. To było dziecinne wytłumaczenie, ale jedyne, jakie mi wtedy przychodziło do głowy. Teraz oczywiście znałam już prawdę. Zaschło mi w ustach. Usiadłam na łóżku, odrzuciłam koc. Za oknem snuła się mgła tak gęsta, że nie byłam w stanie dostrzec oceanu. Minęły dwa miesiące od chwili, gdy Andrew na mnie napadł. Tamtej nocy Mick i Forest wymknęli się do stróżówki, żeby się kochać.

Skulona na materacu, wydałam z siebie skowyt. Mick był moim przyjacielem. Prawdziwym przyjacielem, może pierwszym, jakiego kiedykolwiek miałam. Gdyby tylko wiedział, co się działo, wkroczyłby do akcji. Obroniłby mnie.

Co do pozostałych nie byłam pewna. Nie byłam pewna co do żadnego z nich. Nikt nie był świadkiem napaści na mnie, to prawda. Ale nawet gdyby stało się inaczej, nie mam pojęcia, jak by zareagowali. Byli biologami. Zimnymi. Beznamiętnymi. Nie wtrącali się. Gdyby Forest tej nocy pozostał w chacie, może nakryłby głowę poduszką, żeby odgradzić się od hałasu. Gdyby Charlene usłyszała skrzypienie sprężyn, może uznałaby, że nie do niej należy ewentualna interwencja. Galen też mógłby nie rzucić się do działania. Może przeanalizowałby sytuację, z przekrzywioną głową, nasłuchując. Może potraktowałby gwałt na mnie jak przedmiot badań, tak samo jak obserwowałby beznadziejne starania zagubionego foczego szczenięcia.

Lucy była niewiadomą. Nie lubiła mnie i kochała Andrew. Jej umysł stanowił mroczne grzęzawisko. Nie mogłam zrozumieć kierujących nią motywacji, a co dopiero przewidzieć, co by zrobiła, gdyby w nocy obudził ją odgłos stłumionych krzyków, ciężki oddech jej chłopaka, stukanie mojego wezgiłowia o ścianę. Ale byłam pewna co do Micka. On by o mnie walczył. On by mnie uratował. Po raz pierwszy zaczęłam zastanawiać się, czy Andrew też był tego świadom. Mógł przeprowadzić podobne kalkulacje, przeanalizować lokalizację każdego z biologów, ocenić ryzyko. Wybrał taki moment, kiedy wiedział, że nie zostanie usłyszany. Zaczekał na kroki na ganku, pomruk głosów Micka i Foresta. W swoim pragnieniu miłości i wytchnienia Mick pozostawił mnie odsłoniętą. Pozostawił mnie samą.

Słonie morskie rodzą. Przez cały styczeń samice pojawiają się masami. Jestem nimi oczarowana. W przeciwieństwie do samców są piękne w tradycyjnym, zarezerwowanym dla fok znaczeniu tego słowa: gładkie i krągłe, o nieco psich mordach i czarnych oczach pełnych płetwonogiej inteligencji. Sfotografowałam więcej narodzin, niż mogłabym zliczyć. Kiedy się pojawiają, szczenięta są ciemnografitowe, oślizgłe i ślepe. Krew zrasza kamienie. Młode rozprostowują swoje ciała, wciąż lepkie od żelu owodniowego, błyskają zębami. Samice śpiewają do nich tubalnymi, szorstkimi głosami. Wdrukowują sobie w pamięć noworodków, mówią im, po jakim zapachu i głosie rozpoznać matkę.

Słonie morskie odmieniły architekturę wysp. Złagodziły linię brzegową. Drzemią w stertach, pośród usypanych z ich ciał szarych gór lśnią małe ciemne kształty – szczenięta przysypiające, wołające matki, tulące się do nich. Nieopodal samiec alfa czuwa nad swoją domeną. Każdy jest panem dla czterdziestu, może pięćdziesięciu samic. Paradują w górę i dół plaży, nadymają nosy, by wydać z siebie ryk przypominający uderzenie w bęben. Członkinie ich haremów dobrotliwie dogryzają sobie nawzajem. Całymi dniami pielęgnują młode. Ich mleko należy do najbogatszych w całym królestwie zwierząt. Szczenięta potrafią przybrać pięć kilogramów na dzień. To również uchwyciłam na zdjęciach – co rano przychodzę do tych samych rodzin, patrzę, jak młode puchną niczym balony.

Maluchy muszą być ostrożne. Kolonia nie stanowi bezpiecznego miejsca. Ryk słoni morskich jest głośniejszy niż huk oceanu. Młode muszą odnajdywać drogę wśród krajobrazu pełnego identycznych stworzeń, próbując w harmidrze odnaleźć głos matki. Więcej niż kilka z nich zginęło. Niektóre powędrowały w złą stronę, zostawiły za sobą stado, zgubiły się i już nie odnalazły. Niektóre utonęły, zbyt małe i bezradne, by pływać. Samice są czujne i skrupulatne, ale samce okazują się zbyt agresywne – i za duże – by zwracać uwagę na otoczenie. Kilka szczeniąt zginęło pod masywnymi cielskami swoich ojców, ci zaś niczego nawet nie spostrzegli.

Wciąż śnię o zagubionym szczenięciu, które spotkaliśmy wraz z Mickiem. Wciąż wędruję za nim przez mgłę. Wciąż słyszę, jak nawołuje matkę.

Któregoś dnia znalazłam się na Morskim Tarasie z Klejnotem, moim wielkoformatowym aparatem. Chciałam uchwycić jeszcze jedne narodziny. Poród u słonia morskiego to nie jest żmudny proces. Matka przysypia pomiędzy skurczami. Młode wydostaje się na zewnątrz bez niepotrzebnego zamieszania. Z głową ukrytą pod czarną tkaniną zaczęłam myśleć o gilotynach. Mój mózg – oczy, kora wzrokowa, artystyczna wrażliwość – został oderwany od reszty ciała za pomocą materiałowej płachty. Wpatrywałam się w wizjer, przymierzałam się do zdjęcia, na którym młoda mama wyleguje się na plecach, z wyeksponowanymi sutkami, a młode przyciska się do niej i zachłannie pije. Potem się wyprostowałam. Zdjęłam z głowy płachtę. Czułam się rozcięta, jakbym została zdekapitowana, jakby mój umysł został oddzielony od ciała i unosił się teraz w powietrzu.

Nasza praca trwa. Lucy zauroczyła lokalna populacja nurników aleuckich. Te ptaki wyglądają dokładnie tak samo jak ich kontynentalne odpowiedniki – zwyczajne szare gołębie, jak te, co podkradają fistaszki na National Mall – ale to morskie zwierzęta. Pożywienie zdobywają, nurkując aż na dno oceanu, wędrując nawet na pięćdziesiąt metrów pod wodę w poszukiwaniu jedzenia. Lucy ciągle papla o „alkach” i „dwóch jajach zamiast jednego”, i o „czterotygodniowym okresie inkubacji”. Biega po wyspie z garściami opasek. Regularnie wzdycha, jak ciężko jest samemu obrzączkować ptaki i wspomina, jak bardzo Andrew kochał to zajęcie.

Mick jest oczywiście zajęty słoniami morskimi. Pogoda nie pozwala na wycieczki łodzią. Może też minąć trochę czasu, zanim Kapitan Joe będzie mógł bezpiecznie złożyć nam wizytę. W międzyczasie Mick próbuje zidentyfikować swoje ulubione płetwonogie po znakach szczególnych. Któregoś dnia wpadł do chaty, z podekscytowania niemal stracił głos. Udało mu się zobaczyć podwójne narodziny – bliźnięta – czyli prawdziwą rzadkość. On i Charlene byli tak zadowoleni, że poszli do kuchni i uczcili to zdarzenie szklankami perriera.

Ja natomiast trzaskam zdjęcia jak szalona. Wpadłam w kreatywny amok; fotografuję wszystko, cały czas. Fale deszczu chłostające plażę. Chmury rozrzucone na horyzoncie niczym otoczaki. Stado maskonurów krążące wokół Latarnianego Wzgórza. Myśl o gilotynie wciąż kołacze mi się po głowie. Wrażenie braku ciężenia pozostało. Dochodzę do wniosku, że robienie zdjęć ma w sobie coś z aktu cudownej przemocy. Aparat to potężne narzędzie, potrafi wyciąć obraz z krajobrazu i przekleić go na kawałek kliszy. Kiedy wybieram widok, który chcę uchwycić, mogłabym równie dobrze być słoniem morskim polującym na ośmiornicę. Klika migawka. Każdy głaz, fala i obłok zawarte na zdjęciu zostają na zawsze oderwane od tego, co znalazło się poza spojrzeniem obiektywu. Krawędzie kadru są jak ostrze noża. Obraz zostaje wyszarpany z powierzchni świata.

Zeszłej nocy zegar właśnie wybił północ, kiedy zeszłam po schodach. Ostatnio często jestem bardzo spragniona wieczorami – niemal boleśnie wysuszona, jakby krew w moich żyłach została zastąpiona piaskiem. A jednak wciąż czuję tę cudowną lekkość. Noc była zimna i wietrzna. Nie zapalałam świateł. Przeciąg prześlizgnął się po moich stopach, kiedy stałam w kuchni. Zadrżałam. Nie byłam zupełnie rozbudzona. Zajęło mi chwilę, zanim zorientowałam się, że ktoś coś mówi. Z początku myślałam, że to wiatr albo poszczekiwanie słoni morskich. Sięgnęłam do kranu, szukałam go po omacku. Wtedy wychwyciłam jedno słowo: „Martwy”.

Odłożyłam szklankę na blat i wyszłam z kuchni, nasłuchując z przekrzywioną głową. W pokoju dziennym paliło się jakieś światło. W miarę jak moje oczy przyzwyczajały się do półmroku, dostrzegłam, że drzwi do pokoju Charlene otacza złotawa poświata. Głos dochodził ze środka, sączył się przez ścianę.

– Andrew – powiedziała Charlene.

Przestałam oddychać. Ciemność była przytłaczająca. Niebo zasnuwane chmurami, bez księżycy, bez gwiazd. Widać było tylko poblask z pokoju Charlene – mógłby równie dobrze być jedynym światłem na całym świecie. Wszyscy powinni o tej porze spać, a nie chować się, by uczestniczyć w jakiejś sekretnej naradzie, dyskutując na tematy, których lepiej nie poruszać. Przez chwilę stałam tam, jak na krawędzi brzytwy, próbując zmusić samą siebie do powrotu do pokoju.

Zamiast tego poddałam się. Podeszłam bliżej, poruszając się bardzo ostrożnie ponad skrzypiącymi deskami podłogi, obok akwarium z ośmiornicą, i zaczęłam podsłuchiwać. Charlene mówiła tak cicho, że wyłapywałam tylko pojedyncze frazy.

– Tej nocy, gdy umarł...

– Najpierw nie byłam pewna...

– Andrew kaszłał...

– Nie był sam...

Nie trwało długo, zanim złożyłam do kupy wszystkie elementy układanki. Pokręciłam głową. Wiedziałam już, co za historię Charlene opowiada. W święta podzieliła się ze mną tą samą opowieścią. Pamiętałam jej przejętą minę, niespokojne dłonie. Nie byłam wtedy dla niej dobrą publiką. Nic, co dotyczyło Andrew, nie zasługiwało w moim odczuciu na uwagę. Nie okazałam się zainteresowana tym tematem, nie chciałam dumać i spekulować. Wyglądało na to, że teraz Charlene postanowiła zwierzyć się komuś innemu.

Zastanawiałam się, z kim rozmawia. Kto jeszcze był w tym pokoju, usadzony na łóżku, cichy jak trusia? Nie wyłapałam żadnego głosu. Słuchałam wznoszących się i opadających słów Charlene tak, jakbym słuchała muzyki, śledząc zmiany akordów, a nie poszczególne nuty. Potem zaczęłam śledzić wznoszenie się i opadanie odgłosów wiatru i fal. Podmuchom towarzyszyło wycie, falom – huk. W oddali skrzeczały nawałniki – dla nich dzień właśnie się rozpoczynał, stado się zbierało, przygotowywało do zrobienia tego, co konieczne, przymierzało się do nocnej wyprawy.

Kilka dni później obudził mnie gardłowy krzyk. Myślę, że na jakimś poziomie wiedziałam, co się stało. To miało miejsce już wcześniej. Łomot stóp. Głosy na wietrze. Zamieszanie. Ktoś znowu miał kłopoty.

Tym razem to Lucy wpadła do mojego pokoju. Słyszając otwierane drzwi, ściągnęłam koc z głowy. Widać było, że przybiegła prosto z dworu. Miała na sobie czapkę oraz robocze buciory, pachniała oceanem.

– Wstawaj, na litość boską – krzyknęła. – Potrzebujemy cię.

Otworzyłam usta, żeby o coś zapytać, ale ona już zniknęła. Słyszałam, jak zbiega po schodach. Gdzieś otworzyły się drzwi. Potem w chacie zapadła cisza. Przez okno nie dojrzałam niczego niezwykłego. Chmury uformowały zwartą szarą taflę, dziwnie pomarszczoną na czubku, tak jakby ktoś udekorował koronką fragment ceglanego muru. Włożyłam ciepłą bieliznę. Między prześcieradłami znalazłam swój szalik. W oddali słychać było ryki słoni morskich, samce alfa odzywały się gromkimi głosami, wdając się w zwyczajowe bitwy o terytorium.

– Hej – zawołałam, schodząc po schodach.

Nikt mi nie odpowiedział. Kuchnia była pusta. Na kuchence stał garnek z wystającą chochlą. W środku czekała fasola, jeszcze więcej spoczywało jej na talerzu. Komuś przerwano jedzenie śniadania. Dotknęłam palcem zawartości garnka. Wciąż ciepła.

Zapinając płaszcz, wyszłam na zewnątrz. Podmuch otarł się o mój policzek. Ocean wydawał się czysty, jakby świeżo umyty. Słonie morskie były jeszcze głośniejsze. Samice pohukiwały. Samce wydawały z siebie chroboczące porykiwania, niczym ciężarówka zmieniająca biegi. Poza tym słyszałam coś jeszcze. Jakiś ludzki głos uwiązał w całym tym hałasie. Trudno było określić, skąd dochodzi.

Okrażyłam chatę. Nie było nikogo na Morskim Tarasie. Nikogo na Wysypisku. Nikogo koło stróżówki. Lądowisko helikopterów też puste. A jednak ze wszystkich stron docierały do mnie głosy, bezcielesne, jakby należały do duchów. Wiatr płatał figle, zmieniał kierunek z każdym kolejnym podmuchem, pchał mi włosy na twarz.

W końcu dojrzałam ruch u stóp Latarnianego Wzgórza. Słońce padało na wzniesienie od drugiej strony, podejście pogrążone było w cieniu. Osłaniając dłońią oczy, wychwyciłam tam kilka postaci. Mick przykucnął obok ścieżki – jego wielkiej sylwetki nie dało się pomylić z nikim innym. Lucy też tam była. Rozpoznałam jej niespokojny krok, to, jak dreptała w miejscu. Byli tam i inni. Kleksy na tle szarego krajobrazu. Cztery kształty pochylające się nad czymś. Mieli w sobie coś z robotników skupionych na wspólnej pracy.

– Hej – zawołałam.

Nikt się nie odwrócił. Mój głos zginął na wietrze. Patrzyłam, jak równocześnie klękają, niczym trupa tancerzy wykonujących symultaniczne plié. Nie podobało mi się to. Kiedy się wyprostowali, dostrzegłam pomiędzy nimi jakiś rozmazany kształt. Coś w całej tej scenie sprawiło, że po plecach przebiegł mi dreszcz. Po chwili zrozumiałam, czemu tak się stało: przypominali żałobników niosących trumnę.

Zaczęłam biec.

Mick zobaczył, że nadchodzę, i coś krzyknął. Wiatr wzmógł się, foki zagłuszyły jego głos. Byłam już dość blisko, żeby rozpoznać lśniący kształt deski surfingowej. To ją właśnie nieśli. Na desce leżał człowiek. Dojrzałam błysk rudych włosów. Galen kiwnął na mnie.

– Żyje – oznajmił. – Musimy zabrać ją do chaty. Pomóż nam.

Mick i Forest szli po jednej stronie. Po drugiej Galen i Lucy mieli trudności, żeby

utrzymać swoją połowę w górze. Wpadłam między nich, chwyciłam śliski plastik obiema rękami. Deska była ciężka. Ślizgała mi się między palcami, tak jakby zachowała wspomnienia z czasu spędzonego pośród fal.

Kiedy pewniej ją chwyciłam, byłam w stanie skupić się na Charlene. Leżała na plecach z rękami na biodrach i włosami rozsypanymi w kształt wachlarza. Religijna ofiara na noszach. Wydawała się nieprzytomna. Gdy przyjrzałam się dokładniej, zobaczyłam guz na jej skroni. Zaczęło pojawiać się limo. Miała też przemieszczony łokieć; jedno ramię, ukryte w rękawie płaszcza, było nienaturalnie wygięte. Ten widok przyprawił mnie o mdłości. Podniosłam wzrok, utkwiałam spojrzenie w chacie.

Poruszaliśmy się krok w krok. Teren był śliski i zdradliwy. Idący przede mną Galen przeklinał pod nosem. Lucy niechętny kopała mnie w łydki. Wydawało się, że maszerujemy godzinami; nieśliśmy Charlene i staraliśmy się, żeby za bardzo nią nie rzucało. Od czasu do czasu jęczała chrapliwie. Mick wykrzykiwał słowa zachęty.

– Już prawie jesteśmy. – Pauza na oddech. – Jeszcze kilka minut. – Pauza na oddech. – Świetnie nam idzie!

Wkrótce odkryłam, że muszę poruszać się bokiem jak krab. Nasza piątka szła, potykając się, wzdłuż Skarpy Nawalników. Wokół nas huczało morze, huczały też słonie morskie. Stado ptaków przeleciało nad nami, szczebiocząc między sobą. Wyspy Farallońskie nie zwracały uwagi na nasze prywatne katastrofy.

W końcu dotarliśmy na ganek. Charlene została wprowadzona do środka z całym należnym jej szacunkiem. Położyliśmy ją na podłodze. Poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Wokół mnie wszyscy brali się już do działania.

– Radiotelefon – mówił Galen. – Próbowałem wywołać kogoś już wcześniej, ale nikt nie odpowiadał. Muszę... – Oddalił się, mamrocząc do siebie.

– Ktoś widział apteczkę? – zapytał Forest.

– Chodź. – Lucy wzięła go za rękę i poprowadziła korytarzem.

Mick przepchnął się obok mnie, mówiąc:

– Potrzebujemy lodu. Albo mrożonego groszku.

Na moment zostałam sama z Charlene. Oddychała z trudem. Było oczywiste, że nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Z niczego nie zdawała sobie sprawy. Uważnie się jej przyjrzałam. Miała na sobie dżinsy, buty do chodzenia po górach i męską kurtkę – swój typowy strój. Poza ciemniejszym limem i urazem w ręce nie wydawała się ranna. Ale we włosach miała mech. Smugę błota na czole. Rozdarty rękaw. Patyk wciśnięty do kieszeni. Może zaplątał się tam, gdy turlała się w dół wzgórza. Dotknęłam jej ramienia.

Ośmiornica pojawiła się niespodziewanie. Krzywiąc się, cofnęłam dłoń. Ledwie kilka kroków od nas, na stoliku kawowym, Oliver wypłynął na środek zbiornika. Wystraszył mnie, gdy tak nagle pojawił się za szybą. Jego skóra przybrała agresywną, czerwoną barwę. Jego oczy poruszały się na szypułkach, obserwowały Charlene.

Jego milczenie znowu mnie uderzyło. Pies mógłby czekać, kot mógłby miauczeć, ale ośmiornica nie wydawała żadnych dźwięków. Oliver unosił się na kłębowisku macek. Zastanawiałam się, jak Charlene może wyglądać z jego perspektywy, przefiltrowana przez dziwaczny umysł wodnej istoty. Zastanawiałam się, co jego zdaniem mogło się jej przydarzyć. Drgnęła na desce, westchnęła. Oliver przylgnął do ścianki akwarium. Wypuścił chmurkę bąbelków.

Na moich oczach czerwień zaczęła znikać z jego skóry jak farba zmywana z dywanu. Szkarłat, jak wiedziałam, był kolorem oznaczającym gniew. Patrzyłam, jak Oliver robi się różowy, potem lawendowy, wreszcie niebieski. Przybrał bladą, kredowo-lazurową barwę. Kolor troski.

Zaczęłam fotografować otaczający mnie świat, gdy miałam dziesięć albo jedenaście lat. Nie byłam jeszcze wtedy artystką, tylko dzieckiem posiadającym hobby. Zachęcałaś mnie, tak jak w przypadku wszystkich moich pasji. Kupowałaś mi rolki filmu. Woziałaś mnie do punktu, w którym wywoływałam zdjęcia. Wiesziałaś najlepsze fotografie na lodówce.

A jednak raz wyraziłaś swój niepokój. Pamiętam to dobrze. Była jesień i spacerowałyśmy po naszym osiedlu, oglądałyśmy wystawy sklepów. Lokalne butiky przygotowały pomarańczowe i złote dekoracje w kształcie papierowych liści. Minęłyśmy pocztę. Zatrzymałyśmy się, żeby popatrzeć na cuda wystawione w witrynie sklepu z zabawkami. Niebo było oślepiająco czyste, gdy razem wędrowałyśmy K Street. Pamiętam dzwonienie Twojej bransoletki. Pamiętam słodki zapach Twoich perfum.

Na chodniku spał bezdomny. Leżał w nieładzie, z twarzą nakrytą gazetami. Nie od razu dostrzegłam, że oddycha. Cuchnął potwornie, jego ubrania były brudne i podarte.

Sięgnęłaś do kieszeni i wyciągnęłaś monetę, którą wrzuciłaś do jego kubka. Miałam ze sobą aparat – czarno-szary Olympus OM-1, obsypany tarczami i guzikami. To był wczesny model lustrzanki, najlepszy jak na swoje czasy, z załadowanym filmem 35 mm, cięższy niż torebka. Używanie go było cudownie fizycznym doświadczeniem: zgrzytliwe obroty, które towarzyszyły regulacji ostrości, trzask migawki, opór, jaki stawiała dźwignia przesuwania filmu. Pochyliłam się nad odsłoniętą sylwetką tego mężczyzny. Nie miał buta, jego bosa stopa była spuchnięta. Jego paznokcie przypominały niedźwiedzie pazury.

Położyłaś mi dłoń na ramieniu.

– Nie – powiedziałaś.

Spojrzałam na Ciebie zdziwiona. Odciągnęłaś mnie stamtąd.

Później próbowałaś mi to wytłumaczyć. Zmartwiło Cię, gdy zobaczyłaś mnie taką – spoglądającą z dystansem na inną istotę ludzką, na kogoś, kto znajdował się w okropnej sytuacji. Zaniepokoiło Cię, że moim pierwszym odruchem było uchwycenie tego na zdjęciu.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – oznajmiłaś, stukając palcem w aparat.

Wtedy wydawało mi się to niesprawiedliwe. Wierzyłam, że nie zrobiłam nic złego, gdy skierowałam obiektyw na człowieka śpiącego w miejscu publicznym. Przecież nikogo nie krzywdziłam.

Teraz oczywiście lepiej to rozumiem. Miałas rację. Tak często miałaś rację. Bardziej niż jakakolwiek inna forma sztuki fotografia wymaga chłodu i obojętności. Może posiadałam te cechy już jako dziecko; może wykształciłam je w ciągu następnych dziesięcioleci, tych spędzonych bez Ciebie. To praca dla osób, które potrafią odciąć się od emocji.

Trauma i ból są podstawą sztuki. Wierzę w to. Kiedy stajemy w obliczu tragedii, muralista albo akwarelista może pozwolić sobie na to, by w danej chwili zachować się jak człowiek, a dopiero potem jak artysta. W obliczu śmierci ukochanej osoby rzeźbiarz albo portrecista może najpierw ją opłakać, pocierpieć, odzyskać spokój – a dopiero potem tworzyć. Większość artystów w ten sposób kroczy przez życie. Są w stanie normalnie reagować na trudy i próby ludzkich doświadczeń. Mogą iść przez świat, okazując innym współczucie i solidarność.

Swoją sztukę mogą tworzyć później. Na zewnątrz, gdzieś indziej, poza.

Ale fotografia jest natychmiastowa. Nie oferuje luksusu czasu. Stając twarzą w twarz z krwią, śmiercią lub przemianą, fotograf nie ma wyboru – musi sięgnąć po aparat. Najpierw jest artystą, dopiero potem człowiekiem. Fotografia jest neutralnym zapisem wszystkich wydarzeń, kroniką rzeczy wzniosłych i strasznych. By ją prowadzić, trzeba zapomnieć o emocjach,

więziach, miłości.

Długo musieliśmy czekać na helikopter. W międzyczasie wszyscy robili, co mogli. Mick trzymał na głowie Charlene okład z mrożonego groszku, przesuwając go z guza na czole na limo i z powrotem. Forest ostrożnie zbadał jej przemieszczony łokieć. Ręka była czerwona i obrzmiała, ale nie tak spuchnięta, żeby sugerować złamaną kość. Lucy sprawdziła, czy nie ma innych, do tej pory niedostrzeżonych urazów; obejrzała brzuch i nogi Charlene, kiedy mężczyźni odwrócili oczy. Sama Charlene traciła i odzyskiwała przytomność; zdarzało się jej zmarszczyć brwi albo wymamrotać coś niewyraźnie, gdy lód dotykał jej czoła, ale moment później znowu leżała bez czucia.

Niewiele mogłam zrobić, żeby pomóc. Złapałam się na tym, że stukam palcami w udo, żałując, że nie mam aparatu. Chciałabym zrobić kilka ujęć bezwładnych palców Charlene, jej posiniaczonej skóry. Moment nadawał się doskonale. Ale wiedziałam, że lepiej nie iść po Klejnot czy Gremlina. Pozostali pomyśleliby, że jestem bez serca.

W końcu Galen stwierdził, że tak dalej być nie może. Wezwał nas wszystkich do kuchni i nalegał, żebyśmy coś zjedli.

– Poczujecie się lepiej – powiedział. – To nie jest prośba.

Pochylając się nad blatem, pochłaniając kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, nie próbowałam włączać się do rozmowy. Słuchałam biologów, którzy wydawali się mało przejęci całym zdarzeniem. Wszystkim dopisywały apetyty. Stonowanymi głosami debatowali nad tym, co mogło się przydarzyć Charlene.

– Ktoś ją widział dziś rano?

– Wspominała coś o wyprawie na Latarniane Wzgórze.

– Pamiętam! Słonie morskie...

– Musiała się potknąć.

– Mgła była gęsta. Zgubiłem się przy Zatoczce Grzywaczy.

– Ja też! Byłam przy Plaży Martwego Lwa Morskiego i...

– Ktoś widział, czy Charlene miała przy sobie swoją lornetkę? Może ją upuściła. To dobry sprzęt.

– Nie powinna była iść tam sama.

Nie odezwałam się słowem. Spojrzenie marszczącego brwi Galena na moment zboczyło w moją stronę. W powietrzu czuło się swoiste napięcie, ukryte gdzieś pod powierzchnią swobodnej konwersacji.

Kiedy nadleciał helikopter, byłam w swojej sypialni. Patrzyłam przez okno, jak Forest i Galen spieszą przez teren wyspy. Śmigłowiec błyszczał w słońcu. Z czerwonym krzyżem wymalowanym na drzwiach wyglądał jak latająca karetka pogotowia. Gdy patrzyłam, jak siada na lądowisku, ogarnęło mnie uczucie déjà vu.

Dwie postaci wyłoniły się ze środka, dźwigając między sobą nosze. Spodziewałam się kolejnych agentów federalnych – więcej odznak, dokumentów na podkładkach z klipsami, dyskretnie noszonych kabur – ale ci tutaj to byli bez dwóch zdań lekarze, odziani w szpitalną zieleń. Spodziewałam się też tego samego doktora, który zajmował się Andrew. Teraz jednak dotarło do mnie, że to musiał być raczej jakiś biegły specjalizujący się w zgonach. Tym razem z kontynentu przybyło dwóch starszych panów, jeden z siwymi włosami, drugi z czarnymi. Galen i Forest podeszli do nich i wymienili uściski dłoni. Potem grupa skierowała się do chaty.

Z pewnymi oporami opuściłam sypialnię. Przy drzwiach wejściowych trwało zamieszanie. Lucy zbierała się do wyjścia, żeby pooglądać ptaki. (Później tłumaczyła, że widziała albatrosa lądującego nieopodal Indiańskiego Łba. Bardziej prawdopodobne, że całe zdarzenie przypominało jej utratę Andrew. W tej sytuacji trudno byłoby jej zostać w pobliżu).

Weszłam do pokoju dziennego w chwili, gdy lekarze próbowali precyzyjnie się z noszami przez korytarz. Jeden z nich pochylił się nad Charlene, sprawdził jej puls i zajrzał pod powieki. Mick stał pod ścianą i obgryzał paznokcie, tak jakby zamierzał je zerwać z palców. Forest i Galen czekali w gotowości. Przypominali sportowców oczekujących na start w ważnych zawodach.

Lekarze bardzo sprawnie przenieśli Charlene z deski surfingowej na nosze. Przez moment rozmawiali, stojąc blisko siebie. Wyglądało na to, że się im nie spieszy. Najwyraźniej widzieli, że Charlene nic bezpośrednio nie zagraża. Czarnowłosego lekarz wyciągnął z kieszeni notes. Spojrzał na Micka, potem, zerkając na Galena, zmarszczył brwi, i wreszcie obejrzał mnie uważnie, jakby oceniał moje wymiary.

– Proszę usiąść – powiedział.

– Słucham?

– Proszę tam usiąść. – Wskazał mi miejsce.

Opadłam na kanapę. To nie był czas na sprzeczkę. Lekarz przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, potem obrócił się do Foresta i wezwał go do siebie.

– Muszę wszystko wiedzieć – oznajmił. – Kiedy wypadek miał miejsce?

Forest zaczął mówić spokojnym, pełnym namysłu tonem. W gruncie rzeczy cieszyłam się, że siedzę. Miałam wrażenie, że jestem rozproszona, poza własnym ciałem. Małe drobniaczki wydawały mi się niesłychanie ważne. Brzęczenie grzejnika. Skrobienie lekarskiego ołówka po podkładce. Na zewnątrz morze rozbijało się o brzeg. Rozpryski były dzikie, wyrzucały w górę mgłę, która lśniła dziesiątkami tęcz, niczym zraszacz w promieniach słońca.

Jakiś odgłos zwrócił moją uwagę. Drugi lekarz – siwowłosego mężczyzna z obfitym brzuszyskiem – zostawił Charlene samą i zbliżył się do Galena. Była w nim jakaś nieśmiałość. Poświęciłam mu długie spojrzenie, próbując go podsumować: delikatny, w okularach, człowiek o aparycji pluszowego misia. Mówił cicho, ale słyszałam każde słowo.

– Pan wydaje się wyglądać znajomo – powiedział. – Czy my się już spotkaliśmy?

– Nie wydaje mi się – odparł Galen.

– Mam dobrą pamięć do twarzy. Pochodzi pan z San Francisco?

Przez chwilę sądziłam, że Galen nie odpowie. Potem niechętnie odrzekł:

– Tak.

– Jest pan żonaty? – zapytał lekarz.

Galen oblał się rumieńcem. Nie miałam wątpliwości. Zrobił się cały różowy, aż po koniuszki uszu. Wciąż siedząc na kanapie, drgnęłam zaskoczona. Nigdy bym się nie spodziewała, że Galen jest zdolny do tak ludzkiej reakcji.

– Nie – odpowiedział.

– Naprawdę?

– Tak – stwierdził Galen z grymasem czystej niechęci.

Lekarz zdjął okulary i starannie je wyczyścił.

– Przez moment sądziłem, że skądś pana kojarzę.

Rumieńce Galena zaczęły tężeć, zmieniać się w gniewną czerwień. Byłam zaskoczona hartem ducha lekarza – albo jego brakiem spostrzegawczości. W życiu nie odważyłabym się tak zdenerwować Galena.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia, sprawiła, że podskoczyłam w miejscu. Mick opadł na kanapę. Pchnął w moją stronę szklankę wody. Wypiłam ją duszkiem, nie rejestrując nic poza żelazistym posmakiem rur. W przeciwległym kącie pokoju Forest już się rozkręcił, pokazywał na sylwetkę Charlene, na okno i morze. Jego piskliwy głos wypełniał skromną przestrzeń.

Umieszczona na noszach, Charlene wydała z siebie ciche, rozdygotane westchnienie, jak osoba śniąca nieprzyjemny sen.

Jakiś czas później patrzyłam, jak helikopter mknie ponad wodą. Słońce wciąż wisiało wysoko, przypięte do jedwabistego nieba jak broszka do kołnierzyka. Śmigłowiec poruszał się w szybkim tempie. Zmrużyłam oczy, próbując jak najdłużej śledzić jego ciemny kształt i obracający się wirnik.

Stopniowo morze przede mną zaczęło się zmieniać. Coś się działo w sporym oddaleniu, ledwo widoczne. Dojrzałam rozbryzg piany, srebrzysty błysk. Kształty rozpruwały powierzchnię wody i z powrotem się pod nią chowały. W końcu pojęłam, że to stado pływaczy szarych. Mijały wyspy od wschodu, bawiły się w głębokiej wodzie. Swoim zwyczajem wszystkie naraz wynurzyły się, żeby zaczerpnąć tchu. Ujrzałam lśniące korpusy i tłuste pyski. Helikopter Charlene przeleciał ponad nimi i ich ciała poruszyły się zgodnie, płetwy i ogony, tak jakby machały jej na pożegnanie.

Nie mogłam spać tej nocy. Długo leżałam. Mój sufit zrobił się nieprzyjemnie znajomy; znam na nim każdą plamę, każdy fragment odłóżanej farby. Jedno pęknięcie zaczyna się w rogu i tworzy kształt, który pod pewnym kątem przypomina koński łeb. Gapiłam się na ten zwierzęcy kontur, w głowie miałam mętlik. Nie mogłam pozbyć się obrazu Charlene na wzgórzu. Charlene, która się potyka i upada. Dłoni wyrzucanych w rozpaczliwym geście. Eksplozji jej rudych włosów. Tego, jak jej ciało uderza o granitowe zbocze. Widziałam to tak, jakbym tam była. To, jak jej ciało ślizga się i rozrywa na kamieniach. Ziemię pękającą i kruszącą się pod jej ciężarem. Wyraz jej twarzy, gdy ktoś zgasił jej światło – pusty, nijaki.

Wcześniej Mick położył mnie do łóżka. Przyniósł mi termofor, upierając się, żebym przyłożyła go do kręgosłupa. „Do pleców, nie do brzucha” – przypominał kilkakrotnie. Nie wydawał się szczególnie przejęty tym, co przydarzyło się Charlene. Wytłumaczył mi, tak jak tłumaczyłby dziecku, że takie rzeczy się zdarzają. Podczas swojego pobytu na Wyspach Farallońskich widział siniaki, skręcone kostki, wstrząśnienia mózgu. Sama niemal rozprułam sobie brzuch. Widziałam, jak Forest rozciął sobie łydkę. Pewnego razu inny stażysta upadł tak pechowo, że skończył ze złamaniem otwartym – naprawdę paskudnym, powiedział Mick, nie wdając się w dalsze szczegóły. To, co spotkało Charlene, było po prostu wypadkiem.

Zasnęłam z tym słowem rezonującym w głowie: wypadek, wypadek. Coś musiało mi się przyśnić. Pojawił się jakiś odgłos. Miauknięcie. Płacz dziecka. Wyrwałam się z objęć snu, oszołomiona, instynktownie wyciągając ręce w stronę zagubionego foczego szczenięcia.

Cisza była ogłuszająca. Wyspy znieruchomiały, morze przycichło, wiatr postanowił tym razem powycę gdzie indziej. Nawet słonie morskie były jakieś oświecone; po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie było ich słycać. Lucy nie nucila przez sen. Galen nie chrapał. Tylko mysz w ścianie coś rozrywała. W chacie panowała taka cisza, że byłam w stanie rozróżnić odgłosy jej zębów i pazurków.

Podźwięgnęłam się z łóżka i włożyłam sweter. Zamierzałam zejść do pokoju dziennego i upolować jakąś encyklopedię czy coś podobnego. Nie istniało lepsze lekarstwo na bezsenność niż jedna z tych cegieł pełna łacińskich nazw i anatomicznej terminologii; z pewnością z jej pomocą będę mogła zasnąć.

Jednak na schodach zatrzymałam się zaskoczona. W dziennym pokoju paliło się światło. Przygryzłam wargę. Nikt nie zostawiłby niepotrzebnie włączonej lampy; na Wyspach Farallońskich nie mieliśmy w zwyczaju marnować prądu.

– Hej – odezwałam się.

Odpowiedziało mi jakieś poruszenie. Galen wyłonił się z głębi fotela, spojrzał na mnie rozognionymi oczyma.

– Jezu Chryste – powiedział. – Wystraszyłaś mnie.

– Przepraszam – odparłam.

Nie dziwiłam się, widząc go tutaj. Galen często przeżywał w środku nocy okres wzmożonej aktywności. Czytałam kiedyś, że w miarę jak ludzie się starzeją, potrzebują mniej snu. Galen stanowił żywy dowód na potwierdzenie tej teorii. Przyzwyczyłam się do jego cichych kroków rozbrzmiewających w chacie, naruszających granicę moich snów.

Mimo wszystko pora była późna, nawet jak na niego.

– Nie możesz spać? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Bezsenność nie zna litości. U Szekspira na pewno znalazłby się jakiś cytat, który by do

tego pasował. Śmierć snu. Sen zamordowany. Chyba coś z *Makbeta*.

Na dole było chłodniej. Przeciąg owinął mi się wokół kostek. Biel ścian kojarzyła się ze śniegiem, a włosy Galena stały w sztywnych kłakach, jak sople lodu. Kiedy podeszłam do regału, poczułam, że drzę. Przez moment miałam wrażenie, że to sam Galen roztacza wokół siebie pole intensywnego, wilgotnego chłodu.

– Zimno? – zapytał, jakby w odpowiedzi na moje myśli.

Posłałam mu nerwowe spojrzenie.

Sunąc palcami po grzbietach książek, zerkiałam na tytuły. *Prywatne życie rekinów*.

Płetwonogie: studium. Ptactwo morskie Oceanu Spokojnego. W kącie tykał zegar. Dźwięk był teraz głośniejszy – głuche, nachalne dudnienie.

Coś błysnęło na stoliku kawowym. Spojrzałam w tamtą stronę, na Olivera w akwarium. Jego skóra miała barwę błotnistej pomarańczy. Jego macki były w ruchu, obmacywał szkło przyssawkami, systematycznie sprawdzając kolejne fragmenty ścianek zbiornika. Zmarszczyłam brwi. Wciąż próbował znaleźć drogę ucieczki.

– Wiem, dlaczego ja nie mogę spać – oznajmił Galen. – A co tobie przeszkadza?

– Za dużo myślę.

– O czym?

– O niczym. O wszystkim. – Wzruszyłam ramionami. – Możesz mi polecić jakąś książkę?

Nie odpowiedział. Nie byłam pewna, czy oczy pod ściągniętymi brwiami wpatrywały się we mnie czy w coś ponad moim ramieniem. Wyobraziłam sobie, że za moimi plecami w milczeniu unosi się duch. Opanowałam pragnienie, by obrócić się i sprawdzić, czy to prawda.

– Możesz mi polecić jakąś książkę? – powtórzyłam, starannie wymawiając każde słowo.

Znowu nic nie powiedział. Zaczęłam się niepokoić. Zerknęłam przez ramię na puste schody. Potem potrząsnęłam Galenem.

– Jesteś tam? – zapytałam.

Westchnął, wrócił do życia.

– Książkę? Nie, nic szczególnego nie przychodzi mi do głowy.

– Wszystko w porządku?

Odpowiedział pozbawionym wesołości chichotem.

– Ani trochę.

– Och – odparłam cicho.

Trwałam tak przez minutę, z ręką na jego barku. Wpatrywał się we mnie. Rozpoznałam wyraz jego twarzy – spojrzenie biologa, obojętne i wyzute z emocji, badające mnie, magazynujące dane.

– Masz na imię Miranda – powiedział.

– Tak.

– Ale inni wołają cię Melissa albo Mel, albo... jak to leci? Specjalistka od szczurów?

– Od myszy – poprawiłam go. – Specjalistka od myszy.

– Jesteś tu od kilku miesięcy. Nie poprawiłaś ich. Dlaczego?

– Nie wiem.

Zrobiłam krok w tył; zadbałam, żeby oddzielił nas metr lub dwa zimnego powietrza.

– To żadna odpowiedź.

– Czy to ma znaczenie?

– Wszystko ma znaczenie.

W pokoju zrobiło się jeszcze chłodniej. Potarłam ramiona, niemal spodziewałam się, że zobaczę, jak mój oddech zamienia się w powietrzu w kryształki szronu.

– Muszę zdecydować, co zrobić – powiedział Galen.

- Odnośnie do czego?
- Wielu spraw. Zbyt wielu.

Pod powierzchnią naszej rozmowy kryło się coś jeszcze – jakiś elektryczny wstrząs, tajemniczy wodny prąd. Tak jakby Galen próbował mi coś przekazać za pomocą szyfru. Nie mogłam pojąć, co to takiego. Nie byłam w stanie odczytać jego nastroju, a tym bardziej zamiarów.

- Rozumiesz? – zapytał Galen. – Chodzi mi o Charlene.
- Ach tak – powiedziałam, powoli wypuszczając powietrze.
- Kiedy ją taką zobaczyłem... – Nakrył oczy dłonią. – Biedactwo. To był ciężki dzień.

Okropny dzień.

- Tak – odparłam. – To prawda.
- To ja ją tu ściągnąłem – oznajmił Galen. – W tym tkwi problem.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Wybieram, kto ma prawo tu trafić, a kto nie – wyjaśnił. – To moja decyzja. To ja wyraziłem zgodę na staż Charlene. Zatwierdziłem jej rezydenturę. Zaakceptowałem każdą osobę, która się tu znalazła.

- Wiem.
- Jestem za was wszystkich odpowiedzialny.

Przytaknęłam. Też tak uważałam.

– To brzemię – powiedział Galen. – Nie zawsze. Ale czasami. Dzisiaj tak to czuję. Dzisiaj to jest potworne brzemię.

Wydawało mi się, że wiem, do czego zmierza, choć nie mogłam mieć pewności. Stan jego umysłu zdawał się ciągle zmieniać, złość przeplatała się ze spokojem i smutkiem w sposób równie nieprzewidywalny, jak nieprzewidywalna była pogoda na wyspach.

- To nie twoja wina – stwierdziłam. – Nie możesz siebie obwiniać.
- Co takiego?

– To nie twoja wina – powtórzyłam. – To, co przydarzyło się Charlene.

Spojrzenie, które mi posłał, sprawiło, że zadrżałam ze strachu. Miało w sobie moc pioruna ciśniętego z górskiego szczytu. Kolejny raz przysła mi do głowy grecka mitologia. Galen przypominał gniewnego boga morza, udzielającego nagany żalosnemu śmiertelnikowi.

- Wina – powiedział. – Ciekawe słowo.
- Mhm.

Jego oczy załśniły.

– Jeśli słoń morski zjada rybę, czyja to wina? Jeśli rekin zjada fokę, kogo należy winić? Pomyślałam, żeby odparować: „Ty mi powiedz”. Nie odważyłam się.

– Wyspy to niebezpieczne miejsce – kontynuował. – Dla ludzi i dla zwierząt. Czy mam ponosić odpowiedzialność za to, co się tutaj dzieje? Albo Charlene? Albo ty?

– Nie wiem – odpowiedziałam bezradnie.

– Nieingerencja – powiedział. – Oto moja praca. Przyglądanie się i badanie, a nie ingerowanie. Jeśli focze szczenię tonie, wspominam o tym w notatkach. Jeśli rekin zostaje ranny, robię mu zdjęcie. To właśnie moja praca. Rozumiesz?

- Tak.
- Ale to... – dodał. – Charlene...

Urwał. Niewypowiedziane pytanie zdawało się wisieć w powietrzu. Galen przyglądał mi się, tak jakby oczekiwał, że udzielę na nie odpowiedzi. Nie wiedziałam, jak zareagować. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Nie byłam w stanie złamać jego szyfru.

Z kuchni dobiegł rozziewający jęk lodówki. Galen i ja podskoczyliśmy w miejscu. Na

wyspach zdarzało się to dość często – lodówka była stara i jej mechanizm zawsze budził się do życia z wściekłym rykiem – ale teraz przypominało to bardziej trzask pioruna. Grzechotanie trwało jakąś minutę, potem przeszło w cichy pomruk.

– Niepokoją mnie ostatnie zdarzenia – powiedział Galen. – O to mi chodzi.

– Charlene to moja przyjaciółka – odparłam, wreszcie odzyskując głos.

– Tak, wiem.

– Też źle się z tym czuję. Niedobrze mi się robi, jak pomyślę o tym, co się jej stało.

– A co się stało? – zapytał ostro Galen.

Wpatrywałam się w niego z otwartymi ustami.

– Powiedz mi – poprosił. – Powiedz mi swoimi własnymi słowami.

– Wypadek – odparłam. – Kolejny wypadek.

Jednym gładkim ruchem poderwał się na nogi. Już wcześniej zauważyłam, jak młodzieńcze i zwinne potrafią być jego ruchy. Lata spartańskiej egzystencji na wyspach uczyniły go szczupłym i żyłastym, tyczką zbudowaną z samych mięśni. Przeszedł przez pokój i zajął pozycję przy oknie, jakby trzymał straż.

W akwarium ośmiornica wystrzebiła w górę. Jej ciało udekorowane było kolażem barw – ochrą, zielenią, plamami różu. Miała tyle kolorów, co sztuczne ognie. Rzadko widziało się, żeby Oliver dawał taki popis swoich umiejętności. Zastanawiałam się, czy jego ubarwienie miało stanowić wskazówkę co do nastroju czy tylko odpowiednik prężenia mięśni. Może jego zdolność do kamuflażu wymagała odrobiny regularnych ćwiczeń.

Galen odezwał się spod okna.

– Ten lekarz – powiedział.

– Słucham?

– Ten cholerny lekarz. Rozpoznał mnie. Też go pamiętałem, ale nie zamierzałem nic mówić. Tutaj nie rozmawiamy o przeszłości.

Wciąż próbowałam polapać się w tym, co się dzieje. Galen najwyraźniej mówił o siwym, niedźwiedziowatym lekarzu w okularach, który go zaczepił i twierdził, że skądś go zna. Właściwie zapomniałam o tym zdarzeniu. Zostało w całości przesłonięte przez stan Charlene i mój własny niepokój.

– Znał moją żonę – dodał Galen.

– Ale mówiłeś... – zaczęłam, później się zająknęłam.

– Moją żonę. Znał ją. Jak to możliwe?

Przez chwilę wpatrywałam się w niego z konsternacją.

– Nie wiedziałam, że jesteś żonaty – powiedziałam.

– Umarła. Jedenaście lat temu. Umarła.

– Och – odparłam oszołomiona.

– Cholera – burknął Galen.

Znowu ruszył z miejsca. Przeszedł do wieszaka na kapelusze i z powrotem do regału, wykorzystując całą dostępną przestrzeń.

– Nie wspominam o tym – oznajmił. – Nigdy. Tutaj nie rozmawiamy...

– O przeszłości, wiem – odparłam. – Ale czasami może dobrze jest...

– Tak – powiedział. – Czasami.

Nawet jego ręce były niespokojne, poruszały się w powietrzu, jakby sterowały nimi początkujący lalkarz, wciąż jeszcze nieprzyzwyczajony do skomplikowanego systemu sznurków. Biegające palce. Dłonie wywracane do góry wnętrzem. Łokcie w ciągłym ruchu.

– Powiesz mi, co się stało? – zapytałam.

– Utonęła.

– Och.

– Popłynęliśmy na ryby. Mieszkaliśmy wtedy w San Francisco. Wypożyczyliśmy łódź, na jeden dzień, z przyjaciółmi. Pojawił się szkwał. Wzburzone morze. Nie powinna była wychodzić na pokład. Kazałem jej zostać w środku... prosiłem ją. Nigdy mnie nie słuchała. – Galen posłał mi napięty, zbolący uśmiech. – Straciła równowagę. Uderzyła się w głowę. Była już nieprzytomna, kiedy wpadła do wody. Nie zdołaliśmy dotrzeć do niej na czas.

– Rozumiem – powiedziałam.

I faktycznie rozumiałam. Wiele rzeczy stało się jasne.

Coś zaprowadziło Galena na najbardziej zapomniane przez Boga, oddalone od cywilizacji miejsce na ziemi. Coś skłoniło go, by siedział tu w nieskończoność. Aż do tej pory nie byłam w stanie tego zrozumieć. To była jeszcze jedna zagadka archipelagu, zbyt trudna, żeby ją rozwikłać.

Teraz jednak wszystko do mnie dotarło. Galen wciąż krążył po pokoju, blask lampy wplatał się w jego białe włosy. Rozumiałam jego wzburzenie, ożywiony chód. Na zewnątrz wiatr wyl jak poirytowane dziecko. Okiennica tłukła o ścianę. Słonie morskie robiły potworny hałas, kwiczały i stękały. Po cichu dokonałam kilku rachunków. Jedenaście lat temu umarła żona Galena. Dziesięć lat temu mężczyzna opuścił stały ląd i przeniósł się na Wyspy Farallońskie, by nigdy więcej nie wrócić na łono cywilizacji. Wreszcie wszystko układało się w spójną całość.

– To było jak cios – wyznał. – Widok Charlene na noszach... Ledwo oddychała... – Umilkł. – Moja żona miała rude włosy, tak jak Charlene. Kiedy ją ujrzałem, wszystko do mnie wróciło.

– Rozumiem.

Wiatr smagał szyby w oknach. Trwałam w bezruchu.

– Wypadek – powiedział. – Kolejny wypadek.

– Tak.

Uderzył knykciami o udo. Potem dodał:

– Od jak dawna jesteś na wyspach? Ile to już czasu?

– Och – odparłam, zbita z tropu zmianą tematu. – Od sześciu miesięcy.

– I co o nich myślisz?

– To moje ulubione miejsce – stwierdziłam. – A byłam w wielu.

– Ciekawe – powiedział. – Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło.

– Pomimo wszystkiego – przyznałam z przekonaniem.

Na stoliku kawowym znowu pojawiła się ośmiornica. Jej skóra miała teraz barwę krwi. Raz już okrążyła akwarium i teraz zaczynała kolejny obchód. Wszystkie osiem ramion mocowało się ze szkłem, przyssawki rozpląszczyły się o szybę.

– Mogę tutaj być kimś nowym – zauważyłam.

Galen po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Chyba masz rację. Możesz być Melissą albo Mel. Możesz być małą specjalistką od myszy.

– Tak.

– Na wyspach wszyscy możemy być kimś innym – dodał.

Przestąpił z nogi na nogę. Za oknem usłyszałam nawoływanie. Brzmiało jak szczenię foki.

– Chcesz usiąść? – zapytał.

– Słucham?

– A może masz ochotę na szklankę wody?

– Nie. Dlaczego?

– Po prostu.

Ośmiornica obróciła się w zbiorniku do góry nogami. W tej pozycji miała w sobie coś z drzewa – jej macki badały wieko, poruszały się nad balonowatym ciałem jak gałęzie na silnym wietrze. Galen też się jej przyglądał. Podszedł bliżej szyby i pochylił się. Potem zerknął na mnie. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał, jego oczy zniknęły pod siwymi brwiami.

– Każde zwierzę zachowuje się w zgodzie ze swoją naturą – oświadczył.

– Wiem, co masz na myśli – odparłam. – Ośmiornica zawsze będzie chciała uciec.

– Nie – odrzekł Galen. – Nie to miałem na myśli. Ośmiornica nie chce uciec. Ośmiornica próbuje się uwolnić, bo taka już jej natura. Rekin poluje, bo taka jest jego natura. Samica słonia morskiego porzuca młode, bo taka jest jej natura. To próbowałem ci wcześniej powiedzieć. Nie słuchałaś?

Zdałam sobie sprawę, że zdjęłam z półki książkę, tomiszcze w twardej oprawie ozdobionej zdjęciem kałamarnicy. Trzymałam ją przed sobą niczym tarczę.

– Antropomorfizowanie zwierząt zawsze stanowi błąd – stwierdził Galen. – Możemy obserwować ich zachowanie. Możemy spisywać podejmowane przez nie działania. Możemy prowadzić notatki dotyczące ich diety, zwyczajów godowych, miejsca defekacji, rodzaju zabaw czy sposobów poszukiwania schronienia. Przez cały dzień możemy je badać. Przez cały rok. Ale nigdy się nie dowiemy, o czym myślą. Nigdy nie będziemy wiedzieli, czego pragną. Nawet wśród ludzi...

Urwał, przeczesał dłonią włosy.

– Wierzmy, że rozumiemy się nawzajem – powiedział. – To znaczy jako gatunek. Ale jakim cudem mielibyśmy niby wiedzieć, co się dzieje w umyśle drugiej osoby? Skąd pewność, że mamy rację?

Znowu umilkł. Zza okien dobiegał ryk fal. Wyspy zdawały się budzić do życia – już nie były spokojne, nie były zaciszne. Dziwny grymas przemknął przez twarz Galena. Mężczyzna mógł się równie dobrze uśmiechać albo krzywić.

– Jestem biologiem – powiedział. – Oto, kim jestem. Jeśli zwierzę jest agresywne... jeśli zwierzę zostaje ranne... jeśli zwierzę zachowuje się zgodnie ze swoją naturą...

Roześmiał się. Ten dźwięk mnie zaskoczył, wysoki i dźwięczny. Rozbrzmiał w pokoju jak uderzony gong.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

Nie wiedziałam, co myśleć. Ale jego nastrój chyba się poprawił, a to był dobry znak.

– Jestem pewna, że masz rację – oznajmiłam.

To były puste słowa, ale wydawało się, że mi uwierzył. Wyprostował się, znacznie wyższy ode mnie; jego kredowe włosy niemal szorowały o sufit. Potem raz jeszcze zwrócił się do mnie i ujrzałam uśmiech igrający na jego ustach.

– Jaka jest twoja natura, Mirando? – zapytał.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Od dłuższej chwili czekałam na podobne pytanie.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Wiedziałam, co muszę zrobić. Galen złamał najważniejszą zasadę obowiązującą na wyspach: poruszył temat przeszłości. Teraz przyszła moja kolej.

W pewnym sensie mi ulżyło. Swoimi wyznaniem przygotował mi grunt pod tę rozmowę.

Zacząłam mówić, po czym zająknęłam się i odchrząknęłam.

– Chodzi o moją matkę – wyjaśniłam. – Straciłam matkę.

– Ach tak?

– Kiedy miałam czternaście lat.

Powiedziałam to głośniej, niż zamierzałam. W zachowaniu Galena nastąpiła jakaś zmiana, wyraz jego twarzy zmiękł, stał się bardziej otwarty.

- Potrafił ją samochód – wyjaśniłam. – Właściwie to ciężarówka.
- Przykro mi. Musiało ci być ciężko.
- Było. To znaczy wciąż jest. To zdarzenie wszystko zmieniło. Zmieniło mnie.
- Oczywiście.

Galen wykonał gest, którego nie byłam w stanie zinterpretować, jego palce zakreśliły w powietrzu koła.

- To dlatego tu przyjechałaś? – zapytał.
- Tak sądzę.
- Rozumiem – odrzekł. – Rozumiem.

Na zewnątrz wiatr zaczął pojękiwać. Ryk słoni morskich splatał się z hukiem oceanu. Oddychałam ciężko. Miałam wrażenie, że Galen właśnie podejmuje jakąś decyzję. Kilkakrotnie skinął głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

- To ciekawe wyrażenie – zauważył. – Ty „straciłaś” matkę. Ja „straciłem” żonę.
- Tak.

– Straciliśmy ich. Zgubiliśmy. Dokładnie tak to wygląda. Coś, co zawsze miałaś przy sobie; coś, do czego byłaś tak bardzo przyzwyczajona, że nigdy się nad tym nie zastanawiałaś. Jak klucze albo portfel. Wciąż zadaję sobie to samo pytanie: „Gdzie ona jest? Przecież jeszcze przed minutą była tutaj”.

Opuściłam spojrzenie na swoje dłonie.

- A teraz Charlene – dodał. – Straciłem ją, tak samo jak ty.

Dotarł do mnie odległy śpiew nawałników. W panującym na zewnątrz zgiełku było coś z symfonii: głęboki bas morza, naśladujące skrzypce zawodzenie wiatru, wysokie piski fok i ptasie trele przypominające głos fletu. Dzika muzyka.

– Pamiętam tę chwilę, kiedy poznałem moją żonę – oznajmił Galen. – Była taka młoda. Taka naiwna. Spotkaliśmy się na randce w ciemno; nasi przyjaciele nas ze sobą umówili. Razem spacerowaliśmy w stronę restauracji, ona i ja. To była piękna letnia noc. Wybraliśmy się do jednej włoskiej knajpki, którą lubiłem. Niespodziewanie poprosiła: „Opowiedz mi historię swojego życia”. – Zachichotał. – Tak wyglądały rozmowy z nią. „Opowiedz mi historię swojego życia”. Odpowiedziałem, że to niemożliwe.

Skinęłam głową.

– A jednak teraz mógłbym to zrobić – dodał Galen. – Kiedy kogoś stracisz, to staje się historią twojego życia. Twoją jedyną historią.

Nagle zrobiłam się tak zmęczona, że ledwo mogłam oddychać. Czułam, że zapadam się w sobie, niemal osuwam się na podłogę. Jakiś okropny ciężar spoczął na moich barkach.

- Idź spać, Mirando.

Uniosłam dłoń, żeby ukryć ziewnięcie.

- No już – powiedział Galen miękko. – Myślę, że teraz oboje będziemy w stanie zasnąć.

Dzisiaj jest pierwszy marca. Nowy miesiąc dobrze się zaczął. Wczesnym rankiem rozległ się trzeszczący głos radiotelefonu. Galen poszedł, żeby odebrać wiadomość, i wrócił cały uśmiechnięty. Dzwonili ze szpitala. Charlene miała już najgorsze za sobą. Jej rany ładnie się goiły, skaleczenia zostały pozszywane. Lekarze przeprowadzili ostatnie testy i potwierdzili bez cienia wątpliwości, że nie doszło do żadnych uszkodzeń mózgu. Nastawili jej ramię i wsadzili w temblak. Galen zrelacjonował nam to wszystko podczas typowego śniadania złożonego z makaronu z serem. Odpowiedziały mu radosne okrzyki, szcęk stukających o siebie szklanek i toast w intencji naszej małej, dzielnej stażystki.

Galen osobiście rozmawiał z Charlene, słyszał jej głos zniekształcony przez dystans i szum zakłóceń. Powiedziała mu, że rodzice przylecieli do niej i wynajęli w San Francisco pokój hotelowy z ładnym widokiem na morze. Miała pozostać w ich towarzystwie, pielęgnowana i rozpieszczana, póki nie będzie w stanie wrócić do domu, do Minnesoty. Tam będzie mogła w spokoju dokończyć rekonwalescencję. Ta myśl przyniosła mi ulgę. Podobała mi się wizja Charlene, wciąż z obandażowaną głową i ręką na temblaku, otoczonej rodzicami i rodzeństwem. W moim wyobrażeniu wszyscy jej krewni byli tak samo rudowłosi i sympatyczni jak ona – rodzina niby pole czerwonych maków. Niemal widziałam, jak Charlene siedzi w fotelu, jak podają jej herbatę i grzanki. Jak jej bracia i siostry wypytyują ją o czas spędzony na wyspach. Jak dziewczyna upaja się rozmigotanym blaskiem telewizora, gorącą wodą tryskającą z kranów czy tłuszczem na świeżo zamówionej pizzy.

Podeszłam do okna. Wyrzesałam na morze. Okoliczne wyspy zdawały się z dnia na dzień coraz bardziej dziczeć. Charlene opuściła to miejsce. Przekroczyła zakłętą linię horyzontu. Znalazła się po drugiej stronie. Była teraz tak daleko, że zastanawiałam się, czy ją jeszcze kiedyś zobaczę.

W tym momencie zapragnęłam znaleźć się wśród słoni morskich. Chciałam być blisko nich, fotografować je, póki jeszcze mam ku temu okazję. Chwyciłam cyfrówkę i wysłałam we mgłę. Podążałam za rykiem ich głosów, za zapachem piżma. Stado słoni morskich zebrało się na Morskim Tarasie, ich cielska przeobraziły plażę nie do poznania. We mgle zdawały się ściśnięte jak chmury, miękkie niczym poduszki.

Ich schemat zachowań zaczął ulegać zmianie. Samice karmią młode przez miesiąc. Pod koniec tego okresu spółkują z przewodzącym haremowi samcem alfa. Potem bez chwili wahania wracają w odmęty oceanu. Są ciężarne, kiedy opuszczają wyspy, kiedy porzucają swoje szczenięta. Jest w tych matkach coś bezwzględne. Ich sprawy na Wyspach Farallońskich ograniczają się do ścisłej biologii. Narodziny, karmienie, spółkowanie, odwrót. Żadnych uczuć. Nie tworzą trwałych więzi; przywiązują się do najsilniejszego samca, otrzymują dawkę nasienia i ruszają dalej. Nie uczą, nie chronią, nie doglądają swojego potomstwa. Młodym oferują mleko, a gdy się ono skończy, odchodzą.

Szczenięta nigdy więcej nie ujrzą swoich matek. Muszą się nauczyć pływać, polować, samodzielnie się rozwijać. Bez niczyjej pomocy muszą pojąć, na czym polega życie słonia morskiego. Przez kolejne tygodnie pozostaną na lądzie, opuszczone, próbując zrozumieć rozfalowany puls pływów. Stopniowo zgłodnieją na tyle, by zaryzykować pierwszy, kluczowy skok w mętny błękit. Odpłyną w morze, podążając za ławicami ryb, za głębokim, rytmicznym głosem instynktu. Odkryją swoją prawdziwą naturę i porzucą archipelag. Następnej zimy te z nich, które przeżyją, powrócą na Wyspy Farallońskie, aby cały cykl zaczął się od nowa.

Statyw ustawiłam na Morskim Tarasie. Miałam ze sobą Gremlina, jedną z moich

cyfrowych lustrzanek. Najdroższą i najbardziej szpanerską z całej grupy. Mgła przykryła horyzont, rozmazała granicę między oceanem a skałami. Słonie morskie wyglądały jak widma. Ich oderwane od ciał krzyki niosły się we mgle. Powietrze wydawało się dziwnie ciepłe. Zastanawiałam się, czy to gorączkowy szal ich godów podniósł temperaturę wybrzeża. Ściągnęłam bluzę, później zdjęłam również założony pod spód rozpinany sweter.

Wtedy to usłyszałam. Piskliwy, rozpaczliwy lament. Dźwięk dochodził zza moich pleców. To było focze szczenię. Na łądzie. Gdzieś niedaleko chaty. Ruszyłam natychmiast. Brnęłam przez wilgotne powietrze, zmrużonymi oczyma przepatrywałam mgłę.

– Tędy – krzyczałam. – Chodź tutaj. Chodź do mnie.

Przedemną pojawił się ciemny kształt. Młode poruszało się zrywami, chwiejąc się i posapując. Gdy się zbliżyłam, uniosło pysk i zawyło.

Tak często śniłam o tej chwili. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To prawdopodobnie nie było to samo zagubione szczenię, które całe tygodnie wcześniej napotkałam podczas spaceru z Mickiem. To prawdopodobnie nie było to stworzenie, które prześladowało mnie od tamtej pory i nawiedzało moje koszmary. Wiedziałam, że to w zasadzie niemożliwe. Ale pewności mieć nie mogłam. Wszystkie młode wyglądały tak samo, czarne i gładkie. Ugryzłam się w język, żeby nie zacząć się śmiać. Miałam takie uczucie, jakby wewnątrz mojej klatki piersiowej roztrzepotały się skrzydła. Zmusiłam się, żeby uwierzyć, że to jest to samo zagubione szczenię, nareszcie odnalezione.

Nie dotknęłam go. Nie wolno mi było go dotknąć. Moje dłonie unosiły się w powietrzu, zataczały kręgi nad jego lśniącem łbem w imitacji pieszczoty. Wyraz jego pyska wydawał się błagalny. Zbliżyło się, a ja zaczęłam się cofać drobnymi, powolnymi krokami.

– Chodź za mną – wyszeptalam. – No dalej, chodź.

Młode mnie posłuchało. Poprowadziłam je w kierunku wody. Z każdym krokiem, który robiłam w tył, zwierzę dawało sus do przodu, tak jakbyśmy tańczyli. Zatrzymałam się u szczytu wzgórza. Na tle mgły statyw aparatu wyglądał niczym szkielet. Po drugiej stronie słonie morskie tworzyły stertę śpiących ciał. Szare samice. Olbrzymie samce. Szczenięta barwy atramentu. Czekałam, aż ten malec je zauważy, aż wyczuje mleko i usłyszy ich chrapliwe oddechy, aż rzuci się w dół zbrocza i w końcu wróci do swojej rodziny.

Jednak szczenię nic takiego nie zrobiło. Pozostało na miejscu, dysząc u mojego boku. Spojrzało na mnie pełnymi uwielbienia oczami. Wybuchłam głośnym śmiechem, nie mogłam się powstrzymać. Ten dźwięk ulatywał ze mnie jak bąbelki w napoju gazowanym, wyrwał się na wolność.

– No idź – powiedziałam. – Wracaj do domu.

Wskazywanie kierunku nic dla niego nie znaczyło. Gesty celujące w stronę morza też nie. Wiatr był ciepły niczym woda w kąpielni. Szczenię umościło się na kamieniach, tak jakby zamierzało zostać przy mnie na zawsze.

Postanowiłam zrobić zdjęcie.

Ogólnie rzecz biorąc, nie bawię się w autoportrety. Ludzka postać to do bólu ograny temat. Nie da się już nic więcej powiedzieć w kwestii naszych dłoni, twarzy, kości, oczu, naszych gestów, naszej zdolności do odczuwania i wyrażania siebie, gry światła i cienia na naszej skórze, kruchości naszych niemowląt, siły naszych mięśni, nieuchronnych zniszczeń będących efektem procesu starzenia, ostateczności naszej śmierci. Historię ludzkiego ciała opowiadano wiele razy. Z zasady fotografuję zwierzęta i krajobrazy. Dla ludzi przewiduję miejsce poza kadrem.

Mnie samej dotyczy to po dwakroć. Jestem artystką, nie dziełem sztuki. Nie chcę wpaść w pułapkę spoglądania na siebie samą z zewnątrz. Nie dbam o to, jak wyglądam. To, jak wyglądam, jest bez znaczenia. Ważne jest tylko to, jak świat wygląda w moich oczach.

Kiedy wślizgnęłam się za statyw i zaczęłam ustawiać samowyzwalacz, poczułam dreszcz niepokoju. Łamałam zasady – mój prywatny zestaw reguł jako fotografa, ale też credo nieingerencji, którym kierowali się biolodzy. Zamierzałam stanąć po niewłaściwej stronie obiektywu. Miałam zamiar ingerować, odrzucić bierność i obojętność.

Jednak ten moment wydawał się wyjątkiem od reguły. Miało tu miejsce coś niezwykłego: kobieta i skały, i zwierzę, i ocean, i mgła. Powróciłam do małej foki, spojrzałam w jej ślepie. Piszęła i ja też wydałam z siebie w odpowiedzi jakieś dźwięki. Nie pozowałam... albo przynajmniej starałam się nie pozować. W oddali kliknął aparat. Młode podsunęło się w moją stronę. Uniosło swój wąsaty pysk. Wyciągnęłam dłoń i nasze ciała zetknęły się – dotyk był wilgotny i ciepły, intymny niczym pocałunek. Stłumiłam okrzyk zdumienia. Nie spodziewałam się tego. Cieszyłam się, że zasłona z mgły otacza mnie, skrywa mój występki przed cudzym wzrokiem.

Nie wiem, jak długo tak trwaliśmy. To mogły być minuty, a może godziny. Ocean huczał. Za moimi plecami chrapał cały stos śpiących słoń morskich. Aparat robił zdjęcie za zdjęciem. Szczęnię ocierało się pyskiem o wnętrze mojej dłoni. Czułam na skórze jego oddech. Czułam jego mleczny zapach i spoglądałam w senne studnie jego oczu.

Rano przejrzałam zrobione zdjęcia. Nie spodziewałam się niczego zaskakującego. Nie spodziewałam się, że któreś z ujęć porazi mnie jak grom z jasnego nieba. Szukałam udanej kompozycji, głębi obrazu, piękna. Wydaje się dziwne, że taka chwila – cicha, spędzona w samotności, na kontemplacji – może wszystko zmienić.

Ale Ty już o tym wiedziałas, prawda? Przekonałaś się o tym na własnej skórze na tej skutej lodem ulicy w D.C., dwadzieścia lat temu.

Dopiero co się obudziłam. Opatulona kocami trzymałam aparat na kolanach. Biolodzy krzatali się po chacie – gawędzili w kuchni, w łazience płynęła woda, ktoś robił tosty. Zapach kawy unosił się w powietrzu.

Zdjęcia były lepsze, niż mogłam się spodziewać. Ja i focze szczenię wydawaliśmy się czymś więcej niż dwoma ciałami, byliśmy symbolami. Mgła za naszymi ciałami wyglądała, jakby naniesiono ją na tło pociągnięciami pędzla. Z początku, przeglądając zdjęcia, skupiłam się na szczenięciu. Miałam nadzieję, że znajdę ujęcie, na którym widać je z profilu, z wyeksponowanymi płetwami i psim pyskiem. Chciałam ujrzeć jego sylwetkę niczym czarny obrys w zawieszonym w powietrzu teatryku cieni. Mój kciuk naciskał na przycisk, przewijałam kolejne kadry, obserwowałam, jak młode porusza się i manewruje na ekranie.

Potem z pewną niechęcią przeniosłam uwagę na mój własny kształt. Na moje rozcapierzone palce. Na skręcone biodra. Na kaskadę loków.

Nie umiem wyjaśnić, jak to do mnie dotarło. Poczułam równocześnie uderzenie gorąca i chłodu. Jeszcze zanim zrozumiałam, na co patrzę, z oczu pociekły mi łzy. Nachyliłam się w przód, mój nos niemal dotknął ekranu. Płaczliwe jęknięcie opuściło moje gardło.

Zawsze byłam drobnej budowy. Mierzę metr pięćdziesiąt. Sama skóra i kości. Jadam jak ptaszek (w przenośni, bo Lucy twierdzi, że większość ptaków to w rzeczywistości potworne obzartuchy). Nigdy nie byłam w stanie przybrać na wadze. Czasami wydawało mi się, że ominął mnie okres dojrzewania i miałam nigdy nie doczekać się krągłości, które obiecywano mi przez całe dzieciństwo. Moje piersi są tak drobne, że nie muszę nosić biustonosza. Biodra – ledwie zarysowane. Nie mam brzucha. Nie ma we mnie za grosz miękkości.

Ale nie miałam wstydliwości, co widzę. Pierwsze ślady obrzmiałego brzucha. Jędrne, pełne piersi. Ponętna figura. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie byłam w stanie się zmusić, żeby myśleć o tej kobiecie jako o sobie. Była kimś obcym. Nieznajomą złapaną w maleńki ekran mojego aparatu. Tajemniczym przybyszem na wybrzeżu Wysp Farallońskich.

Spazmatycznie zaczerpnęłam tchu. Otarłam łzy ciekące mi po policzkach. Ten widok uderzył we mnie jak fala tsunami. Kobietę widać było z profilu. Miała na sobie obcisłe dzinsy, ściśle przylegające do tężejących ud. Gdyby nosiła więcej warstw – bluzę z kapturem albo sweter – jej brzuch zostałby zakryty. Ale ubrana była tylko w opiętą na ciele koszulkę. Wyciągała dłoń, opierała ją na pysku słonia morskiego. To był moment słodkiego połączenia. A tam, pomiędzy tymi dwiema postaciami, zawisła ciemna kula. Dojrzały owoc.

Otarłam oczy. Usiadłam w łóżku, starając się uspokoić oddech. Moje ręce tak się trzęsły, że z trudem trzymałam aparat.

Kobieta na zdjęciu była w ciąży.

Od mojego ostatniego listu minął miesiąc. Potrzebowałam czasu. Zajęło mi trochę pogodzenie się z moim obecnym stanem. To objawienie rozplęwało się we mnie jak cukier w herbacie – migoczące, roztańczone, stopniowo wchłaniane.

Trzymałam się na uboczu. Unikałam spacerów z Mickiem i Forestem. Galena ignorowała. Lucy i ja jak zwykle odpychałyśmy się niczym magnetyczne bieguny. Całymi dniami przesiadywałam w pokoju, w nieskończoność oglądałam zdjęcia samej siebie otulonej we mgłę. Nie zawsze byłam pewna, czy otacza mnie jawa czy sen. Zdarzało się, że stałam w kuchni i płukałam dłonie pod bieżącą wodą albo nieruchomiałam na ganku, omiatana wiatrem... i dyskretnie się szczypałam, po prostu, żeby mieć pewność.

Nocami śniłam o foczym szczenięciu. Śniłam o kobiecym duchu: o jej lśniącej sylwetce, białej szacie i mrozącym krew w żyłach milczeniu. W tych koszmarach to ona była w ciąży. Jej krągły brzuch jaśniał niczym lampa. Ukryty wewnątrz płód przypominał wijący się neon. Śniłam też o Andrew. Monstrualny słoń morski – samiec alfa, zbudowany z samej dumy i tłuszczu – przetaczał się po granicy, huśtając bezwładnym nosem o wyglądzie skarpetki. Patrzyłam, jak odrzuca głowę w tył i wydaje z siebie śmiech Andrew, dźwięk w dźwięk. Śniłam o sobie samej, stojącej przy statywie i robiącej zdjęcia kobiecie oraz foczemu szczenięciu. Ilekroć spoglądałam na te dwie sylwetki w wizjerze, zastanawiałam się, kim jest ta żeńska postać. Nigdy nie zdołałam jej rozpoznać. W moich snach kryła się w cieniu, bez twarzy, pozbawiona tożsamości.

Nikomui nie powiedziałam. Nie wydusiłam z siebie ani słowa.

A jednak dowody są wszechobecne. Czuję się, jakbym nagle nauczyła się dostrzegać kolory albo światło słoneczne – jakbym otworzyła się wreszcie na tysiące szczegółów, które cały czas mi towarzyszyły, ale pozostawały niezauważone. Tak, przybrałam kilka kilogramów. Wiem, że moja figura się zmieniła i że kiedy siadam, na moim brzuchu pojawia się specyficzna poduszcзка. Tak, ciągle chce mi się siku. Tak, mam uderzenia gorąca. Czasem wydaje się, jakby w moim brzuchu pracował buchający żarem piec. Tak, miewam kulinarne zachcianki. Niektóre potrawy mnie brzydzą. Łatwiej się męczę. Sypiam jak nastolatek, potrzebuję po dziesięć, jedenaście godzin snu. Zauważałam wszystkie te objawy, ale nie połączyłam ich w jedną całość. To były odizolowane symptomy. Kropki koloru na płótnie. Efekt pobytu na wyspach.

Teraz oczywiście dostrzegam w tym wszystkim wzór, kompletną mozaikę.

Nawet moje włosy uległy zmianie, wreszcie są gęste i mocne. Przypomina mi to pewną żalosną orchideę, którą próbowałam hodować w Waszyngtonie. Przez zimowe miesiące roślina gubiła płatki i nie chciała rosnać, stała w słabym świetle jak zielona statuetka. Ale kiedy moja koleżanka jechała na południe, na Florydę, zabrała ją ze sobą i umieściła na swoim ganku, a orchidea rozkwitła, obficie obsypała się płatkami. Wyglądało to tak, jakby moje włosy wreszcie znalazły się we właściwym dla siebie klimacie.

No i oczywiście nie miałam miesiączki. Kilku miesiączek. Nie myślałam o tym, bo mój cykl zawsze był nieregularny. U kobiet o takiej wadze ciała jak moja rytm miesiączek często ulega poważnym zaburzeniom. Poza tym nie mam powodu, żeby zerkać do kalendarza. W łazienkowej szafce mamy zapas tamponów i podpasek, cały różowawy skarbiec. Mężczyźni skrupulatnie omijają jego okolice. Kiedy po raz pierwszy przybyłam na wyspy, Lucy, Charlene i ja sięgałyśmy do zgromadzonych tam zasobów, uszczuplając je powoli, jak myszy, które dorwały się do zapasów ziarna. Ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłam zmuszona tam zajrzeć.

W końcu zdecydowałam się na ten krok. To było kilka dni temu. Zaczekałam do północy, kiedy niebo nasiąkło księżycowym blaskiem, a Wielki Wóz zawisł nad chatą. Galen był w łóżku, Mick i Forest chrapali, Lucy nuciła przez sen. Poszłam do łazienki, gdzie znajdowało się duże lustro, jedyne na wyspach.

Niewiele brakowało, a nie zdecydowałabym się na to. Przez chwilę wahałam się. Myślałam nad tym, żeby wrócić do łóżka i wślizgnąć się pod koce. Wyłączyć światło. Powrócić do stanu zaprzeczenia, w którym tak długo trwałam.

Przypomniałam sobie, że niczego nie mogę być pewna. Nie było tu testu ciążowego, na który mogłabym nasiusiać. Nie było gabinetu ginekologicznego, który mogłabym odwiedzić. Wrażenie, które wywołał autoportret, zrobiony przed miesiącem i w dodatku z daleka, trudno uznać za podstawę do solidnej diagnozy. Przypomniałam sobie, że wiele z tradycyjnych ciążowych objawów mnie ominęło. Nie wymiotowałam z rana. Nie zdradzałam instynktu „wicia gniazda” – zmywanie podłogi i zamiatanie pozostawiłam w rękach Lucy. Nigdy nie nosiłam biustonosza, więc nie byłam w stanie sprawdzić, czy wciąż się mieszczę w mój standardowy rozmiar miseczek.

Poza tym te z objawów, których doświadczyłam, trudno było uznać za rozstrzygające. Istniało racjonalne wyjaśnienie każdego z nich. To, że przybrałam na wadze, mogło być po prostu związane z wiekiem. Wstręt do jedzenia mógł wynikać z koszmarnych posiłków, z diety złożonej z tuńczyka i mielonki konserwowej. Senność mogła zostać spowodowana ciągłym, wycieńczającym chłodem. Może to wyspy po prostu droczyły się ze mną. Może to wszystko było iluzją, błędem, jeszcze jednym dziwnym snem.

Usiadłam na toalecie wciąż ubrana w dżinsy. Oparłam głowę na dłoniach.

Zaszłam tak daleko. Musiałam dokończyć dzieła. Nadszedł czas, by połączyć obraz z osobą – sylwetkę na ekranie z moim własnym ciałem. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz patrzyłam na siebie nagą. Przed Andrew. Stałam na zimnych kaflach, wydostałam się ze spodni. Zdjęłam kilka warstw koszulek. Pozbyłam się nawet skarpetek. Wciągnęłam głęboko powietrze, obróciłam się i spojrzałam w lustro.

Mój brzuch, obszerny i złocisty, sterczał ponad kłębkim włosów łonowych. Moje piersi były nabrzmiałe. Nie miałam żadnych wątpliwości, nie było tu miejsca na pomyłkę. Przybrałam na wadze nie tylko w okolicach tułowia. Na pupie też miałam więcej ciała. Dostało się nawet udom: zmieniły się w miękkie słupy, mięśnie przykryła świeża warstwa tłuszczu. Mój brzuch żarzył się w świetle jak nawoskowany, krągły księżyc. Położyłam na nim dłonie. Wydawało się, że minęły lata, odkąd ostatni raz dotykałam własnej skóry.

Przez kilka kolejnych minut przeprowadzałam staranne dochodzenie. Mój brzuch był napięty i sprężysty, w dotyku przypominał piłkę do koszykówki. Zawsze spodziewałam się, że w ciąży będzie raczej miękki i zwiotczały, ale okazał się twardy, gumowaty – raczej jak tarcza niż poduszka. Moje piersi były ciężkie. Ujęłam każdą z nich w dłoń. Wydawało mi się, że pod skórą pojawiły się włókniste koraliki, jak cebulki w ziemi. Przewody mlekowe. Na próbę ścisnęłam jeden z sutków. Żółtawy płyn wyciekł w postaci miodopłynnych kropelek.

Coś dziwnego działo się z moim pępkiem. Zdawał się przekształcać z wklęsłego w wypukły; chwilowo znieruchomiał w pół drogi, jak koszula, która splątała się w praniu. Dotknęłam tego cielistego guziczka. Podeszłam bliżej lustra. Cała pigmentacja mojej skóry uległa zmianie. Twarz miałam teraz wściekle nakrapianą piegami, policzki obsypało mi tak obficie, że wyglądałam jak opalona. Sutki pociemniały, nabrały koloru drewna. Pod pępkiem pojawiła się brązowa linia wędrująca aż do włosów łonowych, dzieląca podbrzusze na pół. Nagle przyszedł mi do głowy termin zasłyszany dawno temu na lekcji biologii: *linea nigra*. Typowy objaw ciąży.

Ubrałam się, dygocząc z powodu szoku i zimna.
Pomóż mi, proszę. Ten jeden raz, Mamo, pomóż mi. Co ja mam zrobić?

Jest taka Twoja fotografia, którą dawniej trzymałam na stoliku nocnym. Na tym zdjęciu masz na sobie czerwoną sukienkę, a za plecami prerię skąpaną w słońcu. Twoje nogi i ręce są chude. Włosy upięłaś w rozczochrany kok. Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz uśmiechnąć – oczy masz rozbawione, usta przypominają motyla ze złożonymi skrzydłami.

Kiedy zrobiono to zdjęcie, byłaś w czwartym miesiącu ciąży, choć nieuważny obserwator mógłby tego nie dostrzec. Letnia sukienka na ramiączkach jednocześnie ukrywa i podkreśla krągłość Twojego brzucha. Tkanina działa jak złudzenie optyczne. Wiele kobiet wybierało podobne ciuchy w drugim trymestrze – ubrania, które sprawiają, że każdy wygląda odrobinę jak w ciąży, zostawiają wszystko w sferze domysłów.

Jako dziecko z wielu powodów uwielbiałam to zdjęcie. Twój wyraz twarzy, zgrabne ramiona, zieleń w tle. Ale najbardziej podobało mi się w nim to, że na pierwszy rzut oka wydawało się przedstawiać jedną osobę, choć faktycznie uwieczniało trzy. Mój ojciec zrobił to zdjęcie, a ja i Ty zostałyśmy na nim uchwycone jego oczyma.

Pory roku zaczynają się zmieniać. Jest kwiecień i dni stały się wyraźnie dłuższe; każdego wieczora słońce trwa na zachodzie jak ostatni gość na przyjęciu. Bryza niesie nowe zapachy. Galen zaczął otwierać okna na oścież, wpuszczając do chaty słodkie powiewy wiatru. Chłód mu nie przeszkadza – i faktycznie, mnie też nie. Mogłabym się kąpać w tym słonym powietrzu. Lucy ogarnęła wiosenna gorączka: odkurza dywany i opróżnia szafki, by wyszorować każdy kąt. Systematycznie przemieszcza się po domu, ściera pleśń zbierającą się na fugach, usuwa pajęczyny. (Wydaje się, że zawsze musi sprzątać akurat tam, gdzie się znajdują. Jeśli siedzę na kanapie, musi wytrzeć poduszki. Jeśli jestem w sypialni, chce tam wejść i umyć okna, bo właśnie sprząta całe piętro). Zmieniają się też zwierzęta. Pływacze szare migrują w swoją stronę. Czas słoni morskich też niedługo minie. Wkrótce nadejdzie Sezon Ptaków.

Jestem pewna, że w Waszyngtonie zaczyna się już długa, łagodna wiosna. To zawsze była moja ulubiona pora roku, kiedy pogoda otwiera się jak kwiat, płatek po płatku. Każdy kolejny dzień będzie o stopień lub dwa cieplejszy od poprzedniego. Krokusy przedrą się przez glebę i będą płonąć niczym ciśnięte na trawę zimne ognie. Poranki wypełni śpiew drożdów. Drzewa pokryją się świeżymi pąkami jak świątecznymi światełkami, a potem otworzą się liście, wszystkie naraz. Jednego dnia gałęzie będą nagie, a następnego spłyną intensywną zielenią, delikatną niczym bibuła. Pojawią się kwiaty wiśni, a to z kolei przyciągnie sezonową migrację japońskich turystów, których tłumy na całe tygodnie wezmą we władanie ulice, na których będą czytać swoje mapy do góry nogami i robić zdjęcia różnych ciekawostek, takich jak wiewiórki albo efekty aktów wandalizmu.

Wiosna wydobędzie też na światło dzienne figlarną stronę natury mojego ojca. Gdy już zakończy on typową reorganizację zasobów szaf – swetry i wysokie buty pójdą w odstawkę – wprowadzi kilka drobnych zmian w swoim wyglądzie. Może zacznie nosić do pracy jedwabne krawaty zamiast tych ciężkich, wełnianych, które kojarzą mu się z zimną pogodą. Może zgoli zimową brodę i zaprezentuje swój lśniący różem podbródek w pełnej krasie.

Niedawno wysłałam do niego mocno zaległą pocztówkę. Tłustymi, drukowanymi literami napisałam: *WIOSNA*. Tylko tyle.

Według moich szacunków jestem w piątym miesiącu ciąży. Kilka ostatnich tygodni było, delikatnie mówiąc, dziwne. Cały czas trzymam jedną dłoń na brzuchu, wsuniętą pod bluzę, jakbym nieustannie upewniała się, że cała ta sytuacja jest prawdziwa. Dryfuję po chacie nieco otumaniona, nie zwracam uwagi na nic, co się dzieje dookoła. Nie zrobiłam ani jednego zdjęcia –

poza tymi pstrykanymi w snach. Aparaty zostawiłam pod łóżkiem. Jednego dnia wdrapałam się na Latarniane Wzgórze i, stojąc na mokrym wietrze, wypatrywałam Kalifornii. Kiedy indziej poszłam na wybrzeże i szukałam mojego foczego szczeniaka, odnalezionej zguby. Nie byłam jednak w stanie rozpoznać go pośród dziesiątek niedużych ciał wylegających się na słońcu. Samice słoni morskich odeszły. Samców nigdzie nie widać. Porzucone młode trzymają się razem, zbierają w sobie odwagę potrzebną do czekającego je nowego życia.

W końcu komuś powiem. Może ojcu. Może Mickowi. Nikt spośród biologów nie jest świadom mojego stanu, jestem tego pewna. Mężczyźni są z reguły mało spostrzegawczy, a Lucy nie poświęca mi dość uwagi, żeby zauważyć zmianę; jestem tylko przeszkodą na trasie jej mopa. Na razie zamierzam samodzielnie wszystko rozważać. Pozwolę, żeby moje poglądy ewoluowały wraz ze zmianami nastroju, ze wzlotami i upadkami; niech układają się na nowo niczym szkiełka w kalejdoskopie.

Czasem łapię się na tym, że stoję w miejscu, z opuszczoną głową, i próbuję wyczuć tkwiące we mnie życie. Mój brzuch jest ciepły, a moje łono ciężkie, ciągnie mnie ku ziemi. Czuję się tak, jakbym znowu stawała się sobą. Nie Melissą. Nie Mel. Nie specjalistką od myszy. Nie obrazkiem na ekranie aparatu. Nie kobietą w lustrze.

Decyzję podjęłam pewnego pochmurnego poranka. Pozostali wypłynęli w morze, na Foczą Wachtę. Widziałam ich, jak wychodzili, cztery postaci maszerujące przez Morski Taras, zmierzające w stronę wody. Niebo wyglądało, jakby zostało niechlujnie wyprasowane, przypominało płachtę tkaniny, tu i tam wymiętej, poznaczonej szarymi zmarszczkami. Galen niósł karton pełen sprzętu. Mick wydawał polecenia swoimi zamaszystymi gestami. Forest i Lucy szli z głowami blisko siebie, jakby wymieniali się tajemnicami. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku, przystąpiłam do działania.

Wciąż nie zdecydowałam, co zrobię z dzieckiem. Nie wiedziałam, czy je zatrzymam. Nie podjęłam żadnych decyzji co do adopcji, usunięcia ciąży, samobójstwa. Nie miałam pojęcia, czy w jakiś sposób związałam się już z płodem. Nie byłam w stanie powiedzieć, czy ciepło w mojej klatce piersiowej jest efektem paniki, miłości, szoku czy zgagi. Nie zdecydowałam, czy wezwać Kapitana Joego, żeby po mnie przypłynął. Nie rozważałam tego, czy powinnam wezwać helikopter. Wciąż nie do końca zaakceptowałam myśl, że nie śnię, że zmieniam się bezpowrotnie, że jestem więźniem zmysłów, którym nie mogę ufać. Nie zdecydowałam, czy rzucić się w morze. Właściwie to nie podjęłam prawie żadnych decyzji.

Poza jedną – tą dotyczącą zwierzątka Lucy.

W kuchni znalazłam plastikowe wiadro. Napełniłam je wodą z kranu i zaniiosłam do stolika kawowego, postawiłam obok akwarium. Potem przetrząsałam lodówkę tak długo, aż znalazłam trochę mięsa krabowego. Ośmiornica jak zwykle pozostawała w ukryciu, niewidoczna. Ale wiedziałam, co robić. Trzykrotnie zastukałam w wieko. Wiele razy widziałam, jak Lucy w ten sposób daje sygnał, że czas na jedzenie. Płowy balon natychmiast wystrzelił z pokrytego otoczkami dna. Ramiona Olivera poszły w ruch, skręcały się i wywijały, popychały go do góry. Pokazały się jego oczy na szypułkach. Ujrzałam poziomą poprzeczkę każdej źrenicy, żółte tęczęwki. W tym momencie Lucy zazwyczaj otwierała małą klapkę i przez otwór wrzucała mięso do zbiornika.

Ja jednak ściągnęłam całą pokrywę z akwarium. Znaleźliśmy się twarzą w twarz, nieoddzieleni żadnym ekranem ani taflą szkła. Oliver przybrał gniewną, szkarłatną barwę. Był rozdrażniony. Nikt wcześniej nie zdejmował wieka z jego zbiornika. Ośmiornice były zbyt sprytne, za bardzo chciały uciec; niebezpiecznie byłoby zostawić akwarium otwarte, nawet na krótką chwilę. Wrzuciłam do środka mięso kraba. Oliver chwycił je instynktownie, ale jego żółte ślepie wciąż uważnie mnie obserwowały.

Nawet teraz nie jestem w stanie wyjaśnić, co mną powodowało. To pragnienie spadło na mnie z mocą niebiańskiego edyktu. Nie mogłam się mu przeciwstawić. Może chodziło o to, jak upokarzające było trzymanie Olivera na uwięzi w tym dzikim miejscu. Może chodziło o samą Lucy – o jej ignorancję i okrucieństwo. Może chodziło o to marnotrawne focze szczenię, które wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zostało mi zwrócone przez wyspy – to szczenię, które z kolei uświadomiło mi istnienie maleńkiego stworzenia rozwijającego się w moim brzuchu. Ten płód niczym ryba pływał sobie w prywatnym akwarium, kąpał się w płynie owodniowym. Wiercił się w ciepłym mroku. Poruszał swoimi palcami przypominającymi czułki ukwiału. Dzielił ze mną oddech i krew.

Powoli wyciągnęłam dłonie, zatrzymałam je nad wodą. Po chwili Oliver przejął inicjatywę. Jego macki były śliskie jak dżdżownice. Nie mogłam powstrzymać grymasu cisnącego mi się na twarz. Dotyk ssawek odrobinę zabolął, co mnie zaskoczyło; wyobrażałam sobie, że będą gładkie i twarde, jak gumowe przyssawki do szyb. Zamiast tego wydawały się składać z tysięcy maleńkich czułek. Nie pospieszałam go. Pozwoliłam, żeby zbadał moją skórę. Wściekła czerwień zaczęła opuszczać jego ciało. Owinął mokre ramię wokół mojego małego palca. Było w tym geście coś dziwacznie intymnego; jego chwyt był delikatny niczym uścisk niemowlęcia.

Potem poczułam szarpnięcie. Podciągał się, dźwigał do góry swoje ciało, przytrzymując się moich palców. Był cięższy, niż się spodziewałam – ciężarem i twardością przypominał piłkę softballową. Macki prześlizgnęły się po moich nadgarstkach, splotły się na skórze.

Kilka minut później był już w plastikowym wiadrze, ja zaś miałam na sobie płaszcz i zmierzałam w stronę morza. Powietrze pachniało solą. Oliver niezdarnie podskakiwał w wodzie, z każdym krokiem przelewał się w tę i we w tę. Czasem siła odśrodkowa sprawiała, że zaczynał wirować, a jego macki kręciły się jak łopatkki dziecięcego wiatraczka. Poruszałam się szybko, choć wokół nikogo nie było. Na moment miałam Farallon Południowo-Wschodni tylko dla siebie. Cieszyło mnie to. Kiedy za dzień lub dwa Lucy spostrzeże, że jej pupilek zniknął, zrobię, co w mojej mocy, żeby przybrać minę niewiniątka. „Co, ośmiornica? Jejku, kiedy ostatni raz ją widziałam, była w akwarium”.

Zwolniłam, kiedy znalazłam się bliżej brzegu. Kamienie były śliskie, pokryte glonami. Z bliska woda okazała się nakrapiana cieniami. Oparłam się o głaz, żeby zebrać siły. Morze wydawało cichy plusk. Podniosłam wiadro i lekko je przechyliłam – Oliver natychmiast dał nura, skoczył w powietrze z szeroko rozrzuconymi mackami. Krople padające jego śladem utworzyły tęczę. Wylądował w wodzie z pozbawionym godności plaśnięciem. Położyłam dłoń na brzuchu, na tej sprężystej, rozpalonej kuli. Ta poza weszła mi już w nawyk.

Wtedy poczułam coś nowego. Z wnętrza mojego ciała nadeszła pieszczotliwa odpowiedź. Muśnięcie. Jakieś drgnienie. Nie rozpoznałam tego doznania. Wydawało się, jakby motyl połaskotał skrzydełkami mroczne wnętrze mojego łona.

Zamarłam. Nie oddychałam, póki to uczucie się nie powtórzyło. Dotyk był równie delikatny, co płatek śniegu lądujący na skórze. Ale teraz już wiedziałam, co się dzieje. To dziecko wykonywało swoje pierwsze ruchy, pierwsze wyczuwalne ruchy. To był dowód życia.

Nie rozpląkałam się. Skończyłam już ze łzami. Wciąż widziałam Olivera pochwyconego przez fale. Na moich oczach nabrał wody do ust i zanurkował w głąb oceanu. Czerwona smuga, macki w ruchu. Ocean przestał być pusty.

SEZON PTAKÓW

Życie nie jest tym, czym myślałam, że jest. Ja nie jestem tym, czym sądziłam, że jestem. Fotografem, wędrowcem, córką osieroconą przez matkę. Kobieta, która pisze listy, pozostawiając za sobą ślad z papieru i słów, tak jak samolot ciągnie za sobą smugę kondensacyjną. Artystką z aparatem fotograficznym zamiast mózgu: zimną, jasno myślącą, wyrachowaną. Kobieta w czerni.

Galen zapytał mnie wtedy: „Jaka jest twoja natura, Mirando?”

Coś zmieniło się we mnie tego dnia, gdy nawiązałam kontakt z foczym szczenięciem. Tego dnia, kiedy złamałam zasadę nieingerencji. Tego dnia, kiedy stanęłam po drugiej stronie obiektywu i sfotografowałam samą siebie. Tego dnia, kiedy przypomniałam sobie, że mam ciało.

Przez pięć miesięcy umykał mi fakt, że jestem w ciąży. A jednak nie wierzę, że to wyłącznie moja wina. Wiele tradycyjnych sygnałów stanu odmiennego mnie nie dotyczyło – nudności, bolące piersi, trądzik. Te symptomy, które stały się moim udziałem, trudno uznać za jednoznaczne. Dla każdego z nich istniało wiarygodne wytłumaczenie.

Krótko mówiąc, nie uważam, żeby wina leżała po mojej stronie. Nie sądzę, żebym zwariowała. Po prostu nie rozumiałam własnej natury. Aż do teraz.

Ciało i umysł powinny być ze sobą splecione: myśl winna łączyć się z uczuciem, ono z wrażeniem, to z kolei ze zmysłem, zmysł zaś z ciałem. Ale ja przez większość życia unikałam zapuszczania korzeni i zarzucenia kotwicy, byłam duchem. Samą myślą, pozbawioną fizycznej powłoki. Byłam osobą skonstruowaną z artystycznej wrażliwości i smutku. Wyobrażałam sobie, że mój umysł to najważniejsze, złożone narzędzie, a ciało pełni rolę drugorzędną, zaledwie pojazdu. Moje ciało nie wpływało na moją tożsamość. Dyskretne wskazówki związane z fizyczną transformacją towarzyszącą ciąży mi umknęły. Wzrost wagi, uderzenia gorąca – te rzeczy mogły równie dobrze przydarzać się komuś innemu. Głód i wycieńczenie zdawały się przytłumione i odległe.

Wyraźnie ujrzałam samą siebie dopiero, kiedy spojrzałam przez obiektyw. Gdybym nie stanęła po tej stronie aparatu, gdzie żyją zwierzęta – gdzie przyroda rozkwita w całej swej niezwykłości i chwale – mogłabym nigdy nie odkryć prawdy.

„Jaka jest twoja natura, Mirando?”

Nie czuję potrzeby, żeby pisać do Ciebie tak często, jak wcześniej. Już nie. Nie mam też ochoty robić zdjęć. Minęły tygodnie, odkąd wędrowałam przez Farallon Południowo-Wschodni z aparatem w dłoni. W tej chwili kompletnie nie interesuje mnie życie umysłowe. Pomysły, pole widzenia, światło, śmierć, piękno, duchy, wyobraźnia, cienie, miłość – to są drobiazgi. Rzeczy nieistotne.

Przez ostatnich pięć miesięcy moje ciało, bez mojej wiedzy i zgody, tworzyło nową, żywą istotę. Podczas gdy mój umysł skupiał się na obrazach, tragedii i pisaniu listów, moje ciało było zajęte czynieniem cudów.

Te nowe myśli nadeszły w tym samym momencie co ptaki.

Nie sposób opisać sezon ptaków, nie tak naprawdę. Na całym świecie żyje pięćdziesiąt tysięcy mew zachodnich. W tej chwili ponad połowa z nich znajduje się tutaj, na Farallonie Południowo-Wschodnim – z czego większość bezpośrednio za moim oknem. Na tym nie koniec. Za wysokim wzgórzem kryje się wielkie miasto nurzyków. Żeby je ujrzeć, trzeba wspiąć się po skalistej ścianie i z góry spojrzeć w dół. Nurzyki to urocze stworzenia, pięknie wyrzeźbione. Podobnie jak pingwiny mają smokingowe ubarwienie – czarne grzbiety, białe brzuchy – ale pingwiny bywają komiczne, a nurzyki są eleganckie. Ponad ich kolonią Lucy zbudowała

kryjówkę, w której może się przycząić. Drewno oraz metal zdobyła, plądrując stróżówkę. Przyniosła nawet z chaty parę kuchennych krzeseł. Na kolonię nurzyków składa się sto tysięcy ptaków. Ponadto na wyspach znajduje się czterdzieści tysięcy nurniczków, dwadzieścia tysięcy kormoranów, cztery tysiące nurników aleuckich.

Żadne z tych informacji nie są dla mnie nowe. Od tygodni słyszę o tym od rozentuzjasmowanej Lucy, która co roku nie może się doczekać Sezonu Ptaków, tak jak małe dziecko nie może się doczekać Gwiazdki. (Gdy przybyły jej ukochane ptaki, kompletnie zapomniała o zaginionym pupilu. Akwarium zostało opróżnione i schowane właściwie bez komentarza). Zdawałam sobie sprawę z tego, że wiosną i latem wyspy będą domem dla oszałamiającej liczby ptaków. A jednak moje oczekiwania okazały się śmiesznie nieadekwatne. Spodziewałam się czegoś w rodzaju pokojowej manifestacji: rzeszy pierzastych ciał koegzystujących w harmonii, wymieniających się poradami dotyczącymi składania jaj oraz przekazujących sobie ploteczki za pośrednictwem świergotów i treli. Oczyma wyobraźni widziałam morze gniazd upakowanych jedno obok drugiego niczym namioty na kempingu.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Nie jestem pewna, czy cokolwiek mogłoby mnie na nią przygotować, ale moja naiwność z pewnością nie pomogła.

Wyspy są teraz białe. Kamienie wyblakły od ptasiego guana. Siodło, które widzę z okna sypialni, przypomina lodową krę podskakującą na wodzie. Drzewa pokrywa szlam. Smród paraliżuje, wiatr porusza ciężkimi pokładami amoniaku. Powietrze samo w sobie jest toksyczne.

Do tego dochodzi jeszcze hałas. Jeśli ptaki nie śpią, to krzyczą. Uczestnicząca w godach para może godzinami wymieniać się wrzaskliwymi kwestiami. Lucy twierdzi, że mewy komunikują się, żeby rozstrzygnąć ważne sprawy, jak na przykład to, kto powinien polować, a kto doglądać jaj – ale dla mnie to brzmi jak nieziemskie okrzyki bitewne. Ptaki dają w ten sposób znać drapieżnikom, że bronią swojego terytorium. Skrzeczą nad jajami jakieś obłąkańcze kołysanki. Każda para mew przez większą część dnia wyje, a na Farallonie Południowo-Wschodnim takich par są tysiące.

Jak możesz się domyślić, nasz schemat działań uległ zmianie. Nasza obecność tutaj nawet w innych porach roku jest czymś nienaturalnym i musimy być wiecznie ostrożni. Ale podczas Sezonu Ptaków nawet najdrobniejszy błąd może mieć katastrofalne konsekwencje. Zostałam przykładowo ostrzeżona, że nocą muszę uważać, których świateł używam. Część gatunków tutejszych ptaków to zwierzęta nocne. Zapalając główną lampę w sypialni, oświetliłabym ich kształty równie wyraźnie, jak gdybym korzystała ze scenicznych reflektorów, i zdradziłabym ich pozycję drapieżnikom. Zamiast tego mam używać słabej lampki nocnej. Za dnia nasze możliwości przemieszczania się zostały ograniczone do ścieżek wytyczonych pomiędzy stłoczonymi gniazdami. Wydaje się, że każdy centymetr kwadratowy przestrzeni został zaanektowany. Jeden mylny krok może skończyć się chrzęstem i wypłynięciem zawartości jajka na trawę. Obserwuj, nie ingeruj – to zawsze była nasza mantra. Trudno przestrzegać tej reguły pośród obecnego chaosu i zgiełku.

Wychodząc na zewnątrz, musimy też wkładać nowy uniform. Obroże przeciw pchłom wokół kostek (żeby odstraszyć ptasie wszy). Maski okrywająca usta i nos (żeby stłumić smród). Grube skórzane rękawice (żeby obronić się przed ostrymi dziobami). I przede wszystkim kask (więcej o tym później). Rozsądnie też włożyć ponczo, jako że ptaki atakują domniemane zagrożenie w każdy możliwy sposób. Opróżniają kiszkę z precyzją wojskowych bombowców.

Lucy jest teraz niekwestionowaną królową wysp. Każdego ranka wyszczekuje rozkazy, a my spieszymy, by je wykonać. Trzeba zrobić tysiące rzeczy. Ludzie badają tu morskie ptactwo od trzydziestu lat, takiego dziedzictwa nie sposób bagatelizować. Lucy codziennie odwiedza kryjówkę nad miastem nurzyków. Ale są też nawałniki, które trzeba zaobrączkować, mimo że to

nocni łowcy i prawdziwi akrobaci. Lucy nie chodzi spać przed drugą w nocy, a wcześniej czai się na krawędzi klifu z siatką o drobnych oczkach, próbując złapać tych zwinnych lotników w powietrzu. Do worka i zaobrączkować. Złapać i wypuścić. Obserwować i notować. Trzeba też zliczyć populację nurków, a to oznacza, że popołudniami Galena i Foresta zastać można nad brzegiem morza, wpychających dłonie do nor i wyciągających oburzone ptaki. Tymczasem nurki posiadają dzioby, które mają kształt nożyc do cięcia drutu i mogą z powodzeniem pełnić ich funkcję. Jeśli mają zły humor, są w stanie obciąć palec.

Najgorsze jednak są mewy. Zabijają dla pożywienia. Zabijają dla przyjemności. Zabijają bez powodu. To wyszkoleni zabójcy. Krążą nad wyspami z zakrwawionymi dziobami i szaleńczym błyskiem w oczach. Zajął mi trochę, zanim zrozumiałam, co Lucy ma na myśli, kiedy pisze „D.W.G.” w dzienniku. Ten skrót oznacza „dziobnięty w głowę” – ulubiony sposób mew na wyeliminowanie przeciwnika. „Sześć martwych piskląt, znalezione D.W.G. w Katakumbach Nurków”. Farallon Południowo-Wschodni pełen jest maleńkich zwłok. Często widuje się połamane skrzydła i rozbite czaszki, resztki nurzyków i maskonurów pokryte robactwem i zbryzgane wymiocinami mew. Puchowe maleństwa, świeżo wyklute, tulą się do gnijących ciał. To okropny widok. I to dlatego nurniczki oraz nawałniki są stworzeniami nocnymi... i dlatego kopią nory, a nie budują gniazda. W świetle dnia, na otwartej przestrzeni, nie miałyby szans wobec morderczej maszyny, jaką stanowi dwadzieścia pięć tysięcy mew.

Wydaje się, że okres godowy wywołuje u mew nieustającą żądzę krwi. Na siebie nawzajem napadają z takim samym zapałem jak na nurniki aleuckie czy kormorany. Widziałam, jak biorą udział w kanibalistycznych orgiach: rozrywają gardło sąsiada, a potem pożerają jego jaja. W swoich atakach nie ograniczają się nawet do innych ptaków. Stada młodych samców potrafią napadać na foki – krążą wokół gładkiego, szarego łba, skrzeczą i gonią zwierzę wielkości motocykla, póki nie schroni się ono w morzu. Z ochotą wymordowałyby też biologów, gdyby tylko nadarzyła się okazja na czyste trafienie – stąd właśnie kaski. Mick opowiadał mi ostatnio o miewie, która podążała za nim wzdłuż wybrzeża, wpadając w coraz większy szal. Po pokryciu jego ramion guanem i wściekłym wrzeszczeniu mu do ucha ptak rozzłościł się do tego stopnia, że na pełnej prędkości uderzył w kask Micka. Złamał sobie kark i padł na ziemię martwy.

Pewnego dnia siedziałam w pokoju i wyglądałam przez okno. Lucy i pozostali byli na zewnątrz, na Ptasiej Wachcie, ale ja wymówiłam się drobnym urazem. Wciąż jeszcze nie zebrałam się na odwagę, żeby powiedzieć im o ciąży. Zamiast tego zwałam winę na bolącą kostkę i nawet owinęłam ją gazą.

Ostatnio spędzałam sporo czasu w domu, by chronić dziecko i samą siebie. Hałas jest tu stłumiony, odległy. Staram się ignorować huk skrzydeł; udaję, że chór gdaczących i trajkoczących głosów ma w sobie coś kojącego, niczym atonalna symfonia. Jakby tego było mało, jeden szalony mewi samiec rości sobie prawo do naszego frontowego ganku jako do swojego prywatnego terenu lęgowego. Większość ptaków jest w stanie pozyskać dla siebie góra kilkanaście centymetrów nagiej skały. Ale ten samiec jest większy, silniejszy i bardziej szalony niż inne. Nazywamy go Kamikaze Pete. Pete nie jada i nie sypia; cały dzień po prostu walczy, od rana do nocy. Na jego obliczu widać trwałą smugę krwawego szkarłatu. Za każdym razem, gdy wychodzę na ganek, Kamikaze Pete pojawia się znikąd i bije skrzydłami po moich ramionach, dziobie w mój kask tak zaciekle, że przed oczyma błyskają mi gwiazdy. Wszyscy przyzwyczailiśmy się korzystać z tylnego wejścia.

Teraz, siedząc przed oknem, dojrzałam słońca morskiego przemieszczającego się pośród gniazd. Zwierzę wyglądało na dorosłą samicę, chociaż wychudzoną i drobnej budowy. Dzielili ją ode mnie pewna odległość, zmierzała w stronę wody. Wyglądała dziwnie, jak gładz toczący się

w dół zaśnieżonego zbocza. Miała coś na barku: znamię w kształcie gwiazdy. Patrzyłam, jak sunie w kierunku morza, jak roztrąca ptaki, które podrywają się dookoła niej z pełnym oburzenia krakaniem.

Prawie wszystkie słonie morskie już zniknęły. Odplynęły ciężarne samice. Pozbawione haremu samce opuściły swoje cenne terytoria. Szczenięta też znalazły w sobie potrzebną odwagę i rzuciły się w wodę, by gonić ryby, kotłować się i bawić, zniknąć pośród błękitu. Zwierzęta, które pozostały, to te, które nie mogą odejść. Przestraszone, chore, chrome – foki, które nie mają ochoty albo nie są w stanie stawić czoła odmętom. To nie jest dla nich dobre miejsce. To nie jest dobre miejsce dla żadnych słabych stworzeń.

Samica miała kłopoty. Patrzyłam, jak niezdarnie brnie przed siebie, faworyzując jedną z płetw. Może miała jakąś deformację. Może została ranna. Kilka mew krążyło w górze, śledziło ją. Wciąż jeszcze nie mogły wykrzesać odwagi – albo gniewu – by zaatakować. Ale to była tylko kwestia czasu. Foka człapała pośród gniazd, a pogoń skrzeczała i zataczała nad nią koła.

Wreszcie jedna mewa zanurkowała. Kolejna poszła jej śladem, ściągnęła skrzydła i poszybowała w dół. Foka niezgrabnie przyspieszyła. Ptaki odpowiedziały niemal ekstatycznymi wrzaskami. Serce podeszło mi do gardła. Nie mogłam nic zrobić, żeby powstrzymać rozwój wypadków.

To, co nastąpiło, działo się zbyt szybko, żebym zdołała śledzić szczegóły. Błysnęły dzioby. Foka zaryczała z bólu. Miała zakrwawiony pysk. Ptaki spadły na nią raz jeszcze, ich dzioby odbijały światło niczym kule. Celowały w oczy. Powyrywały jej wąsy z pyska, zdarły z głowy strzępy futra. Nie mogła się bronić. Nie mogła dotrzeć do wody. Krzyknęła znowu i ujrzałam mewę wznoszącą się z czymś w dziobie. Z ciemną, połyskliwą kulką, ciągnącą za sobą krwawą nić.

Potem odwróciłam się od okna. Mick powiedział mi później, że ptaki starannie oczyściły ciało. Z foki nie zostało nic poza kośćmi.

Kilka dni temu usiedliśmy z Mickiem, żeby porozmawiać. Było wietrzne, majowe popołudnie. Reszta była jak zwykle na Ptasiej Wachcie. Lucy zabrała Foresta i Galena do swojej kryjówki przy kolonii nurzyków. Wzięli ze sobą kamerę wideo, żeby po kryjomu nakręcić ptaki – trudno o większych podglądaczy. Nie spodziewałam się, że wrócą przed zmrokiem.

Zaparzyłam herbatę, nalałam do dwóch kubków. Jeden podałam Mickowi, który siedział na kanapie i obserwował mnie z podniesionymi brwiami.

– Jestem w ciąży – powiedziałam.

Nie odpowiedział od razu, najpierw wziął długi, pełen namysłu łyk.

– Wiem – odparł.

Przez chwilę gapiłam się na niego, potem usiadłam obok.

– Ja nie wiedziałam – zauważyłam.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, jestem od ciebie mądrzejszy.

Wziął kolejny łyk, zaciągnął się parą. Ja jeszcze nie spróbowałam herbaty, ale czerpałam ulgę z trzymanego w dłoniach ciepłego kubka.

– Jest dość zaawansowana, prawda? – zapytał. – Powiedziałbym, że to drugi trymestr. Szczęka, piersi... no i nosisz na twarzy tę ciężową maskę. Specyficzną pigmentację skóry, o, tutaj.

Wyciągnął dłoń w kierunku mojego policzka. Odtrąciłam ją.

– Obserwuję cię od tygodni – oznajmił. – Mam trzy siostry i z tuzin siostrzenic oraz siostrzeńców. Nigdy w życiu byś tego przede mną nie ukryła. Sposobu, w jaki chodzisz. Tego, jak wstajesz z krzesła.

– Tobie powiedziałam jako pierwszemu.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Poczułam nieprzyjemne ukłucie wyrzutów sumienia. W ciągu ostatniego miesiąca wysłałam do domu kilka pocztówek, wszystkie nijakie, błahe, zakłamane. Możliwe, że to, co zrobiłam ojcu, było niewybaczalne. Jeśli ktoś powinien był wiedzieć – móc się przygotować – to mój tata. Bądź co bądź był moją jedyną prawdziwą rodziną.

Ale nie powiedziałam mu, bo nie mogłam. Nie znałam odpowiednich słów, wszystkie wydawały się niegotowe, niedojrzałe. Nie mogłam ich odnaleźć na końcu języka ani na czubku ołówka. Były gdzieś indziej, dryfujące, śliskie i tylko na wpół uformowane.

Poczułam na dłoni chłapnięcie gorącej cieczy. To mój kubek się przechylił. Pokój zdawał się wirować. Sufit obracał się jak nakrętka zdejmowana z butelki. Myślałam, że zemdleję. Chwilę później poczułam, że Mick mnie obejmuje. Kazał mi wsadzić głowę między kolana, dłoń trzymał mi na plecach.

– Oddychaj – polecił. – Spokojnie i powoli. Właśnie tak.

– Przepraszam – wykrztusiłam. – Do tej pory nie powiedziałam tego na głos.

Miałam mroczyki przed oczyma. Mick potarł mi kark.

– Gratuluję – powiedział. – Chyba.

– Dzięki – odszepnęłam.

Nabierałam powietrza w rytm wytyczany przez jego dłoń. Jego palce wędrowały w dół i w górę mojego kręgosłupa, sterowały moim oddechem.

– Wiem, co się stało – oznajmił.

- Co takiego?
- To znaczy wiem, kto jest ojcem.
- Do diabła, Mick.
- To Andrew, prawda?

Uderzyłam go. Z całej siły. Cios był bezładny, ześlizgnął się po ramieniu. Mick obserwował całe zajście równie speszony, co kot śledzący lot trzmiela. Strzepnął dłonią trafione miejsce.

– Przykro mi – powiedział. – Wiem, że jesteś w trudnej sytuacji. Na pewno nie było ci łatwo.

Wpatrywałam się w swoje kolana.

– Ale wszystko przeanalizowałem – wyjaśnił. – Wiem, że to nie byłem ja. – Uniósł palec. – Z pewnością nie był to Forest. – Drugi palec. – I jestem cholernie przekonany, że nie był to również Galen. – Trzeci palec. – A to oznacza...

Zapadła cisza. Ciężar płodu oparł mi się na kręgosłupie. Obecnie niemal niemożliwym było znalezienie wygodnej pozycji. Dziecko stale naciskało na mój pęcherz albo mościło się poniżej przepony, zgniatając mi jelita.

Kamikaze Pete przełamał milczenie. Poderwał się za oknem do lotu, skrzecząc i łopocząc skrzydłami o szkło.

To było okropne słowo: „ojciec”. Myśl niemożliwa do zaakceptowania. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogłam kłamać. Nie bardzo dało się zwalić wszystko na byłego chłopaka. Nie mogłam zmyślić historyjki o wyprawie do baru, spotkaniu z nieznanym i jednorazowej przygodzie. Moją jedyną nadzieją była gra na czas i unikanie odpowiedzi. Już wcześniej, przygotowując się do tej rozmowy, przeciwoczyłam kilka wymijających reakcji. „Ja to wiem, a ty możesz się tylko domyślać”, „Och, nie mówmy o tym”, „To mój mały sekret”. Żalotne teksty. Bezużyteczne, nieprzekonujące. Nie byłam w stanie w żaden sensowny sposób rozwiązać problemu tożsamości ojca mojego dziecka. Pomimo wszystkich obaw i planów nie wymyśliłam niczego znośnego.

- Przykro mi – powtórzył Mick, tym razem ciszej.
- Dzięki – odparłam.
- No to dawaj. Opowiedz mi całą historię.
- Nic z tego.
- No dalej – powiedział. – Ciekawość mnie wykończy.

Na zewnątrz krakanie mew jeszcze przybrało na sile, jakby ktoś podkręcił głośność na gigantycznym głośniku.

– Tutaj nie rozmawiamy o przeszłości – przypomniałam.

Te słowa zabrzmiały dla mnie pusto, ale Mick pokiwał głową. Jego wyraz twarzy stał się pełen powagi, jakbym podała poprawne hasło.

– Zaparzę więcej herbaty – zdecydował.

Podniósł się z miejsca. Temat został zamknięty.

Tydzień później, w pewne deszczowe popołudnie, Galen zostawił na moim łóżku książkę. Do okładki przyklejona była karteczka, na której jego wyraźne, staranne pismo układało się w słowa: *Dla Mirandy*. Nie widziałam wcześniej tego tomiku, co kazało mi sądzić, że trzymał go wśród swoich rzeczy osobistych. Galen składował w swoim pokoju różne dobra – focze kamienie, szkielety ptaków, zęby rekinów i kto wie co jeszcze. Reszta z nas nie ma tam wstępu. Wszyscy jesteśmy świadomi, że za tymi popękаныmi drewnianymi drzwiami kryją się skarby. Galen trzyma tam różne kurioza, trofea i pamiątki. Czaszki zwierząt, pióra i drobne mysie skórki. Kiedyś, dawno temu, wyjawiał mi, że jego kolekcja zawiera także kilka okazów związanych

z ludźmi i ich sprawami. Listy miłosne. Zapomnianą biżuterię. Osobliwe kapelusze.

Obróciłam książkę w dłoniach. Wydawała się koncentrować na historii Wysp Farallońskich. Przewertowałam ją leniwie. Nie byłam pewna, dlaczego Galen chciał, żebym ją przeczytała, ale nie zamierzałam sprzeciwić się jego rozkazom, jakkolwiek zawoalowane by one nie były.

Ułożyłam się w łóżku na boku, tak aby ciężar dziecka nie rozkładał mi się na kręgosłupie. Z początku – przyznaję – nie bardzo zwracałam uwagę na to, co czytam. Grzejnik stukał. Deszcz bębnił w okna. Przewracałam kartki bez większego zainteresowania. Wyglądało na to, że wyspy zawsze cieszyły się wątpliwą reputacją. Kalifornijscy Indianie z plemienia Miwok postrzegali je jako swoiste piekło, gdzie zsyłano potępionych, by cierpieli wieczne męki.

Ziewnęłam.

Następny rozdział dotyczył Sezonu Ptaków – i złodziei jaj. Nadstawiłam uszu, zaczęłam czytać z większym zaangażowaniem. Historia rozpoczynała się od człowieka noszącego mało prawdopodobne nazwisko Doc Robinson. Był XIX wiek, trwała gorączka złota. Doc Robinson przybył do San Francisco, by, jak wszyscy inni, zdobyć fortunę. Ale był z niego wyjątkowo przebiegły gość. Gdzieś pomiędzy poszukiwaniem samorodków i kolejnymi zawodami związanymi z regularnie znajduwanym złotem głupców spostrzegł coś, czego nie zauważył wcześniej nikt inny: w Kalifornii było za mało kur. Wszystkie smakowite potrawy, które robiono z jajek – ciasta, omlety, majonez – pozostawały niedostępne.

Już wtedy Sezon Ptaków na Wyspach Farallońskich cieszył się złą sławą. Archipelag był wówczas jeszcze niezamieszkały – naga kamienna rzeźba, zagrożenie dla żeglarzy, niepokojący kształt w półmroku. Przepływający nieopodal marynarze wracali na ląd z opowieściami o ptakach liczniejszych niż gwiazdy na niebie. O setkach tysięcy jaj tylko czekających, aż ktoś przyjdzie i je weźmie. (Mewy jeszcze wtedy nie osiągnęły obecnej supremacji. W trakcie letnich miesięcy główną siłę stanowiły nurzyki). Doc Robinson słyszał te historie. Nie przeszkadzało mu, że jaja nurzyków w niczym nie przypominały kurzych. Nie były gładkimi, smacznymi kulkami w kolorze kości słoniowej. Zamiast tego nurzyki składały zielono-niebieskie piłki wielkości tych do softballa, o nakrapianej skórzastej skorupie. Ich jajka często znaczyło coś, co przypominało litery nieznanego alfabetu. Nie nadawały się, żeby je zwyczajnie ugotować: białka były półprzezroczyste, a żółtka czerwone jak krew; smakowały rybą. Prezentowały się, mówiąc oględnie, nieapetycznie.

Dało się je jednak wykorzystywać jako substytut podczas pieczenia. Doc Robinson odpuścił sobie złoto. Odbył rejs na Wyspy Farallońskie i zebrał kilka tysięcy jaj nurzyków. Kiedy wrócił do Kalifornii, zarobił masę pieniędzy i tryumfalnie przeszedł na emeryturę, podczas gdy ciasta, babeczki i suflety raz jeszcze pojawiły się w kartach dań.

Tak rozpoczął się najazd złodziei jaj. Każdy, kto chciał zarobić kilka dolców, szedł za przykładem Doca Robinsona, wypożyczał łódź i wyruszał w morze. Złota nie starczyło dla wszystkich, ale dla wystarczająco chciwych i zuchwałych nurzyków było pod dostatkiem. Mężczyźni wkrótce zaczęli nosić „jajeczne koszule” z kieszeniami naszytymi na każdy dostępny kawałek materiału. W takim stroju człowiek był w stanie nieść dwieście jaj. Bezradne ptaki nie mogły się bronić przed tymi obcymi drapieżcami. Nie istniał rządowy nadzór, nikt nie myślał o ekologicznej równowadze. Nikt nie zastanawiał się, co będzie, jeśli znakomita większość wszystkich nurzykowych jaj na planecie zostanie zebrana i skonsumowana.

Ale wyspy, tak samo wtedy, jak i teraz, okazały się niebezpiecznym miejscem. Praca była ryzykowna. Książka klarownie odmalowywała ten obraz: ludzkie ciało obciążone nieporęcznym brzemieniem dwustu tłustych jaj. To musiało mieć wpływ na zdolność utrzymania równowagi. Można było poślizgnąć się na kamieniach. Ścieżki pokrywało guano. Fale wdzierały się na brzeg,

wypełniały powietrze pianą. Siniaki i złamane kości były czymś powszechnym. Pewien procent złodziei jaj zniknął: zmylili drogę i morze ich zabrało.

Z westchnieniem odłożyłam książkę na bok. Rozpoczęłam proces podnoszenia się z materaca. Dziecko zawzięcie kopało mnie w przeponę, zmuszając do wstania, ciągnąc mnie ku tu i teraz, z dala od opowieści i cieni.

Prosty fakt mojej ciąży wciąż dopiero do mnie dociera. Ta myśl nieustannie żarzy się w moim umyśle, wyraźnie odcina się od całej reszty. Ruchy dziecka są już pełne siły. Cios piąstki w żebra. Drapnięcie wzdłuż kręgosłupa. Czasem w pokoju pełnym biologów mam wrażenie, jakbym łowiła muzykę, której nie słyszy nikt inny. Zamykam oczy, pochłonięta wewnętrznymi drgnięciami i pulsem życia. To wrażenie jest tak silne, tak absorbujące, że przestaję zauważać, co się wokół mnie dzieje. Odrywam się od świata. Zapominam, gdzie jestem: w chacie, na wyspach, na powierzchni ziemi – mogłabym być gdziekolwiek. Wszechświat wydaje się skupiać wewnątrz mojego ciała, jakby moja skóra opinała go i ograniczała.

Jestem nieustannie świadoma tego, co powinnam czuć w mojej sytuacji. Apatię i rozpacz. Zagubienie i strach. Gdyby Andrew żył, może planowałabym teraz nagłą ucieczkę na stały ląd. Może przeglądałabym książkę telefoniczną – nasz sfatygowany, przestarzały egzemplarz – w poszukiwaniu klinik aborcyjnych. Może odliczałabym minuty do momentu, kiedy ten obcy najeźdźca zostanie usunięty z mojego ciała.

Ale Andrew był martwy. Utonął. Wyspy go zabrały.

I właśnie dlatego wcale nie wydaje się, jakby to dziecko należało do niego. Te dwie rzeczy sprawiają wrażenie kompletnie ze sobą niepowiązanych. Kiedyś w przeszłości doszło do napaści, aktu przemocy. Teraz mamy cud, dar tego miejsca. Wspomnienie ataku – ciemne i nienawistne – przypomina starą gwiazdę, kruszącą się, obracającą się w pył, ledwo widoczną w towarzystwie potężnego, nowego słońca. W miarę jak mijają tygodnie, tym, czego coraz mocniej doświadczam, jest dzika, niemożliwa do opisanego, irracjonalna radość.

Dziecko będzie moje – całkowicie moje.

Charlene wróciła. To znaczy wróciła i zaraz znowu wyjechała.

Pod jej nieobecność wyspy nie były tym samym, co wcześniej – brakowało tej burzy rudych włosów, melodyjnego śmiechu, ciepłej, nieśmiałej obecności przy stole. Tęskniłam za nią. Chciałam na własne oczy przekonać się, że jest w jednym kawałku, krzepka i silna, zupełnie zdrowa.

A jednak mój entuzjazm był nieco przygaszony. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, dlaczego zadaje sobie trud, żeby wrócić. Cieszyłam się, że ją zobaczę, ale jej działania wydawały się nie mieć sensu. Wyjaśniła nam, że chce zabrać swoje rzeczy, ale Galen zaferował przecież, że wszystko jej prześle. Powiedziała też, że chce się ze wszystkimi pożegnać, ale mogła równie dobrze zrobić to przez radiotelefon. Albo wcale. Coś mi mówiło, że Charlene ma inny, ukryty plan. Jaki – tego nie byłam sobie w stanie wyobrazić.

Pozostali niezbyt emocjonowali się jej wizytą. Może zachowanie Charlene zaskoczyło ich tak samo jak mnie. W noc poprzedzającą jej przyjazd Lucy zbyt długo pracowała, łapiąc i obrączkując nawałniki; w efekcie rano raz po raz zachodziła do kuchni, żeby uzupełnić kubek z kawą i patrzyła wilkiem na każdego, kto robił za dużo hałasu. Forest opracował nowy sposób obliczania całkowitej populacji nurków. Trudno było zorientować się w dokładnej liczbie tych nieuchwytnych ptaków, jako że kopały głębokie nory i z natury były skryte. Jednak Forest przygotował specjalne matematyczne równanie i wykres na papierze milimetrowym. Dużo bardziej interesowało go odwiedzenie miejsc, gdzie przeprowadzano badania, i wypróbowanie nowego systemu niż spotkanie z Charlene. Nawet z Micka wyszedł rano pełnokrwisty biolog – beznamiętny, z naukowym zacięciem. Siedział z Galenem przy stole i wypełniał formularz zamówienia na więcej obroży przeciwpchelnych, których bardzo potrzebowaliśmy.

Z Galenem dogaduję się, ogólnie rzecz biorąc, dobrze. Od czasu naszej szczerzej nocnej rozmowy traktuje mnie łagodniej. Ostatnio pokazał mi nawet swoją kolekcję foczych kamieni. Przez lata nazbierał ich tyle, że teraz wypełniały poobijane plastikowe wiaderko. Nie zaprosił mnie co prawda do swojego prywatnego muzeum – do swojej sypialni. Na tym poziomie zażyłości jeszcze, jak widać, nie jesteśmy. Zamiast tego wyciągnął wiadro na korytarz i zawołał mnie, żebym obejrzała zawartość. Z przyjaznym uśmiechem zachęcił mnie do przeglądania zgromadzonych skarbów, co uprzejmie uczyniłam, mimo że wszystkie kamienie wyglądały tak samo: czarne i gładkie, o wyoblonych, wypolerowanych krawędziach, mieściły się wewnątrz dłoni.

Wszyscy biolodzy ulotnili się jeszcze przed południem. Nikt poza mną nie został, żeby powitać helikopter. Forest poszedł do nurków, Lucy i Mick do kryjówki nad kolonią nurzyków. Jeden kraniec schronienia obluzował się w trakcie wichury i próbowali znaleźć jakiś sposób, żeby je naprawić bez robienia niepotrzebnego hałasu i straszenia ptaków. (Gdyby nurzyki się przeraziły, odleciałyby wszystkie jednocześnie. Zostawiłyby jaja bez ochrony, a wtedy zaraz zjawiłyby się mordercze mewy. Jeden bezmyślny czyn mógł doprowadzić do katastrofy). Galen przez jakiś czas notował coś ukradkiem w swoim małym zielonym notesie. Potem odszedł, żeby obserwować maskonury złotoczube – i prawdopodobnie żeby uniknąć spotkania ze stażystką, która, jak teraz wiedziałam, przypominała mu zmarłą żonę.

Musiałam przysnąć. Ostatnio ciągle śpię. Ułożyłam się na kanapie, z widokiem na wschód, gdzie w końcu miał pojawić się helikopter. Ale słońce świeciło mi w oczy. Powietrze wibrowało od światła i gorąca. Moja głowa zrobiła się ciężka. A potem ktoś nagle mną potrząsnął i mnie obudził.

Przed oczyma błysnęły mi włosy: rdzawa kaskada wokół piegowatej twarzy.

– Cześć, śpiochu – powiedziała Charlene.

Usiadłam, trąc oczy. Słońce przesunęło się na niebie, w ustach czułam wstrętny posmak. Za oknem widać było śmigłowiec. Łopaty wirnika spoczywały w bezruchu. Przycupnął na lądowisku – szklana bańka lśniąca w słońcu. W środku widać było pilota, ciemny kształt pochylony nad gazetą. W moim przyćmionym snem stanie wydał mi się zabawny, jak znudzony kierowca limuzyny czekający na szkolnym parkingu na nastolatków wychodzących ze szkolnego balu.

– Chodź – oznajmiła Charlene. – Pomożesz mi się spakować.

Poszłam za nią do drzwi jej małej sypialni. Próbowałam nawet wejść do środka, ale oczywiście nie było tam dla mnie dość miejsca. Pokój Charlene pełnił kiedyś rolę schowka i po obu stronach łóżka – małej jednoosobówki – zostały ledwie kilkunastocentymetrowe przerwy. Po chwili wdrapałam się na materac. Charlene skakała wokół mnie, pakując do walizki poduszki i pluszowego misia.

– Dobrze wyglądasz – pochwaliłam.

– Wiem. – Zgięła rękę w łokciu. – Zwichnięcie dobrze się goi. Koniec z temblakiem!

Wstrząs mózgu też nie był zbyt silny. Czasem, kiedy pada deszcz, boli mnie głowa, ale to powinno minąć.

– Świetnie.

Zdjęła z półki parę džinsów i obejrzała je z krzywą miną. Powąchała je, po czym cisnęła do kosza na śmieci.

– Jak ci tam jest? – zapytałam. – Z powrotem na lądzie?

– Och, w porządku.

– Tęsknisz za nami?

Rzuciła mi sweter.

– Chcesz? To mój ulubiony, ale raczej nie włożę go wśród ludzi.

– Pewnie. Dzięki.

Czekałam na jej odpowiedź, na pytania o nas i o wyspy, ale nic takiego nie nastąpiło. Charlene zamiast tego przemykała po pokoju.

– Musisz od razu wracać? – zapytałam. – Może zostaniesz na obiad?

– Pilot czeka. Moi rodzice płacą mu od godziny.

Coś się w niej zmieniło. Wyglądała, jakby została polakierowana. Po chwili zrozumiałam, że nosi makijaż. Był subtelny, ale go zauważyłam: pociemnione rzęsy, nienaturalnie zaróżowione policzki. W powietrzu unosił się też jakiś zapach. Lawenda i kadzidło. Perfumy.

– Galen jest gdzieś w pobliżu? – zapytała wreszcie.

– Pewnie, chyba na Plaży Martwego Lwa Morskiego. Mogę pójść...

– Nie, nie. – Beztrosko pomachała ręką. – Chciałam go o coś zapytać, to wszystko.

– Możesz zostawić mu wiadomość.

– To nic takiego – odparła.

Wydawała się jednak w jakiś sposób przybita. Zastanawiałam się, czy pokonała całą tę drogę po to, by porozmawiać z Galenem. I jeśli tak, to dlaczego.

Wysypała na łóżko stertę skarpet. Wydawało się, że żadne z nich nie łączą się w pary, wiele miało dziury. Przeglądała je i po kolei wyrzucała do kosza z odrazą malującą się na twarzy.

– Charlene.

– Hm? – mruknęła, pochłonięta swoją pracą.

– Tego dnia, kiedy zostałam ranna...

– Te są Micka – oznajmiła. – Dlaczego nosiłam skarpetki Micka?

- Byłaś wtedy sama na Latarnianym Wzgórzu?
- Sama? – zapytała, zabierając się za kolekcję bielizny.
- Na wzgórzu. Wtedy gdy upadłaś.

Miała wytrzeszczone oczy, rozszerzone źrenice.

– Nic nie pamiętam z tamtego dnia – wyjaśniła. – Nic. Lekarze mówią, że to normalne przy urazach głowy. – Zmarszczyła brwi. – Czasem mam jakieś przebłyski. Wzgórze, skały. Poranne światło. Ale kiedy upadłam... – Pokręciła głową. – Nie pamiętam. To może nigdy nie wrócić.

- Jasne – odparłam miękko.

Zapadła cisza, rozpraszana tylko trajkotaniem ptaków. Zerknęłam w stronę okna w samą porę, żeby ujrzeć huragan piór – jakaś mewa zamiatała skrzydłami po szkle.

– Właściwie o to chciałam zapytać Galena – przyznała Charlene. – Skoro już o tym wspomniałaś.

- Czyli o co?

Nagle sięgnęła w górę obiema dłońmi i szarpnęła za rude loki.

- Myślałam, że może będzie wiedział, co się stało – powiedziała.

Posłałam jej badawcze spojrzenie.

- Kilka razy rozmawiałam z nim przez radiotelefon – dodała. – Głównie ze szpitala.

Ciągle miałam wrażenie, że wie więcej, niż mi mówi. Raz czy dwa zapytałam go o to wprost, ale on nigdy tak naprawdę nie...

Urwała.

- Miałam nadzieję, że tu będzie – powiedziała.

- Rozumiem.

Na zewnątrz zakrakała mewa – piskłę, sądząc po dźwięku. Charlene odzyskała panowanie nad sobą. Obdarzyła mnie uśmiechem, który nie objął oczu.

- Nieważne – stwierdziła. – Nic mi nie będzie.

Nie wiedziałam, jak zareagować; niezupełnie nadążałam za jej torem myślenia. Ale wydawała się nie oczekiwać odpowiedzi. Przyklęknęła i wyciągnęła pudło spod łóżka. Miałam wrażenie, że unika mojego spojrzenia.

Niecałą godzinę później odprowadzałam ją do helikoptera – obie miałyśmy na sobie kaski i poncza. Charlene zamierzała zdjąć obroże przeciwpchelne i maskę zaraz po opuszczeniu wysp. Kiedy pilot nas spostrzegł, wirnik zaczął obracać się nad moją głową, najpierw leniwie, potem z coraz większą intensywnością. To wystarczyło, żeby zaniepokoić mewy, które poderwały się do lotu w gejzerze złożonym ze skrzydeł i dziobów. Ich wrzaski były ogłuszające. Niosłam jedną z walizek Charlene, podczas gdy ona zmagala się z drugą. Pilot otworzył drzwiczki śmigłowca. Charlene krzyknęła coś i on coś odkrzyknął, ale ptaki robiły taki zgiełk, że nie wychwyciłam ani słowa.

Wtedy Charlene odwróciła się w moją stronę. Ściągnęła maskę, tak że widziałam życzliwy wyraz jej twarzy. Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek. Chciałam jej coś powiedzieć, jakieś ostatnie słowa sympatii. Ale zanim zdołałam wymyślić coś sensownego, poczułam dłoń na moim brzuchu. Dotyk Charlene był delikatny, a jednak bezbłędnie przedarł się przez warstwy swetrów, pod którymi kryłam moją krągłość. Miała ciepłą dłoń.

- Gratulacje – wyszeptala.

Cofnęła rękę.

– Ty też powinnaś stąd wyjechać, Melissa – oznajmiła. – Powinnaś szybko wyjechać. Tu nie jesteś bezpieczna.

Mick i Forest nie są już w stanie urządzić swoich wypadów do stróżówki. Do niedawna kontynuowali swoje wieczorne schadzki. Zdarzało się, że budziłam się w nocy i słyszałam głosy za oknem. Nie mam pewności, jak często brali udział w tych niebezpiecznych miłosnych spotkaniach. Czasem wydawało się, że wychodzą dzień w dzień, a czasami, że dwa razy w miesiącu. Bywało, że budził mnie cichy chichot Micka, a wtedy uśmiechałam się do siebie i wyciągałam ręce po aparat. Za każdym razem opanowywałam jednak pokusę, żeby ich szpiegować. Gdzieś pod moim łóżkiem, wśród nagromadzonych śmieci – dzinsów tak dziurawych, że zdradzały kolor mojej bielizny; foczego kamienia, który znalazłam na brzegu; książek rozpadających się pod wpływem pleśni; wodoszczelnych pojemników wypakowanych niewywołanymi filmami – spoczywała cyfrowka pełna wspaniałych zdjęć. Tego wieczora, gdy je zrobiłam, obiecałam sobie, że pozostawię te sprawy ich własnemu biegowi. Zamierzałam ofiarować Mickowi i Forestowi prywatność, której w tak oczywisty sposób pragnęli.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Sezon Ptaków zamienił Farallon Południowo-Wschodni w pole bitwy obstawione nieprzyjacielskimi żołdakami. Mick i Forest musieliby zwariować, żeby w tych okolicznościach próbować wymknąć się do stróżówki. W ciemności mogliby zboczyć ze ścieżki i zdeptać gniazda. W ciągu sekund ściągnęliby na siebie gniew mew. Mogę to sobie z łatwością wyobrazić: trzask skorupy, krzyki ptaków. Mick i Forest próbujący uciekać. Mewy wzbijające się w powietrze, początek jatki. Ptaki nadlatywałyby z każdego skrawka wysp w ptasiej wariacji na temat szału jedzenia. Micka i Foresta znaleźlibyśmy rano: gołe szkielety, obrane z mięsa do czysta.

W ciągu kilku ostatnich tygodni między tą dwójką pojawiły się tarcia. Nic dziwnego. To kochankowie, którzy nie mogą się kochać (wciąż nie rozumiem, dlaczego nie robią tego, po cichu i dyskretnie, w swojej sypialni). W trakcie posiłków wdają się w wymiany uszczypliwości. Rozmowa na temat tego, kto ma podać sól, zmienia się w wojnę na uprzejme, choć pełne irytacji słowa, a na twarzach Micka i Foresta pojawiają się harde, stężałe uśmiechy. Raz czy dwa przyłapałam ich na kłótni – prawdziwej kłótni – gdy sądzili, że są sami.

Wszystkim nam udzieliło się napięcie. Może winna jest utrata Charlene, jej serdeczności i beztrioski. Może to agresja ptaków przesącza się do naszych zachowań. Ostatnio wybucha więcej sprzeczek i nieporozumień niż zazwyczaj. Galen i Mick pokłócili się na temat właściwej procedury obrączkowania nawałników. Dyskusja Lucy i Foresta co do tego, kto powinien zmywać naczynia, zakończyła się trzaskaniem drzwiami.

Jednak Mick i Forest to szczególny przypadek. Kilka dni temu wróciłam do domu ze spaceru i usłyszałam, jak Forest krzyczy na cały głos. Stojąc przy tylnych drzwiach, nie byłam w stanie zrozumieć ani słowa. Jego głos osiągnął rejestry zarezerwowane dla płaczącej hysterii. Moment później Mick wypadł na zewnątrz. Musiałam uskoczyć mu z drogi. Twarz miał zaczerwienioną, oczy lśniły mu jak węgle. Wydawało się, że mnie nie zauważył, za bardzo był przejęty. Oddalił się niesiony wściekłością.

Wciąż jeszcze zajmuje mnie książka, którą otrzymałam od Galena. On z kolei co pewien czas pyta mnie o postępy – z uniesionymi brwiami i skupionym spojrzeniem – tak jakby ten tekst był dla mnie w jakiś sposób ważny. Jak przystało na pilną uczennicę, przykładam się do pracy. Dowiedziałam się o rządach złodziei jaj. Dowiedziałam się też o pojawieniu się strażników światła. Studiuję historię mojego przybranego domu.

Pewnego wietrznego majowego popołudnia wzięłam książkę ze sobą na górę. Żeby nie przysnąć, usiadłam na krześle zamiast na łóżku – z wykrzywionym kręgosłupem i napiętymi

mięśniami barków. Dziecko utknęło w moim łonie pod niewygodnym kątem. Przewracałam strony i czytałam o strażnikach światła.

Wyglądało na to, że na początku XIX wieku wzdłuż wybrzeża Pacyfiku nie istniały żadne latarnie morskie. Ani jedna. Kapitanowie na statkach zmuszeni byli pływać tylko za dnia albo trzymać kciuki i się modlić. Wyspy Umarłych okazały się dla przepływających łodzi tak niebezpieczne, że zwróciły uwagę rządu. Podróże morskie zyskiwały wtedy na popularności. Wydawało się absurdalne, że takie miejsce nie zostało oznaczone latarnią morską, wysłano więc załogę, która miała za zadanie zaradzić tej sytuacji.

Archipelag nie ułatwiał im zadania. Budowniczy nie mogli przewieźć na brzeg swoich zwyczajowych narzędzi. Sami z trudem przedostali się na wyspy. Nie dało się też przetransportować z kontynentu cegieł ani zaprawy. Zamiast tego robotnicy musieli wydobyć budulec wprost ze skał. (Kiedy czytałam, przypominałam sobie wcięcia, które tak często widziałam w krajobrazie, grubo ciosane blizny w kamieniu. W ciągu stuleci, które minęły od ich powstania, te kamieniołomy zerodowały do tego stopnia, że nie przypominały już dzieła człowieka. Wyglądały raczej jak ślady wypalone w podłożu przez kosmiczny statek obcych). Robotnicy wydobywali kamienne bloki wprost z ziemi, a potem dźwigali je na plecach na Latarniane Wzgórze jak niewolnicy, którzy niegdyś wznosili piramidy.

W 1855 roku, po wielu porażkach i odniesionych ranach, latarnia morska została ukończona. Obsadzono ją czterema strażnikami światła. Nie posiadali chaty takiej jak nasza. Nie powstał wtedy jeszcze nawet pomysł wzniesienia stróżówki, o samej konstrukcji nie wspominając. Zamiast tego strażnicy światła mieszkali w kamiennej budzie. Jedzenia było niewiele. Czterej mężczyźni, żadnych kobiet. Na domiar złego płacono im marnie i trzeba jeszcze było borykać się ze złodziejami jaj.

Usiadłam inaczej, rozprostowałam kręgosłup. Dziecko zabrało się za pewien manewr, którego doświadczyłam wcześniej tylko kilka razy. Wydawało się, jakby płód zjeżdżał na nartach po stokach wewnątrz mojego ciała. Nie przestawało mnie to zadziwiać i zachwycać. Raz opisałam to uczucie Mickowi, a on wyjaśnił, że najprawdopodobniej dziecko właśnie się obraca, kręci pętle w moim łonie.

Przeskoczyłam na następną stronę i wróciłam do czytania. Na początku rozdziału była ilustracja: człowiek z twarzą krętacza i garścią obłych kształtów przyciśniętych do piersi. Złodziej jaj.

Do czasu kiedy wybudowano latarnię, nikt nie wysunął oficjalnych roszczeń względem archipelagu. Ogromne państwo Stanów Zjednoczonych nie miały jeszcze wtedy właściciela. W efekcie złodzieje jaj opanowali wyspy. Sytuacja między tymi ludźmi przypominała coś pomiędzy gospodarką czarnorynkową a zwyczajnym piractwem. Obsada latarni trafiła w ogień krzyżowy. Mężczyźni spali w swojej budzie i wspinali się na wzgórze, by obsługiwać mechanizm latarni, świadomi konfliktów wybuchających po drugiej stronie Farallonu Południowo-Wschodniego. Złodzieje jaj kontra złodzieje jaj. Bijatyki były powszechnym zjawiskiem. Od czasu do czasu pokazywały się też noże i pistolety, a wtedy strażnicy światła wysyłali sygnały z prośbą o pomoc z kontynentu. Żołnierze przybywali, żeby położyć kres walkom, i odchodzili.

Sytuacja ciągle się pogarszała. Chciwość złodziei jaj nie знаła umiaru. Pewnego razu po potyczce członkowie jednego z wrogich stronnictw skryli się w Jaskini Nurzyków i udawali, że opuścili wyspy. Kiedy znaleźli się w środku, spadł na nich deszcz guana. Powietrze stało się toksyczne od amoniaku. Powodowani chciwością mężczyźni zdecydowali się zostać tam, gdzie byli, i umarli w jaskini, jeden po drugim.

Znowu zmieniałam pozycję, próbując dostosować się do ułożenia dziecka. Złodzieje jaj

zaczynali mi przypominać mewy, które każdego dnia widywałam na zewnątrz – motywowane zachłannością i gniewem, nastawione na bezwzględną eksterminację. Mewy też były gotowe poświęcić swoje bezpieczeństwo, a nawet życie, byle tylko zaatakować intruza.

Tymczasem strażnicy światła przypominali bardziej biologów. Nie ingerowali w świat przyrody. Prowadzili obserwacje i robili notatki. Zajmowali się latarnią morską, a zwierzęta zostawiali w spokoju.

W końcu – co było nieuniknione – złodzieje jaj zwrócili swoją uwagę na strażników światła. Uszkodzili i zdewastowali rządową własność. Wystawili znaki ostrzegające obsługę latarni przed wchodzeniem na ich teren. Żądali, by mężczyźni płacili za każde jajo nurzyka, które zjedzą. Może trudy długotrwałej wojny zatruły ich umysły. W końcu postanowili całkowicie usunąć strażników światła z wysp. Doszło do potyczki, w której kilka osób zostało rannych.

Populacja nurzyków znajdowała się już wtedy na równi pochyłej. Na ziemi było coraz mniej jaj – a kurczaki wreszcie masowo zawitały do Kalifornii. Nie było już o co walczyć. Ale złodzieje jaj walczyli mimo wszystko.

W 1881 roku rząd wkroczył do akcji. Żołnierze przybyli i raz na zawsze rozprawili się ze złodziejami jaj. Na wyspach pozostali tylko strażnicy światła.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że przysnęłam, póki nie otworzyłam oczu. Wciąż byłam na krześle, z plecami odgniecionymi od drewnianych listewek i książką w dłoni. Palcem oznaczyłam miejsce, w którym skończyłam czytać. W szyi czułam bolesny kurcz.

Mick stanął w drzwiach. Miał nastroszone włosy oraz twarz brązową i ogorzałą po dniu spędzonym na słońcu.

– Jesteś zajęta – zauważył.

– Nie. Wejdz.

Odłożyłam książkę na bok. Mick przez minutę krążył po pokoju, dotykał losowo wybranych przedmiotów. Wydawał się zdenerwowany. Chwilę bawił się umieszczoną na drzwiach szafy gałką, która obracała się na luźnej śrubie.

W końcu zwrócił się w moją stronę.

– Myślałem o naszej rozmowie – powiedział.

– Tej o mewach?

– Nie. – Wskazał na mój brzuch. – O tym.

Widać było, że się waha. Usiadł na skraju łóżka, zachowując bezpieczny dystans. Jego ciężar sprawił, że materac opadał na jedną stronę.

– Jeszcze nikomu nie powiedziałaś, prawda? – zapytał.

– Nie. Tylko tobie.

– To dobrze.

Przygryzł wargę. Wydawał się zmagać z jakąś myślą – czymś ważkim, nieprzystającym do jego codziennego jowialnego uroku. Czekałam. Umysł Micka poruszał się powoli i stanowczo, jak zmieniające się pływy.

– Powiedz, że to byłem ja – powiedział wreszcie.

– Co takiego?

– Powiedz, że to byłem ja – powtórzył. – Powiedz to innym.

Wciąż nie rozumiałam. Mick niecierpliwie mlasnął językiem.

– Galenowi i Forestowi – dodał. – I przede wszystkim Lucy. Powiemy im, że to ja jestem ojcem.

Sięgnął przez pustą przestrzeń i ujął moją rękę, ścisnął ją między swoimi gorącymi dłońmi.

– Chcę to dla ciebie zrobić – powiedział. – Nie mogę wiele, ale tyle mogę.

– Ja nie... – zaczęłam.

Jego uścisk się wzmocnił, miażdżył mi palce.

– Proszę – powiedział. – Naprawdę chcę to zrobić. Będiesz mogła wszystkim powiedzieć, że to byłem ja. Nawet swojej rodzinie. Tacie. Wszystkim. Będzie ci wtedy łatwiej, prawda? To utnie wszelkie pytania.

Nie byłam w stanie przemówić. Rzuciłam się do przodu i wtuliłam się w jego tors. Niemal stoczyliśmy się z łóżka. Mick wybuchnął śmiechem. Jego ramiona zamknęły się wokół mnie, obejmowały mnie i uspokajały.

Później tej nocy, kiedy już osuwałam się w sen, moje myśli znowu zwróciły się ku książce Galena. Złodzieje jaj. Latarnia morska. Morze. Dotarło do mnie, że w książce nie używano terminu „latarnicy”. Cieszyło mnie to. Wykorzystanie go sugerowałoby, że najważniejszym zadaniem tych ludzi było opiekowanie się budynkiem, dziełem człowieka. Zamiast tego książka określała ich mianem strażników samego światła. Kryło się w tym coś istotnego, coś fundamentalnego. Moja poduszka była ciepła, grzejnik pochrząkiwał, powietrze zrobiło się gęste od pary. Może na świecie istnieli tylko ludzie dwojakiego rodzaju – ci, co biorą, i ci, co pilnują – grabieżcy i obrońcy – złodzieje jaj i strażnicy światła. Kiedy czułam już, że objawienie mam na wyciągnięcie ręki, wiatr na zewnątrz wydał głębokie westchnienie, a ja zapadłam w sen.

Ostatnio coraz rzadziej odczuwam pragnienie, by do Ciebie pisać. Nie jestem świadoma Twojej nieobecności w taki sposób jak dawniej.

Po Twojej śmierci brak Ciebie całkowicie mnie pochłaniał. Nieustannie o tym myślałam. Wydawało się, jakbym utraciła coś elementarnego, jak zmysł zapachu albo zdolność śmiechu – coś z gatunku rzeczy, bez których dałabym radę żyć, ale mogłabym nie chcieć. Czułam się jak kamerton, z którego po uderzeniu wypływa nie dźwięk, lecz samotność. Czułam się, jakby ktoś mnie przepołowił i zabrał jedną część. Tego typu rzeczy pisałam w moich listach do Ciebie – tych, które co kilka dni wysyłałam do Biura Martwych Listów.

Teraz jednak wszystko to uległo zmianie. Już nie jestem połową dawnej siebie. W mojej ciąży jestem podwojona. Oto, co zaprzęta obecnie mój umysł. Nie mogę już kisić się w uczuciu straty. Nie mogę w nieskończoność myśleć o Twojej nieobecności. Nie teraz, kiedy przytłacza mnie poczucie obecności dziecka.

W kółko o nim myślę. Myślę o moim chłopcu – bo jestem przekonana, że płód w moim brzuchu jest chłopcem. Jest w nim coś męskiego, mam wrażenie, że składa się z samych łokci i kolan. Czasem kiedy kładę dłonie na brzuchu, doświadczam pewnego rodzaju umysłowego szoku – emocjonalnego odpowiednika elektrycznego wyładowania. Dziecko. Chłopiec. Te dwa słowa mogłyby równie dobrze być synonimami, zamiennikami. Taka pewność mnie wypełnia.

Nocą często o nim śnię. Widzę go w pieluszcze i czapeczce. Widzę go na kolanach mojego ojca – ojca odmienionego nagłym awansem do roli dziadka, z ustami ułożonymi w pogodny uśmiech, którego nie widziałam u niego, odkąd odeszłaś. Wyobrażam sobie moje ciocie, Twoje siostry, jak z rozmiękłymi twarzami pochylają się nad wózek. Widzę mojego synka w kąpielni. Siedzącego w czerwonym wagoniku. Na placu zabaw. Widzę go, jak sam uczy się zjeżdżać po zjeżdżalni, z wargami uformowanymi w pełne zdumienia „O”. Wyobrażam sobie jego ciężar na moich udach, jego główkę, ciepłą i senną, opierającą się o moją klatkę piersiową, kiedy razem przewracamy strony książeczki. Słyszę jego płacz, rozdzierający ryk syreny. Podobają mi się te sny. Dają mi szansę poznać go, zanim po raz pierwszy się zobaczymy. Jest tu teraz ze mną. Wypełnia pustkę, którą zostawiłaś po sobie dwadzieścia lat i tysiące listów temu.

Jest czerwiec. Mieliśmy ostatnio ulewny poranek, pełen burzowych grzmotów. Pogoda wywarła wpływ nawet na mewy – po raz pierwszy od rozpoczęcia Sezonu Ptaków ich krzyki przycichły. Na wyspach zapanowała upiorna cisza. Widziałam przez okno kulące się pierzaste kształty, dygoczące, z głowami pochowanymi pod skrzydła.

Galen i ja zostaliśmy w chacie. Leniuchowaliśmy razem cały ranek. Deszcz walił w dach. On czytał książkę o płetwalach błękitnych, a ja penetrowałam kuchnię w skazanej na porażkę próbie znalezienia jakichś zapasów smakowitego pożywienia, cudownym zbiegiem okoliczności dotąd niedostrzeżonych. Galen nucił jakąś marynarską melodię, a ja zajadałam czerstwe krakersy. On przeglądał dziennik, ja drzemałam na kanapie.

Nasz dziennik to interesujące studium osobowości. Wpisy Foresta, dla przykładu, są zawsze konkretne i zwięzłe, jak chociażby lista ujranych rekinów. Nie kłopotce się pisaniem pełnych zdań, przekazuje informacje w telegraficznym skrócie: „Błędonos w Zatoce Mirung, 6:00 rano”. Coś w tym stylu. Natomiast Mick ma w zwyczaju entuzjastycznie rozwodzić się nad zachowaniem fok: „Dwie nowe matki w tym tygodniu. Młode zajadają jak szalone. Już przybrały po kilka kilogramów. Śliczne są! Chciałbym jedno z nich adoptować”. Wpisy Lucy zaskakują kwiecistością. Pełną wywijasów kursywą opiewają cudne zachody słońca, dziką toń morza czy powietrzny balet kormoranów rogatych. Mimo że lubię czytać nasz dziennik, jej zapiski

przeważnie pomijam. W prawdziwym życiu Lucy jest twardą, rzeczową osobą, jednak na papierze staje się pretensjonalna, tak jakby pozowała na kogoś głębokiego, uczuciowego. „Oddałabym wszystko, żeby poczuć potęgę i wspaniałość nieskrępowanego szybowania na tle nieba barwy fioletu i złota” – napisała kiedyś, najwyraźniej bez śladu ironii.

W miarę jak upływał poranek, burza przybierała na sile. Lało jak z cebra. Powietrze w chacie było przymglone, jakby przedwcześnie zapadł zmierzch. W końcu Galen wezwał mnie do stołu. Uśmiechał się ciepło, poklepując siedzenie krzesła stojącego obok.

– Jak książka? – zapytał. – Czytasz ją, mam nadzieję.

– Tak – odparłam. – Czytałam o złodziejach jaj.

– I strażnikach światła – dodał. – Ten fragment jest ważny.

Zmrużył oczy w badawczym spojrzeniu. Potem usiadł wygodniej. Deszcz się wzmógł, strumienie tryskały z rynien niczym zawieszono w powietrzu rzeki. Huknął grzmot. Wzrok Galena spoczął na suficie. Mężczyzna zaczął mówić. Opowiedział mi dalszy ciąg historii strażników światła miarowym głosem, najwyraźniej z pamięci.

Przez jakiś czas dobrze sobie tutaj radzili. Kiedy zniknęli złodzieje jaj, mężczyźni sprowadzili na wyspy swoje żony. Sprowadzili swoje dzieci. Zbudowali naszą chatę, a także stróżówkę – bliźniacze budynki pełniące wartość pośród pustkowia. Kiedy Galen opowiadał, jego dłonie przemykały w powietrzu. Przez jakiś czas obsłudze latarni i ich rodzinom dobrze się wiodło. To było urokliwe, osobliwe życie. Dzieci bawiły się u stóp Latarnianego Wzgórza. Wspinały się na drzewa, puszczały kaczkę na oceanie. Focze szczenięta traktowały jak zwierzątka domowe. Znalazłam pociechę w tym, że nie jestem pierwszą ciężarną kobietą na tych wyspach.

Wydawało się, że deszcz nie zamierza osłabnąć, tak jakby gdzieś wysoko na niebie odkręcono jakiś kran. Twarz Galena spochmurniała. W końcu, jak wyjaśnił, latarnię morską unowocześniono, wyposażono w automatyczny mechanizm. Strażnicy światła nie byli już dłużej potrzebni. Załoga latarni, wraz z żonami i dziećmi, spakowała dobytek i ruszyła z powrotem ku cywilizacji.

– Nowoczesność to fala, której nie da się powstrzymać – powiedział Galen.

Czasy zmieniły się i nie przestawały się zmieniać. W trakcie pierwszej wojny światowej wojsko na moment zainteresowało się wyspami. Jeszcze później rozważano je jako miejsce pod nowe więzienie albo stację, na której tankowce mogłyby uzupełniać zapasy paliwa.

Pozwoliłam myślom błądzić. Znałam zakończenie tej historii. Przyroda przetrwała. Utworzono rezerwat, dom dla biologów. Chroniony, nieskazitelnie czysty, niedostępny.

Galen poklepał mnie po ramieniu. Miał surowy wyraz twarzy.

– To byli nasi przodkowie – wyjaśnił. – Byli tacy jak my. Rozumiesz?

– Żadnej ingerencji – odparłam sennym głosem. – Żadnej interwencji.

– Tak. Strażnicy światła brali tylko to, czego potrzebowali. Prowadzili badania i dokumentację, niczego nie zmieniali. Chronili to miejsce.

Szturchnął mnie w ramię, podkreślając swoje przesłanie.

– My musimy robić to samo – oznajmił. – Zawsze.

Wczoraj poddałam się i wreszcie odwiedziłam kryjówkę nad kolonią nurzyków. Potrzebne były skumulowane wysiłki Micka i Galena, którzy przez cały tydzień wiercili mi dziurę w brzuchu i nalegali, że muszę zobaczyć, jak małe uczą się latać.

Mimo że jest czerwiec, dni nie są ciepłe. Zamiast tego mamy długie popołudnia pełne ostrego słońca i silnego wiatru, w trakcie których temperatura zmienia się z minuty na minutę. Wspinaczka nieco mnie rozstroiła. Galen zdołał pokonać tę trasę w pozycji wyprostowanej, ale ja wylądowałam na czworakach i pełzałam jak pies, rozpaczliwie szukając miejsc oparcia dla rąk i nóg. Mój brzuch dyndał niczym podwieszony ciężar. Kiedy dotarłam do kryjówki, waliło mi

serce. Mick szedł tuż za mną – był tam cały czas, gotowy mnie złapać, gdybym upadła.

– Nie zejść stąd – wysyczałam mu do ucha. – Zostanę tu na zawsze.

– Dobry pomysł – odparł.

Kryjówka była prostą blaszaną budą. Morskie ptaki z reguły dobrze widzą kolory, ale gorzej radzą sobie z rozpoznawaniem kształtów. Zaalarmowałyby je grupa ludzi stojących na pobliskim wzniesieniu, ale wzgórze barwy łupków zwieńczone osobliwą konstrukcją w tym samym kolorze zupełnie ich nie obchodziło. Mick pomógł mi usadzić się na składanym krześle. Dziwnie pachniało, rybami i wodą morską. Pochyliłam się, ściskając brzuch, i spojrzałam przez okno.

Wybrzeże kończyło się nagle widowiskowym klifem. Nurzyki stłoczyły się wzdłuż krawędzi, panował ścisk. Zdawało się, że między ciałami nie istnieją żadne przerwy, nie dało się dostrzec ani skrawka kamienistej ziemi. Ptaki poruszały się nieustannie. Mozaika czarnych i białych piór zmieniała się jak zawartość śnieżącego ekranu. Trudno było wychwycić poszczególne kształty. Sporadyczny błysk szminkowej czerwieni sugerował otwarty dziób. Hałas był ogłuszający. Za sprawą kwadratowej ramy okna czułam się, jakbym patrzyła na to wszystko przez wizjer aparatu. Pióra i dzioby sprawiały, że krawędź urwiska wyglądała jak nastroszona. Dalej rozciągało się morze, twarde i ołsniewające – płaska, szara płyta.

Po chwili zaczęłam dostrzegać pisklęta. Większość z nich wciąż znajdowała się na średnim etapie rozwoju: nieco wyrosnięte, trochę jakby wyliniałe – ich młodzieńczy puszek nie do końca zniknął, dorosłe upierzenie jeszcze nie w pełni się pojawiło. Przyszliśmy do kryjówki, żeby obserwować, jak te pisklęta uczą się latać. Obserwowałam już ten proces w przypadku mew. Dało się wtedy dostrzec mięśnie w kluczowych miejscach i ptaki zdradzały instynktowne zrozumienie tego, co należy zrobić, ale od sukcesu dzieliło je jeszcze kilka potknięć – wszystko składało się na bezładną komedię złożoną z prób i błędów. Patrzyłam, jak młode mewy znosi na boki, jak lądują na głowach albo po prostu machają skrzydłami, biegnąc przez kamienie, z maleńkimi twarzyczkami rozjaśnionymi euforią, całkiem pewne, że znajdują się w powietrzu.

W przypadku nurzyków sytuacja wyglądała jednak zupełnie inaczej.

– Tam. – Mick wskazał kierunek. – Spójrzcie tam.

Para ptaków zaprowadziła pisklę nad krawędź klifu. Na moich oczach odbyła się krótka rozmowa: rodzice wydawali instrukcje, dziecko odpowiadało (oczywiście nie słyszałam ich głosów pośród ogólnego hałasu; obserwowałam tylko, jak ich dzioby otwierają się i zamykają jak na niemym filmie). A potem pisklę runęło w stronę morza. Krzyknęłam, gdy maleńki kształt spadł pionowo w dół. Czy rodzice je wypchnęli? Czy wiatr pochwycił je w złym momencie? A może pisklę skoczyło z własnej woli? Nie miałam pewności. Przez chwilę wyglądało to bardzo źle. Pisklę przyspieszało. Przy podobnej prędkości nie miało szans przeżyć uderzenia w wodę.

Potem ujrzałam poruszenie piór. Drgnięcie ciała. Pisklę rozpostarło skrzydła. Mick wydał okrzyk radości. Galen wyciągnął z kieszeni swój mały zielony notes i coś w nim zapisał. Pisklę machnęło skrzydłami raz, potem drugi i zaczęło się wznosić.

Powiedziałam im tego wieczora. Zaczekałam do końca obiadu. Odebraliśmy właśnie przesyłkę ze stałego lądu i przez cały posiłek rozkoszowaliśmy się obfitością sałatek i świeżych owoców. Lucy przyrządziła kurczaka w sytym sosie pesto. Obiadowi towarzyszyły westchnienia i szcęk widelców. Kiedy wszyscy się najedli, rozparli się w krzesłach i spoglądali niechętnie na brudne talerze, wstałam. Uniosłam do góry szklankę z wodą i delikatnie zadzwoniłam o nią nożem.

– Mam wam coś do powiedzenia – oznajmiłam.

Czułam na sobie niewzruszony wzrok Lucy i zdałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie spojrzeć jej w oczy. Mick zainterweniował. Z niezwykłą zręcznością rozpiął suwak w mojej

bluzie. Odsunął materiał na bok z wprawą iluzjonisty podnoszącego sceniczną kurtynę. Pod spodem miałam tylko cienką podkoszulkę. Krągłego brzucha nie dało się przegapić.

– Spodziewamy się dziecka! – krzyknął z tryumfem Mick, kładąc dłoń na tej spuchniętej piłce.

Zobaczyłam, że nikt nie jest w najmniejszym stopniu zaskoczony. Byłam w trzecim trymestrze. Wszystko we mnie się zmieniło – napęczniałe piersi, nadmuchana pupa, niewyraźny podbródek. A jednak wszyscy odegrali swoje role. Galen pogratulował mi głębokim, gromkim głosem. Podniósł się i położył mi dłonie na ramionach w czymś na kształt uroczystego błogosławieństwa. Forest miał na twarzy łagodny uśmiech. Lucy wyszczerzyła zęby w szczerym uśmiechu. Po raz pierwszy naprawdę przyjaźnie mnie objęła.

– Będzie świetnym tatą – wyszeptała mi do ucha.

Wieczór okazał się dziwny. Moi towarzysze byli biologami, stałam się więc dla nich interesującym okazem. Forest od czasu do czasu posyłał mi spojrzenie, którego nie mogłam zinterpretować; mogło równie dobrze wyrażać rozbawienie, jak i dyskomfort. Lucy nalegała, żeby dotknąć dziecka, i położyła mi lodowate dłonie na brzuchu. Stała tak długi czas, uśmiechając się szeroko, czekając na odpowiedź w postaci kopnięcia. W głębi jej oczu krył się ślad czegoś więcej niż tylko radości. Może ulgi.

W kącie tykał zegar. Ktoś otworzył skrzynkę z winem. Ja popijałam sok winogronowy o kwaskowym posmaku – prawdopodobnie przeterminowany o kilka tygodni. Mijały godziny, a ja siedziałam cicho. Nie musiałam kłamać. Nie musiałam nic mówić. Mick siedział obok, osłaniał mnie, przyjmował na siebie każde pytanie, wypełniał przestrzeń swoją ogromną, dobroduszną obecnością.

W pewnym momencie nachylił się i ujął moją dłoń. Od czasu Twojej śmierci ani razu nie czułam się tak bezpieczna, tak chroniona, tak kochana.

Później tej nocy obudził mnie dziwny odgłos. Najpierw pomyślałam, że to moje focze szczenię – zagubione i odnalezione focze szczenię – znowu mnie wzywa, że ostatni raz woła matkę. Dojście do siebie zajęło mi chwilę. Lament trwał, przerywany ciężkim, wilgotnym oddechem. Stopniowo dotarło do mnie, że to odgłos wydawany przez człowieka. Odgłos udręczony, pełen bólu i smutku. Ktoś płakał.

Usiadłam w łóżku, odgarnęłam włosy z twarzy. Za nic w świecie nie mogłam zdecydować, skąd dochodzi ten dźwięk. To mogła być Lucy, wypłakująca się w poduszkę piętro niżej. Ale odgłos mógł też nieść się z korytarza za moimi drzwiami – może z pokoju Galena. Wiatr błądzący po chacie płatał moim uszom figle. Samego głosu też nie dało się rozpoznać. Ból zniekształcał go, rozmywał typowe charakterystyczne cechy: wiek, płeć, barwę. Nie ośmieliłam się wstać z łóżka i spróbować zlokalizować tej cierpiącej osoby. To, co słyszałam, było zbyt intymne. Przekrzywiłam głowę najpierw w prawo, potem w lewo, próbując określić źródło hałasu. Nie mogłam jednak rozwikłać tej łamigłówki. Dźwięk dochodził zewsząd równocześnie, tak jakby to sam dom zalewał się łzami.

Jedyna droga do przodu wiedzie przez słowa. Od czasu gdy umarłaś, z każdą tragedią i stratą radzę sobie w ten sam sposób – pisząc. Dlatego i teraz piszę do Ciebie. Chociaż moje listy coraz częściej wydają się puste, chociaż sam akt pisania przynosi mi coraz mniejszą pociechę, piszę do Ciebie. Tego, co wydarzyło się dzisiaj, nie sposób naprawić. Mimo wszystko przeleję słowa na papier, wbrew rozsądkowi łudzając się, że przyniesie mi to jakąś ulgę.

Pierwsze godziny poranka były cudowne. Obudziłam się późno, otulona promieniami słońca jak kołdrą. Kapitan Joe zjawił się niedawno, a to oznaczało dobrze zaopatrzoną łódź. Zjadłam miskę płatków śniadaniowych z truskawkami i świeżym, tłustym mlekiem. Znalazłam magazyn plotkarski, który przeleżał cały okres mojego pobytu na wyspach w zapomnieniu, wciśnięty w głąb jednej z półek. Przeglądałam go z radością. W domu panowała cisza. Tylko Galen był w chacie. Milczeliśmy przyjaźnie, przemykając obok siebie i zachowując beztronską ciszę godną złotych rybek w akwarium.

Koło dziesiątej w drzwiach stanęła Lucy z kaskiem na głowie. Szeleszcząc swoim ponczem, przeszła przez pokój ku kanapie, na której leżałam.

– Wstawaj – oznajmiła, stając nade mną.

– Dlaczego?

– Potrzebuję pomocy. Mick upuścił do wody jedną z moich najlepszych sieci. Zaplątała się o rafę. Wszyscy są potrzebni.

Galen już był na nogach. Zajęło mi chwilę, zanim wydostałam się spomiędzy poduszek. Jeszcze więcej czasu zeszło mi na zakładaniu na kostki obroży przeciwpchelných. Osiągnęłam tę fazę ciąży, kiedy schylenie się staje się bardzo skomplikowane.

Pierwszą rzeczą, jaką napotkałam na ganku, był Kamikaze Pete. Tygodnie ciągłych bitew osłabiły jego ciało, ale nie ducha. Był wychudzony i przemoczony. Nie miał czasu, żeby dbać o swoje opierzenie, więc pióra sterczały mu na wszystkie strony. Jedno oko miał nieustannie zamknięte. Mimo wszystko zaatakował moją głowę z tą samą zajadłością co zawsze. Uchyliłam się i zaczęłam uciekać, zeskakując po stopniach. Kamikaze Pete nie gonił mnie. Pozostał na swoim terenie, skrzecząc groźby pod adresem mojej oddalającej się sylwetki. Galen szedł moim śladem.

Lucy prowadziła, była już w połowie Morskiego Tarasu. Ujrzałam Micka nad brzegiem wody. Wyglądał jak cień na tle olśniewających okrucich światła rozproszonych po powierzchni morza. Nielatwo było kroczyć między ptakami; musiałam być ostrożna. Piskłeta we wszelkich rozmiarach podskakiwały wszędzie, wpadały na ścieżkę i witały mnie krakaniem. Ich rodzice nie byli równie przyjaźni. Bili mnie po ramionach skrzydłami i zrzucali swój balast na moje ponczo. Ich wrzaski otaczały mnie jak mgła, sprawiały, że powietrze gęstniało, utrudniały orientację w terenie.

Podniosłam wzrok. Widziałam idącą Lucy. Widziałam Micka biorącego zamach trzymaną w dłoniach liną. Spojrzałam w dół, sprawdziłam pokonywaną trasę. A potem znowu popatrzyłam na Micka.

Stado mew pojawiło się znikąd. Nawet z tej odległości usłyszałam ich wrzaskliwe głosy przypominające paznokcie skrobiące po tablicy. Krążyły w szyku, po czym nagle spadły z nieba. Mick uniósł ręce, zaczął się od nich opędać. Było ich za dużo. Otoczyła go upierzona trąba powietrzna.

To, co wydarzyło się potem, zostało wytrawione w moim mózgu, wyraziste niczym tusz na papierze fotograficznym. Pamiętam każdą sekundę, każde zdarzenie, każdy oddech.

Zapamiętam to na zawsze.

Nagle słysząc było trzask. Mick rzucił się w bok. Jedna z mew trafiła go w kask. Potem spadła kolejna, przywaliła w plastikową kopułę. Widziałam, jak osłona rozlatuje się na kawałki. Było w tym coś niemal geograficznego: jakby trzęsienie ziemi rozszarpało kask na fragmenty. Odłamki eksplodowały. Jasny plastik, białe ptaki. Mick stracił swój pancerz, był bezbronny.

Mewy się nie zawahały. „Dziobnięty w głowę” – to przecież ich ulubiony rodzaj przemocy. Uderzały skrzydłami w twarz Micka, dezorientowały go. Jedna duża samica wzięła go na cel. Jej dziób lśnił. Ujrzałam rozprysk krwi, gdy odrywała Mickowi kawałek ucha.

Wrzasnął. Nie miałam czasu, żeby to wszystko ogarnąć rozumem. Na nic nie było czasu. Dzioby roztańczyły się wokół niego niczym noże. Cięły go po czole, szarpały za gardło. Odrywały kawałki jego poncza, ogryzały palce do kości. Ptaki były spryskane krwią, umazane i naznaczone wojennymi barwami.

Jakby w zwolnionym tempie, Mick skręcił się w powietrzu. Cały był poraniony. Mewy wytatuowały mu na nadgarstkach oraz dłoniach krwawe otarcia. Nie miał jednego ucha, została po nim szkarłatna dziura. Z wysokości jabłka Adama po szyi ciekł mu wodospad, ponczo nasiąkało krwią. Ptaki atakowały go, ani na chwilę nie odpuszczając. Jego dłoń uniosła się w bezradnym geście. Ten ruch zostawił za sobą ślad z czerwonej mgiełki, ciągnący się za ramieniem jak powidok. Mick stał zbyt blisko wody.

Jedno poślizgnięcie się. Jedno potknięcie. Tylko tyle trzeba, żeby człowiek stracił życie. Mick spadł prosto w chmurę skrzydeł. Zniknął za skałami. Woda chlusnęła na brzeg, załśniła w słońcu. Ptaki tryumfalnie poderwały się do góry.

Poczułam dotyk na ramieniu. To Galen ścisnął mój łokieć i popchnął mnie do przodu. Jak szaleni przedzieraliśmy się przez ptasią kolonię, razem dotarliśmy nad brzeg. Dłoń zaciskająca się na moim ramieniu sprawiała mi ból. Z początku trudno było dostrzec coś w tej plątaniu mroku i oślepiającego światła. Jakby ktoś rozsypał w wodzie błyszczące monety. Moje oczy przyzwyczajały się powoli i w końcu pośród tego mokrego blasku ujrzałam długi cień.

Teraz, gdy spoglądam wstecz, dociera do mnie, że wtedy nie chciałam zrozumieć, na co patrzę. Rejestrowałam obraz, ale nie jego sens. Wyparcie to potężny mechanizm: może wpłynąć na to, co widzimy; pomóc zapomnieć chwile bolesne oraz takie, kiedy popełnialiśmy błędy; uczynić nas nieświadomymi przemocy. Ciało Micka unosiło się bezwładnie na powierzchni oceanu. Twarzą w dół. Stałam nieruchomo, czekając, aż coś się zmieni. Byłam pewna, że Mick za sekundę lub dwie kopnie nogami. Wynurzy się, rozpaczliwie zaczerpnie tchu. Zacznie płynąć. Byłam spokojna i zadowolona, nic więcej.

Chwilę później mewa wylądowała na jego plecach. Błysnął dziób, szkarłat opryskał jej pióra. Poderwała się do lotu z czymś w ustach – z jakimś drżącym, różowym kawałkiem. Zaraz pojawił się następny ptak. Przysiadł na ramieniu Micka, swoim ciężarem wepchnął kończynę pod wodę. Oderwał pasek skóry z wierzchu dłoni. Potem wylądował kolejny. I jeszcze jeden.

Obok mnie Lucy płakała. Na próżno machała ramionami, starając się odstraszyć mewy. Galen znieruchomiał z palcami zagrzebanymi we włosach i wykrzywioną twarzą. Ptaki robiły się coraz śmielsze, zbierało się całe stado. Wyrzywały kępki włosów Micka. Dziobały jego ponczo, przebijały się przez materiał i wyszarpywały kawałki wilgotnego ciała. Tłukły się nawzajem skrzydłami, walczyły o to, kto kolejny siądzie na ciebie. Skrzeczały euforycznie. Mick przypominał namokłą masę, jego krew malowała serpentyny na powierzchni oceanu.

Nie wiem, jak długo bym tam stała, nie chcąc uwierzyć w to, co widzę. Może już na zawsze.

Wydawało się, że ptaki coraz bardziej hałasują. Ich wrzask stał się nie do wytrzymania, huczał w uszach. Miałam niejasne wrażenie ruchu i wiatru, czegoś wznoszącego się wokół mnie,

jakby wszystkie mewy na Farallonie Południowo-Wschodnim równocześnie poderwały się do lotu.

Galen chwycił mnie, gdy upadałam. Ostatnim, co pamiętam, jest wyraz jego twarzy – znękane oczy, otwarte usta – oraz silny uścisk jego żyłastych ramion.

Obudziłam się w swojej sypialni. Przez jakiś czas leżałam z zamkniętymi oczami i wdychałam znajome zapachy kurzu i pleśni, czułam na policzku światło wpadające przez okno. Czułam czyjąś obecność. Serce mi drgnęło. Chciałam, żeby to był Mick; byłam pewna, że to on. To on zawsze się mną opiekował, kiedy byłam chora.

– Jak się czujesz? – zapytała Lucy.

Otworzyłam oczy. Pochyliła się nade mną, z włosami jak zwykle zaplecionymi w warkocz.

– Przyniosę ci wody – oznajmiła, odwracając się w stronę drzwi.

Wyciągnęłam dłoń, żeby ją zatrzymać.

– Co się stało? – zapytałam.

Opadła na łóżko, zmarszczyła brwi. Znowu uderzyła mnie ta jej aura niezłomnej siły. Całe jej ciało śpiewało pieśń kobiecej witalności. Tylko twarz kryła w sobie coś płacznego. Oczy miała opuchnięte.

– Wiesz, co się stało – odparła.

Wciąż się łudziłam, że poda mi alternatywne rozwiązanie. Może Mick został w porę uratowany. Może sztuczne oddychanie ocaliło mu życie. Może leżał na dole, otrząsając się powoli z hipotermii. Może wszystko było w porządku. To właśnie chciałam usłyszeć: że z Mickiem wszystko w porządku. Kolejny raz grałam w „Co by było gdyby”.

Lucy zmęczonym gestem odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Natychmiast usiadłam prosto. Gwałtownie wyrzuciłam ręce w jej stronę i przyciągnęłam ją do siebie w niedźwiedzim uścisku. Widziałam szok na jej twarzy. Mój brzuch wypchnął jej powietrze z płuc. Poklepywała mnie po plecach, a ja z całej siły ją do siebie przyciskałam. To nie był dobrotliwy gest. Chciałam wcisnąć to, cokolwiek zamierzała powiedzieć, z powrotem do jej gardła, do płuc, aż w podeszwy stóp. Chciałam powstrzymać ją przed wymówieniem na głos imienia Micka, przed wypowiedzeniem słów „utonął” albo „odszedł”, albo – Boże uchron – „wypadek”. Nie chciałam, żeby cokolwiek mówiła.

Opuszczam wyspy. To nie była kwestia jechać czy zostać. Galen wszystko załatwił. Zatelefonował na kontynent, skontaktował się z Kapitanem Joem. Prom zabierze mnie stąd w piątek po południu.

Jest lipiec. Mick zmarł w lipcu. Wiem o tym nie dlatego, że zaglądałam do kalendarza, ale ponieważ tej nocy, kiedy helikopter przybył po jego ciało, widzieliśmy fajerwerki. Przez cały czas leżałam u siebie w pokoju. Słyszałam warkot wirników. Słyszałam rozzłoszczony, hałaśliwy głos mew. Przez jakiś czas na zewnątrz panował armagedon, łopaty ze świstem cięły powietrze, ptaki skrzęczały w locie. Na dole rozlegały się głosy, kroki, trzaskanie drzwiami. Zostałam u siebie. Wkrótce terkot śmigłowca zaczął się oddalać. Mewy jeszcze przez jakiś czas zdawały się zdenerwowane, krakały i pokrzykiwały zawzięcie.

Nawet nie drgnęłam. Niebo pociemniało. Słaba i zmęczona gapiałam się przez okno. Nie miałam ochoty jeść ani pić. W końcu, wraz ze wschodem księżyca, mewy ułożyły się do snu. Wyspy prezentowały się malowniczo w gasnącym świetle; przykryte białymi ciałami przypominały zagruntowane malarskie płótno. Widać było tylko obrzynek księżyca, cieniutki jak haczyk na ryby. Zapłonęło kilka gwiazd. Zastanawiałam się właśnie, czy zdołam zejść na dół i wcisnąć w siebie jakiś obiad, kiedy usłyszałam ten odgłos – daleki huk.

Wstrzymałam oddech. Tego hałasu nie dało się z niczym pomylić. To był wystrzał. W pamięci stanęli mi złodzieje jaj i strażnicy światła oraz ich dawna epicka bitwa. Rozbłysło światło, potem znowu rozległ się wybuch. Dźwięki i migoczące światła miały swoje źródło zbyt daleko, przez co wydawały się niezsynchronizowane. Minęła chwila, zanim pojęłam, co się dzieje. To nad San Francisco, pięćdziesiąt kilometrów od nas, puszczano fajerwerki. Z miejsca, gdzie się znajdowałam, wydawały się maluteńkie. Mogłabym je ścisnąć między kciukiem i palcem wskazującym, jak płomień zapalki. Jedna za drugą eksplodowały trzy złociste kule, drobne niczym guziki. Czerwone, białe i niebieskie race zataczały maciupkie łuki. Mikroskopijne migoczące drzewo rozkwitło w powietrzu, jego liście spływały w dół jak gałęzie wierzby płaczącej. Wszystko to wyglądało tak, jakbym oglądała uroczystości czwartego lipca w śnieżnej kuli.

Finał robił wrażenie. Jasne kule nachodziły na siebie, wybuchały wszystkimi kolorami tęczy. Maleńki ogród obsypał się kwieciami i zwiądnął w przeciągu sekund. Wystrzały ciągnęły się jeszcze przez minutę lub dwie w kompletnej ciemności: wciąż obecny był cały agresywny harmider sztucznych ogni, ale bez śladu światła kojarzącego się ze świętowaniem. W końcu pozostał tylko dym – szare, puste kształty, dryfujące na wietrze niczym duchy.

Nie uroniłam dla Micka ani jednej łzy. Zamiast tego wędruję. Przemierzyłam cały Farallon Południowo-Wschodni, odwiedzając miejsca, w których nie byłam od miesięcy. Zataszczyłam swój ciężarny brzuch przez Plażę Martwego Lwa Morskiego. Zajrzałam do jaskiń na północy. Do Katakumb Nurków. Do Zatoczki Orek. To upiorne miejsca z upiornym widokiem. Dziecko wyrażało swój sprzeciw kopaniem, gdy maszerowałam aż na Półwysep Meteorologów. Godzinami przesiadywałam na Morskim Tarasie – osłonięta kaskiem i opatulona w ponczo, oddychałam przez maskę i kierowałam spojrzenie w stronę Kalifornii.

Kiedyś, jestem tego pewna, raz jeszcze zobaczę w archipelagu to, czym on naprawdę jest – dzikie miejsce, nic ponadto. Miejsce, w którym nie mają zastosowania zasady, wygody i zabezpieczenia znane w nowożytnym świecie. Na razie jednak wyspy wydają się nie tyle dzikie, co nienawistne. Za każdy dar trzeba zapłacić potworną cenę. Talent fotograficzny przychodzi po utracie matki. Dziecko jest efektem gwałtu, przemocy i śmierci. Bliskość przyjaciela musi zostać

okupiona stratą. Nawet romantyczną miłość wieńczą łzy, o czym mogą poświadczyć Forest i Lucy. To nie są przyjemne myśli. Myśli tego rodzaju utrzymują człowieka w ruchu, każą mu wędrować po zboczach w górę i w dół.

Raz czy dwa w oddali mignął mi Forest – chuda, szybko poruszająca się sylwetka. Nie rozmawiałam z nim. Wiem tyle: żal jest najbardziej samotną z odczuwanych emocji. On i ja, oboje jesteśmy współżalobnikami i każde z nas zamknięte jest w pewnego rodzaju umysłowej izolacji. Forest prawie nie bywa w chacie. Zamiast tego wyruszył w samotny rejs Janusem, bez żadnego konkretnego powodu, i krąży wokół wysp, a odgłos silnika odbija się echem od klifów. Nie pojawia się podczas posiłków. Wieczorami nie staje w kolejce do łazienki, kiedy wszyscy ściskamy szczoteczki do zębów i posyłamy sobie niechętne spojrzenia. Zaczęłam podejrzewać, że sypia w stróżówce. Nocą nie słyszę jego kroków. Rano nie dociera do mnie jego suchy kaszel. Wydaje się niemożliwym, żeby ktoś był równie nieobecny na tak ograniczonej przestrzeni – a jednak Forest niemal zniknął.

Sekcję zwłok przeprowadzono szybko. Stwierdzono, że Mick utonął. Jego płuca były pełne wody morskiej, jego oczy naznaczone śladami podskórnych krwotoków. Wokół ust miał pianę. Wszystkie oznaki się zgadzały. Zanim mewy z nim skończyły, jego ciało znalazło się w opłakanym stanie. Najwyraźniej szykował się pogrzeb z zamkniętą trumną. Próbowałam o tym nie myśleć. Pocieszała mnie odrobinę świadomość, że utonięcie to podobno całkiem przyjemny sposób na odejście z tego świata. Słyszałam o tym kiedyś, dawno temu, i teraz trzymałam się tej informacji kurczowo, jak koła ratunkowego. Utonięcie miało być uczuciem niezwykłym i ekstatycznym, przypominającym bardziej sen niż umieranie.

Mimo wszystko nie mogłam przestać zastanawiać się nad tym, co działo się przez te sekundy, kiedy Mick zniknął mi z oczu – między jego potknięciem się a chwilą zgonu. Wydawało się, że nigdy nie poznam prawdy. Dobrze pływał, był też doświadczonego biologiem, świadomym licznych niebezpieczeństw czyhających na wyspach. Jednak w sytuacji krytycznej nie pomogło mu to. Może kiedy wpadł do morza, pękła mu błona bębenkowa. Może otworzył oczy w zmaconej wodzie i okazał się tragicznie zdezorientowany, niezdolny do określenia, gdzie jest góra. Może uderzył w coś pod powierzchnią – w głaz albo rafę. Może spadł na taflę wody pod takim kątem, że natychmiast stracił przytomność. Prawdę mówiąc, na wyspach dało się stracić życie na sto różnych sposobów. Zadziwiające było, że jeszcze nie wszyscy zginęliśmy – pokonani przez wiatr, ocean czy okropny, jakże ludzki talent do prowokowania nieszczęśliwych wypadków.

Poprzedniej nocy śniłam o duchu. Jak na lato wieczór był chłodny. Zwinęłam się na łóżku niczym jeż, próbując jakoś się zagrzać. Nagle poczułam na ramieniu dotyk dłoni. Podniosłam się, rozrzuciłam koce i ujrzałam ją.

Wtedy zupełnie mnie to nie zszokowało. Miała na sobie długą, powiewającą suknię. Światło księżycy muskało jej krawędzie i zamieniało je w srebro. Nie mogłam odczytać wyrazu jej twarzy, włosy ją zakrywały. Przesunęła się do tyłu, a ja poszłam za nią.

Jej suknia zawirowała, kiedy kobieta skręciła i ruszyła korytarzem. Zatrzymała się przed pokojem Micka i Foresta. Wskazała coś wymownie swoim długim, białym ramieniem – białym niczym sól. Potem odwróciła się do mnie i uniosła brodę. Jej włosy zsunęły się z policzków, ukazując okrągłą szczękę, głęboko osadzone oczy i zacięte usta. Po raz pierwszy widziałam jej twarz. Równie dobrze mogłabym patrzeć w lustro.

Pewnego ciepłego lipcowego poranka znalazłam się w latarni morskiej. To było niemądre, wiem. Ścieżkę wiodącą w górę wzniesienia trudno pokonać przy najbardziej dogodnych warunkach, nie wspominając o dźwiganiu dodatkowego brzemienia w postaci ciężowego brzucha. Mewy pewnie widziały we mnie forpocztę nadciągającej armii. Poślizgnęłam się raz i zdarłam skórę z kolana. Straciłam cierpliwość i zamachnęłam się na jednego z ptaków. Kręcił się wokół mojego kasku, próbując mnie zdeorientować, a pióra otwierały się i zamykały przed moją twarzą jak żaluzje. Uderzyłam go pięścią i trafiłam w skrzydło, odrzucając go na spory kawałek, wykrzykującego groźby pod moim adresem. Dobrze było mu oddać, zadać ból. Gdybym mogła, odpłaciłabym w ten sposób każdej miewie obecnej na wyspach.

Kiedy w końcu dotarłam do latarni, zatrzymałam się, żeby złapać oddech. Widok był równie imponujący, co zawsze. Morze wydawało się zmatowiałe jak grochówka. Wysepki wystawały z mętnych głębin niczym grzanki nurzające się w zupie. Na północy widać było lwy morskie, bełtające wodę w pianę. Usiadłam przy małym biurku. Ktoś zostawił tu tanią, plastikową lornetkę z rodzaju tych, jakie daje się dzieciom jadącym na biwak. Wyregulowałam ostrość i spjrzałam przez soczewki na wschód, szukając San Francisco. Nie widziałam ładu, tylko długą, przymgloną plamę. W tej chwili trudno było przypomnieć sobie, co biolodzy – i strażnicy światła – tak bardzo starali się ocalić w tym okrutnym, niebezpiecznym miejscu.

Myślałam o tym, żeby się zapomnieć, pozwolić sobie płakać tak długo, aż nie zostaną mi już żadne łzy. Nie pamiętałam ostatniego razu, kiedy naprawdę się rozplakałam. Może w dzieciństwie. Kiedy wylewałam łzy dla Ciebie. Wydawało się, że teraz nadszedł właściwy moment. Myślałam też o tym, żeby rzucić się w dół Latarnianego Wzgórza. Nieważne było, że jestem w ósmym miesiącu ciąży – świat jawił się strasznym miejscem. Mogłabym też zostać tutaj na zawsze. Mogłabym wyrzec się jedzenia, picia i snu. W końcu wyspy by mnie pochłonęły. Gdybym została w latarni wystarczająco długo, mogłabym zamienić się w pomnik, stać się częścią tego skalistego wzniesienia.

Chwilę później moją uwagę zwrócił jakiś hałas. Obróciłam się i ujrzałam chudą postać, burzę kręconych włosów. Forest wspinał się po zboczu. Wkroczył do latarni i nie okazał zdziwienia, kiedy mnie tam zastał. Nie był już w stanie niczemu się dziwić, smutek i szok o to zadbały. Wszystkie poprzednie emocje zostały zmiażdżone pod ciężarem straty.

– Cześć – powiedziałam.

Tarł palcami klatkę piersiową. Wzdrygnęłam się, kiedy rozpoznałam ten gest. Należał do Micka. Forest powtarzał go nieświadomie – ten sam skręt nadgarstka, to samo towarzyszące mu westchnienie. Milczeliśmy, wspólnie spoglądając w dal. Było wczesne popołudnie; jaskrawe, ostre światło rysowało cienie o wyrazistych konturach. Wyspy nigdy nie prezentowały się zbyt dobrze o tej porze dnia. Wolałam poranki i wieczory, gdy powietrze było słodkie i złociste niczym skórka brzoskwini.

Forest odchrząknął.

– Mick i ja byliśmy razem – powiedział. – Jak dobrze wiesz.

Nie spodziewałam się tego. Po krótkim wahaniu zrobiłam, co mogłam, żeby udać zaskoczenie: moje ręce wystrzeliły w górę, usta się rozwarły.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli nie będziemy się nawzajem okłamywać – oznajmił.

Przypatrywałam się mu w konsternacji.

– Znalazłem twój aparat, Melissa – dodał.

Oblałam się rumieńcem. Czułam, jak to się dzieje – jakby woda zaczynała się gotować na kuchence. Wiedziałam, co ma na myśli. Aparat, który trzymałam pod łóżkiem, ukryty, jak sądziłam, przed wścibskimi spojrzeniami.

– Jak... jak ty...

Forest wzruszył ramionami.

– Przeglądałem twoje rzeczy. Szukałem jednego mojego swetra. Chyba powinienem przeprosić. Przepraszam.

Nie brzmiał, jakby było mu przykro. Głos miał zupełnie bez wyrazu.

– Kiedy? – zapytałam. – Kiedy to się stało?

– Dawno temu.

– Och – odparłam słabo.

– To ładne zdjęcia – odrzekł.

Wyprostowałam się za biurkiem, spróbowałam pozbierać myśli.

– Musisz zrozumieć – powiedziałam. – Kiedy je robiłam, nie chciałam nikogo skrzywdzić. Po prostu obudziłam się i wyjrzałam na zewnątrz. To był wypadek... tak jakby. Wiem, że to wygląda tak, jakbym was podglądała. Ale nigdy bym ich nie pokazała... nie zdradziłam niczyjego...

Forest pokręcił głową.

– Nie obchodzi mnie, dlaczego je zrobiłaś.

Większość mojej krwi zdawała się uwięziona w mojej głowie. Byłam pewna, że moja twarz żarzy się jak wschodzące słońce.

– Mick nie był ojcem – powiedział Forest, wskazując na mój brzuch. – Powiedział mi, że będzie dla ciebie kłamał, a ja to zaakceptowałam. Teraz karty zostały odkryte – zakończył nagle ochryplym głosem. – Ty wiesz i ja wiem.

Wydawało się, że wykorzystał wszystkie pozostałe mu siły, by wypowiedzieć te słowa. Głowa zaczęła mu ciążyć, ręce opadły wzdłuż ciała. Dziwnie było widzieć go takim. Wyglądał i poruszał się zupełnie jak Forest, którego pamiętałam, ale wszystko w jego zachowaniu było inne. Jego nastawienie. Poziom koncentracji. Emocje, którymi promieniował. Czułam, jakbym w to słoneczne popołudnie, po roku mieszkania pod jednym dachem, spotkała go po raz pierwszy. Przesunął dłońią po czole jak człowiek budzący się ze snu.

– Pójdę już – powiedział. – Nie mogę z tobą rozmawiać. Nie mogę teraz rozmawiać.

Przytaknęłam. Chwyciłam się krawędzi biurka i dźwignęłam się na nogi. Jednak Forest był już za drzwiami. Patrzyłam, jak odchodzi – chuda sylwetka na tle morza.

Tej nocy klęknęłam na podłodze i po raz pierwszy od bardzo dawna zajrzałam pod łóżko. Były tam moje wodoszczelne pojemniki ze sprzętem fotograficznym. Były tam moje robocze buciory. Były tam kłębki kurzu i swetry, i czapka, i kamyk, i kilka smętnych, powyginanych wieszaków na ubrania. W końcu znalazłam aparat. Usiadłam, dziecko ze złością kopało mnie w pachwinę. Kciukiem naciskałam na guzik, przerzucając kolejne zdjęcia. Księżyc. Stróżówka. Poblask na tle czarnego okna. Rozmigotane ciała w ruchu. Dwa torsy dotykające się i rozdzielające niczym para tancerzy w balecie. Twarze zwrócone do siebie nawzajem, oddzielone tylko linią mroku. Tak blisko.

Podniosłam się z determinacją. Wiedziałam, że Forest jest w kuchni. Słyszałam, jak rozmawia z Galenem – ich głosy wędrowały w górę po schodach do spółki z zapachem herbaty z cynamonem. Po cichutku przemknęłam przez korytarz. Wślizgnęłam się do pokoju Foresta, nie zapalając światła. Aparat wsadziłam do szuflady biurka. Zanim uciekłam z pokoju, po raz ostatni zerknęłam na obraz, który był wciąż widoczny na wyświetlaczu. Przedstawiał dwie twarze, dwa opalizujące profile, zastygłe na granicy pocałunku.

Mój ostatni dzień na wyspach spędziłam w chacie. O świcie zaczęło padać – to była łagodna mżawka, z rodzaju tych, które zwykle szybko mijają. A jednak godzinę później pogoda zmieniła się na gorsze. Deszcz wzmógł się, przeszedł w miarową ulewę. Przykryty srebrzystymi zasłonami krajobraz rozmył się. Z trudem mogłam dojrzeć szary bezmiar oceanu.

A jednak Galen był w radosnym nastroju. Wcześniej, o świcie, zanim zaczęła się nawałnica, wypłynął w rejs. Później opisał nam ten poranek, wciąż jeszcze piękny, gdy morze było płaskie i matowe. Galena ogarnęło nagle podekscytowanie: miał nieodparte wrażenie, że rekiny są niedaleko. Czuł, że się zbliżają. Nadchodził ich czas, ciepła pogoda wyciągała je z powrotem z ich zimowych domków wczasowych. Lada dzień z latarni morskiej będzie można zobaczyć pierwszy atak.

Po śniadaniu biolodzy zdecydowali, że pójdą do kryjówki nad kolonią nurzyków. Mężczyźni okryli się warstwami swetrów i poncz. Lucy miała spuchnięty nadgarstek; wcześniej potknęła się na skałach i źle się podparła. (Pomogłam jej zabandażować staw. Lucy i ja nigdy nie będziemy przyjaciółkami – z radością powitam moment, kiedy na dobre opuszczę wyspy i nie będę musiała już jej widywać – ale jakoś się znosimy. Kiedy owijałam jej rękę gazą, łagodnie, krok po kroku mówiła mi, co robić). Całą trójką wyszli na ganek. Patrzyłam przez okno, jak ulewa ich połyka.

Kiedy odeszli, postanowiłam zakraść się do ich pokoi. Wiedziałam, że wtargnięcie do tych prywatnych pomieszczeń to rażące naruszenie zaufania. Dorośli ludzie zazwyczaj nie żyją w tego typu pozbawionych prywatności komunach. Z zasady robiliśmy, co się dało, żeby tych nielicznych zachowanych granic nie przekraczać.

Ale miałam akurat szczególny nastrój. Najpierw weszłam do sanktuarium Galena. Chciałam przed wyjazdem ujrzeć jego sławną – albo raczej niesławną – kolekcję. Tak jak podejrzewałam, jego pokój był równie schludny, jak jego umysł: nieskazitelnie uporządkowany, wszystko miało swoje miejsce i wszystko było na swoim miejscu. Liczyłam na to, że zobaczę jego prywatne muzeum pamiątek i niezwykłych okazów. Nad oknem wisiał kawałek sznurka z lśniącymi piórami przypiętymi do niego jak koraliki na wisiorku. Muszle różnych rozmiarów błyszczały na stoliku nocnym. Był tam słoik wypełniony czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało guziki, ale przy bliższych oględzinach okazało się martwymi żukami. Biurko zawłaszczył sobie na wpół złożony szkielet ptaka, pełen asortyment smukłych białych kości. Wiedziałam, że jeszcze więcej skarbów kryje się po pudłach i szufladach, ale nie odważyłam się więcej szperać. Galen mógłby się zorientować, że tu byłam.

A jednak czułam zaciekawienie. Zajrzałam do kubła na śmieci i stanęłam na palcach, żeby obejrzeć wierzch wysokiej komody. Galen powiedział mi kiedyś, że trzyma w pokoju pękniętą filiżankę, którą wiele lat temu w trakcie ognistej dyskusji pewien wizytujący wyspy badacz cisnął w ścianę. Galen zmiótł wtedy odłamki i zachował je na pamiątkę. Powiedział mi też, że ma strzęp skóry słonia morskiego – zdarty z jednego samca przez zęby jego konkurenta w jednej z bitew o terytorium. Galen odkleił ten skrawek od kamieni, przyniósł do domu i przypiął do tablicy korkowej. Trzymał tam też ponoć ludzkie żebro – relikw, jak sądził, z czasów walk pomiędzy złodziejami jaj, fragment zwłok jakiegoś nieszczęśnika. Opowiadał mi też o czaszce szczenięcia foki, ludzkim zębem oraz szponie sokoła.

Galen wyjaśnił mi kiedyś, że zbiera i zachowuje wszystko, co opowiada o naturze życia na wyspach. Nie rozróżniał między rzeczami banalnymi i ważnymi, ludźmi i zwierzętami, tym, co tragiczne i wspaniałe. Powiedział mi wtedy, że największym złudzeniem w człowieczym

postrzeganiu świata jest przekonanie, że znajdujemy się niejako poza obrębem przyrody – że nie jesteśmy częścią łańcucha pokarmowego, że nie jesteśmy zwierzętami.

Zeszłam po schodach. Deszcz chłostał ściany i bryzgał na okna. Powietrze było ciężkie od zapachu mokrych ptaków. Weszłam do pokoju dziennego i zaraz się zatrzymałam. Od czasu mojego pierwszego dnia w chacie ani razu nie byłam w pokoju Lucy – w pokoju Andrew, jak wciąż nazywałam go w myślach. Przez chwilę stałam w drzwiach, podenerwowana i spięta. Pomieszczenie wyglądało inaczej, niż je zapamiętałam. Lucy poprzestawiała wszystko kilka miesięcy wcześniej, zamieniła miejscami łóżko z komodą, zawiesiła zasłony, pozbyła się dywanu. Pokój był przytulny – nędzny, ale pełen domowego ciepła. Wszędzie wałało się mnóstwo bibelotów: ceramiczny przycisk do papieru, śnieżna kula, mały posążek kota z brązu. Zerknęłam na papiery rozrzucone na biurku: jakiś rachunek, niedokończony list. Otworzyłam szufladę nocnej szafki. Coś tam było, zawinięte w kawałek materiału.

Zdjęcie Andrew. Odwinęłam je i ujęłam w dłonie, zanim zrozumiałam, na co patrzę. Wpatrywałam się w nie jak zahipnotyzowana. Zapomniałam już, jak Andrew wyglądał. Wszystkie dotyczące go wspomnienia związane były z dotykiem: pamiętałam jego ciężkie łydki, wilgotną skórę, oddech. Dziwnie było widzieć inną istotę ludzką odwzajemniającą moje spojrzenie. Jego cofnięty podbródek. Złośliwy uśmiech. Koniec końców Andrew nie okazał się potworem. Tak go widziałam w moich snach: ghula o rozżarzonych czerwonych ślepiach, wydychającego siarkę i parę wodną. Zamiast tego był mężczyzną, ni mniej, ni więcej.

Z powrotem zawinęłam zdjęcie i odłożyłam tam, gdzie je znalazłam. Palce mi drżały, ale poza tym byłam spokojna. Pospiesznie wyszłam na korytarz, usiadłam na schodach. Deszcz lał się strumieniami, chlapał o dach i walił w deski ganku. Na zewnątrz nic nie widziałam; okna były nieprzejrzyste niczym witraże, udekorowane wodną mozaiką.

Nie mam pojęcia, jak długo tak siedziałam. Ulewa nie dawała za wygraną. Wydawało mi się niezwykle, że na świecie może istnieć tyle deszczu. Niebo w końcu musiało przecież opróżnić swoje zapasy. Charakterystyczne ciurkanie dochodziło gdzieś z wnętrza domu. Woda musiała przedostać się przez dach, ściany albo okna. Kiedy odejdę, pozostali będą musieli spędzić kilka godzin z pistoletem do uszczelniania i masą szpachlową, próbując – kolejny raz – dokonać niemożliwego: powstrzymać atak dziczy, zachować pozory kontroli nad przyrodą, ograniczyć jej władzę.

W końcu dźwignęłam się do pionu. Zaciskając zęby, raz jeszcze wspierałam się po schodach. Deszcz był tutaj głośniejszy, hałaśliwie tłukł o dach. W oddali rozległ się ryk grzmotu. Nie słyszałam mew ani nurzyków, żadnych typowych odgłosów wysp. Burza wymazała wszelkie ślady bytności zwierząt, przynajmniej na tę chwilę.

Potrzebowałam całej mojej odwagi, żeby wejść do pokoju, który Forest dzielił z Mickiem. W środku zamarłam, zaskoczona własną śmiałością. Odetchnęłam piżmową wonią dwóch wysportowanych, niemytych ciał. Zapach Micka jeszcze nie wywietrzał. Popatrzyłam na wiatrak pod sufitem oraz wytarty, postrzępiony dywan. W komodzie Foresta panował porządek. Widać było, że woli nie korzystać z poduszki; jego łóżko wyglądało dziwnie, puste u wezglowia, jak mebel, który mógłby należeć do Jeźdźca bez głowy. Ubrania starannie porozwieszał w szafie. Echo Galenowej skrupulatności uwidaczniało się też w ułożeniu papierów na biurku, zawsze pod kątem prostym, oraz w trzymaniu pinezek i ołówków w osobnych słoiczkach. Zajrzałam do kufra u stóp łóżka – znalazłam tam więcej papierów, kilka lat dokumentacji dotyczącej rekinów. Były tam szkice, zdjęcia, drobiazgowy notatki. Forest jakimś cudem zdołał zabrać się za największego i najdzikszego drapieżnika na ziemi i uczynić go śmiertelnie nudnym. Za nic w świecie nie zmusiłabym się, żeby siedzieć tutaj i czytać te zapiski.

Po krótkich poszukiwaniach odnalazłam mój aparat z fotografiami schadzki Micka oraz

Foresta bezpiecznie zmagazynowanymi na karcie pamięci. Leżał teraz ukryty na dnie szafy. Obróciłam go w dłoniach. Te zdjęcia już nie należały do mnie... o ile kiedykolwiek było inaczej. Odłożyłam aparat na miejsce, ukryłam go.

Potem spojrzałam na drugą stronę pokoju, na rzeczy Micka. Łóżko było w takim stanie, w jakim zostawił je tego ranka, kiedy umarł: góra poduszek, koc zwisający na podłogę. Byłam pewna, że gdybym zajrzała do komody, zobaczyłabym koszule i skarpetki bezładnie wepchnięte do środka. Książki rzucił na półki niedbale – tyłem naprzód, do góry nogami. Pod łóżkiem leżały zabłocone buciory. Sterta swetrów spoczywała na dnie szafy, wieszaków nie używał. W tym wszystkim uchwycona została energia Micka, wrażenie ciała w ruchu, osobowości wielkiej i szczodrej, nazbyt pełnej entuzjazmu, by przejmować się drobiazgami pokroju sprzątanina. Podniosłam się i przekroczyłam pas ziemi niczyjej. Wiedziałam, że nie zostało mi dużo czasu. Pozostali mogli lada moment wrócić, przemoczeni, zmęczeni i wygłodniali. A ja chciałam coś zrobić, zanim wrócą.

Na szafce nocnej Micka znalazłam skórzaną bransoletkę. Posiadał ich kilka, o różnym natężeniu męskości (niektóre były zaplatane, inne masywne, jeszcze inne nabijane metalowymi ćwiekami). Dobierał je zależnie od nastroju. Ta, którą trzymałam w dłoni, była sztywna od potu, barwa mahoni wyblakła do bladego brązu. Schowałam ją do kieszeni. Potem szukałam drobnych przedmiotów, za którymi Forest nie będzie tęsknił. W szufladzie Micka znalazłam podkoszulek – mój ulubiony, jasnopomarańczowy ciuch, który tak dobrze oddawał jego promienny charakter. Ukradłam pocztówkę, którą zaczął do kogoś pisać, ale której nigdy nie dokończył – gawędziarską notkę o wielorybach urywającą się w połowie zdania. Liczyło się dla mnie, że pozostał na niej jego charakter pisma. Poruszałam się szybko jak derwisz – robiłam bałagan w książkach i papierach na biurku. Zabrałam jego bejsbolówkę. W komodzie, w kącie jednej z szuflad natrafiłam na maleńkiego gumowego kurczaka, miniaturowy komiczny drobiazg, i jego też zwinęłam. Porwałam książkę o lwach morskich, z podkreśleniami i uwagami autorstwa Micka.

Usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z dołu. Trzasnęły drzwi. Na schodach rozbrzmiały głosy. Podskoczyłam zaniepokojona, jak złodziej, którym zresztą byłam. Przemknęłam korytarzem do swojego pokoju, ściskając pod pachą skradzione dobra.

Będę mówić ludziom, że Mick był ojcem mojego dziecka. Kiedy zapytają mnie moje ciotki bliźniaczki, kiedy zapyta mój tata, kiedy mój syn będzie na tyle duży, że sam o to zapyta – skłamię. Mick ofiarował mi ten dar i będę się go kurczowo trzymać.

Opowiem piękną historię. Zacznę, jak zwykle, od złodziei jaj i strażników światła. Prawdopodobnie nie przedstawię jej tak dobrze, jak Galen (i jego książka), ale poradzę sobie. Opowiem o tym, jak strażnicy światła mieszkali na wyspach. O tym, że zostawili w spokoju rekiny, wieloryby, foki i ptaki. Że poszukiwali spokoju, płacy oraz domu. Że na zapomnianej przez Boga skale stworzyli małą, dziwną społeczność, gdzie chronili siebie nawzajem, wychowywali swoje dzieci i dobrze żyli.

Opowiem o złodziejach jaj, którzy przybyli na wyspy w innym celu. Beztrosko zdziesiątkowali populację nurzyków (które wciąż się po tym do końca nie podniosły). Nie wystarczyło im wywołanie środowiskowej katastrofy, więc przywieźli ze sobą broń. Umierali w toczonych między sobą walkach. Umierali w jaskiniach, zatruci wyziewami parującymi z ptasiego guana. Umierali, osuwając się do morza, uginając się pod ciężarem zbyt wielu jaj.

Kiedy będę opowiadać ludziom o ojcu mojego dziecka, powiem tak: na świecie są dwa rodzaje ludzi. Złodzieje jaj i strażnicy światła. Ci pierwsi kierują się chciwością, pragnieniem zysku. Ci drudzy – ciekawością i rozważą. Złodzieje jaj zabierają, co mogą, pal diabli konsekwencje. Strażnicy światła biorą tylko to, czego potrzebują, nie więcej. Złodzieje chcą

posiadać. Strażnicy chcą być.

Powiem ludziom, że ojciec mojego synka był strażnikiem światła. Podzielę się z nimi moimi wspomnieniami. Tyle ich mam. Spacery, na które chodziliśmy z Mickiem. Godziny, które razem spędziliśmy, kiedy on czytał, a ja drzemałam z nogami na jego kolanach. Jego opłakane kulinarne próby. Jego pełne rozmachu gesty, kiedy te jego olbrzymie ramiona niebezpiecznie zamiatały powietrze. Opiszę ten jego rechot z głową odrzucaną do tyłu. Będę snuć opowieści o jego komicznej niezdarności, gdy urządzenia kruszyły mu się w dłoniach, a narzędzia rozpadały na kawałki. Opowiem o jego nieskończonej dobroci. W ten sposób zdołam go zachować przy sobie. Zwyczajny rytm życia na wyspach, tak nijaki, niedostrzegalny, wykrystalizuje się z powtarzania tych samych historii – i z biegiem lat przeistoczy się w legendę.

Moje zdjęcia się do tego przydadzą. Mick na pokładzie Janusa. Mick w kuchni, marszczący brwi nad pudełkiem makaronu z serem. Strojący głupie miny, żeby mnie rozśmieszyć. Odrobinę niepokojący jest fakt, że te ujęcia pomogą mi w moim oszustwie. Zawsze kojarzyłam fotografię z gromadzeniem prawdy. Wyobrażałam sobie, że moje zdjęcia są niepodważalne i szczerze, równie stałe, co ziemia pod moimi stopami. Teraz widzę jednak, że prawda i fotografia są rzeczami z gruntu sprzecznymi. Zdjęcie to dwuwymiarowe przedstawienie, jak malowidło albo szkic, starannie przygotowane, wykadrowane i oprawione. To świat taki, jakim widzi go umysł artysty, a nie taki, jakim jest naprawdę. Fotograf może do woli wybierać, co zostanie zachowane w kolekcji obrazów; można w nich rozmyślnie przebierać, a następnie składać i aranżować tak, by całość zbioru przedstawiała dowolną historię.

Praca, którą kocham, uwierzytelni moje kłamstwo. Może wykorzystam zdjęcie Micka posyłającego mi całusa. Usunę natomiast zdjęcie, na którym robi to samo w kierunku Lucy, żeby ta nie czuła się wykluczona. Zachowam ujęcia Micka piszącego w dzienniku, stojącego w latarni morskiej, sterującego dźwigiem poruszającym Billy'ego Pugh'a, gotującego obiad, z rozentuzjasmowaną miną wskazującego słonia morskiego, chrapiącego na kanapie oraz ryczącego ze śmiechu. Wyrzucę fotkę, na której, śpiewając na cały głos, razem z Charlene tańczy walca w pokoju dziennym. Dołączę moją ulubioną fotografię Micka – rozpromienione spojrzenie, pełen miłości uśmiech wycelowany w obiektyw. Pominę natomiast kolejne ujęcie, na którym widać, że Forest też tam wtedy był, że przez cały czas stał za moimi plecami.

Prom się spóźnia. Kiedy Kapitan Joe się pojawi, jego łódź mignie w oddali, czarna plama na wodnym krajobrazie. Wrażenie będzie oczywiście mylące, jak złudzenie optyczne; zdołam ujrzeć prom na długo, zanim zbliży się on do wysp.

Przed kilkoma minutami Galen i Forest razem wyszli z chaty. Patrzyłam, jak idą, gestykułując, pogrążeni w jednej ze swoich niekończących się, nawracających sprzeczek, wiecznie nierozwiązanych. Śledziłam ich wzrokiem, gdy zmierzali ku Przystani Wschodniej. Pojedyncze słowo dotarło do mnie niesione wiatrem: „Siostrzyczki”. Dotąd nikt nie widział żadnych rekinów, ale to tylko kwestia czasu. Szczurze Stado już teraz musi być gdzieś w okolicy. Letni cykl zaczyna się od nowa. Galen i Forest szli, by obejrzeć Billy’ego Pugh’a, sprawdzić, czy mechanizm jest w dobrym stanie na moją odprawę. Forest dopilnuje przetransportowania mnie na pokład promu. Opuszczę wyspy tak samo, jak na nie przybyłam – zawieszona nad oceanem w przerażającej, rozchybotanej klatce.

Kapitan Joe właśnie się pojawił, jak bańka mydlana wdmuchana ponad linię horyzontu. W jednej chwili niebo było puste, w kolejnej na jego tle pojawiła się łódź. Wkrótce wyruszę do Przystani Wschodniej, gdzie będzie na mnie czekał Forest. Ostatni raz przejdę między szeregami mew. Ostatni raz odetchnę słonym powietrzem, stawię czoła guanu i pchłom, przypomnę sobie, gdzie byłam i dlaczego opuszczam to miejsce.

Rozmyślałam o książce Galena – o złodziejach jaj i strażnikach światła. Był tam też cały rozdział poświęcony Indianom Miwok. Ci ludzie mieszkali w Kalifornii i wiedzieli o istnieniu archipelagu... choć nigdy nie byli na tyle głupi, żeby się tam wyprawić. Przy dobrej widoczności Wyspy Farallońskie można dostrzec z wybrzeża: nawiedzone kształty, potraskane kamienne okruchy. Indianie Miwok wierzyli, że to przestrzeń nie tylko fizyczna, ale i duchowa. Wyobrażali sobie ją jako piekło na ziemi, gdzie dusze potępionych zsyłano, by cierpiały niewygody i samotność.

Po ostatnim roku muszę przyznać im rację. W tym miejscu pustka jest bardziej jedną z sił natury niż uczuciem. Jest swoistym przyciąganiem magnetycznym tych wysp. Dawno temu Galen przeżył potworną tragedię. Jestem pewna, że zostanie tutaj, aż umrze – zagubiona dusza, zdominowana i zdefiniowana przez śmierć żony. Forest doświadczył podobnie bolesnej straty. Lucy też na swój sposób owdowiała.

Ja również przypominam ich bardziej, niż kiedykolwiek byłabym skłonna przyznać. Pamiętam, jak pierwszy raz ujrzałam wyspy na zdjęciu. Poczułam takie ukłucie, jakbym je rozpoznała. Natychmiast miałam wrażenie, że w jakiś sposób znam to miejsce – z poprzedniego życia albo ze snu. W tamtym momencie wydawało mi się, jakbym od zawsze czekała, aż odnajdę te wyspy – tak jakby to one czekały na mnie.

Teraz rozumiem, czemu tu w ogóle przyjechałam. Cały rok zajęło mi pogodzenie się z tym faktem. Od czasu Twojej śmierci ciągle spoglądałam przez ramię, patrzyłam wstecz. Utknęłam w czasie. Pisałam do Ciebie listy – listy do nikogo, do ciała na cmentarzu, do kobiety, którą znałam przez niewielką część mojego życia. Setki wiadomości, w tym niektóre zalegające w Biurach Martwych Listów różnych miast, inne zakopane, spalone albo rozrzucone na wietrze. Nigdy nie zastanawiałam się, czy pisanie ich jest rzeczą sensowną albo zdrową. Teraz widzę, że nie było żadną z nich. Każdy list stanowił kotwiczny łańcuch, ciągnący mnie z powrotem ku przeszłości.

Oddaliłam się od ojca. Trzymałam się z daleka od bliźniaczek, od moich dziadków, kuzynów. Odrzuciłam wszystkie normalne ścieżki przez życie – hipotekę, długotrwałe związki,

stałość, miłość. Zachowałam tylko to, co mogłam unieść na własnych barkach. Sypiałam na pustyniach, w kanionach i dżunglach. Żyłam jak włóczęga. W pewnym sensie od dnia Twojej śmierci ciągle szukałam tego archipelagu. To oczywiste, że rozpoznałam Wyspy Farallońskie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam je na fotografii. To miejsce jest ostatecznym azylem dla takich jak ja.

O dziwo, dziecko okazało się moim ocaleniem. To przypadkowe dziecko, które było owocem możliwie najgorszych okoliczności. Gdyby nie to drobnutkie, powoli rosnące stworzenie, mogłabym zdecydować się na zawsze pozostać na wyspach. Przeszło mi to przecież przez myśl. Pomimo nieustającego wycia wiatru, przeszywającego chłodu, mizernych zapasów jedzenia, gryzoni, rozpadającej się hydrauliki, wyszczerbionych naczyń i braku interesujących lektur zawsze czułam się tu jak w domu – bardziej niż gdziekolwiek indziej. Dzicz i odosobnienie są dla mnie jak mleko matki.

Z łatwością mogłabym zostać tu na stałe. Mogłabym rozpocząć proces zbierania funduszy albo wnioskować o status stażystki, włączyć się w rytm życia na wyspach do tego stopnia, że pozostali już nie poradziliby sobie beze mnie. Lucy, Forest, Galen i ja – najżałośniejszy kwartet we wszechświecie. Wspólnie jedlibyśmy posiłki. Wspólnie obrączkowalibyśmy ptaki. Zapomnielibyśmy o gorączkowym życiu na lądzie, o buczeniu samochodowych klaksonów, pomruku głosów obcych ludzi. Wyobrażam sobie, że wyspy dryfowałyby coraz dalej i dalej od brzegu. Nasza czwórka nieufnie spoglądałaby na wszystkich gości w naszej małej kolonii trędowatych. Bylibyśmy rozbitkami z wyboru. Wszyscy niekompletni, udręczeni.

Kapitan Joe jest bliżej. Prom nie przypomina już plamy; nabrał konturów, widać dziób i pokładówkę. Ale to wciąż jego miniatura, statek w butelce. Ledwo widzę białą kipieli kilwateru.

Myślę o moim ojcu. O tym, jak o świcie, w dresie, przygotowuje się do porannego biegu. Jak wieczorem siedzi przed telewizorem z miską popcornu na kolanach. Nigdy nie traktowałam go fair. Za życia jawiłaś się świetlistą postacią, tak wybuchową i pełną emocji, że spychałaś go w cień. Gdy odeszłaś, ojciec pozostał w tym cieniu, na obrzeżach, w półmroku. Nigdy mu się nie zwierzałam. Nigdy tak naprawdę o nim nie myślałam; był częścią wystroju wnętrza, fragmentem domu, do którego wracałam, na równi z kuchennymi szafkami i półkami z mahoniem. Zastanawiam się, jak dużo z tego rozumiał.

Dzisiaj powrócę na stały ląd.

Potem, oczywiście, pojawi się mój syn. Może zniecka poczuje, jak odchodzą mi wody; będę pić herbatę przy kuchennym stole albo spacerować po okolicy i nagle zamienię się w ludzką fontannę o mokrych udach i przemoczonych butach. Podczas porodu – jak wyjaśnił mi Mick – będę w mniejszym lub większym stopniu niepoczytalna. Ból okaże się nie do zniesienia, a jednak zniosę go. Wejdę w odmienny, euforyczny stan, w którym mój umysł zostanie odstawiony na półkę, zepchnięty na bok, podczas gdy moje ciało przejmie kontrolę, wypełniając swoje najgłębsze, zwierzęce funkcje bez mojej świadomości czy zgody. Dziecko spłynie w dół kanału rodowego na fali krwi. Wydostanie się na powietrze jak rekin rozbijający tafelę wody. Łącząca nas pępowina zostanie przecięta i w tym momencie dziecko ulegnie przeobrażeniu. Stanie się pełnokrwistą istotą ludzką, niezależną, oddychającą własnym powietrzem, pochłaniającą własne pożywienie.

Ja też się zmienię. Stanę się matką – tak jak Ty, ale nie taką jak Ty. Samotną matką. Zwrócę się do moich ciotek. Niełatwo będzie odnowić rodzinne więzi. Zaakceptuję każdą pomoc, jaka zostanie mi zaoferowana. Będę jej potrzebować. Nie istnieje nic bardziej zdumiewającego niż nowo narodzone dziecko. Będę pielęgnować to małe zwierzątko i zmieniać mu pieluszki. Sprawdzę słowa na wpół zapomnianych kołysanek. Już prawie widzę mojego synka. Ma różową skórę i kilka kępek włosów. Wyciąga rączki jak rozgwiazdy. Oczy ma ciemne, skleione,

niezupełnie przystosowane do życia poza łonem. Brzuszek okrągły i ciepłutki jak świeżo upieczony chleb. Miną miesiące, podczas których ponownie przestanę istnieć dla świata, ale tym razem w konkretnym celu, zamieszkując krainę kocyków, bucików i skóry pokrytej niemowlęcym meszkiem.

Ale to nie koniec opowieści. Ta historia trwać będzie dalej. W końcu stanę się normalną osobą. Oto, co dziecko ze mną zrobiło – osadziło mnie, po raz pierwszy i na trwałe, wśród reszty rodzaju ludzkiego. Nigdy więcej nie doświadczę takiego niedostatku jak na wyspach. Nieważne, jakie życie będę w stanie stworzyć dla mojego synka i dla mnie samej, wypełni je względny luksus. A przez cały ten czas chłopiec będzie rósł. Będzie raczkował w pieluchach. Będzie jeździł na rowerku z doczepianymi kółkami jako silny, trzyletni kędzierzawy blondasek. Będzie bawił się na huśtawkach, z głową odrzuconą do tyłu, rozwianymi włosami, wyciągniętymi nogami, odrysowany na tle nieba jak mewa w locie. Możliwościom nie ma końca. Czas rozpościera się przede mną niczym złoty tunel złożony z kolejnych lat. Tysiące wyborów. Czas przypomina promienie słońca, przypomina bogactwo.

W przyszłości nadejdzie taki dzień, kiedy odbiorę mojego syna ze szkoły. Widzę teraz daleko w przód; widzę wszystko. Wybiegnie przez drzwi ceglanego budynku z tornistrem wiszącym na ramionach. Może będzie takim dzieckiem, które wpadnie we mnie i zachwycone obejmie mnie mocno. Może tylko pomacha do mnie i, stając obok, zrówna ze mną krok, jak miniaturowy dorosły. Widzę, jak upłynie nam reszta dnia – rześkie i słodkie wiosenne popołudnie. Razem pozałatwiamy różne sprawunki. Zajdziemy do parku. Przewędrujemy przez most. Wyobrażam sobie, że skręcę w boczną uliczkę z synkiem u boku. Tam, na końcu przecznicy, czekać będzie nasz dom, z rozświetlonymi oknami, tak zachęcający i pełen ciepła, jak promień latarni morskiej wskazujący statkom drogę do portu.

W końcu zmienię się nie do poznania. Pozwolę Ci odejść.

Już czas. Morze spłaszczyło się, wygładziło jak kartka papieru, a niebo jest słoneczne i bezchmurne. Plecak mam spakowany, gotowy do drogi. Tak samo umysł.

To ostatni list, jaki do Ciebie napiszę.

W głowie dźwięczy mi głos Micka. Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, odciągnął mnie na bok w kuchni i wygłosił wykład o powrocie do domu. Zniecierpliwiłam się wtedy na niego, ale teraz jego słowa wydają się prorocze – może nawet kluczowe. Ostrzegł mnie, że podróż promem zajmie kilka godzin. Kazał mi zostać wewnątrz pokładówki i nie ryzykować spacerów wzdłuż burt. Zmusił mnie, żebym obiecała, że założę czapkę. Pamiętam: wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął kosmyka moich włosów. „Przeżyjesz się na śmierć”, powiedział. Nagle bardzo istotne wydaje się, żebym go posłuchała. Wszystkie skradzione dobra pochowałam na dnie plecaka. Pod kolekcją muszli, podkoszulkiem Micka, moim szczęśliwym piórem maskonura oraz czterema ocalałymi aparatami znajduję to, czego szukałam.

Szkarłatną wełnianą czapkę z wyszytym złotą nicią emblematem feniksa. Będę miała ją na sobie, kiedy będę opuszczać wyspy. Zakładam ją już teraz, żeby chroniła mnie przed chłodem.

EPILOG

Galen stoi w latarni morskiej. Przez lornetkę obserwuje, jak prom przedziera się przez mgłę. Opary są niejednorodne, tu gęstsze, tam rzadsze. Łódź zdaje się iluzoryczna, ulotna. Galen oddycha słonym powietrzem. Widzi Mirandę stojącą przy rufie promu. Jej sylwetka jest wyraźna, jednocześnie drobna i opasła – to mała kobieta nosząca ciężkie brzemię na wysokości przepony. Ma na sobie czerwoną wełnianą czapkę. Galen dobrze ją zna. Materiał jest szkarłatny, z jednej strony naszyto złotego feniksa. Prom stopniowo rozplywa się we mgle, rozmywa się na tle oceanu. Sylwetka Mirandy zanika, ale czapkę wciąż jeszcze można dostrzec. Pozostaje widoczna, gdy znika wszystko inne – czerwony kleks pośród szarości, płonący niczym światło ostrzegawcze.

Zimny wiatr zrywa się, otacza latarnię. Chłód nie przeszkadza Galenowi; podobnie jak wielu strażników światła przed nim, mężczyzna spędził na wyspach zbyt dużo czasu, by zwracać uwagę na zimno. Wiatr jest zjawiskiem tak częstym, że łatwiej spostrzec jego brak niż obecność. Galen reguluje ostrość lornetki, spogląda w morze.

Mgła połknęła już prom, Mirandę, nawet szkarłatny poblask czapki. Niebo wypełniają nisko wiszące, mokre chmury. Jest dziś w wyspach coś klaustrofobicznego, jakby zamknięto je w pudełku z przemieszczającą się szarugi. Galen opuszcza latarnię. Mewy są wszędzie, drzemią z łbami wetkniętymi pod skrzydła. Gdy mężczyzna podchodzi bliżej, pokazuje się kilka dziobów. Galen poprawia swój kask, na usta i nos naciąga maskę. Idzie przez gąszcz poruszających się piór, które szeleszczą jak peria na wietrze.

Kiedy jest już blisko chaty, wiatr wiruje wokół niego, niosąc zapach amoniaku i stęchlizny. Wchodzi przez tylne drzwi, żeby uniknąć spotkania z Kamikaze Petem. Ten biedny ptak niedługo już pociągnie. Podobnie jak wiele innych stworzeń na wyspach, walczył zbyt długo i jadł zbyt mało. Zbliżająca się migracja go wykończy; nie przetrwa podróży. Galen idzie do kuchni, żeby zrobić sobie kubek herbaty na uspokojenie. Teraz, kiedy Miranda się wyprowadziła, dom wydaje się inny. Nie ma jej rzeczy, jej zapachu, jej oddechu. Galen nigdy więcej jej nie zobaczy. Na przestrzeni lat widział dziesiątki ludzi, którzy przybywali na wyspy i opuszczali je. Widział złamane serca i przyjaźnie, i śmiech, i ludzką małostkowość. Widział też śmierć, w większości gwałtowną. Para z kubka bucha mu w twarz. Dziennik znajduje się na swoim zwyczajowym miejscu na stole – dostępny dla wszystkich. Galen przegląda dzisiejsze wpisy. „Cztery pisklęta wykluły się na Plaży Mirung. Kormoran znaleziony D.W.G. na Latarnianym Wzgórzu”.

Potem sięga pod stół. Jest tam specjalna, niewidoczna skrytka. Galen sam wyrzeźbił ją w drewnie. Wyciąga z niej swój prywatny notes. Dziennik to zapis publiczny, prowadzony przez wszystkich biologów – to kronika życia zwierząt. Ale mały zielony notes Galena to coś zupełnie innego. To rejestr ludzkiej aktywności na wyspach. Mężczyzna prowadzi go od lat.

Śledził w nim romantyczną przygodę Micka i Foresta – jej narodziny, narastający żar, nocne schadзки w stróżówce. Notował daty i czas trwania każdego sekretnego spotkania. Opisywał ich zaszyfrowane interakcje w towarzystwie innych. Pilnował wszystkich mieszkańców wysp. Zrelacjonował cały proces opłakiwania przez Lucy utraconego ukochanego. Odnotował szczegóły przyjaźni Micka i Mirandy, a także przyjaźni Mirandy i Charlene. Jako naukowiec dbał, aby jego zapiski były rzeczowe. Żadnych domysłów czy emocji. Tylko czyny i zachowania, które dało się zmierzyć i zachować dla potomności.

„12 sierpnia: Miranda ranna. Aparat nie do naprawy”.

„28 sierpnia: Lucy nurkuje”.

„3 października: Mick i Forest w stróżówce przez cztery godziny”.

Galen to biolog. Jego praca jest świętą powinnością; to studium istnienia we wszystkich jego formach. Na wyspach życie rozwija się w unikalny sposób, pozbawiony zewnętrznych wpływów i ograniczeń. Dotyczy to tak zwierząt, jak i ludzi. Galen nie widzi różnicy między swoimi towarzyszami a badanymi przez nich stworzeniami. Obserwacja i nieingerencja są rdzeniem jego systemu wartości. Prowadzi kronikę zachowań rekinów i wielorybów, ptaków i fok, biologów i stażystów. Nigdy w nic się nie miesza.

Ale Miranda, ich specjalistka od myszy – ona była inna. Była czymś nowym. Miała w sobie coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Zapytał ją kiedyś: „Jaka jest twoja natura, Mirando?”. Zadał to pytanie, łudząc się, że ją sprowokuje albo wystraszy. Nie doczekał się niczego, żadnej reakcji. Jej oczy pozostały bez wyrazu, jak focze kamienie.

Galen przerzuca kartki. Jego prywatny notes to zielony klejnot, oprawiony w skórę. W minionym roku wiele się wydarzyło. Książeczka sama z siebie otwiera się na wpisie z listopada. Na przestrzeni ostatnich tygodni i miesięcy Galen często powracał do tej strony. Może zbyt często.

„5 listopada: Miranda zgwałcona przez Andrew”.

Marszczy brwi. Przesuwa palcem po linijce własnego pisma. Potem przeskakuje do wpisu dokonanego zaledwie kilka dni później.

„8 listopada: Andrew zamordowany przez Mirandę”.

Galen odchyła się w krześle. Pozwala, żeby oczy mu się zamknęły, gdy jego umysł ponownie odtwarza tę scenę. Często rozmyślał o tej nocy, kiedy zginął Andrew. Oczywiście Galen widział, jak to się stało. Widzi wszystko, co dzieje się na wyspach.

Wieczór był mglisty. Galena obudził odgłos zamykanych drzwi. Najpierw Miranda opuściła chatę. Potem wyszedł z niej Andrew. Galen widział, jak doszło do konfrontacji. Sprzeczka. Kłótnia. Podniesione głosy, pochwycone przez wiatr, zagubione pośród hałasu morza. Mgła. Śliski brzeg. Obserwując ich, Galen nie mógł słyszeć wymienianych słów. Nie potrzebował ich słyszeć. Andrew chciał jeszcze, widać to było w jego zachowaniu. Wyciągnął dłonie w jej stronę, próbował ją chwycić. Na twarzy miał drwiący uśmiech; sądził, że osamotniona Miranda będzie łatwym celem.

Galen miał na ten temat inne zdanie. Ranne zwierzę to zwierzę najbardziej niebezpieczne. Miranda już raz została zaatakowana. Galen ocenił jej postawę: ściągnięte ramiona, uniesiony podbródek. Andrew nie próbował uciekać. Nie spodziewał się uderzenia. Nie wiedział o foczym kamieniu w kieszeni Mirandy; kamieniu, który zawsze nosiła przy sobie, twardym i pewnym. Nie wiedział tego, co wiedział Galen.

Uderzenie w głowę. Bryzgająca krew. Plusk wody.

Galen wszystko to pamięta. Pamięta każdy szczegół. Czapka Andrew spadła, kiedy zadano cios. Jego noga złamała się w kostce, płuca wypełniła woda. Miranda przez jakiś czas stała na brzegu, patrząc na ciało unoszące się na fali. Wydawało się, że szok ją sparaliżował. Potrzebowała kilku minut, żeby pozbierać myśli. W końcu schyliła się i podniosła czapkę. Zawinęła w nią zakrwawiony kamień. Zabrała oba przedmioty do domu i ukryła, tak jak pies grzebie w ziemi kość. Schowała dowody pod łóżkiem – miejscem, które w ciągu następnych tygodni opuszczała sporadycznie.

„9 listopada: Znaleziono ciało Andrew”.

„10 listopada: Ciało umieszczone w kostnicy w S.F., czeka na sekcję zwłok”.

„14 listopada: Mick i Forest w stróżówce przez dwie godziny”.

Galen popija herbatę. Para wypełnia mu płuca przyjemnym zapachem cynamonu. Na zewnątrz mgła zaczyna rzednąć. Pomarszczona i blada, wydaje się wątła niczym koronka albo

gaza. Powietrze też jest inne – świeższe, jaśniejsze, bardziej rozbudzone. Galen zawsze wyczuwa zmieniającą się pogodę. Za godzinę lub dwie niebo będzie czyste, morze gładkie, a wyspy skąpane w świetle.

Galen nie zareagował na śmierć Andrew. Czekał. Podczas tygodni, które nastąpiły po morderstwie, obserwował Mirandę z pewnej odległości – był jak jastrząb w locie, wysoko nad ziemią, zerkający w dół teleskopowym spojrzeniem, niewidoczny dla zwierzyny. Śledził i zapisywał każdy jej ruch. Sypiał czujnie i budził się w nocy, nasłuchując jej kroków. Zwracał uwagę na jej zachowanie podczas posiłków i rozmów. Zdał sobie sprawę z ciągłego pisania przez nią listów. Zauważył też, że wiadomości te nigdy nie zostały wysłane. Oczywiście teraz, po zagłębieniu się w temat, wie już, że to były listy do zmarłego rodzica.

Stopniowo zaczął rozumieć zachowanie Mirandy. Nie pamiętała, co zrobiła. Klótnia na brzegu, foczy kamień, roztrzaskana głowa Andrew, ciało w czarnych odmętach – to wszystko wyparowało.

Galen miał już wcześniej do czynienia z tym zjawiskiem. Zwierzęcy umysł nie posiada pamięci, Galen to sprawdził. Większość zwierząt jest w stanie przywołać zdarzenia z ostatnich kilku sekund albo minut, ale wszystko, co miało miejsce wcześniej, ginie jak balon na wietrze. Zwierzęta zachowują wrażenia, a nie opowieści. Mogą instynktownie unikać niebezpiecznego miejsca. Mogą trzymać się z daleka od przedmiotu kojarzącego się z krzywdą. Ale nie pamiętają konkretnych zdarzeń. Pożarłszy fokę, rekin odpłynie z czystym sumieniem, zapomni o krwi i bólu. Mewa potrafi w napadzie furii zabić własne pisklą, a potem opłakiwać odnalezione maleńkie ciało, nieświadoma własnej winy, zagubiona we własnej niepamięci.

Może umysł Mirandy działa podobnie. Może taka już jest jej natura.

Galen kieruje wzrok w stronę okna. Fale marszczą linię horyzontu. Nad Siodłem krąży kilka ptaków. Pod pewnym względem mężczyzna żałuje, że Miranda opuściła wyspy. Szkoda mu tak wyjątkowego i frapującego obiektu badań.

Pamięta ten moment, kiedy po raz pierwszy dostrzegł zmianę w jej chodzie. Od początku ciąży minęło zaledwie kilka tygodni. Oznaki zachodzących zmian były subtelne, ale Galen obserwował ją wystarczająco czujnie, żeby je zauważyć. Poruszała się wolniej. Zaczęła inaczej kołysać biodrami. Inna była też jej skóra – młodsza, bardziej napięta. Od czasu do czasu okolice jej szczęk atakował trądzik.

Galen przetrwał wtedy te informacje. Upewnił się, że nic mu się nie przywidziało. Talia Mirandy nie uległa jeszcze zmianie, ale pojawiały się już ślady zmęczenia, problemy z koncentracją. Jej włosy zgęstniały. Zmieniała się jej sylwetka. Zmianie uległa też pigmentacja twarzy, na policzki masowo wtargnęły brązowe piegi. Miranda zdawała się równie nieświadoma tych zmian, jak przemocy zastosowanej wobec Andrew. Dlatego Galen rejestrował to, czego ona nie była w stanie dostrzec. Jak zwykle przypadła mu w udziale rola czujnego oka wysp, ich beznamiętnego serca oraz pamięci długotrwałej.

„15 grudnia: Miranda zdradza zwiększony apetyt”.

„1 stycznia: Miranda ma mdłości. Podczas śniadania zapytała, czy kogoś dopadła grypa jelitowa. Nikt nie odpowiedział”.

„28 stycznia: Miranda została w chacie z powodu osłabienia”.

Galen dopija herbatę, osusza fusy. Podchodzi do okna, spogląda na przymglone niebo. Chmury płyną ponad horyzontem w warstwach różnej gęstości. Ich niedopasowane kolory odbijają się w wodzie, poszatkowana toń dodatkowo zniekształca odbicie. Widok morza to patchwork wykonany z tysięcy niebieskich skrawków. Galen bierze głęboki, ukontentowany oddech. Za kilka minut wezwie Foresta. Wejdą na pokład Janusa. Wyruszą na Rekinią Wachtę. Czuje pewność, że Siostrzyczki już tam są. Notes przyciska do piersi.

Tylko raz w ciągu minionego roku zawiodło go opanowanie. Oczywiście chodziło o Charlene, tak podobną do jego świętej pamięci żony. Rude włosy. Okrągła twarz. Pogodny charakter. Pamięta ten wieczór, kiedy wzięła go na stronę. Po obiedzie wyszeptała, że chce porozmawiać. Powietrze było jak ciekły lód, okna pokrywał szron. W należącej do Charlene sypialence Galen usiadł na materacu, a ona zaczęła mówić.

Powiedziała mu to, co już wiedział. Zrelacjonowała mu tę historię w zawiły sposób, powtarzając się i wykręcając dłonie ze zdenerwowania. Opowieść dotyczyła Andrew. Charlene słyszała go, jak opuszczał chatę tej nocy, kiedy zginął. Słyszała na zewnątrz kogoś jeszcze. Dwa głosy, choć nie była w stanie zidentyfikować tej drugiej osoby. Nie dawało to jej spokoju. Galen pamięta, że mamrotał coś uspokajająco. Twarz ułożył w wyraz adekwatnego zdziwienia. „To pewnie tylko figiel spleatany przez wiatr”, powiedział. Próbował sprawić, żeby zmyliła trop. Nie chciał, żeby naciskała albo wtrącała się do jego pracy. Wkrótce potem opuścił jej pokój, obiecując, że rozważy całą sytuację.

To, co wydarzyło się później, było dla niego trudne. Zaskakująco trudne. Nawet po wszystkich tych latach spędzonych na wyspach – po latach praktykowania naukowego sposobu myślenia – nie był gotowy na widok nieprzytomnej dziewczyny na desce do surfowania. To wspomnienie wciąż go nęka. Krew na jej czole. Zwichnięty łokieć. Pusta twarz.

Ale zachował spokój. Obserwował i notował. Nie interweniował.

„2 lutego: Charlene zabrana śmigłowcem do S.F. Zwichnięty łokieć. Możliwe wstrząśnienie mózgu”.

„3 lutego: Telefon ze szpitala. Charlene dochodzi do siebie. Żadnych objawów uszkodzenia mózgu”.

„5 lutego: Telefon od Charlene. Mówi, że mniej ją boli, z łokciem jest lepiej. Wydaje się być w dobrym nastroju”.

W końcu Galen odchodzi od okna. Niesie kubek po herbacie do kuchni i starannie go myje. Wraca do stołu, wyciąga z kieszeni ołówki i otwiera szmaragdowy notes na dzisiejszej dacie.

„27 lipca: Miranda na stałe opuszcza wyspy. Wciąż nie pamięta, czego się dopuściła. Żadnych wspomnień”.

Czyta zapisane słowa i potakuje usatysfakcjonowany.

Musi jeszcze zająć się jednym ostatnim drobiazgiem. Lekko kuśtykając z powodu bolącej kostki, Galen wspina się po schodach. Pokój Mirandy jest pusty jak wydmuszka. Opróżniona komoda. W szafkach też nic. Galen sięga pod łóżko, rozcierając pudła i kłęбки kurzu, aż jego palce natrafiają na okrągły przedmiot. Tak jak podejrzewał, Miranda zostawiła kamień. Krew wyschła na lepki pył, okleja granit. Stojąc tam, Galen nie czuje żadnego współczucia, żadnego smutku. Obraca kamień w dłoniach.

Potem przemierza korytarz. Jego pokój pełen jest pamiątek. W ciągu minionej dekady zgromadził ich całe mnóstwo. Jest tam pióro nietoperza, skórzaste i zeschnięte, przypięte do ściany jak proporzycy ulubionej drużyny sportowej. Na parapecie stoją w rzędzie wysuszone pąkle. Mała drewniana miseczka zawiera ceramiczne okruchy – pozostałość po filizance rzuconej w czasie kłótni, świadectwo złości i przemocy. Stojący na komodzie słoik po dżemie wypełniają po brzegi martwe żuki. Ludzkie zebro, wyblakłe i podziurawione przez morze, leży w górnej szufladzie zawinięte w gazetę. Przez lata Galen nzbierał masę piór i przypiął je do sznurka rozpiętego nad oknem. Ułożone są według wielkości, od pióra albatrosa przez kormorana, na wróblu kończąc. Za przycisk do papieru służy mu czaszka martwego szczenięcia foki. Jedna z szuflad pełna jest rekinich zębów. Galen lustruje pokój swoim spojrzeniem zawodowca.

Jego kolekcja foczych kamieni spoczywa w rogu – wiaderko kul przypominających

księżycu. Galen bezceremonialnie rzuca kamień Mirandy na stertę. Zamaskowany, szary pośród szarości, wygląda zupełnie niewinnie. Mężczyzna strzepuje z dłoni zaschłą krew. Narzędzie zbrodni ładnie wpasuje się w jego kolekcję pamiątek, otoczone spłaszczonymi jeżowcami, muszlami ostryg i kośćmi ptaków. Pozostanie tu na zawsze, pod jego opieką.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Scottowi i Milo, którzy są moim domem i sercem. Dziękuję mamie i tacie, którzy w niczym nie przypominają rodziców z moich opowieści, ponieważ cudowne, kochające rodziny jak moja kiepsko się sprawdzają w literackiej fikcji. Dziękuję Patsy, mojej drogiej przyjaciółce i dobrej wróżce. Dziękuję Laurze Langlie, najlepszej agentce, o jakiej mogłabym marzyć. Dziękuję mojemu redaktorowi, Danowi Smetance, najmądrzejszej osobie na świecie. Dziękuję wszystkim błyskotliwym, niesamowitym ludziom w Counterpoint Press. Dziękuję mojemu wspaniałemu dziadkowi, mojemu cudownemu i niepowtarzalnemu bratu oraz Bendix, mojej odwiecznej przyjaciółce. Dziękuję Laurie, światłu pośród ciemności. Dziękuję Gwynne Johnson, uroczej artystce i skarbnicy fotograficznej wiedzy. Dziękuję Susan Casey, której nieoceniony pamiętnik pt. *The Devil's Teeth* pozwolił mi odwiedzić Wyspy Farallońskie, kiedy tylko chciałam. Dziękuję mojej kochanej rodzinie z Oklahomy. Dziękuję Kevenowi i Steve'owi, którzy są doskonali w każdym calu. Dziękuję wszystkim jasnym gwiazdom w moim prywatnym gwiazdozbiore. Wiecie, kim jesteście.